P.9786 Chr. Arch.
NA-6 I

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/508-2/509 1990

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. JUREWICZ: **LIDA**

B. KORZENIEWSKI: **GRZECH**

A. KRZECZUNOWICZ: **KONFLIKT IZRAELSKO-PALESTYŃSKI**

ST. BEREŚ: **TRZY ODDECHY LITERATURY EMIGRACYJNEJ**

NAGRODY «KULTURY» ZA ROK 1989

SPIS RZECZY

Aleksander Jurewicz:	*Lida*	3
Bohdan Korzeniewski:	*Grzech*	43
Sławomir Mrożek:	*Nieostrożność*	65
	WIERSZE	
Czesław Miłosz:	*T'ang*	67
Tu FU (713-770):	*Zachód słońca; — Świt zimowy; — Goście.*	68
Wang Czien (736-835):	*Południe*	70
Po Czu I (772-846):	*Wyruszając wcześnie; — Po zebraniu jesiennych podatków; — Nocując u starca; — Szaleńczo śpiewając*	70
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Andrzej Krzeczunowicz:	*Konflikt izraelsko-palestyński*	73
	WYWIADY KULTURY	
Robert Kaczmarek:	*Dzieje wspólnych interesów (rozmowa z Gerardem Soufflet)*	84
Rafał Bubnicki:	*Dyktatorzy nie lubią fotoreporterów (rozmowa z Tomaszem Kizny)*	93
	SPRAWY I TROSKI	
Tomasz Jerz:	*Pęknięty mur*	99
Jerzy Giedroyc:	*Solidarity Foundation*	104
	KRAJ	
Jan Marczewski:	*Program rządu Mazowieckiego*	105
Artur Stankiewicz:	*Brojlernia*	110
Porozumienie Ponad Podziałami:	*Oświadczenie*	112
—	*Oświadczenie Wydawnictwa PoMost:*	115
—	*I Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek*	118
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	119
Grzegorz Ziętkiewicz:	*Kronika niemiecka*	124
E. Żagiell:	*Kronika litewska*	128
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	*Refleksje na czasie*	133
	KRONIKA KULTURALNA	
Stanisław Bereś:	*Trzy oddechy literatury emigracyjnej*	142
Wojciech Skalmowski:	*Mickiewiczowski „wskrzesiciel narodu"*	158
Anna Frajlich:	*Kształt bukszpanu ożeniony czy zamężny*	174
—	*Stypendia im. St. Lama*	176
	NAGRODY „KULTURY" ZA ROK 1989	
—	*Nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Michał Heller (Adam Kruczek)*	177
—	*Nagroda literacka im. Zygmunta Hertza — Wojciech Karpiński*	178
—	*Nagroda dla tłumaczy im. Konstantego Aleksandra Jeleńskiego — zapowiedź*	180

(D.C. na stronie 224)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1990

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Bob. L. Borowicz, Santiago de Chile, po raz 9-ty	F. 1.090,00
Dr Krzysztof J. Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 10-ty — Dol. 103,00	F. 618,00
Zbigniew Brzeziński, Washington, po raz 20-ty — Dol. 1.000,00	F. 6.000,00
Dla uczczenia pamięci ks. Jerzego Popiełuszki — Bohdan i Maria Paczowscy (Luksemburg) przekazują na rzecz najbiedniejszych w Kraju honorarium uzyskane za wykorzystanie przez telewizję francuską fotografii Witolda Gombrowicza — w wysokości	F. 7.790,00
Juliusz Dzianott, Rosario de Santa Fe (Argentyna), po raz 14-ty — Dol. US 65,00	F. 390,00
Aleksander Frejszmidt, Toronto, ON (Kanada), Dol. can. 20,00	F. 104,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, PQ (Kanada), po raz 3-ci	F. 150,00
J.K. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA), po raz 7-my — Dol. 33,00	F. 195,00
Teodor Mueller, Bad Homburg (RFN), po raz 2-gi	F. 100,00
Pamięci moich drogich Rodziców, Idy Jurysiowej-Spira i Romana Jurysia — córka	F. 300,00
M. Piaskowski, Caufield, N.V. (Australia), po raz 9-ty	F. 516,20
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 22-gi — Dol. 56,00	F. 330,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 46-ty — Dol. US 100,00	F. 600,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 30-ty — Dol. 75,00	F. 450,00
Elżbieta i Witold J. Zahorski — w pierwszą rocznicę śmierci Witolda Zahorskiego	F. 350,00
Zamiast kwiatów na grób Ludmiły Brejskiej-Nawrockiej, redaktorki *Wiarusa Polskiego*, The Maria Françoise Nawrocka-Majchrowicz, M.D. Educational Fund, Fort Washington, MD (USA) — Dol. 200,00	F. 1.200,00

DZIĘKUJEMY!

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786

•

Maria Wal, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą — Dol. 50,00	F. 300,00

•

Z okazji pierwszej rocznicy zgonu dr Marii Françoise Majchrowicz — The Maria Françoise Nawrocka-Majchrowicz, M.D. Educational Fund, Fort Washington, MD (USA) — na cele oświatowe w Polsce — Dol. 200,00	F. 1.200,00

—

Informujemy, że Instytut Literacki posiada
Telefax nr 33 1 39-62-57-52

1990 W 1007

Lida

POEMAT

Pamięci mojego Ojca

I

Wciąż mam pięć lat i marynarski
mundurek na sobie
Wciąż na dworcu czeka
ostatni repatriancki pociąg
Nikt nie wsiada do tego pociągu
Nikt nie płacze na peronie
Gdzieś zagubił się ojciec z maszyną
do szycia „Singer" zawiniętą w płótno
Mama nie ściska pod pachą
Matki Boskiej Ostrobramskiej
Nie słychać pierwszych odlatujących ptaków
które zagłuszają dziecięcy skowyt
„ja nie chaczu u Polszczu..."

Dworzec w Lidzie jest pusty i senny
jakby i tutaj już dotarła dżuma
chociaż nie ogłaszano żadnego alarmu
nie bito w dzwony
żaden szczur nie przebiegł ulicą
Wrzesień zaczyna rozmieniać kopiejki
liści z pojedynczych drzew
Przed dworcem tylko ciężarówka

z której nikt nie wysiada
nie wynosi rzeczy
Kobieta i mężczyzna z pięcioletnim synem
na tej ciężarówce wpatrzeni w jakąś dal
której nie będą mieli siły przejść
Jakby czekali na odwrócenie losu
albo fotografa

II

Lecz oto wjeżdża pociąg i ziemia
osuwa się spod nóg
Krzyk i płacz tych którzy
tutaj zostaną na zawsze
i tych którzy odjeżdżają
i jeden wielki szloch
który rozchodzi się
na wszystkie strony
i wiatr go niesie dalej
„Ajczyna, bywaj!"
„Nie zabudim, Ajczyna!"
Lecz zaraz rusza pociąg
ponaglany rozkazem
w niepolskim języku
i głowa przy głowie
i ciało przy ciele
znak krzyża w raptownym odruchu
ostatnie błyski miasta do zapomnienia
białoruski liść przykleił się
do szyby wagonu
Matka ściskająca obraz Ostrobramskiej
Ojciec pilnujący swojej maszyny „Singer"
w rytmie kół
w rytmie łez
w takt modlitwy
w takt zawodzeń
na zachód!
jakby nas wieźli na rozstrzelanie
na nieznaną przyszłość
od ziemi oderwanych...

III

Nigdy nie pożegnałem tego miasta
Nigdy nie nauczę się tego miasta
Budzę się ciągle na jego ulicach
z odrapanymi kolanami z pudełkiem
klocków ściskanym w rękach
Budzi mnie śpiew kobiet wracających
z niedzielnych nieszporów
i przekleństw mężczyzn w czereśniowym
sadzie przy samogonie

*
* *

Zatrzymałem się na progu czegoś szukając
i słyszę tylko głuche dudnienie kół pociągu
Ten pociąg jedzie
nie zatrzymując się nigdy

KRONIKA LIDZKA, 1986

OBŁOKI NAD LIDĄ

Mamie

Obłoki nad Lidą, ciężkie
obłoki — jakby z ołowiu albo milczenia
Stracone z oczu tak jak to miasto
Już nic tu po nas, nic tutaj
nie ma — pamięć szamocze się
w ślepych zaułkach, wyblakłych
zdjęciach, ruinie domu...
(Że kiedyś tutaj Twoja młodość
Że kiedyś ja biegałem tutaj...)
Wszystko kruszeje jakby z popiołu.
Spomiędzy murów jęk się urywa
jak cichnie łkanie tuż przed agonią
to dzikie gęsi w ostatnim locie

albo ktoś rozgniótł jarzębinę?
I miasta nie ma, nawet się nie
śni — tylko obłoki, pierwsze
obłoki.

DOM SIĘ ZAPADA

Dom się zapada, jak zorza
gaśnie. Mech lśni na dachu,
Komin się trzęsie z wiecznego
zimna, i sucha studnia
z umarłym echem. Choć skrzypi
furtka nikt tu nie wchodzi.
Szczury na strychu niepewne jutra.
A słońce wschodzi jakby bez
wiary, rzeka zarasta zatrutym
zielskiem. Dom umiera
naszą śmiercią -
jęcząc, pękając, resztkami
sił wbija się w ziemię.

Śliwki w ogrodzie pękają
z trzaskiem, furtka wciąż skrzypi
jakby wołała kogoś
z daleka; dom się zapada
na naszych oczach

BIAŁY POKÓJ

Gdzieś tutaj były rozrzucone
klocki, szpulki po niciach
ułożone w pociąg, koń na biegunach
z wyrwaną grzywą, książka otwarta
na zdjęciu Stalina.
Tu stało radio, tutaj łóżeczko,
szczerbaty nocnik, klon
za oknem coś opowiadał gdy wiatr
nieśmiało trącał o szybę.
Kot się wygrzewał na piecu
z dziadkiem, ojciec wciąż śpiewał
przy swej maszynie, skwierczały

bliny tuż obok w kuchni...
Gdzieś tutaj, kiedyś, chyba
naprawdę, chyba niedawno...

GRANICA

Tego nie można ci zapamiętać
O tym nie będziesz umiał milczeć
Walizka wraz z tobą wrasta
w ziemię. Koła pociągu toczą się
w miejscu nie mogąc minąć
Granicy. Zaorane pola, pojedyncze
drzewa w oddali — to już gdzieś tutaj,
może tam gdzie urywa się niebo, może
tam gdzie dym z niewidocznego ogniska,
może w innym pociągu,
może innego dnia?
Po co tam wracasz? Niczego tam
nie znajdziesz — mówili. — Jabłonie
w tamtym sadzie ścięte, zapomnij...
A tobie śpiewa łoskot tego
i tamtego pociągu trochę
już inną pieśnią
i obok nikt nie płacze, znowu
musisz nauczyć się tych kilku nazw
Grodno — Lida — Krupowo
Wieziesz w walizce głód nazwany
dzieciństwem, wieziesz strach że
naprawdę nikogo tam
nie ma, że tylko pusto i pusto,
tylko ten wiatr...

POWRÓT

Pamiętam?...
Na tym podwórku w to niebo patrząc
z zadartą głową „Husi, husi..." wołałem
nie wiedząc że za parę dni
też podążę ich szlakiem
Pamiętam?...
Wieczorne muczenie krów gnanych z łąk
przez głupiego Antośkę i ciepło

mleka kapiącego po brodzie
nocne szelesty myszy pod podłogą
i śpiew rwący się w dolinie
Pamiętam?...
Jak w starym śnie albo majakach
ten dom i jego sień
omszały gont dachu i umarłą
studnię. Noga zapada się w jesienne
błoto i pani Malinowska wsparta
o laskę stoi na ganku. Ciężkie krople
deszczu witają wygnańca, są jak niewypłakane
do tej pory łzy. Kamień wypluwam
z gardła i rzucam
za siebie.
Pamiętam?

ZAŚPIEWAJ JESZCZE NAD TĄ WODĄ

W tej rzece kiedyś pławiono konie.
Teraz już nawet księżyc w niej
nie lśni. Zarasta zielskiem,
Gniją w niej liście. Dawno nikogo
tutaj nie było; Ważka na chwilę
ale już leci.
Dziewczyny kiedyś nad jej brzegiem...
Mężczyźni kiedyś nad tą wodą...
Nigdzie ich nie ma. — Gdzieś poznikali
Albo pomarli Listów
nie piszą Nie przyjeżdżają.
Choć martwa płynie wciąż w czyichś
żyłach. Woda odbija się w jakichś
oczach. I tylko brzegi błądzą
jak ręce w mroku.

ZE SNU W SEN

Sen już się spełnia, ból już nie boli.
Babcia na progu tak bardzo krucha, chleb
trzyma w ręku i szklankę bimbru, — nie zmyłam —
mówi — tej krwi z podłogi gdy
skaleczyłeś nogę w ogrodzie, wejdź już
do domu, nie byłeś tutaj przecież

tak dawno, już nie pamiętasz
chyba niczego
Cień jakiś chowa się za szafą i jabłko
toczy się po stole, kubek z którego nie
zdążyłeś dopić, zegar zatrzymał się
na piątej, a popiół jeszcze ciepły w piecu.
To tutaj pierwszy raz uderzyło
serce, z pękniętego sufitu
osuwają się gwiazdy, stoisz na progu
dawnego pokoju i nie potrafisz
dalej przejść; może zbłądziłeś nie pod
to niebo?, to nie ten klangor wypędzał
z domu?, nie tutaj szedłeś? Znowu odrywasz
bandaż z tej rany, sen się nie goi,
ból się nie spełnia.

DZIKIE GĘSI

Jutro już musisz stąd wyjechać...

Jutro, zautra — powtarzam te słowa, a one giną gdzieś na krótko i znowu wracają narastającym bólem i żalem, niepewnością i strachem, jak niechciane echo.

Patrzysz gdzieś w dal i oczy masz suche.

Jest dopiero wczesny wieczór. Od pól i łąk idzie podjesienny chłód i mgła opada na ziemię.

Ucichły śpiewy kobiet kopiących kartofle na kołchozowym polu. Głupi Antośka zagania ostatnie krowy strzelając głośno z długiego bata.

Cichnie powoli dzień i tylko pies Cygan czasami zaskomli na łańcuchu, jakby kogoś przywołał, albo nie dawał rady pchłom na kudłatym grzbiecie. Kury posnęły i kot wraca z ogrodu z nieżywą myszą w zębach.

W powietrzu snuje się zapach naftaliny z szafy, którą niedawno wynosili z domu.

Skrzypnęła furtka. Pan Szabatowicz zbliża się do naszego domu, kieszeń jego spodni wypchana i wystaje z niej szyjka butelki. — Ot, jedziecie — kładzie grubą rękę na moją ostrzyżoną wczoraj głowę. — Musi tak trzeba — wyciera buty o brzozowe gałęzie leżące przed progiem.

Z jego wejściem do sieni doszedł tutaj brzęk talerzy, strzęp piosenki, którą śpiewał tato, bulgot rozlewanego samogonu. Zapachniało pieczoną słoniną z cebulą.

Ktoś przejechał wzdłuż płotu na rowerze, telepiąc naderwanym błotnikiem.

Pobliski kościół pokrywał się sinym mrokiem, coś odezwało się krótkim jękiem, jakby dzwonnica przed zaśnięciem wydała ciężkie westchnienie ulgi, albo odpędzała się od przedsennych majaków; można było — wytężywszy aż do bólu oczy — zobaczyć jakby ognik świętojańskiego robaczka lampkę oliwną palącą się przy tabernakulum.

Przez podwórko przeleciał nietoperz, jak zeschnięty liść; kilka nietoperzy gnieździło się na strychu, cichą nocą można było usłyszeć ich łopotanie na przemian z chrobotaniem myszy czy grasowaniem pacy, które powoli przenosiły się na zimowe przemieszkanie i coraz częściej dudnił drewniany sufit, aż wydawało się, że za chwilę spadną całą gromadą do pokoju; tylko dziadek i tato nie bali się chodzić na strych po jabłka albo schowaną bańkę z samogonem.

Wszedłeś do mrocznej sieni, nachyliwszy się do wiadra dotknąłeś twarzą wody i pociągnąłeś kilka zimnych łyków, aż zaświdrowało w zębach.

Z kuchennego gwaru przebijał się głos przygłuchego dziadka Stefana, który na wpół ogłuchły powrócił był z lidzkiego więzienia, ale i tak do kołchozu nie wstąpił. Głos dziadzi wznosił się ponad inne głosy, dziadzia śpiewał jakąś piosenkę myląc melodię i gubiąc słowa, i ten śpiew brzmiał jak zagłuszanie bezsilnej skargi czy jęku. Słyszałem jak babci nie udaje się uciszyć tego koncertu na jedno głuche ucho.

Na podwórku ciemność już zatopiła ziemię, ogród, sąsiednią plebanię.

Jutro, jutro... Poprzez chłód ciała tłukły się w tobie słowa, z którymi nie potrafiłeś oswoić się ani zaprzyjaźnić, i coraz większy strach, i coraz głębszy żal, i bezsilna rozpacz, której nie potrafiłeś pojąć ani zrozumieć, ani kogo o to zapytać. Coś ściskało w gardle jakby utkwił w nim sopel lodu z zeszłej zimy, oczy stawały się ciężkie ale nie od zapatrzenia się na kilka gwiazd na niebie.

Jutro, zautra... coś tłukło się ciężko w środku, jakby Czesiek, Janek, Marynka i Walerka przygniatali ciebie znowu do ziemi jak dwa dni temu nad rzeką.

Wtedy ktoś otworzył drzwi od domu i po krokach poznałeś, że to babcia Malwina.

— Alik, a ty gdzie, czas do domu — zawołała.

I wtedy pękło wszystko, gwiazdy nagle rozbłysły w oczach i zapiekły, jakby zamieniły się w kawałki szkła z rozbitej o kamień butelki, chłód zamienił się w gorący pot i z tego ściśniętego do zadławienia gardła wyrwało się to, co dawno chciałeś im wszystkim powiedzieć, wykrzyczeć, wytupać swym dziecinnym buntem, lecz tylko cicho zaskomlałeś przez to gardło zbolałe — Babcia, babuszka, ja nie chaczu u Polszczu!, ja nie chaczu, nie chaczu!... — i wtuliłeś się w babciny fartuch pachnący tłuszczem — jakby to ona była maszynistą jutrzejszego pociągu, jakby to ona i tylko ona mogła i potrafiła zmienić to wszystko.

Twój płacz usłyszeli w kuchni, ojciec wybiegł na podwórko.

— Co się stało? — zapytał i wziąwszy mnie na ręce poniósł ku otwartym drzwiom.

Staliśmy w kuchni zapłakani, babcia i ja. Szloch nie pozwalał wypowiedzieć żadnego słowa, wszyscy patrzyli na nas, już mama zaczęła rąbkiem fartucha wycierać oczy, pan Szabatowicz wyciągnął rękę z cukierkiem — Nu, bierz, skosztuj, z Lidy przywiozłem — a ten cukierek na jego wielkiej i spękanej dłoni wyglądał jak biedronka.

Dziadek podniósł na nas opadającą ciągle głowę — Dzietki, szto stałoś, czaho ty dzietka płaczesz? — i z ust pociekła mu ślina.

Tuliłem się do babci Malwiny, ale i ona nie potrafiła w niczym pomóc.

Dziadzia otworzył usta i znowu zabrzmiała ta dziwna, popękana pieśń.

— Ścichnij stary, zdurieł at wodki....

A ja chciałem, żeby dziadek nie przestawał śpiewać, żeby śpiewał jeszcze głośniej i żeby od tego śpiewu pękł cały świat, wszystkie pociągi i ta Polszcza, do której jutro mieliśmy jechać. Lecz dziadek urwał nagle i głowa opadła mu na piersi. Zrobiło się cicho i wtedy tato rozlał do szklanek samogonu.

— Nu, za zdarowie... Nie płacz — powiedział takim głosem, jakby mu szklanka ugrzęzła w ustach.

Dziadek chrapał przy stole. Mężczyźni przełknęli wódkę, ułamali po kawałku blina i umaczali go w topionych skwarkach z cebulą, nadgryźli kiszonego ogórka.

Tato z wujkiem Wackiem podnieśli dziadka z krzesła i wyprowadzili z kuchni.

Usłyszałem spadające w sadzie jabłko.

Zza drzwi pokoju dochodziło już dziadkowe chrapanie, wznoszące się i urywane nagle, jak pieśń, której nie pozwolono mu do końca zawodzić.

●

Miał wtedy trzydzieści pięć lat...

Tak mógłby się zaczynać jakiś epos albo elegia. Ale to nie będzie żadna pieśń patosu, bohaterskich czynów, ponadludzkich wysiłków. Być może będzie to zaledwie muśnięcie czyjegoś losu — ani dobrego ani fatalnego, choć kto może wiedzieć, czy był

ten los dobry czy fatalny, czy trochę taki i trochę taki...

Tamtej jesieni miałeś tyle lat, co ja teraz, gdy pochylam się nad brulionem i usiłuję wrócić wraz z Tobą do tamtych miejsc, na nasze podwórko, na którym już szczeka inny pies, pod nasz dom, przy którym już nie ma tamtego krzaka jaśminu, pod tamto niebo, właśnie wtedy, tamtego września, na ulice Lidy i peron lidzkiego dworca, do tamtego pociągu z innymi przesiedleńcami...

Nie zdążyłeś już Tam pojechać.

Któregoś dnia poczułem, że muszę z Tobą porozmawiać, lecz jedyną formą rozmowy może być ten list pisany w zaświaty, żebyś to przejrzał raz jeszcze i poprawił.

Nie potrafię do końca tego wytłumaczyć, ale wiedziałem, że jeżeli nie wyduszę z siebie tej przesiedleńczej opowieści, to moje życie nie będzie do końca pełne, że będzie w nim jakiś cień, jakaś nie do końca załatwiona sprawa.

Tym ciężej mi pisać. Bo Ty chyba najlepiej pamiętasz i wiesz.

Kiedy umarłeś, Twoja mała wnuczka powiedziała: — Dziadziuś jest w niebie i tam szyje na swojej maszynie... Dlatego odłóż na chwilę te szpulki z nićmi, naparstek, podszewkę i spróbuj coś dopowiedzieć.

Mamy obaj po trzydzieści pięć lat.

Obok stołu, przy którym piszę stoi tamta brązowa, teraz już podniszczona i z wytartymi okuciami, podróżna walizka...

●

Było cicho. Wrześniowe słońce wchodzi przez okno, za którym żółci się klon. Zadzwonił dwonek w pobliskiej szkole, coś na strychu stuknęło.

A może nie jedziemy? Może ktoś przyszedł i powiedział, że jechać nie trzeba? Może tatko jak co dzień poszedł do Lidy do zakładu szyć bure wojskowe szynele, babcia kopie kartofle w kołchozie, a mama wyszła na chwilę do sklepu po sól i o cukierku może nie zapomni?

Może jest tak jak każdego poprzedniego dnia po przebudzeniu?

Zapiał kogut. Dzieci na szkolnym podwórku ganiają się w berka i jest tam z nimi Marynka, już nogę, którą włożyła w szprychy rowerowego koła, i ta noga zrobiła się tak sina jak rzeka kiedy nadchodzi burza, ma zdrową, już biega z jedną opadającą zawsze pończochą.

Wtedy, gdy już głowę uniesiesz znad poduszki, zobaczysz to, co łzami stanie w oczach, jakby wpadł w nie piasek poderwany gwałtownym podmuchem wiatru, co zapiecze w gardle piołunową goryczą, co zamgli słoneczną promienność za oknem, zagłuszy krzyk dzieci na szkolnym podwórku, co raptownym skurczem jak prąd albo piorun przeleci przez ciało, jak zimna fala zmrozi. Wtedy opadniesz z powrotem na poduszkę i nie będziesz chciał otworzyć ciężkich powiek i przydusi cię to, co zobaczyłeś, ten widok straszny i jak dla dziecka za okrutny; i nie pomyślisz ani nie wmówisz sobie, że to jeszcze sen albo przywidzenie.

Bo zobaczyłeś piętrzące się w kącie pokoju, tuż przy piecu, na którym sypiał dziadek, przygotowane na drogę toboły:

ojca maszynę do szycia zawiniętą w pomarańczową, lnianą kapę utkaną przez babcię, brązową walizkę, o którą stoi oparty obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, wiklinowy kosz, związaną pierzynę.

Ta, zawsze smutna Matka Boska Ostrobramska, jeszcze jakby smutniejsza, jakby i jej nie bardzo chciało się w podróż, jakby i jej nie spieszyło się do tej Polszczy; przecież jej tutaj było jak było: dobrze i źle, chłodno i ciepło, smutno i śpiewnie, wystawiana w oknie w asyście zapalonej gromnicy chroniła przed letnimi burzami, wysłuchiwała babcinych modlitw i dziadkowych łajań na Ruskich, pomagała swoją obecnością i chroniła — a teraz stoi oparta o walizkę i czeka na znak odjazdu, kroku nie może zrobić w żadną stronę, patrzy w to bielejące miejsce na ścianie, które zostawiła po sobie, na której jeszcze pozostał cień jej tajemniczego uśmiechu, jakby wiedziała już o wszystkim, co nas czeka i spotka — tatę, mamę, mnie, to coś rosnące z każdym dniem w brzuchu mamy, babcię, dziadka, ciotki i wujków, całą ziemię i wszystkich na niej, i jakby z tego przerażenia przyszłością jej oczy były ciągle przymknięte, jakby bała się tych oddalonych jeszcze przed nami widoków i dni, jakby znała każdy przyszły ślad naszej drogi, każdy kamień, o który się będziemy potykali, każdą łzę, która opadnie z naszych oczu, każdy cień i każdy blask, każdą kroplę potu, wszystkie przeczucia i raptowne olśnienia.

To i ciebie też zabierają, chociaż nie chcesz nigdzie jechać, i powiozą ciebie tam, gdzie nie wiesz jakie jest niebo, jakie ptaki siadają na tamtych drzewach albo latają nad domami, może i żadnych ptaków tam nie ma i drzew nie ma, i nie usłyszysz szelestu kołysanych wiatrem liści tak jak naszego tutaj kloniku, ciebie też wiozą bez pytania czy chcesz jechać czy nie chcesz... Polszcza, Polska... Źle ci tu było — na tej ścianie, w tym pokoju? Przecież latem pobielili ściany, to tak samo jakby wybudowali ci nową kapliczkę, a teraz w kąt postawili obok podróżnych bagaży, i straszy tylko w ścianie zardzewiały gwóźdź po tobie. A może schowajmy się gdzieś, gdzie nas nie znajdą i pojadą bez nas, jeżeli tak bardzo chce im się jechać?

BIBLIOTEKA BN NARODOWA

Ale gdzie się mamy schować, by długo nas szukali i nie znaleźli, no gdzie? W nocy może byłoby łatwiej, ale w dzień, kiedy ktoś może być w pobliżu... Matka Boska nie odzywała się, nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy promień słońca za mocno otarł się o jej twarz, nawet nie zasłoniła oczu ręką, nie zakryła twarzy chustą.

A może nie zdążyli się jeszcze rozpakować, kiedy przyszła ta wiadomość, że jechać już nie trzeba, albo nie ma po co, bo nie ma już tej Polszczy tam gdzie była, że wczoraj albo pozawczoraj stało się coś, że Polszczy już nie ma? Może pojechali do drugich dziadków do Pusiawor, żeby powiedzieć, że wyjazd odłożony, że nie jedziemy, że zawiadomienie przyniósł listowy, że zabrakło w Polszczy już dla nas miejsca?

Nasłuchiwałem jakiegoś głosu domowych, wyczekiwałem kogoś, kto powie, że jednak zostajemy, że nie zostawimy tu samych babci i dziadka, psa Cygana, że przedwczesne były te pakowania, pożegnania, płacze, i szafę trzeba będzie przynieść z powrotem.

Podstawiłem krzesło pod ścianę, wziąłem Matkę Boską Ostrobramską na ręce, z obrazu wyglądała taka lekka i krucha, a teraz sporo wysiłku kosztowało mnie podniesienie jej do góry i zawieszenie z powrotem na pordzewiałym gwoździu, którego zapomnieli wyjąć ze ściany i zabrać.

I zawisła Ostrobramska na swoim dawnym miejscu, już to słońce nie razi jej w oczy, wisi na swojej ścianie, a nie w kącie postawiona jak za nieposłuszeństwo, i chyba nawet, tak — chyba się uśmiechnęła pierwszy raz od kiedy ją znam.

●

A dzikie gęsi fruną opadając z sił.

●

Przy stole, na poręczy krzesła mój podróżny strój — niebieski, marynarski mundurek z dużym kołnierzem z białymi paskami, jakbyśmy i morzem jeszcze mieli płynąć do tej Polszczy...

Przez kilka popołudni tato siedział przy maszynie i szył ten paradny strój. Włożył w niego dużo serca i złości; kiedy mu nie szło tak jak trzeba — śpiewał. Głos miał mocny i czysty jak bicie dzwonów zatopionych w rzece, porywający jak gorący wiatr na stepie, zimny jak Sybir z jego pieśni. Śpiewał pieśni kościelne, czastuszki, smutne piosenki, które czasami rwały się w jego zaśpiewie, jak łkanie czasami był ten śpiew, jak wycie zagubionego w nocy wilka, wtedy jeszcze przyciskał pedały swojego

„Singera" i w tym momencie powstawał chór na dwa głosy, które były jak jeden, jak dwie złączone ręce, które nie mogą się pożegnać, jak para zakochanych szpaków w krzaku jaśminu, jak miłość i śmierć, aż dom dudnił od tego śpiewania, aż babcia stawała na progu i stała zasłuchana. Śpiewali razem — tatko i jego maszyna do szycia, spod której wychodził mój podróżny strój, i płynął ten śpiew przez uchylone okno, poprzez piaszczystą drogę i kołchozowe pola, poprzez lasy i Lidę, nie kończył się ani nigdzie nie urywał; ta maszyna wtórująca ojcu jak harmonia albo bałałajka w niedzielne popołudnie, kiedy mężczyźni schodzili się do sadu.

Ile tych pieśni i tego zawodzenia pochłonął ten marynarski mundurek dla pięcioletniego podróżnika, a każda fastryga, każdy szew i każdy kant był dopieszczony igłą, żelazkiem na drzewny węgiel i śpiewem...

Ale od paru dni ojciec już nie zasiadał przy maszynie codziennie — jeszcze tylko uszył dziadkowi czapkę na zimę, żeby mu dobrze chroniła uszy, i któregoś dnia zaczęli z wujkiem Wackiem rozkręcać maszynę, czyścili ją, smarowali i składali w lnianą kapę tkaną przez babcię w długie białoruskie wieczory. I spoczęła maszyna w kącie pokoju, leżała najpierw sama, potem zaczęło jej przybywać towarzyszy podróży. Już nie śpiewała i ojciec przestał śpiewać, chodził zamyślony, składał wykroje, zwijał nici, zbierał do blaszanego pudełka naparstki, centymetr, krawieckie mydło, ogryzki ołówków, którymi zapisywał wymiary — to też zabierał do Polszczy, o której sam niewiele wiedział, gdzie ona jest i co trzeba tam zabrać, żeby było jak w domu. Babcia z przyzwyczajenia stawała w progu, ale nie doczekawszy się śpiewu, wracała do swoich garnków i fajerek.

Liście na drzewach powoli zbierają się do opadania, choć słońce jeszcze jakby nie myślało o zbliżających się chłodach i śniegach, które już gdzieś powoli szykują się w gościnę tutaj. Rozkrzyczały się kawki w kominie, babie lato płynie nad podwórkiem jak wspomnienie przelatującego wczoraj nietoperza, tego dziwnego stworzenia, ni to ptaka, ni to myszy, a przed którym z piskiem chowają dziewczyny włosy. Pod okapem czernią się opuszczone gniazda jaskółcze.

Idzie babcia Malwina od studni z koromysłami na ramionach, woda wylewa się z wiader.

Poznaję sukienkę mamy, idącej z blachą drożdżowego ciasta do pani Malinowskiej. Kulawy Wincuk przeszedł i ukłonił się jej, ale dzisiaj nie zaśpiewał — „U Malwiny cycki z hliny..."

Babcia dostrzegła mnie stojącego na ganku, zatrzymała się przygięta dwoma wiadrami wody.

— Wstał już nasz kawaler... — powiedziała smutno i ciężko, jak gdyby cały dom trzymała na tych koromysłach. —

Jedziesz już dzisiaj, odjeżdżasz... — i raptownie odwróciła się, aż woda zabulgotała w wiadrach i rozlała się jej po nogach.

Kot odsypiał na płocie w słońcu nocne polowania, jakby pilnował glinianych dzbanów wbitych na sztachety. Kot z nami nie pojedzie, nie zabierzemy i Cygana, który teraz ściga zabłąkaną pchłę na swoim futrze.

I ptaki tu zostaną albo odlecą na zimę, by wiosną znowu tutaj powrócić. I drzewa zostaną, płot, kościółek, rzeka i niebo. Zostanie wszystko na swoim miejscu — babcia, dziadek, siwy ksiądz, listonosz, głupi Antośka, jabłka w sadzie i słoiki z marmoladą śliwkową. I ryby obłożone tatarakiem, które ojciec Marynki będzie przynosił w koszu. I śniegowy bałwan z marchewkowym nosem, którego ulepią zimą na szkolnym boisku. I krowa zostanie, i konie, i kartofle w kołchozie. I naczalnik, z którym dziadek kłócił się po rosyjsku i kacapem nazywał, i pluł za nim śliną brązową od machorki.

I słońce tutaj zostanie i nie odjadą nigdzie wszystkie pory roku. I księżyc, który sprowadza na ziemię sny i upiory. Opadające liście wrócą wiosną na te same drzewa. Zostaną jarzębiny i głogi, polne kamienie i pacy na strychu. Ciepłe wieczorne mleko i chleb z cukrem położony przy glinianym kubku kupionym na rynku w Ejszyszkach, gdzie tato sprzedawał szyte przez siebie czapki. Mąka na bliny i słonina do ich polewania. Letnie burze i pachnące zioła. I kawałek szkła z rozbitej butelki w trawie. I dzwon kościelny, co przywoływał na majowe nabożeństwo i roraty; dopóki nie zamilknie któregoś roku. I gryząca w oczy i gardło machorka dziadka, zawijana w skrawek gazety. Wszystko, wszystko zostanie na swoim miejscu i w swoim porządku, pod strażą ziemskich i niebiańskich gwiazd zawieszonych na tym niebie, zatopionych w tym błocie, bo też zostaną tutaj i niebo i błoto — wypatrzone tyloma nieobecnymi oczami, wypatrywane już z innej dali, zza innego horyzontu, i to błoto, w którym zagubią się nasze ślady, ścieżki i łzy, aż wszystko połączy się w jedno, złączy się niebo z błotem i pochłonie gwiazdy, które nie potrafiły obronić ani zatrzymać.

To już dzisiaj, niedługo... Słychać te słowa w każdym liściu i promieniu wrześniowego słońca, w odblasku kościelnego witraża, w niebieskich oczach mamy, w sierści kota wygrzewającego się między dzbanami i misami, w klangorze dzikich gęsi, które przed chwilą przeleciały nad domem i podwórkiem, w tym śpiewie, którym je odprowadzałem na zimową wędrówkę —

Oj wy husi daswidanija
Prilietajcie knam apiat'...

Z listu babci Malwiny, czerwiec 1988 rok:

Napisa Ci co była za Radosc ónas na Swenta tróica była welka órocystosc za dwadzesca osim lat była órocystosc s ksendzam była otprawona i dzwony za dzwonili z radosci lódza płakali i wysła procasyia óborane na bało dzieci skolne brali ódział wprocesyi pses cały tydzen kobety spsontali koscoł myli chorongwi cyscili ołtażyki malowali ołtaże byli óstawone flakony stali kryształy to było penknosc taksówkami byli drogi óstawone jak za polskich casów tylko zdjenca robili Wacak pojechał do grodna i starał o pozwolena dóżo poswencił dla koscoła i pracował pses cały tydzan.

Dziadek wyszedł ze stodoły, popatrzył w niebo i splunął. W jednej ręce trzymał zawieszonego głową do ziemi koguta. Wyrywał się ten kogut wydając błagalne bulgoty, bo już zobaczył w drugiej ręce dziadka błyszczące ostrze siekiery. Trzepocząc usiłował wywinąć się tak, by swoim mocnym dziobem ucapić dziadka w rękę. Ale dziadek miał mocne ręce i jeszcze silniej ścisnął nogi ptaka; nie do pańskiego życia te ręce były, wyćwiczył je waleniem w drzwi i ściany lidzkiego więzienia, cała nienawiść w tych rękach twardych i szorstkich jak ściernisko, przeżartych solą deszczu i biedy. Nie miał szans nasz kolorowy paniczyk. Nie pomagały mu też swoim gdakaniem kury, które zbiegły się z różnych zakamarków podwórza, narobiły hałasu aż po koniec wioski. A dziadek szedł przez podwórze z kogutem i siekierą w rękach mrucząc pod nosem, prowadząc za sobą rozpaczliwy kurzy orszak do miejsca stracenia pachnącego świeżym drzewem i trocinami. Kogut już musiał widzieć ten niewielki pieniek, ale jeszcze w żaden sposób nie potrafił zobaczyć leżącej na nim swojej głowy, a potem osuwającej się, spadającej z niego z ostatnim urwanym pieniem, charkotem przerąbanych strun głosowych, na których tak pięknie co rano wygrywał.

Już coraz bliżej był ten pieniek i coraz dalej był jakiś cud, który odwróciłby tę straszną chwilę. Kury zamarły z przerażenia i żalu, a dziadek, jeszcze lekko chwiejąc się po wczorajszym samogonie, szedł na miejsce egzekucji.

Pies podniósł łeb i popatrzył za nimi. Choć nie lubili się za bardzo ze sobą, to teraz zrobiło mu się żal tego złośliwego pietucha, ogon opuścił, jak człowiek zdejmujący czapkę przed konduktem, zimny dreszcz wstrząsnął jego sierścią.

Dziadek oparł siekierę o pieniek i całe słońce zagrało na jej ostrzu na pożegnanie, przełożył koguta do lewej ręki, pstryknął w spadający na oczy daszek czapki, podniósł koguta już i tak prawie nieżywego ze strachu i położył na pieńku.

Kury zbite w jedną gromadę przesuwały się z lewej na prawą

stronę, z prawej na lewą, jakby chciały wszystko dobrze widzieć i zapamiętać, żeby kiedyś odwdzięczyć się dziadkowi nie znosząc jajek, by nie mógł ich wymienić na śmierdzącą machorkę.

W tej jednej chwili ucichło wszystko, aż zabolała ta cisza. Biedny kogut lekko próbował unieść łeb leżący na pieńku, już mgłą poczęły zachodzić jego oczy, już czuł chłód zbliżającego się metalu, który spoczywał w prawej ręce oprawcy, słyszał żałobną ciszę odprowadzających go w ostatniej drodze kur, które struchlałe stały w bezpiecznej odległości od złowieszczego ostrza, szeroko otwierał dziób i łowił nim ostatnie zapachy swojego życia — słodkość żywicy i gnijących jabłek.

I wtedy zdobył się na coś, co wprawiło w zdumienie kury, psa, kot otworzył oczy i spojrzał w tamtą stronę, nawet kawki zatrzepotały skrzydłami na kominie, ucichł klangor.

Kogut zapiał! Zdobył się na ostatni gest protestu albo pożegnania. Zapiał tak jak jeszcze nigdy dotąd, jakby przez całe swoje kogucie życie przygotowywał się do tego ostatniego piania: może wierzył, że maestrią swojego śpiewu, której nie powstydziłby się żaden inny kogut w całej nowogródzkiej obłasti, skruszy twarde ręce i serce dziadka Stefana i siekiera nie odbierze mu głowy?

Zapiał po raz drugi — Kukurrr... — i urwało się.

Trzepot skrzydeł oszalałego z bólu ptaka wzniósł tumany trocinowego pyłu, krew tryskała na wszystkie strony, a dziadek, który przez całe swoje życie nie lubił widoku krwi, puścił koguta z obrzydzeniem i zaczął strzepywać kropelki rozbryzgłej krwi z nogawek spodni.

Lecz nie był to jeszcze koniec cudów owego dnia. Stała się bowiem rzecz nieoczekiwana: kogut, leżący już bez głowy obok pieńka, wstrząsany śmiertelnymi drgawkami, bijący nogami i końcami skrzydeł o ziemię, poderwał się i zataczając się pobiegł przed siebie, obumierającymi skrzydłami rozganiając powietrze. Zdrętwiałe kury zaczęły gdakać, co jeszcze bardziej wprawiło koguta w trans. Biegł naprzód — przez podwórko, minął budę Cygana, aż pies zaskomlał, jakby śmierć przeszła po jego sierści.

A kogut ni to biegł, ni to płynął, zataczając się jak dziadek po żytnim samogonie. Gdakanie kur przeszło w hymn na cześć śmierci albo zmartwychwstania.

Otumaniony tym nieprzewidzianym zdarzeniem dziadek głośno zaklął i chwycił za siekierę ociekającą jeszcze ciepłą krwią koguta, jakby nią nie kogutowi, ale słońcu obciął szyję. Rzucił się w pogoń za rozszalałym ptakiem, który bryzgając krwią ze sterczącego kikuta, który był kiedyś jego piękną szyją i instrumentem, w asyście swoich kur jak żałobnych płaczek albo weselnych druhen, biegł przez podwórko, i chyba słysząc posapywanie biegnącego za nim dziadka z piekielnym ostrzem siekiery w ręku — wskoczył na płot.

Krew z jego szyi skapywała na białe płótno do cedzenia mleka z wieczornego dojenia.

Chwiejąc się stał na sztachetach i gdy już ręka dziadka miała dosięgnąć jego tęczowych piór i z powrotem powalić na ziemię, wtedy wzbił się w powietrze, jakby to powietrze przyjęło go w obronę, pomogło unieść i wznosić się coraz wyżej i dalej od siekiery, dziadkowych przekleństw, rozpaczających kur.

Odpływał jak zakrwawiowy strzęp obłoku ku klonom tracącym liście, ku następnemu kluczowi dzikich gęsi albo żurawi.

Odlatywał nasz rosół na ostatni obiad w tym domu, stawał się malejącą kropką w powietrzu, nutą w zapomnianej z latami białoruskiej pieśni, jedną nieobeschłą łzą, plamką błota albo krwi na babcinym fartuchu, aż zniknął, rozpłynął się, i może kiedyś, gdy nas już tam nie będzie, jak jakiś duch albo zły sen zaskrobocze w futrynę okna zimową porą, może wraz z mroźnym wiatrem wleci na chwilę przez komin i zobaczy, że kogoś tutaj już od dawna nie ma... Może jego pianie obudzi któregoś ranka w innym miejscu i pod innym niebem?

— A job twaju krou mać, swołacz ty praklataja — zawył dziadek, grożąc ręką z uniesioną do góry siekierą i długo, coraz bardziej zrezygnowany, patrzył w pustą przestrzeń, ale nic już nie widział. Odwrócił się pokonany, a może z nadzieją, że kogut już martwy i ostygły leży obok zakrwawionego pieńka, miejsca straszliwej zbrodni tego wrześniowego dnia 1957 roku, cudownego zwycięstwa nad śmiercią i upokarzającej klęski dziadka Stefana.

●

— Alik! Alik! — ktoś ciepłym i miękkim głosem wołał mnie od ogrodu. Odwróciłem się w tamtą stronę, w którą niedawno odleciał nasz wniebowzięty kogut, i przysłaniając oczy ręką, żeby odpędzić od siebie oślepiające promienie słońca, zobaczyłem stojącą przy płocie Panienkę od księdza. W uśmiechu odsłoniła swoje białe zęby.

— A podejdź tutaj, coś dam... — przywołała.

Pchnąłem furtkę do ogrodu patrząc pod nogi, czy nie ma tam czasami jakiegoś małego kawałka grubego szkła, o który na wiosnę tak mocno rozciąłem nogę, i ostrożnie postąpiłem naprzód wśród łopianów, wysokich badyli z przekwitającym koprem, między nadjedzonymi przez gąsienice główkami kapusty, zwiędłymi malwami, resztkami stracha na wróble. Pośrodku ogrodu stał dumnie wyprostowany ostatni słonecznik jak słońce, które tego dnia zeszło na ziemię.

W sadzie przy plebanii wisiała wyprana pościel, komża, koszule i kolorowe wstążki, którymi Panienka przewiązywała włosy. Pusty kosz do bielizny stał pod jabłonią.

Podchodziłem nieśmiało do Panienki, która pewnie musiała widzieć, co wyczynił nasz kogut z dziadkiem i może po to mnie zawołała, żeby upewnić się, czy jej się czasami nie przywidziało.

Wszyscy bardzo lubiliśmy Panienkę, chociaż nikt nie wiedział jak ma na imię ani skąd się wzięła na plebanii; była, jak mówili, siostrzenicą księdza, która cudem ocalała, gdy rozstrzelano pod koniec wojny całą jej rodzinę za pomoc udzielaną polskim partyzantom. Ksiądz długo jej szukał, aż przywiózł ją któregoś dnia — dziewczynę o smutnych oczach, z grubym warkoczem, ciągle uśmiechniętą, chociaż czasami nagle zasmuconą albo zamyśloną, jakby wtedy przychodziła najstraszniejsza pamięć, czasami jej głos dochodził na nasze podwórko gdy śpiewała piorąc lub pieląc w ogródku. Dużą pomocą była dla naszego siwiuteńkiego i starego księdza ta dziewczyna jakby z ikony albo zapomnianych legend; trzydzieści lat później trzęsąc się ze wzruszenia i zimna, z sercem łomoczącym w klatce piersiowej, zapalałem na jej skromnym grobie w Święto Zmarłych różowy znicz przywieziony z Polski; dawna plebania była pomalowanym na pomarańczowo budynkiem sielsowietu.

— Bierz, to od księdza, na drogę — powiedziała podając mi przez płot nieduże pudełko. — Odkryj i zobacz — powiedziała swoim smutnym głosem.

W pudełku leżały kolorowe klocki: niebieskie, czerwone i żółte.

— Zabierzesz tam do siebie... — powiodła ręką w kierunku gdzie płynęła rzeka, a przecież za rzeką nie było Polszczy, był tylko las, a mnie te klocki raptownie zaciążyły w rękach, jakbym trzymał stupudowy kamień, i nie potrafiąc ucieszyć się z tego kolorowego prezentu, zamknąłem szybko pudełko, które znowu stało się lekkie.

— Krasiwyje — powiedziałem, a ona pogłaskała mnie po głowie, a może przeżegnała szybko znakiem krzyża i oddaliła się spiesznie w głąb ogrodu.

Wracałem z powrotem przez ogród patrząc pod nogi, by nie natrafić przypadkiem na ropuchę wychodzącą spod liści łopianu. Ściskałem w rękach to pudełko z klockami, które miałem zabrać ze sobą, z tym żalem, że tutaj nie mogę się nimi bawić, a tylko tam, w Polszczy, czemu nie mogę zawołać Wincukowego Janka, który biegnie właśnie za fajerką na drucie, by układać z nim dom, szkołę, sklep z kamieniami zamiast cukierków i patyków zamiast papierosów.

A dziadek chodził po podwórku i klął. Nie mógł znaleźć

sobie miejsca ten pechowy pogromca koguta. Dobrze, że nie pojawił się przypadkiem na drodze naczalnik sielsowietu, któremu dziadek nie pozwolił nigdy przejść spokojnie, o, to byłoby najlepsze lekarstwo na jego nerwy i utrapienia, gdyby mógł całą złość przelać na tego ponurego mężczyznę w wojskowych spodniach i zawsze długich butach. A tak musiał dziadek mówić do kogoś niewidzialnego i nawet Cygan przestraszony nie wystawiał łba ze swojej budy, znał dobrze siłę i nieobliczalność dziadkowej złości. Może gdyby tak pół szklanki samogonu, ale trzeba byłoby przyjść do domu i stanąć oko w oko z babcią Malwiną.

●

Kiedy zegar uderzył dwa razy, nagle wszystkim zaczęło się spieszyć.

Mama już była ubrana w swój szary kostium, a mnie myliły się ciągle nogawki marynarskich spodenek.

Pod oknem tatko — już w spodniach od niedzielnego garnituru, ale jeszcze w podkoszulku — kończył golenie.

Na podłodze leżały moje stare połatane spodenki, skręcone podkolanówki niezliczoną ilość razy cerowane przez babcię, sandałki; to miało zostać tutaj, jak stara skóra, a w tej nowej skórze, którą teraz na mnie nakładali, miałem jechać Tam i zapomnieć o tej dotychczasowej, wysmaganej tutejszym słońcem, deszczami i śniegiem stąd, kamieniami, na których rozbijałem kolana, płotami, na których rozrywałem spodnie, wszystko zostawało tutaj już niepotrzebne, zbyteczne, niewarte pamiętania.

Mamie trzęsły się ręce, gdy wygładzała na mnie ubranko.

Usłyszeliśmy skrzypienie furtki.

— Hlań, Michał — pokazała ręką okno i zanosząc się płaczem wybiegła z pokoju.

Ojciec wytarł ręcznikiem resztki mydła z twarzy, szybko założył koszulę i wyszedł do sieni, z której dochodził gwar i płacz, wszyscy mówili naraz i wszyscy płakali naraz, aż i mnie zakręciło się w oczach, coś zapiekło w gardle i nawet nadaremna była pomoc Pani Ostrobramskiej, którą znowu zdjęto ze ściany i owiniętą w płótno jak niemowlę położono na naszych bagażach.

— Jania, a gdzie podział sia Alik? — słyszałem jak dziadzia Ludwik pytał w kuchni, gdzie babcia usadzała wszystkich za stołem.

Przez podwórze szli ubrani jak do kościoła państwo Romanowscy i zaraz z ich wejściem do domu znowu podniósł się płacz i przekrzykiwania.

Stałem pośrodku opustoszałego pokoju, z okna były już zdjęte firanki i zasłonki, tylko pelargonia i asparagus zostały na

parapecie. Nie miałem odwagi wejść w kuchenny gwar, pełen zapachów i ocieranych łez, i złość mnie naszła, że zapomnieli o mnie i nawet nie usłyszałem, żeby ktoś dziadkowi odpowiedział na jego pytanie — a gdzież Alik?

Stałem z jedną opuszczoną szelką, zimno ciągnęło po bosych nogach od podłogi z łuszczącą się brązową farbą. Chyba spod łóżka albo spod pieca wyszedł kot i przeszedł ocierając się o moje nogi, i miłe ciepło na krótko poczułem, zakręcił się raz i drugi wokół mnie coś tam mrucząc, może słowa otuchy albo jakiejś przestrogi na przyszłość.

Skrzypiącym wozem wjechali na podwórko z wujkiem Wackiem. Koń nerwowo przebierał nogami i potrząsał łbem, złoszcząc się na ujadającego Cygana. Dziadek wyszedł do nich i zaczęli zdejmować z wozu wielką skrzynię.

— Prr, prr — pokrzykiwali na kręcącego się konia.

Słyszałem, jak w sieni mocowali się przy wejściu, wreszcie otworzyli drzwi i sapiąc wnieśli do pokoju skrzynię. Wytarli o nogawki spodni ręce. W pokoju zapachniało nagrzaną słońcem żywicą i mokrą trawą.

Zaraz za nim wszedł tatko, już zarumieniony na policzkach, ale oczy miał zgaszone, jakby poruszał się po omacku.

— Nu, dawaj Miszka — powiedział wujek Wacek. — At czaho zaczniom? Dawaj maszynu...

Ale tatko podszedł do mojego żelaznego łóżeczka i zaczął odkręcać oparcia. Wujek powoli przenosił je i układał w skrzyni tak wielkiej, że mógłby się pomieścić w niej nasz cały dom. Potem włożono pierzynę, kołdrę, poduszki, sanki, ubrania, moje walonki, część maszyny do szycia. Rozglądali się, co by tu jeszcze dołożyć, bo miejsca jeszcze sporo zostało.

— Patom dabawim, hadzi wypiem — powiedział tato. — A ty abuwajsia i pryhadzi — powiedział do mnie, zostawiając niedomknięte drzwi do kuchni.

Dziadek zawrócił jeszcze od drzwi, zdjął z pieca sierp, przetarł go rękawem marynarki i delikatnie włożył do skrzyni.

Za bańką z samogonem, którą też zabieraliśmy, znalazłem swój drugi trzewiczek, wyczyszczony przez dziadka z wszystkiego kurzu i błota; pociągniętego dla połysku skórką od słoniny, siedząc na brzeżku skrzyni wciągałem go na bosą nogę. Wiedziałem, że w końcu muszę tam wejść, przejść przez próg, przywitać się z gośćmi i przy nich usiąść, przecież ja też odjeżdżam... I jeść już chciałem, kruczało mi w brzuchu, choć dobrze nie wiedziałem, czy to z głodu, czy ze strachu.

Tam w kuchni po raz kolejny — za zdarowije! — wykrzyknęli i zaraz — uuuch! — rozlegało się wraz z odstawianiem szklanek.

Boża krówka z mozołem wspinała się po opustoszałym oknie.

●

Deszcz walił z wściekłością o ścianę domu i z każdym jego uderzeniem chłód przez niewidoczne szpary przechodził przez ubranie, ocierał się z piskiem o niewielką szybę, jakby dopraszał się poczęstunku albo zaganiał do snu.

A wraz z deszczem wiatr hulał po sadzie, aż jęczały szarpane gałęzie z resztkami liści i późnych jabłek. I on też dopraszał się do stołu, a z każdym jego mocniejszym podmuchem mrugała żarówka na niskim, okopconym suficie.

Bo i pora była wyjątkowa, i pechowym zbiegiem losu czy też okoliczności wybrana, jakby specjalnie w środku trasy wydarzyła się katastrofa kolejowa, i dzień później przekroczyłem granicę, by zawitać na tę właśnie lekko popółnocną porę, z piątku na sobotę, na sam początek Święta Zmarłych.

Duchy umarłych pod postacią szaleństw natury — deszczu i wiatru — zaczęły się w tym czasie przemieszczać wśród swoich dawnych miejsc, wyjąc nieprzytomnie tam, gdzie zastawali puste miejsce w domu albo dom zapadający się w ziemię, z oknami zabitymi na krzyż, spróchniałymi deskami, z podziurawioną strzechą, tuląc się do ścian sąsiednich domów, gdzie jeszcze migotało światło albo sączyła się z wygasającego pieca nitka dymu w kominie; skucząc w rozpaczy i bezdomności dobijali się do okien, łomotali w drzwi, ucichali tylko na chwilę, jakby na nowo zbierali siły, by wrócić na powrót z głuchym, bezradnym łoskotem, już może tylko po to, by dopomnieć się o należną pamięć albo odpuszczenie grzechów.

Powoli, jakby do końca nie wierząc, oswajałem się z tym miejscem, do którego wreszcie trafiłem: z tej kuchni, przez tę sień wtedy wychodziliśmy.

Siedziałem przy zastawionym stole. Pachniał koper z kiszonych ogórków, z półmiska snuł się zapach wędzonej po domowemu polędwicy, parował talerz z blinami i pamoczką do nich. Pierwszy łyk żytniego samogonu zapiekł w przełyku niewidocznym ogniem.

Rzeczywiście byłem tutaj — pomiędzy bliskimi i żywymi! Jeszcze ich tutaj zastałem.

Czworo nas siedziało przy stole: babcia Malwina, która już do tego czasu została kilkukrotną prababcią, chrzestna, wujek Wacek.

Lecz jeszcze trochę wcześniej — zanim umyłem ręce i twarz i wycierałem się w trzymany przez babunię biały, lniany ręcznik, i zanim usiadłem blisko okna łudząc się, że w tej ciemności zobaczę jednak jakiś skrawek czegoś, czego wypatrywałem blisko trzydzieści lat — zobaczyłem ich stojących na ganku w świetle słabej żarówki.

Długo przed progiem wycierałem buty z błota, przedłużając moment wejścia i chcąc przeczekać, albo może choć trochę przyzwyczaić się do tego uścisku w gardle, do tego nagłego zamroczenia, do tego łomotu serca jak u wystraszonego ciemnością dziecka.

Staliśmy tak przez kilka chwil, albo i całą wieczność, przed sienią, aż wreszcie przemówiła pierwsza, a radość w jej głosie aż mną zakołysała — Nu, zachodź, witamy! Ot co za gość pojawił się u nas!... I w tym momencie nikt z nas czworga ani nie chciał, ani nie potrafił płaczu i łkania zatrzymać, i staliśmy tak razem w uścisku, jak rozbitkowie, którzy już dawno stracili nadzieję.

Wiatr i deszcz nie ustają w swym szaleństwie.

Tyle słów mamy sobie do powiedzenia i trudno nam mówić.

Babcia co jakiś czas rąbkiem fartucha ociera łzę ciągle płynącą z jej prawego oka.

Chrzestna podsuwa nową porcję jedzenia.

Wujek radzi zakąsić po każdym stakanczyku.

— Oj, maleńkij ty wtedy był, a teraz w drzwi ledwo wszedł — mówi babunia z rąbkiem fartucha przy policzku. — A jak on płakał jak odjeżdżali...

— Nu, dawaj — stuka wujek w moją szklankę.

A mnie przy tym stole spieszno już do końca nocy, do przebudzenia, by zobaczyć jak to wszystko tutaj wygląda, jak tutaj naprawdę jest, czy tak jak przez tyle lat w przedsennych myślach... Spieszyłem się do tych widoków, do posmakowania powietrza, zobaczenia tutejszych ludzi, posłuchania mowy. To pierwsze po latach widzenie, to jakby powtórne narodziny, a i kąt każdy w mieszkaniu obejść należy — obejrzeć pieczkę, na której spał dziadek, wyjrzeć przez okno, po którym tamtego dnia mogła iść boża krówka, wejść do ogrodu, podnieść jabłko w sadzie, popatrzeć na komin na dachu... Może wtedy naprawdę uwierzę, że przekroczyłem próg tego domu, o który tyle razy potykałem się.

Kiedy posnęły już babcia i ciotia, a my z wujkiem toczyliśmy Polaków nocne rozmowy (a skąd ty, powiedz, o Surkontach słyszał, w szkole uczyli?, koniem podjedziem kiedyś, to stąd niedaleko...) i w pewnym momencie obaj, odczuwszy wiadomą potrzebę, wyszliśmy przed dom, gdzie wiatr jakby zacichł i deszcz już tylko lekko siąpił. Po zrobieniu kilku kroków w stronę płotu poczułem, że coś nie tak, że może już za dużo tego samogonu, za duże zmęczenie dwoma dniami podróży i nerwami, poczułem, że coś mi się nie zgadza w tych krokach, że było chyba inaczej, więc zapinając rozporek pytam:

— Wujek, ale ten płot to chyba stał dalej, to podwórko chyba było większe?

— Ot i ty popamiętał, a taki mały był — wyczuwam zdziwienie w jego głosie, a kiedy weszliśmy do sieni popatrzył na mnie z niedowierzaniem. — Ponadwórko my skrócili, żeb ogrodu więcej było, i ty to zobaczył po ciemku, i ty to poznał? Zobacz no ty — jakby do siebie mówił kręcąc głową — zobacz, ty Alik, mnie wprost wierzyć sia nie chce, że taki mały był wtedy, a tak płakał jak odjeżdżali, a teraz wyszedłszy ty pierwszy raz i w ciemności zobaczył, że my ponadwórko pomniejszyli...

Już tylko strzępy wujkowych słów docierają do mnie i odruchowo mu potakuję. Popielniczka już pełna twardych ustników od biełomorów.

Kuchnia z naszej ostatniej wieczerzy...

Coraz częściej patrzę w stronę tamtych drzwi, jakbym czekał na poruszenie klamki, skrzypienie starych zawiasów, jakbym wypatrywał w nich małej, skulonej postaci piąstkami trącej zaspane oczy, z grzywką lnianych włosów opadającą na czoło, pocierającego jedną nóżkę o drugą; a przecież nie chcę i boję się tego poruszenia klamki, wiem, że nie znajdę w sobie takich słów, by powiedzieć to, co powiedzieć chciałbym:

Nie wiem, mały, czego ci nie zaoszczędzono, a przed czym ochroniono, rozumiesz? Nie wiem, nigdy się tego nie dowiemy, ani ty, ani ja.

Może to było i jest zapisane w dalekich gwiazdach, może na kamieniach rzuconych na dno rzeki, na brzegu której ukrywałeś się w sitowiu.

Twój pociąg mógł pojechać w przeciwną stronę albo nigdy nie odjechać.

Nie przywiozłem ci nawet cukierka z tej twojej Polszczy, nie wiedziałem, że jeszcze tu się ukrywasz przed tamtą podróżą; może zapomniałem, że tutaj jesteś i czekasz tak długo.

Skądś ciebie dobrze pamiętam — może z jakichś starych fotografii, może z majaków w gorączce, może mignąłeś mi na ulicy któregoś miasta.

Masz dopiero pięć lat i życie przed sobą, otwórz zaciśniętą rączkę, spróbuję powróżyć, co może ciebie jeszcze spotkać —

czeka na ciebie pociąg, nikt nie będzie potrafił powiedzieć ci dlaczego musisz nim jechać

będziesz uczył się innego języka a potem pojedziesz na Uniwersytet do miasta nad wielką wodą

napiszesz pierwszy wiersz i zaboli cię pierwsze kochanie

będziesz jęczał po nocach z miłości i strachu

na ulicach twojego miasta będą strzelać do ludzi, wśród których i ty będziesz, ale nic ci się nie stanie

któregoś ranka obudzi ciebie telefon i nie będziesz mógł zrozumieć słów: ojciec nie żyje

pochowasz swojego ojca i wszystko dla ciebie stanie się śmiercią, będziesz tęsknił do dni, kiedy o tym nie myślałeś

usłyszysz pierwszy śmiech, pierwszy płacz i pierwsze słowa swojej córki, godzinami będziesz wpatrywał się w napisane przez nią pierwsze litery

To widzę zmęczonymi oczyma z linii twojej ręki, a może jeszcze coś, o czym nie powiem, jest już późno, wujkowi już głowa opadła, może jutro, pięcioletni, dopowiem ci resztę, chociaż nie będę mógł niczego odwrócić, a nie chcę niczego ukrywać przed tobą, dzieci nie wolno okłamywać

●

A każdemu dochodzącemu z pokoju odgłosowi zabijanej ćwiekami skrzyni wtórował jak echo szloch i lament — Oj Bożesz, moj Boże! — siedzących w kuchni kobiet.

Babcia tuliła mamę do przybrudzonego fartucha i spękaną, porysowaną czarnymi wyżłobieniami ręką gładziła po włosach.

— I gdzież ty Jania tam jedziesz, tam żesz Niemcy...

Po bladej twarzy mamy ściekały łzy, a ona znieruchomiała patrzyła w stronę tamtych drzwi, za którymi mężczyźni młotkami zabijali całe jej tutejsze życie i tamtą niewyobrażaną w żadnym szczególe — w żadnym drzewie przy drodze, śpiewie ptaków, kolorze nieba, smaku wody czy czarnych jagód, w zapachu chleba pieczonego na tatarakowych liściach i bieli mąki na bliny — przyszłość na granicy lęku i nadziei. Nie widziała siebie schylonej z motyką na kartoflisku jesienną porą, ani bielącej wapnem ściany nowego domu, ani karmiącej swoje następne dzieci, a potem po kolei wyprawiającej je z domu, ani schylonej w nienaturalnym skurczu, gdy trumnę z ojcem spuszczano do grobu, ani siebie idącej zimową plażą kiedy jeździła do sanatorium.

Zza tamtych drzwi szło rytmiczne łomotanie, zwielokrotnione odbiciem od pustych ścian i cały czas — Bożesz, moj Boże! — rozchodziło się po kuchni.

Mnie ziębił w rękę zwinięty w rulon nadgryziony blin i od jakiegoś czasu dokuczał pęcherz, i piekła otarta pięta w podróżnym kamaszku i chciało się spać.

Nagle ucichł stukot młotków w tamtym pokoju. Kobiety zamilkły przy stole i wszystkie odwróciły się w stronę drzwi. Słyszeliśmy teraz tylko mocowanie się i sapanie, a nad tym wszystkim donośny głos dziadzi:

— A job twaju hrabinu mać, kakaja ciażhaja, a kab cibie...

Po chwili weszli do kuchni, na czole taty perliły się krople potu. Ciężko jeszcze sapali po niedawnym wysiłku, usiedli i od razu chwycili szklanki z samogonem, jednocześnie przechylili głowy, jakby zamiast szklanek trzymali w ręku trąbki, i tylko ruszały im się przełyki, z chóralnym — uuuch! — odstawili puste szklanki na stół.

— Zakanszajcie, kto to widział tak pić — babcia posunęła miskę z małosolnymi ogórkami.

— Która już godzina? — spytał tato i popatrzył na mamę.

— Jeszcze nie czas, nie spieszmo sie tak — powiedziała babcia Stefania.

— A Zenak kali pryjedziet, czamu nie pryjeżżajet...

— Jeszczo czas, jeszczo. Naliwaj baćka...

— Jania, a hdzie pałażyła dakumienty?

— A ty uział, nie pakinuł hdzie? — odpowiedziała mama jakby ze złością.

Tatka nerwowo zaczął obmacywać się po kieszeniach.

— Naszoł? — dopytywała się mama.

— Naszoł, naszoł, a szto ty dumała...

— Nie swaricieś, budziet kak Boh zahoczet — rozładowała wiszące od jakiejś chwili napięcie w kuchni babcia Stefania.

Ciocia wniosła na stół skwierczący boczek z cebulą.

Dziadek ślinił brzegi zrobionego z gazety papierosa.

— A hroszy wam hwatit?

Mój pęcherz coraz mocniej dokuczał i każda następna minuta groziła katastrofą dla podróżnych spodni.

Dziadek zakrztusił się pierwszym dymem machorki.

Prędko zerwałem się od stołu myśląc tylko, czy zdążę wybiec z domu.

— A ty hdzie ciahajesz sia? — krzyknęła za mną mama.

— Szczać chaczu!

— Kab nie pabrudził sia — słyszałem biegnąc przez sień pachnącą złożonymi na zimę jabłkami.

Za gankiem, przestępując z nogi na nogę, odpinałem szelki i wkrótce poczułem ulgę polewając ścianę domu.

Koń skubał na podwórku resztki trawy z drobnymi na niej kropelkami krwi albo słońca.

Było cicho i tylko z domu dochodził śpiew z długim zawodzeniem kobiet.

W sąsiednim sadzie mignęła przez chwilę jakby sutanna księdza, a może wrona przefrunęła z drzewa na drzewo.

Na murku przykościelnym siedział Walerka i z olszynowej gałęzi wycinał gwizdawkę; chyba mnie nie widział zasłoniętego wozem. Chciałem nawet zawołać na niego, gdy zaskrzypiały drzwi i pomyślałem, że to mama wychodzi sprawdzić, czy nie odszedłem za daleko. Ale zamiast szarego kostiumu mamy zobaczyłem babcię wylewającą mydliny na sczerniały krzak jaśminu.

Walerka, który kiedyś zostanie traktorzystą i wyjedzie za Ural, oderwał się od strugania i pokiwał do mnie ręką.

— Nie mahu! — odkrzyknąłem z żalem.

Z pustej miednicy ściekały resztki mydlin robiąc na trawie małe i zanikające zaraz tęczowe baloniki. Babcia stała z miednicą przy boku i patrzyła na mnie tak, jak nie patrzyła nigdy dotąd — ani kiedy była uśmiechnięta, ani kiedy była zagniewana. Nie wiedząc co robić, spuściłem głowę i czubkiem buta zacząłem grzebać w piasku.

— To kiedy przyjedziesz do babci w gości? — spytała łamiącym się głosem, i jakby nie chcąc albo bojąc się usłyszeć odpowiedź wtuliła mnie w swój pachnący tłuszczem i mydłem fartuch. Zaraz też odsunęła mnie raptownie od siebie i położywszy na ziemię miednicę zaczęła szperać w kieszeni fartucha.

— Masz tobie na cukierki w Polszczy... — powiedziała wkładając mi do ręki pieniążek.

Zacisnąłem mocno rękę, ale zaraz rozprostowałem zdziwiony jego ciężarem, w niczym niepodobnym do tych małych i cienkich kopiejek, które czasami dostawałem na cukierki. Rysunek na nim też był inny niż kopiejkowy — dziadzia z grubymi wąsami, jakiś nietutejszy i groźnie patrzący. Ścisnąłem monetę mocno, mocno, ale tych polskich cukierków nie umiałem sobie wyobrazić.

— Żeb tylko nie zgubił... — powiedziała babcia widząc jak się uśmiecham.

Wsunąłem go ostrożnie do kieszeni i tak już obciążonej szpulką po niciach i pestkami słonecznika.

Kiedy weszliśmy z babcią do domu, przez podszewkę spodni czułem, że on tam jest — ten pieniążek z wąsatym dziadkiem; czułem jego ciężar i wilgoć od spoconej ręki, jakby łzy przeciekły do kieszeni. Już nawet chciałem pochwalić się nim, pochwalić i spytać, ile za niego będzie cukierków, ale nikt nie zwrócił uwagi na nasze wejście, było cicho jakby podczas naszej krótkiej nieobecności stało się coś, co wszystkim odebrało mowę, urwało zaczętą pieśń, pogrążyło wszystkich w uśpieniu albo zadumie. Tylko zapach przypieczonego boczku i machorki unosił się po kuchni.

— A szto tak zacichli? — odezwała się babcia odstawiając miednicę.

— Zenak przyjechał? — zapytał tato. — Czas byłob jechać...

— No to dawajcie jeszczo pa adnom — powiedział któryś z mężczyzn.

Dziadek Ludwik posadził mnie na swoich kolanach i przytulił do wełnianej marynarki.

— Może chwiacit... — powiedziała cicho babcia bezradnie rozglądając się po ścianach.

Znowu zaczęło się pochlipywanie kobiet, na krótko przytłumione bulgotem rozlewanej wódki.

— Sztob lehczej było.

— Pryjeżżajcie skarej.

— Ty Jania zaraz napiszy.

Brzęknęło szkło jak ciche podzwanianie ministranckich dzwonków przed podniesieniem. Kobiety zaczęły głośniej szlochać. Mężczyźni strząsnęli resztki samogonu na podłogę.

— Żyć nie choczetsa! — zawył nagle dziadek i uderzył pięścią w stół, aż poderwały się muchy na okopconej żarówce.

— A ty szto tak razdziawił sia... Choć ty Pana Boga nie złość! — uciszyła go babcia.

— Żyć nie choczetsa! — zaskowytał dziadek powtórnie.

I zrobiło się cicho, tylko echo tej raptownej bezsilności dziadkowej unosiło się pod sufitem, ta cisza piekła jak przyłożony do gardła nóż.

— No, pora jechać! — być może tak powiedział tata i być może takie były jego ostatnie słowa w tym domu. Trzęsącymi się rękoma zaczął zapinać guziki marynarki.

— Choć na minutku jeszcze usiadźcie — odezwała się pani Romanowska, ale jej prośbę zagłuszyły odsuwane za głośno krzesła, spadająca ze stołu szklanka, płacz.

Wstawaliśmy od stołu wiedząc albo jeszcze nie zdając sobie sprawy, że tutaj już nigdy nie zasiądziemy tak jak bywało do tej pory.

Ostatni raz dotykaliśmy wyszorowanego do białości desek stołu, oparcia krzesła, odsuwając niedojedzony talerz.

Tylko nogi były jakby przypięte do desek podłogi i nie można ich było oderwać.

●

Był kiedyś pięcioletni chłopiec.

Kiedy zaczynał nudzić się wśród ogrodowych łopianów albo posprzeczał się ze swoim kolegą o kilka wyszlifowanych przez wodę w rzece kamyków, lub gdy udało mu się zmylić czujność mamy, przez dziurę w płocie wychodził na drogę i kierował się w stronę niedaleko leżącego miasteczka; jak na pięcioletniego chłopca była to duża odległość, ale on nie umiał sobie tego wyobrazić.

Drogi wtedy były jeszcze w miarę puste — czasami ktoś przejechał rowerem wioząc na bagażniku wielkie bochenki chleba i mijając chłopca pozdrowił rowerowym dzwonkiem, czasami przejechała rozklekotana ciężarówka i zatrąbiła na chłopca.

A on szedł przed siebie skrajem gościńca czując na ogolonej głowie mocne promienie słońca. Szedł i szedł swoimi małymi kroczkami pokonując przestrzeń.

Gdy zabolały go nogi siadał w rowie pośród pachnących ziół i latających pszczół; czasami znajdowano go śpiącego w trawie z rękoma podłożonymi pod głowę, a nad śpiącym nisko latały jaskółki. Nikt nie wie, co mu się wtedy śniło.

Chłopiec parę razy był w tamtym miasteczku, lecz nigdy sam. Nigdy też nie udało mu się dojść do Lidy samemu.

Ten chłopiec stał teraz pośrodku kuchni i patrzył niczego nie rozumiejąc. A przecież zabierano go w wielką podróż, która jest marzeniem tysięcy chłopców przekrzykujących się nazwami dalekich i egzotycznych miast. I ubranie miał jak podróżnik — marynarskie!

Stał i patrzył na płaczącą mamę podtrzymywaną przez obie babcie i sam zaczynał płakać płaczem coraz większym. Nie cieszył go pieniążek leżący na dnie kieszeni, który ma się zamienić w Polszczy w torbę pełną cukierków. Nie cieszyły go ściskane w rękach klocki, na które teraz spadały ciężkie łzy. Wiedział, że coś się dzieje niedobrego i ze strachu zaczął wołać i krzyczeć.

Na podwórku Cygan ujadał i wył.

Czyjeś ręce wyciągnęły się ku niemu i mocno objęły, ale to wyrwało z niego jeszcze większy płacz i krzyk.

Ktoś go wziął na ręce i osłaniając się przed wierzgającymi nogami próbował wynieść przed dom.

Ktoś inny podsuwał cukierka.

Chłopiec był jednym wielkim płaczem.

Jego płacz złączył się z lamentem na podwórzu i modlitwami księdza, a nad tym wszystkim unosił się wysoki głos Panienki.

Staruszek ksiądz przerwał modlitwę i podszedł do chłopca trzymanego na rękach. Chłopiec nie słyszał jego słów. Płakał i krzyczał — Nie chaczu, nie chaczu...

Wtedy ktoś krzyknął na niego i chłopiec nagle ucichł, i tylko głuche łkanie wydobywało się z jego ust, a ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Cichy płacz było słychać dokoła. Ksiądz pobłogosławił podróżne bagaże, ucałował i pobłogosławił podróżnych. Zimne krople z kropidła spadły na głowę chłopca. Stojąca obok babcia przeżegnała się trzęsącymi się dłońmi.

Ksiądz przystawił chłopcu do ust zimny przedmiot.

Zebrane kobiety odmawiały głośno modlitwę. Mężczyźni pomagali władować skrzynię na wóz. Cygan usiłował zerwać się z łańcucha.

Chłopiec stał i łkał trzymany za rękę przez dziadka Ludwika. Podszedł do niego Janek i podając fajerkę z kawałkiem drutu powiedział — Biari, waźmiosz s saboj...

Wiele, wiele lat później, kiedy ten pięcioletni chłopiec będzie miał trzydzieści pięć lat, przeczyta w pożółkłej zszywce starych gazet:

„Bo już dzisiaj [...] powstały ogromne trudności w znalezieniu dla nich pracy i mieszkań. Mamy wielu ludzi bez pracy, a co będzie, jeśli przyjedzie kilkaset tysięcy ludzi? Tam, w ZSRR, mają pracę, mają mieszkania. Tutaj trzeba będzie ich jakoś rozmieścić. Nasza sytuacja mieszkaniowa jest tragiczna. Takie stawianie sprawy jest może brutalne, ale przyjdzie czas powiedzieć: — posuńcie się panowie. Zróbcie miejsce. Co będzie wtedy? Jaki stosunek powstanie do tych repatriantów? Jaką się wokół nich będzie wytwarzać atmosferę? Czy mają pozostać, za cenę naszej względnej wygody i wyrzec się ostatecznie możliwości powrotu do Ojczyzny, czy okażemy im tyle dobrej woli i więcej — konkretnej pomocy, by mogli żyć wśród nas na tych samych prawach? Trudno cośkolwiek postulować, kiedy nie zna się do końca opinii publicznej.

Dotychczasowe doświadczenia są raczej smutne. W niektórych miastach repatriantów po prostu się szykanuje, tym ludziom, którzy po kilkanaście lat czekali na możliwość powrotu, przy samym powitaniu wylewa się na głowę kubeł zimnej wody. Samą świadomością pobytu w Ojczyźnie długo żyć nie można. Nie można się też dziwić, że coraz częściej ludzie ci piszą do swych przyjaciół i znajomych w Rosji — zanim przyjedziecie, zastanówcie się dobrze, czy warto zamieniać".

Mężczyzna zamknął stary rocznik „Po prostu" i patrząc w wielkie biblioteczne okno tamten płacz słyszał nadal.

Tysiące chłopców i dziewcząt w tamtym czasie miało pięć albo siedem lat, niektórzy mieli trzy lata, i oczyma tych swoich małych lat patrzyli na dorosłych, kiedy kończyło się ich krótkie lato na tamtej ziemi, i musieli słuchać dorosłych. Mogli tylko płakać.

Tak samo jak ich rodzice pakowali swoje sprzęty i ulubione przedmioty lub rozdawali znajomym.

Ci chłopcy i te dziewczyny wraz ze swoimi młodymi rodzicami kończyli jedno lato i przenosili się na inną ziemię, by tam na nowo być młodymi, a ich dzieci znowu miały pięć albo siedem lat, niektóre trzy.

Ich ból nie umiał mówić i jak kamień coraz głębiej wchodził w ziemię, a ziemia zakrywała go trawą i mrokiem. Spieszyli się do swoich pociągów, bo po lecie szybko nadchodzi jesień.

Ten chłopiec był jednym z tysięcy dzieci z przesiedleńczych pociągów, które trzymając kurczowo za rękę poprowadzono na dworce kolejowe; nie pierwszy i nie ostatni raz dzieci swoim

płaczem i wołaniem bezbronnym głosem wypełniają dworce, pociągi, przypadkowe stacje, i te dworce i te pociągi i swój bezsilny płacz będą niosły do końca dni, jakby nigdy nie wychodziły z tych dworców i pociągów straszących wyziewami buchającej pary, jakby zeszły się tam smoki z wszystkich bajek.

Jechaliśmy zająć puste miejsca po innych wysiedleńcach, którzy też któregoś dnia wyszli ze swoich domów, zostawiając tam swoje maszyny do szycia, sieczkarnie, meble i groby. Znajdowaliśmy ich porcelanę zakopaną pod krzakiem czerwonych porzeczek, hitlerowskie krzyże zasługi, z ich jabłoni rwaliśmy owoce, paliliśmy w piecu ich starymi listami, na ich polach sadziliśmy żyto, ziemniaki i brukiew.

Chłopiec miał pięć lat i jeszcze nie wiedział, że nie tylko dla niego skończyło się lato nad tamtą rzeką, że podróż wcale nie boli, że nie potrafi zapomnieć.

●

Widziałem jak nasz dom oddala się.

Jeszcze z okna unosił się dym i szedł prosto do nieba.

Jeszcze przy naszym płocie stali sąsiedzi i znajomi, a pomiędzy nimi bieliła się komża księdza.

Ale z każdym obrotem skrzypiących kół wszystko stawało się mniejsze, rozpływało się, zanikało.

Jeszcze widziałem żółte czuby klonów przy szkole.

A gdzieś pośrodku drogi, pomiędzy tamtymi przy płocie a nami, stał Janek, który jakiś czas szedł milcząc obok rowu pchając przed sobą fajerkę na drucie, ale w pewnej chwili zatrzymał się, jakby mu zabrakło powietrza — i tak został; i takiego go zobaczyłem po trzydziestu latach w jego dyrektorskim gabinecie w Lidzie, otyłego, z widoczną łysiną i w okularach, zza tomów dzieł Lenina wyciągnął butelkę „Moskowskoj".

Już maleńka, jak igła, stawała się wieża kościółka.

Malała szkoła, domy i płoty sąsiadów.

Tylko śpiew kobiet na kołchozowym polu był wyraźny, jakby szły za nami lub obok, a one skryte gdzieś za wzgórzem swoim rozdzierającym śpiewem uciszały zmęczone cierpienie.

A nasz koń tak wolno szedł, sapiąc i prychając, jakbyśmy szli pod najbardziej stromą górę i zamiast jednej skrzyni, walizki i kilku tobołków wiózł skrzynie ze wszystkich domów. Wujek cmokał i pokrzykiwał na niego, dopiero świsnąwszy batem w powietrzu zmuszał go do przejścia parunastu następnych kroków.

Koła z żelaznymi poręczami zgrzytały po nierównej drodze pełnej dziur i kamieni. Piszczały stare osie.

Siedziałem na starej kufajce z tyłu wozu ze spuszczonymi nogami i z każdym podskokiem wozu ocierałem się o chropowate deski skrzynki. Plułem pestkami słonecznika na suchą ziemię i czułem jak spod marynarskiego mundurka odchodzi ciepło zabrane z naszej kuchni.

W górze zawisł jastrząb jak zerwany latawiec, kołysał się w powietrzu, nad lasem i rdzawym ścierniskiem.

Widziałem pustą już perspektywę za nami i ich — którzy szli i szli niedaleko za wozem, nic nie mówiąc do siebie, nie śpiewając pieśni radości ani pożegnania, nie oglądali się ani na boki ani za siebie. Słychać było tylko grzechotanie paciorków różańca w rękach obu babć, klaskanie końskich kopyt i szuranie butów po piasku — obcej już jutro — drogi, którą niedługo może zakryje mgła albo wieczorny deszcz zamieni w błoto i zatrze ślady po naszej wędrówce.

Szli milcząc:

dziadek Stefan idzie swoim kołyszącym się krokiem jak marynarz

obie babcie jakby związane ze sobą koralikami różańca

mama z chrzestną pod rękę, jakby szły na sobotnią potańcówkę albo majowe nabożeństwo

tatko z opuszczoną głową i rękoma w kieszeniach, krawat ma przekrzywiony i odpięty albo oderwany guzik przy koszuli

na końcu dziadek Ludwik z obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej zakrytym lnianym płótnem, jakby przed nadciągającym chłodem.

Wolno, jakby tracąc siły, posuwają się w tym kondukcie za wozem z ciężką skrzynią, który ciągnie stary koń popędzany batem przez wujka. Nie przystaną nawet na chwilę, żeby chociaż ostatni raz popatrzeć wszyscy razem na to, czego już nie widać, ale przecież wiadomo, że jest, że zostało za ich plecami, niedaleko, może o wiorstę.

A każdy w swoim milczeniu niesie jakiś sekret, jak ciężki krzyż, jakąś ostatnią myśl, którą ze sobą nie chcą się podzielić. Nie widać w nich pośpiechu i paniki, że mogą nie zdążyć. Jakby ich nie niosły własne nogi, a jakaś siła niewidzialna, jakiś powiew wiatru albo przeznaczenia.

Co czuł albo myślał ojciec patrząc ostatni raz przez okno w swoim pokoju na podwórko? Kiedy ostatni raz przechodził przez furtkę i pewnie ręką dotknął sztachet, które niedawno jeszcze sam przybijał? Kiedy ostatni raz popatrzył na dom? Czy jak w szybkim filmie przebiegły mu wszystkie dni i lata pod tym dachem porastającym mchem? A może był już myślami gdzieś dalej? Na tamtym polu i pod innym niebem, w które wsypywał pierwszy raz ziarno, a potem co niedziela jechał rowerem i patrzył jak zielenieje a potem dojrzewa jego zboże, i już niedługo będzie ostrzył kosę? Czy może czuł już na plecach ciężar gruzu z poniemieckiego domu, który będzie wynosił, by

postawić dom nowy i chociaż trochę podobny do tamtego, też stojącego obok szkoły i kościoła? A może spieszyło mu się tylko i chciał jak najszybciej wsiąść do tamtego pociągu, który już może skądś wyruszył albo czeka na nich na lidzkim dworcu, i dać się ponieść niewiadomemu losowi, gdzieś już zapisanej przyszłości? A pozostali — co czuli i o czym myśleli? Nigdy nie będę tego wiedział i nie wiem, czy chciałbym znać odpowiedź. A cztery lata później tą samą drogą pójdzie dziadek z najmłodszą córką, za nim wkrótce wyruszy babcia Malwina, ale ona jeszcze wróci tą drogą z powrotem...

Kiedy kolejny raz wóz zatrzymał się i nim wujek zdążył świsnąć batem koło końskiego ucha, zsunąłem się na drogę i rozcierając zdrętwiałe nogi poczekałem na idących.

Babcia na chwilę otworzyła ręce splątane różańcem chcąc przygarnąć mnie do siebie, ale wyminąłem ją i dołączyłem do taty, tak jak on włożyłem ręce do kieszeni, a tam był mój pieniążek, też opuściłem głowę patrząc na zakurzoną drogę, po której tylu już szło przed nami, a z ich przejściem osuwały się na tę drogę gwiazdy i szybko stygły w kurzu drogi. Za nami, odwrócony tyłem, dziadek stał i szczał.

Nie nadążałem jednak za krokami taty i musiałem podbiegać. Wtedy on wziął mnie na ręce i jednym ruchem przeniósł na swoje ramiona. O, jak teraz było dobrze! I zobaczyć mogłem więcej, gdybym odwrócił się, mógłbym zobaczyć jeszcze cienie Krupowa. Widziałem plecy idących przed nami kobiet, spocony grzbiet konia i kilka much kręcących się nad jego grzywą.

W oddali unosił się czarny dym.

Błysnęło w resztkach słońca okucie walizki.

Szliśmy. Turkotały i skrzypiały koła.

Brzegiem lasu szła jakaś przykurczona postać; może to białoruski lesownik szedł, aby przed nocą spotkać się na granicy Litwy z tamtejszym pokuśnikiem, albo dybukiem?

— Lidu widać! — wujek pokazał batem przed siebie i szarpnął lejcami.

●

Wkraczaliśmy na przedmieście Lidy nie z pieśnią na ustach, ale z klaskaniem końskich kopyt i turkotaniem żelaznych obręczy kół po bruku.

Z pierwszego domu wybiegło dwoje dzieci i wetknęły głowy między sztachety zielonego płotu.

Gdzieś zaczął szczekać pies, ale to nie był nasz Cygan, który może uspokoił się i schował do budy.

W którymś domu ktoś wyjrzał przez okno.

Jakiś mężczyzna przechodzący ulicą zatrzymał się widząc ten dziwny orszak i zdjął czapkę.

Gdzieś grało radio albo stary patefon.

Przejechała ciężarówka płosząc konia, aż wujek musiał mocno przytrzymać za lejce.

Mijaliśmy coraz więcej ludzi, a oni patrzyli na nas w milczeniu.

Komuś z bagażnika roweru spadł bochenek chleba.

Dzieci wracały ze szkoły.

Grupa żołnierzy śpiewając znikała w bramie koszar.

Tato zdjął mnie ze swoich ramion i wziął za rękę.

— Musi do Polski jedzicie? — jakiś mężczyzna zapytał dziadka.

— Jedut, panie, k swojemu Gomułkie, budut' jest' swieżyje bułki — odpowiedział mu dziadek ze złością.

— Szczęść wam Boże! — krzyknął do nas ten mężczyzna i patrzył za nami jeszcze kiedy skręcaliśmy w inną ulicę.

Przeleciało stado dzikich ptaków i zniknęło wśród drzew.

Z pobliskiego sklepu albo restauracji biegł do nas mężczyzna, którego już kiedyś widziałem. Padli sobie z ojcem w ramiona, coś szepcząc gwałtownie. Mama odłączyła od cioci i podeszła do nich. Zobaczyłem, że mama znowu zaczyna płakać.

Mężczyzna spod marynarki wyciągnął butelkę, wyjął zębami korek ze zwiniętego kawałka gazety i podsunął ojcu.

— Bud' zdarow! Bud' szczastliw, Miszka! — objął ojca ramieniem.

Mama odwróciła głowę.

Kiedy drugi raz podał ojcu butelkę, tato pokazał na zegarek i chyba powiedział, że już trzeba nam się spieszyć i bez słów padli sobie w ramiona. Długo jeszcze kiwał za nami stojąc na lidzkiej ulicy.

Zostaliśmy w tyle za wozem, a oni już zniknęli za kolejnym zakrętem nowej ulicy. Na moment straciliśmy ich z oczu, słyszeliśmy tylko skrzypienie i turkotanie wozu.

Zobaczyliśmy ich, kiedy mijali wielki zakład, do którego parę razy tatko mnie zabrał, a w którym jeszcze przedwczoraj szył bure szynele dla armii, przed którą tyle lat uciekał i ukrywał się.

Dziadek splunął, gdy przechodziliśmy obok czerwonych murów więzienia, w którym stracił słuch na prawe ucho — najpierw zamknięty przez Niemców za handel mięsem, a potem przez Rosjan.

●

Kiedy zdobywcy wchodzą do Miasta
rozbijają mury, nazwę piszą
w swoim zwycięskim języku,
nie oszczędzają kobiet ani
dzieci. Wnoszą ze sobą własne pieśni,
swój wieczny półmrok, w kościołach
zrzucają broń...
Kiedy zdobywcy nadchodzą
Miasto bezbronne
nie chowa się,
nie pada na kolana
i jako zdobyczy
nie oddaje swoich synów —
kamienie tylko głębiej
wtulają się w ziemię...
Zdobywcy zajmują największy plac,
palą ogniska by ogrzać się
w zdobytym ogniu,
nie boją się że ktoś może
podglądać ich zza uchylonej firanki,
zdejmują zabłocone buty, wieszają
onuce jak podeptane sztandary, suszą
szynele, myślą o kobietach
jako nagrodzie za bohaterstwo...
Kiedy zdobywcy są w Mieście
nie umknie im żaden motyl
co trwożliwie zasnął w trawie,
policzą każdą kroplę deszczu,
zapiszą każdy najcichszy szelest liścia.
Jeżeli trzeba — strzelają a dopiero
później zadają pytania.
Miasto poddaje się
bez bólu, nie jęczy
ani nie błaga o litość
jakby nabrało w usta
za dużo krwi

Zanim weszliśmy w ulicę, na końcu której skończyć się miała nasza wędrówka, słyszeliśmy daleki szum i gwar zmieszany z płaczem i lamentem.

Znowu siedziałem z tyłu wozu, a nasz koń zaczął teraz iść prędzej, jakby wiedział, że zaraz dłużej odpocznie.

Przed dworcem stały rzędy furmanek, konie pochowały łby w workach w owsem zawieszonych przy szyi. Z niektórych

końskich grzyw zwisały kolorowe wstążki.

Stało też kilka ciężarówek z wygaszonymi światłami.

Powoli na niebo wspinał się księżyc i szykował się zawisnąć nad Lidą.

Głośnik chrypiał i rzęził, i nawet pojedynczych słów nie można było zrozumieć.

Przepchaliśmy się do przodu, w stronę krawędzi peronu, krok po kroku, czyjaś ręka ściskała mnie mocno i ciągnęła za sobą. Nic nie widziałem i tylko czułem ostry zapach naftaliny i dziegciu. Piekła otarta noga w bucie, jakby za cholewkę kamaszka wpadło kilka odłamków z mojej gwiazdy.

Zewsząd dochodziło żałosne zawodzenie kobiet, płacz zmęczonych i przestraszonych dzieci, przekleństwa podpitych mężczyzn — jak jedna grzeszna litania wznoszona ku niebu.

Latarnie na peronie mrugały nierównym światłem.

Gdzieś w tym wszystkim słyszeliśmy nawoływanie taty i wujka, którzy wcześniej poszli zdać naszą skrzynię na bagaż. Babcia i chrzestna odkrzykiwały im, lecz ich głos gubił się w tumulcie innych głosów, głos taty albo wujka narastał albo niespodziewanie ginął, aż nagle usłyszeliśmy ich blisko, mama z ciocią zaczęły głośno wołać, zaraz też znaleźli się przy nas, a ja mocno złapałem ojca za rękę i przestałem już się bać.

Siedziałem na jego ramionach i widziałem tylko falujący tłum to w jedną, to w drugą stronę, do przodu i na boki, i jedno nieustanne zawodzenie — Bożesz moj, Boże... — zagłuszało chrypiący głośnik.

— Widzisz co tam? — krzyknął do mnie dziadek Ludwik.

— Niczaho, tol'ko ludzi — odkrzyknąłem, i w tej samej chwili popchnięci posunęliśmy się o pół kroku.

Megafon znowu zacharczał i spłoszył ptaki odpoczywające na telegraficznych drutach.

— Buduć padstawlać! — rozszedł się po peronie szept podawany z ust do ust.

Tłum znowu zafalował jak trawa kołysana wichrem albo morze wychodzące z brzegów.

Lament narastał, ktoś rozpaczliwie wołał o wodę, dzieci piszczały, za nami ktoś zaklął po rusku.

Ojciec mocno trzymał mnie za nogi, czułem jego spocone ręce.

Zapaliły się dodatkowe lampy i sinym światłem pokryły lidzkie perony.

Obok nas jakaś kobieta osunęła się na ziemię, znowu wołano o wodę.

W oddali rozległ się gwizd parowozu i tłum znowu zafalował.

Zegar z oderwaną wskazówką pokazywał wciąż tę samą pustą godzinę.

Nagle zaczęliśmy się cofać do tyłu, jakby odrzuceni podmuchem huraganu albo ognia.

A oni wyszli nie wiadomo skąd, błysnęły daszki ich czapek i z szarych płaszczy utworzyli jeden szereg, twarze ich ukrywał mrok, i wtedy znieruchomieliśmy.

Nastała raptowna cisza i tylko dzieci cicho popiskiwały jak ślepe kocięta, a z głośnika na dworcowym budynku twardy męski głos mówił do nas, lecz usłyszeliśmy tylko o „pociągu w Polszczu", a na to słowo — „Polszcza" — jakby jednocześnie, spod ziemi i z nieba, podniósł się krzyk.

— Szto skazali? — głośno pytał dziadek, ale nikt mu nie odpowiedział.

Gwizd parowozu przybliżał się i narastał jakby chciał zagłuszyć krzyk na peronie.

Ojciec zdjął mnie z ramion i oddał w ręce babci, a ja objąłem ją mocno za szyję.

I wtedy znowu zacząłem płakać i tuląc się do niej o jedno tylko prosiłem — „ja w Polszczu nie chaczu, nie chaczu... babuszka, pajedź z nami, to i ja pajedu..."; czułem jak mojej babci dygoczą plecy i na moją zimną rękę skapują łzy.

A ten złowrogi, jak z sennego koszmaru, łoskot pociągu narastał i zbliżał się, łomotał jak niedaleka burza, zagłuszał słowa, płacz i pamięć. Dudnił wjeżdżając wolno na peron, jakby nas wszystkich chciał dokładnie obejrzeć i para, jak zerwane z nieba obłoki, osuwała się na nas.

Gryzący dym wchodził do oczu i lato w Lidzie kończyło się naprawdę.

●

Z listu babci Malwiny, styczeń 1989 rok:

Wyiast was do Polskei to był Wyiast 57 Rok ty malas 5 lat to było 15 Wżesna wlato był serpen to ty chodził po sadze i zbierał japka byli take Malinówki i spewał Malinowska mówi oj jak ładne spewas Alkó skoda cebe że Wyieżdżas odnas ty otpowedzał tak mało tych jabłósak jest nema zaras i mne nabendza tetwoie słowo pozostały do dzis Wpamenci to jós wserpnó cekali na papery i potrochó robili bagażniki co było żecy nadóżo Masyna do syca poscel óbrana safa nawet spsedali tak bedna odiechali a 15 Wżesna godzina dzewonta rano ojcac zacoł pakowac żecy jak sonsady zobacyli jedyn pses drógego leceli na pożegnana to był płac lament nic ja napamentała jak censko było to rostac z Wami psyiechali na stacyia i cekali zanim potstawili poconk o godzine sódmei po obedze podiechał poconk taki towarowy cemny na było Wtym pocongó okna pakowali lódza dosyc było lódzi dóżo parony byli pokryte terodziny które pozostali jak rósył poconk jak zrobili sóm płac lament padali na parony łzami była zema pokryta poiechali.

Chłopca z trudem oderwano od szyi babci, wyjącego i bijącego na oślep nogami, wepchnięto do ciemnego wagonu i ta ciemność jeszcze większy wywołała w nim krzyk. Usiłował wyrwać się z powrotem na peron, ale już inni wchodzili do wagonu popychani przez następnych, i rozłączyli go z rękoma babci, a on popchnięty w środek tej czeluści wył — „nie chaczu, nie chaczu!... babuszka miłaja!"

Mama płakała razem z nim, ale już nie mdlała i nie trzeba było szukać wody.

Tato, z mokrymi policzkami, rozglądał się za pustym miejscem do siedzenia i ułożenia bagaży.

Wyjący na zewnątrz wagonu chór nie ustawał w swojej rozpaczliwej pieśni, a chłopiec dołączał do niego swój pięcioletni głos.

Jakiś mężczyzna bił pięściami w ścianę wagonu nie słuchając płaczliwych próśb żony i przestraszonych dzieci.

Robiło się coraz ciaśniej w wagonie, posuwaliśmy się, by zrobić miejsce dla nowych wchodzących, którzy rzucali swoje toboły na brudną podłogę i zamierali w milczeniu.

A oni siedzieli pod ścianą z zimnych desek, na których pozostał jeszcze zapach potu z poprzednich transportów.

Chłopiec siedział na walizce i cicho szlochał. Trzymał się kurczowo ręki matki i opuchniętymi od płaczu oczami widział poprzez tłum wchodzący ciągle do wagonu już tylko kawałek nieba rozjaśnionego księżycem. Wydawało mu się, i wtedy wstrzymywał oddech — a może tak było naprawdę? — że słyszy głos babci zagłuszany przez inne głosy. Wsłuchiwał się pochylony do przodu, jakby gotowy wylecieć w każdej chwili na jego dźwięk, ale żadnego znajomego głosu nie rozpoznawał i jak spłoszone pisklę przycisnął się do desek wagonu.

— A job ich duszu mać! — młody mężczyzna ciężko opadł na kolana i chłopiec słyszał jego ciężki oddech.

Żółte światło sączyło się do wagonu z brudnych, zadrutowanych żarówek u sufitu.

Jakieś dziecko cichym głosem prosiło — mama, pić daj...

Z chrypiącego megafonu, tam na peronie, dochodziły niezrozumiałe słowa.

— Usio uziali? — zapytał tato przysiadając przy nas i mama odpowiedziała mu wzruszeniem ramion. Już nie płakała i tylko ciągle wzdychając tuliła mnie do siebie.

Chłopiec znowu nasłuchiwał, wydało mu się, że ten głos usłyszał gdzieś blisko i już chciał krzyknąć, gdy inny głos wypełnił wagon, aż chłopiec skulił się i schował za mamę.

— Wsio w pariadkie? — zapytał niewidoczny dla chłopca mężczyzna, ale nikt mu nie odpowiedział.

Tylko mężczyzna w brązowej jesionce stojący gdzieś bliżej, w ostatniej chwili, kiedy niebo nad Lidą stało się już podobne do niebieskiej wstążki, odkrzyknął w kierunku tego głosu i peronu:

— Ja za takie oswobodzenie pieńknie dzieńkuje i prosze żeb mnie to było ostatni raz!

Cichy śmiech zawtórował jego słowom.

— Zakrywat'! — echem rozeszło się po peronie.

I zasłonili niebo przed chłopcem, któremu wydawało się, że jedna gwiazdka zamrugała do niego.

W wagonie podniósł się płacz przechodzący w wycie.

A z wyciem wagonu łączyło się wycie całej Lidy za zamkniętymi drzwiami pociągu.

Parowóz zagwizdał kilka razy, szarpnęło wagonem raz i drugi.

Dziecko zbudziło się ze snu i zaniosło się płaczem.

Poszukałem w kieszeni pieniążka, o którym zapomniałem na ulicach Lidy, ale nie znalazłem już na nim babcinego ciepła, wydał mi się teraz taki ciężki i niepotrzebny.

Skrzypnęły osie wagonu, zadudniło i ciężko sapiąc pociąg z nami w środku ruszył.

Najpierw wolno jakby koła ślizgały się w miejscu, jakby za duży ciężar był dla lokomotywy.

Wszyscy przeżegnali się i mama prowadząc moją rękę z zaciśniętą w niej monetą pomogła mi zrobić znak krzyża.

Mroczny wagon wydał ciężkie westchnienie, płacz powoli zacichał.

Zaiskrzył się ognik papierosa i smród machorki zaszczypał w nos.

Wagon podskakiwał i trząsł się na szynach, koła wystukiwały nieznany rytm, gdzieś było słychać bulgot nalewanej wódki.

Wtedy któraś z kobiet po przeciwnej stronie wagonu nagle zaczęła —

Zdrowaś Mario łaskiś pełna...

i po krótkiej ciszy pojedyncze głosy nieśmiało podjęły słowa modlitwy, którą chłopiec pamiętał z nabożeństw —

Pan z Tobą, błogosławionaś Ty ...

Młoda kobieta siedząca przy nas poprawiła chustę osuwającą się z ramion i wysokim głosem przyłączyła się do modlących, zaraz też i mama —

Święta Mario, Matko Boża
pomódl się za nami grzesznymi...

Niosła się modlitwa poprzez sufit wagonu aż do nieba, które nie zna żadnej granicy i po każdej stronie jest niebieskie, czasami granatowe, jak morze, które za kilkanaście lat chłopiec zobaczy pierwszy raz i zatrzyma się nad nim na zawsze, nieraz różowe, czasami czarne i wtedy ludzie chowają się przed nim i zamykają okna; to niebo, po którym jak wełniane baranki z łąki Pana Boga przechadzają się obłoki, a na tym niebie nocą księżyc pilnuje gwiazd, by świeciły jednym i sprawiedliwym blaskiem, i tylko czasami, gdy zmruży na chwilę znużone od czuwania oczy, któraś z nich spada na ziemię.

Który gładzisz grzechy świata...

mówiła śpiewnym głosem kobieta z osuwającą się chustką i ze śpiącym niemowlęciem przy piersi —

Zmiłuj się nad nami...

odpowiadały jej kobiety, słychać było także pojedyncze głosy mężczyzn. Tylko tatko milczał i siedział ze spuszczoną głową.

Ktoś zapalił lampę naftową i zrobiło się trochę jaśniej.

Mama trzymała przed sobą obraz Ostrobramskiej i wyglądało to tak, jakby przed nią klęczała.

Chłopiec wsłuchiwał się w stukot kół, modlitwa i kołysanie wagonu usypiały go, ale gdy tylko próbował zamknąć oczy, zaraz stawała w nich babcia znikająca w kłębach dymu na peronie z wyciągniętymi rękoma, wtedy znowu zaczynał płakać.

Mama przerwała modlitwę a ojciec podniósł głowę i — nie płacz... — mówił cicho, jak mężczyzna do mężczyzny.

Tato wyciągnął z kieszeni nieduży woreczek, z którego posypało się trochę ciemnego piasku.

— Waźmi, matka dała! — i mama to zawiniątko z białoruską ziemią włożyła do torebki.

— Władyś, a my czy aby dobrze jedziem? — odezwała się nagle jakaś kobieta.

— A któż to wie dzie my jedziem... Ot jedziem... — odpowiedziano jej ze śmiechem.

A wtedy ta młoda znowu zaczęła swoim smutnym głosem —

Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi
Niech cię płacz sierot do litości wzbudzi...

zaraz podjęto ten śpiew w wagonie, zrazu niepewnie i nierówno, dołączyło się do śpiewania kilka męskich głosów rozciągając ostatnie słowa —

Wygnańcy Ewy, do ciebie wołamy...

tutaj głos wszystkich raptownie załamał się, pieśń poczęła się rwać, mama śpiewała płacząc, a w jej śpiewaniu więcej było płaczu, inni śpiewali i jednocześnie ocierali z oczu łzy, a wtedy, jak

pęknięcie dzwonu, usłyszałem śpiew taty, który górował nad całym chórem —

Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy...

Gryzący dym z lokomotywy wchodził przez szpary i wypełniał wagon, dzieci zaczęły kaszleć, a resztki tego dymu jak żałobny tren wiatr roznosił po mokrej, wieczornej trawie, po ścierniskach i kartofliskach, po drogach piaszczystych i leśnych, po kamieniach przydrożnych, po rzece, w wodzie której topiły się dziewczęta z ludowych pieśni nie mogąc doczekać się ukochanego, i ten dym wraz z pieśnią, jak ostatnie słowa po nas, opadał na ziemię.

W drugim wagonie dołączono do nas ze śpiewem.

Znalazła się druga lampa naftowa i jeszcze jaśniej było w wagonie, wreszcie widzieliśmy wszystkich, którzy jechali z nami.

Na początku cicho ktoś zaczął wtórować na harmonii, jeszcze niezdarnie, palce myliły klawisze, harmonista nie mógł dopasować się do nierównego śpiewu, to brał dźwięki za wysokie, to nie nadążał za chórem, ale z każdą nutą wychodziło coraz lepiej, i teraz już z instrumentem śpiewali —

Do kogóż wzdychać mamy, nędzne dziatki
Tylko do ciebie, ukochanej matki...

Chłopiec przymknął oczy, ale ten sam widok znowu wydarł z niego szloch i mama przestała śpiewać, przytuliła go do siebie i głaskała po włosach, czuł zapach perfum z jej sukienki.

O ściany wagonu uderzyły krople deszczu, a może to z nieba spadały kamienie...

Stukot kół pociągu to wznosił się, to opadał, a kiedy w wagonie skończyła się pieśń, jej echo szło z następnego wagonu i podawało następnym wagonom, i chłopcu wydało się, że to cała ziemia śpiewa.

Już zasypiając, okryty kocykiem, cicho szeptał, jakby mu się to śniło:

ja — nie — cha — czu —
ja — nie — cha — czu —
ja — nie —

a koła pociągu wystukiwały ten telegram do babci jeszcze stojącej na peronie.

Aleksander JUREWICZ

Grzech

Pierwsze oznaki nadchodzących wydarzeń zaczęły występować na parę tygodni wcześniej. Odznaczały się zagadkowością, która w owych czasach zawsze budziła lęk.

— Wie pan — zatrzymał mnie na korytarzu sekretarz teatru i rozejrzawszy się na obie strony zniżył głos, chociaż oprócz nas dwóch nie było nikogo — coś dziwnego dzieje się z pańskim spektaklem. Zażądano od dyrekcji pełnej obsady sztuki. I to nawet nie z ministerstwa. Z samej góry. Nie zdziwi się Pan — spojrzał na mnie znacząco — że listę wysłaliśmy natychmiast wraz z waszymi adresami. Mówię panu o tym w całkowitym zaufaniu, więc proszę naszą rozmowę zachować tylko dla siebie. Mógłbym mieć duże kłopoty.

Wkrótce mogłem się przekonać, że obecność na liście naszych nazwisk wraz z adresami była znana nie tylko na miejscu położonym bardzo wysoko. Dozorca bloków Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu, gdzie zamieszkałem po powrocie do Warszawy, zmienił się nie do poznania. Dotychczas zawsze życzliwie uśmiechnięty, teraz przyglądał mi się podejrzliwie z ponurym wyrzutem, że sprawiłem mu zawód. Widocznie gdzieś tam udzielono mu nagany, że nie obserwował mnie dość starannie. Również aktorzy w teatrze zachowywali się inaczej niż dotychczas. Ukradkiem rzucali na siebie nieufne spojrzenia, a mnie wyraźnie unikali i milkli, kiedy wchodziłem do garderób. Można było pomyśleć, że rozdając im role w młodzieńczej sztuce Żeromskiego wciągnąłem ich do spisku politycznego o nieobliczalnych następstwach.

W tych pierwszych latach, kiedy powstawało nowe państwo, nigdy nie było wiadomo, co może się przydać budowniczym do jego wznoszenia. Codzienne doświadczenie uczyło, że za szczególnie skuteczne uznawali wytaczanie absurdalnych oskarżeń i na ich podstawie ferowanie wyroków. Toteż nie zdziwiłem się, kiedy

jedna z aktorek, wywodząca się z teatru Pierwszej Armii, a więc trochę lepiej zaznajomiona z systemem, zatrzymała mnie w pustym przejściu do rekwizytorni.

— Proszę pana — powiedziała prawie z płaczem — może pan mi wyjaśni, co tu się dzieje? Wczoraj mąż zrobił mi z wielkim krzykiem godzinny wykład partyjny. Karcił mnie za lekkomyślność w stosunkach z ludźmi, którzy niczego się nie nauczyli. Naet zwyczajnej ostrożności. Ostrzeżono go, że nawet jego stanowisko nie zapobiegnie umieszczeniu mnie pod specjalnym nadzorem.

Jej mąż obracał się wśród ludzi, których upomnień nie należało lekceważyć. Był oficjalnym poetą kościuszkowców. Jego słowa rozbrzmiewały aż do uprzykrzenia w popularnej piosence wojskowej. Mógł przy tym służyć osobiście za wzór tej postawy, która pozwalała na osmalonych ruinach Warszawy, tuż przy barykadach z rozpłaszczonymi na bruku szczątkami jej obrońców, rozlepiać plakaty z pokraczną figurą w niemieckim hełmie, ale z biało-czerwoną opaską na ramieniu i z wielkim napisem *AK zapluty karzeł reakcji.*

Gdybym chciał uciec się do obrony stosowanej przed niewielu laty w świecie posługującym się ludzkim sensem, to mógłbym się tłumaczyć, że dramat uzyskał zgodę rozlicznych cenzorów, że zatwierdził go do grania i nawet zalecił teatrowi minister Kultury i Sztuki, że w ostatecznym opracowaniu uczestniczył prezes Związku Literatów Polskich, poseł na Sejm i, co najważniejsze, członek Komitetu Centralnego partii. Wiedziałem jednak, że wszystkie te usprawiedliwienia nie zdałyby się na nic, gdyby z jakichś tam niedocieczonych powodów okazało się, że będzie przydatne potępienie dramatu wraz z większością tych, którzy brali w nim udział. Zapewne ocalałoby ledwie parę osób z nienaganną radziecką przeszłością. Ogłoszono by, że byli to ludzie prostoduszni i nieopatrznie darzący zaufaniem.

— Zapewniam panią, że naprawdę nic nie wiem i nie umiem się domyślić o co chodzi — odpowiedziałem z całym przekonaniem.

— Mogę tylko zaręczyć, że nie mam nic na sumieniu.

Dalsze wypadki zdawały się świadczyć o prawdzie tych słów. Inwigilacja bowiem wyszła z ukrycia i zataczała coraz szersze kręgi. Naprzód objęła tych pracowników teatru, którzy brali udział w przygotowaniu przedstawienia na Scenie Kameralnej wraz z obsługą sceny i garderób. Później sięgnęła do wszystkich zatrudnionych w Teatrze Polskim, poczynając od administracji we wszelkich jej rozlicznych odmianach. Na ogół unikano badań osobistych. Wypytywano raczej krewnych i znajomych. Do wezwań na śledztwo uciekano się wobec osób, które posiadały kogoś z rodziny za granicą, choćby nie utrzymywały z emigrantami

żadnych stosunków. W tych wypadkach przesłuchania prowadzono w sposób przyjęty, z groźbami i wrzaskiem. Zabiedzona urzędniczka z rachuby wracała po tych rozmowach z przerażeniem w zapuchniętych oczach. Wzywano ją często, gdyż jej mąż po wyrębie lasów na Sachalinie znalazł się wraz z armią Andersa w Anglii i tam dochował się nowej, licznej rodziny. — Mój ty Boże, mój ty Boże litościwy — pochlipywała wypełniając w księgowości arkusze sprawozdawcze z 38 rubrykami „osobomiejsc" i „roboczo-godzin" — za co mnie tak karzesz, nieszczęśliwą? Za to, że na niego daremnie czekałam? Nie dość, że mnie opuścił dla jakiejś tam zębatej Szkotki, ale jeszcze muszę za jego rozpustę odpowiadać. I to się nazywa sprawiedliwość?

Co dzień po przyjściu na próbę dochodziły do nas nowe wiadomości. Coraz bardziej niepokojące. Koledzy odwiedzający częściej restaurację, która sąsiadowała o sień z widownią teatru, dostrzegli, że kontrola objęła również pracowników tej modnej i bardzo uczęszczanej sali. Zresztą, w dużej mierze również zatrudnionych w wiadomym Urzędzie. Kelnerzy zajęli się gośćmi znacznie staranniej niż poprzednio, kiedy przyjaźnili się z urzędnikami wydziałów finansowych, ciekawych, skąd panowie rozprawiający krzykliwie przy stolikach czerpią środki na wystawne przyjęcia. Teraz, gdy ledwie mogli nadążyć z kubełkami z lodem, krążyli po lokalu tak, aby się otrzeć o barczystych mężczyzn rozpostartych przy kontuarze. Przepijali oni życzliwie do siedzących przy stolikach i starali się z nimi nawiązać przyjacielskie rozmowy. Z każdym dniem ilość ich rosła. Czasami udało się usłyszeć, jak kelnerzy z serwetkami na zgiętym ramieniu przy zetknięciu się niby przypadkowym rzucali półgłosem: — Uważajcie na ten stolik pod oknem, poruczniku! — Tak jest, towarzyszu kapitanie.

Wreszcie na parę dni przed samym wydarzeniem sprawa zaczęła się wyjaśniać. Domysły nabrały innego znaczenia. Przyjemne zdumienie zastępowało obawę. Odetchnęliśmy spokojniej, kiedy pewnego dnia kazano nam przerwać próbę i do teatru wkroczył oddział saperów z przyrządami do wykrywania min. Przeszukał gmach starannie od strychu do piwnic. Z podobną gorliwością sprawdził podwórze na zapleczu teatru oraz sąsiednie kamienice. Ich mieszkańcy otrzymali dyskretne polecenie, aby w najbliższy poniedziałek między godziną 18.30 i 19.00 oraz między 22.00 i 23.00 zamknęli okna i trzymali się od nich z daleka.

Wtedy już domyśliliśmy się prawdy. Wszystko wskazywało, że „Grzech" na specjalnym przedstawieniu w dniu wolnym miałyby zaszczycić swą obecnością władze wysokiego stopnia. Jakie to mianowicie osoby z samego szczytu drabiny urzędowej zapewniły sobie w ten sposób niezakłóconą przyjemność poznania wygrzebanego ze śmieci dramatu Żeromskiego, dowiedzie-

liśmy się dopiero w niedzielę. Naprzód nieoficjalnie. Wczesnym rankiem tego dnia zajechał olbrzymi czerwony wóz strażacki z wysuwanymi drabinami i ustawił się na dłużej przed teatrem. Drabiny pozwalały wynieść z okien buchających płomieniem nieszczęśliwe ofiary pożaru. Pod jednym wszelako warunkiem. Wymagał on, żeby to były osoby piastujące wysokie godności. Ukazanie się na ulicy tego wspaniałego i nie używanego kiedy indziej samochodu strażackiego było dla pokpiwających ze wszystkiego warszawiaków wskazówką nieomylną. W ten sposób zawiadamiano zawsze ewentualnych zamachowców, że w strzeżonym gmachu będzie przebywał ktoś szczególnie przydatny, jeśli nie niezbędny, dla zaprowadzenia socjalizmu w Polsce. Czasami ten przywilej przysługiwał towarzyszowi prezesowi Rady Ministrów, z reguły jednak korzystał z niego towarzysz prezydent Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Gospodarz. Tak nazywali Bieruta doradcy dla pochwalenia się zażyłością z wielkorządcą. Nie było to zresztą ich samodzielnym pomysłem. Takim mianem obdarzali również Stalina ci z jego otoczenia, którzy pragnęli się popisać, że uzyskali prawo do pokornej poufałości. Uśmiech, który błąkał się przy wymawianiu tego słowa na ustach naszego ministra Kultury i Sztuki, był mieszaniną pychy i lęku. Pycha górowała. Dawał nią wyraźnie do zrozumienia, że z tym właścicielem Polski prowadzi wspólne gospodarstwo.

Od pierwszych dni, od usadowienia się nowych władców w ocalałych gmachach pośród ruin Warszawy, zadziwiała niezwykła ich dbałość o własne bezpieczeństwo. Nawet Niemcy w podbitym kraju, mający aż nadto powodów do lęku, nie zdradzali się z taką nieufnością. Można by rzec, że przybierała ona formy manifestacyjne. Jak każda przesada budziła i gniew, i kpinę.

W mroźnym styczniu 1945 często przechodziłem Wisłę skutą lodem, żeby wyjednać różnego rodzaju zaświadczenia, bez których sprawowanie opieki nad ocalałymi zbiorami w Bibliotece Uniwersyteckiej nie było możliwe. Co dzień jakaś komisja w wojskowych rogatywkach, obsypana mnóstwem gwiazdek na naramiennikach, sprawdzała, czy przebywanie w mroźnym gmachu odbywa się legalnie. Każda z nich zaczynała od gróźb dla dodania sobie powagi. Każda powoływała się na srogie rozkazy władz. Te władze urzędowały w dawnej Dyrekcji Kolei Państwowych, mieszczącej się na Pradze. Aby się do nich dostać, trzeba było skoro świt stanąć w kolejce do biura przepustek przy ul. Inżynierskiej i odczekać swoje długie godziny na pozwolenie wstępu. Była to nieunikniona zapowiedź nowego ładu. Gmach dyrekcji otoczony był już nastrzępionym drutem kolczastym. Po zaśnieżonej ścieżce między tym ogrodzeniem i murem budynku krążyli wartownicy w futrzanych czapach z nausznikami, w tułupach krytych namiotowym płótnem, w ogromnych i

niekształtnych walonkach, z pepeszami gotowymi do strzału. Przed drzwiami przytupywały na mrozie takie same straże, a w sieni przed udaniem się do pokoju wypisanego na przepustce trzeba było jeszcze dwukrotnie poddawać się kontroli podoficerów, trzymających ręce na otwartych kaburach.

Że nowi władcy zachowywali się jak najeźdźcy w świeżo podbitym i jeszcze nie ujarzmionym kraju, to tłumaczyło się prosto. Trudniej było jednak zrozumieć, czemu robią to z taką ostentacją. Wyglądało to na zaprowadzanie nowego powitania, w którym zamiast wyciągnięcia otwartej ręki wygrażało się pięścią. Trzeba było dłuższego czasu, aby sobie uświadomić, że zagarnął nas Wschód, gdzie władcy zawsze ukazywali się ludowi z kańczugiem w garści.

W trakcie zabiegów o dostęp do rozdawców przepustek miałem dużo czasu na wspomnienia. Jedno z nich nabrało szczególnej wymowy. Przed niewielu laty, ale jeszcze w innej, przedwojennej epoce, przydarzyło mi się po drodze do Londynu oczekiwać na samolot w Hadze. Ponieważ opóźnienie nie powstało z mojej winy, więc przedsiębiorstwo lotnicze zajęło się dostarczeniem mi rozrywki na czas, który przyszło mi spędzić w mało znanym kraju. Przedstawiło mi młodego mężczyznę, inżyniera z zawodu, wyjaśniając, że na okres urlopowy wynajmuje się on Towarzystwu na przewodnika po mieście.

— Co pana u nas interesuje? — zapytał poprawną francuszczyzną. — Ludzie i ich obyczaje — odpowiedziałem. — W takim razie — uśmiechnął się przyjaźnie — będę mógł pokazać panu coś, czego u siebie pan by zapewne nie zobaczył.

Zaprowadził mnie bez dalszych wyjaśnień przed pałac królewski. Wznosił się on w środku miasta na niewielkim pagórku. Obszerny plac przed siedzibą monarszą był zastawiony kramami z nabiałem i z warzywami. Budy sprzedawców dotykały niemal murów zamku. Wolna od nich była jedynie droga prowadząca w dół od bramy głównej. — Proszę chwilę poczekać — poprosił przewodnik. Wkrótce furtka w ogromnej bramie uchyliła się i ukazała się w niej starsza dama prowadząca rower. Na jej widok przekupki wpadły w niespodziewany popłoch. Z gorączkowym pośpiechem wsuwały kosze z towarem do wnętrza kramów i podnosiły lady, aby zamknąć swoje budy. Ze wszystkich stron dobiegał stukot zatrzaskiwanych sklepików. Starsza dama, jakby nie dostrzegając, co się dzieje na targu, wsiadła na rower i spokojnie zjechała w dół. Była ubrana w dosyć już znoszoną lśniącą suknię z koronkowym kołnierzem, na głowie miała niemodny słomkowy kapelusz przybrany wstążką i kwiatkami. Kierowała rowerem jedną ręką, w drugiej ręce trzymała duży pleciony kosz. Mój przewodnik uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. — Mamy szczęście — powiedział. — Obejrzał pan jedną z osob-

liwości naszego kraju. Ta starsza pani w kapeluszu z kwiatkami to nasza wieloletnia monarchini, obecnie tylko królowa-matka. Wybrała się po zakupy do własnej kuchni, którą zaopatruje osobiście. Nie może jednak pogodzić się z przykrym wzrostem cen w ostatnich trzydziestu latach i nie płaci nigdy więcej, niż przed pierwszą wojną światową.

Wśród licznych niedogodności wywołanych przez rewolucję wcale nie najmniejszą stanowiło niebywałe znaczenie, , jakie nowi władcy przypisywali własnej osobie. Trzeba cofnąć się w dawne czasy, żeby odnaleźć podobny głód czołobitności, jak u twórców państw totalnych. Przy tym był to głód świeży i drapieżny, który nie chciał się ukrywać. Zaspokajano go z żarłocznym ćlamkaniem. Każdy występ publiczny dostarczał sposobności do wymuszania hołdów, każdy przejazd stawał się demonstracją potęgi. Bladły dawne praktyki policyjne stosowane przy ukazywaniu się cara. Jedynie rozmiar przygotowań pozostawał taki sam i pozwalał się domyślać, czy jedynowładca wystąpi w paroosobowej asyście czy też z całym dworem. Po tych oznakach można było tym razem przypuszczać, że poczet otaczający towarzysza prezydenta będzie szczególnie dostojny.

Istotnie, w niedzielę wieczorem w trakcie przedstawienia rozeszła się wiadomość, powtarzana ściszonym głosem, że teatr zaszczyci swą obecnością Biuro Polityczne partii w pełnym składzie. To niezwykłe wydarzenie zapowiadało nagłe zainteresowanie sztuką w sferach urzędowych. Telefony nie milkły od białego rana. Mnóstwo osób wysoko utytułowanych za pośrednictwem już nie sekretarek ale szefów gabinetu domagało się miejsc na widowni, oczywiście w pierwszych rzędach. Często uciekano się do pogróżek. O zaszczyt uczestniczenia w spektaklu ubiegali się jeden przez drugiego wszyscy świeżo kreowani dygnitarze — członkowie Rady Państwa, ministrowie, prezesi i przede wszystkim wszechmocni sekretarze bądź z samej partii, bądź przydzieleni do dwu fikcyjnych stronnictw politycznych. Zaspokojenie żądań tych ludzi, niepomiernie drażliwych, było ponad siły teatru. Gniew najmniej znaczącego z nich mógł zdmuchnąć dyrekcję, jak strzępek papieru z biurka. Ocaliło ją krótkie zawiadomienie, że administracja teatru nie rozporządza ani jednym miejscem na widowni. Zaproszeniami zajęła się instytucja, z którą nikt nie odważył się wdawać w rozmowy. Oficjalnie nazywała się Kancelarią Prezydenta PRL.

W dniu przedstawienia czyli w poniedziałek *27 maja 1951* wszyscy biorący udział w sztuce zostali wezwani do stawienia się w dyrekcji Teatru Polskiego na godzinę 9-tą. Dokładnym oględzinom i wylegitymowaniu podlegali reżyser z asystentem, scenograf, aktorzy z obsady dramatu, obsługa artystyczna, ekipa techniczna, wreszcie kilku pracowników, których zajęcia w teatrze

były dość nieokreślone i dopiero teraz zdradzały prawdziwy charakter. Wszyscy wezwani po okazaniu dowodu osobistego i legitymacji służbowej w drzwiach gabinetu dyrektora ustawiali się w kolejce do dwóch stolików. Przy pierwszym czekali po wręczeniu dowodów tożsamości na sprawozdanie, czy zawarte w tych dokumentach informacje są zgodne z kartami osobistymi w teczce. Przy drugim ubiegali się — znowu z dokumentami w ręku — o potwierdzenie, że ich obecność na sporządzonej liście jest pod każdym względem uzasadniona. Uzyskiwali w ten sposób prawo wstępu do teatru i udziału w przedstawieniu, które bez większości z nich nie mogłoby się odbyć.

Poszedłem do teatru Kameralnego na dobre półtorej godziny przed początkiem przedstawienia. Chciałem bodaj rzucić okiem na scenę jeszcze pustą i potem w garderobach pobyć trochę z aktorami w czasie dla nich trudnym. Już jednak na podwórzu leżącym na zapleczu teatru i w restauracji, tego dnia nieczynnej, mogłem się przekonać, jak działa system kontroli policyjnej rozciągniętej wokół kraju niby olbrzymia sieć na terenach łowieckich. W sionce prowadzącej do sceny i garderób natknąłem się na widome oznaki tej organizacji. Wejście zagradzał duży stół, z boku stołu stał zwalisty funkcjonariusz bezpieczeństwa z pepeszą na piersi, a za stołem zasiadał jego zwierzchnik w postawie przynajmniej członka sądu wojennego. Przed nimi w karnej kolejce stało już paru pracowników zespołu technicznego z brygadierem na czele. Pod obserwacją wartownika śledzącego każdy ruch oficer sprawdzał zgodność nazwiska na liście z legitymacją służbową i zdjęcia z wyglądem. Na jego ruch dłonią wartownik odsuwał się na bok i w ciemnym przejściu przyglądał się figurze wchodzącego, ale nie posuwał się do obmacywania, aby sprawdzić, czy nie ma on ukrytej broni. Pozwalało to przypuszczać, że na tej kontroli się nie skończy. Jak się miałem wkrótce przekonać, taki domysł był trafny.

Przy tej okazji potwierdzało się raz jeszcze, jak silna była namiętność, która kierowała postępowaniem rządzących w podbitym kraju. Wszędzie, gdzie udawało mi się dotrzeć, a udawało się niemal wszędzie, umieszczano czujne i podejrzliwe oczy władzy. Dzisiejsze aparaty podsłuchowe nie były jeszcze znane funkcjonariuszom sprawującym kontrolę. Zastępowano je ludźmi, dla których wroga nieufność była nie tylko nakazem obowiązku, ale również osobistą przyjemnością. Pozwalała ludziom długo zmuszanym do uniżoności napawać się teraz rozkoszami władzy. Toteż demonstrowali ją wszędzie, gdzie zbierali się lub przechodzili mieszkańcy tej wyklętej ziemi. Nawet w małych wioskach, w których poprzednio prawie nie ukazywali się Niemcy, teraz czuwały załogi milicyjne za zabarykadowanymi drzwiami z wiązkami granatów na podorędziu. Na skrzyżowaniach szlaków

komunikacyjnych, choćby to były piaszczyste drogi wiejskie, czaiły się posterunki uzbrojone w pepesze. Ponieważ zaś nie było wolno przekraczać granic powiatów bez specjalnych przepustek, więc też dozorcy porządku publicznego z zamierzoną powolnością wciąż sprawdzali pieczęcie na urzędowych pozwoleniach, przetrząsali pojazdy, dokonywali kontroli samochodów, przejawiając szczególną troskę o ich sprawność techniczną. Ulubioną ich czynnością było zastawianie zasadzek. Na skrajach lasów czatowały w zaroślach patrole, które na widok grupy osób powracających z nabożeństwa wyskakiwały krzycząc „ręce do góry" i dokonywały brutalnej rewizji. Odstępowały od niej życzliwie jedynie w przypadku, kiedy dostrzegały sterczące z kieszeni butelki z samogonem.

Sionkę w Teatrze Kameralnym zamieniono na wartownię. To mnie zbytnio nie zaskoczyło. Wiedziałem już dobrze, że należy uzbroić się w cierpliwość. Wyczekałem więc stojąc na boku, aż ostatni z maszynistów zniknął w głębi przedsionka, aby zbliżyć się do stolika. Wtedy się jednak okazało, że moja wiedza w tej dziedzinie życia państwowego ma duże niedostatki. Nie brała bowiem pod uwagę namiętności pedagogicznej, jaka w równej mierze z namiętnością rozkazywania ogarnęła wszystkich zatrudnionych przy budowie nowego ustroju. Mojego wejścia oficer siedzący za stołem zupełnie nie zauważył. Popadł w głęboką i wzbudzającą szacunek zadumę, jaka ogarnia dotychczas sprzedawców w sklepach i urzędników w biurach. Starałem się nawet kaszlnięciem nie przeszkadzać mu w rozmyślaniach nad doskonałością świata już nieomal osiągniętą. Byłbym tak stał długo, gdybym nie spostrzegł, że za mną tworzy się już milcząca kolejka.

— Panie poruczniku... — odezwałem się nieśmiało.

— Kapitanie! — poprawił mnie na pozór odruchowo, ale dalszy ciąg wskazywał, że nie odbywało się to bez udziału świadomości. Świadczyło o tym niezmierne zdumienie malujące się na jego twarzy i natychmiast zastąpione gniewem.

— Jaki panie? Jaki tam znów panie? — wykrzyknął wytrzeszczając wściekle oczy. — Skąd wyście wzięli tego pana? Prosto z lasu? Co? Czego tutaj chcecie?

— Wejść do teatru. Jestem reżyserem tego przedstawienia.

— Dowód! — uniósł się z krzesła do połowy ciała. Żołnierz także wysunął się do przodu.

Położyłem na stole legitymację.

— Cofnijcie się — syknął z odrazą. — Cóż to tak na mnie włazicie?

Ostąpiłem od stolika i oddałem się oczekiwaniu. Przyszło mi to robić dość długo, gdyż sprawdzał na zmianę oba położone na stole dokumenty z nienawistną starannością. Porównywał mój wygląd na zdjęciach i w naturze, sprawdzał podobieństwo osobistych podpisów, patrzył pod światło, czy nie dostrzeże gdzieś śladów wydrapań albo poprawek. Przez cały czas rzucał na mnie oskarżycielskie spojrzenia i czekał, żebym się wreszcie przyznał do podstępnych zamiarów. Ponieważ jednak do tego nie doszło, więc uciekł się do ostatniego zabiegu. Z groźną powolnością wodząc palcem po papierze, szukał mego nazwiska na liście. Było na właściwym miejscu, toteż tylko ze zdziwieniem pokołysał głową.

— Możecie wejść — postanowił wreszcie. — Ale na przyszłość to z tym panem nie róbcie sobie żartów. Może się to dla was skończyć gorzej niż tym razem.

Wartownik zasłaniający drzwi odsunął się niedbale, żeby zrobić mi przejście. Wszedłem więc na scenę.

Widoku, który ujrzałem, nie zapomnę tak łatwo. Na coś takiego nie zdobyłaby się nawet fantazja rozzuchwalona długoletnimi swobodami groteski. Scena Teatru Kameralnego jest niewielka. Mierzy chyba tylko ze siedem metrów w poprzek i ze sześć w głąb. Dekoracja do pierwszych trzech aktów zatłoczyła ją tak bardzo, że aktorzy musieli zdobywać się na nie lada wysiłek, żeby pozorować swobodę ruchów. Zelwerowicz, który niedawno przeżył udar mózgu i miał prawą część ciała dotkliwie obezwładnioną paraliżem, umiejętnie wygrywał tę ciasnotę dla ukazywania walki z kalectwem. Ale Hanka Skarżanka pełna naturalnego temperamentu i na dodatek grająca dziewczynę radośnie zakochaną miała wiele kłopotów z tanecznym rozkołysaniem ciała i potrzebą pędu. Umiała zresztą podobnie jak Zelwerowicz, obrócić to na korzyść swojej roli. Nagłe zatrzymania w pół kroku wywołane brakiem miejsca usprawiedliwiała czujnością, aby się nie zdradzić ze swego bujnego szczęścia.

Można by zapytać, nawet z pewną irytacją, czemu teatr nie ułatwił sobie zadania i nie uprościł dekoracji, utrudniających tak bardzo swobodę aktorom? Odpowiedź jednak narzucała się sama. Małe doświadczenie sceniczne pisarza wyrażało się nie — jak to najczęściej bywa — w nieporadności dialogu, bo z nim radził sobie wcale dobrze, ale w szacunku dla zastanych konwencji teatralnych. Pisał dramat w czasie, kiedy ledwie zaczynano walkę z przyjętą od dawna i świeżo bardzo odczuwaną zasadą imitacji rzeczywistości. Naturalizm odkrył w niej mnóstwo zalet. Związywał człowieka z otoczeniem, zanurzył go w środowisku rzeczy i nauczył się posługiwać otoczeniem jako świadkiem kondycji osób, występujących na scenie. Żeromski tak widział swoją sztukę w teatrze. Nie było powodu, żeby tych jego życzeń nie spełnić. Zwłaszcza, że zyskiwały na nowo względy estetyki oficjalnej, a to mogło ułatwić życie innym jego utworom.

Dekoracja do pierwszych trzech aktów przedstawiała wnętrze jednego z drewnianych domów letniskowych, jakie stawiano

w zalesionych okolicach wielkich miast i chętnie urządzano w nich pensjonaty. Zatłoczone było nad wszelką miarę meblami przeniesionymi z obszerniejszego ziemiańskiego dworu dla ukazania przeszłości obecnych właścicieli domu. Ponieważ zaś podejmowano również zadanie, aby ukazywać pory roku, więc część sceny w głębi zajmował ganek obrośnięty dzikim winem zielonym w lecie i purpurowym jesienią.

Sytuację tak niezwykłą, że zaparła mi dech w piersi, stwarzała obecność w tym zagraconym pokoju kilkunastu funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Zajmowali tutaj stanowiska bojowe. Jeden przylepił się do węgła werandy, dwóch przyklękło za zastawką imitującą krzewy ogrodu, kilku innych nie znajdując tak dogodnych kryjówek poukładało się w pozycjach strzeleckich na podłodze za sfatygowanym fotelem Zelwerowicza, za kanapą Pancewiczowej, za stolikiem Małyniczówny, za ścianami po obu stronach sceny. Ich automaty trzymały pod obstrzałem całą widownię. Aktorzy, charakteryzujący się teraz w garderobach, po wyjściu na scenę nie mieliby gdzie nogą stąpnąć.

Upłynęło sporo czasu, zanim ochłonąłem ze zdumienia. Tym mocniejszego, że nikt z tej wojennej placówki nawet nie drgnął. Zdawali się mnie nie dostrzegać.

— W ten sposób — powiedziałem opanowując wzburzenie — panowie nie dopuścicie do przedstawienia. Czyż wyobrażacie sobie, że aktorzy będą mogli grać w tych warunkach? Proszę natychmiast wstać i wyjść.

Odpowiedziało mi głuche milczenie. Nikt z funkcjonariuszy nawet nie zwrócił na mnie oczu. Mieli wzrok utkwiony w wyznaczone cele.

— Słyszeliście, co mówiłem? — zaczynałem tracić cierpliwość. — Jeśli w tej chwili nie zejdziecie ze sceny, przedstawienie się nie odbędzie. Cóż to znowu za żarty? Chyba rozumiecie, co się do was mówi!

Znowu odpowiedziała mi cisza. W pewnej chwili wydało mi się, że usłyszałem tłumiony chichot, ale musiało mi się przesłyszeć, gdyż wszystkie twarze zachowały wyraz całkowitej martwoty.

— O, do diabła! — podniosłem głos. — Macie się stąd wynieść natychmiast, bo przedstawienie się zbliża. Musimy jeszcze przygotować scenę. Cóż to za ignorant was tutaj umieścił? Nigdy nie był w teatrze, czy co?

Przez młodą twarz policjanta klęczącego za fotelem Zelwerowicza przeleciał błysk zadowolonego uśmiechu. Ledwie dostrzegalnym ruchem oczu wskazał mi wejście na scenę za swoimi plecami. Stał tam okazały oficer z mnóstwem medali na mundurze. Zachował nawet dystynkcje pułkownika. Mało pochlebna nazwa, jaką mu nadałem, nie spędziła z jego twarzy ironicznego rozbawienia. Najwidoczniej czuł się całkowicie panem sytuacji.

— Obywatelu pułkowniku! — podszedłem do niego, starając się nie potknąć o leżących strzelców. — Widzi pan, co tu się dzieje?

— A cóż znowu takiego się dzieje? — przeciągał samogłoski na sposób kresowy. — Nic ja takiego nie widzę. Oprócz waszego zachowania. Kto wy taki znowu jesteście, żeby się tak tutaj rozporządzać?

— Jestem reżyserem tego spektaklu — odpowiedziałem. — Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby mógł się odbyć w warunkach dogodnych. W takich, jakie teraz panują, nie mógłby się odbyć w ogóle.

— Nie mógłby, powiadacie? — oczy mu się zwęziły w złośliwym uśmiechu. — A czemuż to? Może macie zamiar mnie pouczać, jak mam spełniać moje obowiązki, co?

— Nie mam takiego zamiaru. Proszę tylko...

— Ja to już słyszał stojąc przy wejściu — głos jego stawał się świszczący — i dziwił się waszej hardości. Wy, jak mi się wydaje, chcecie nas nastraszyć, a ja wam po prostu nie radzę.

— Obywatelu pułkowniku...

— Od straszenia to jestem ja — objaśnił z groźnym spokojem — kiedy już do tego dojdzie. Dla was byłoby lepiej, żeby nie doszło, rozumiecie?

— Rozumiem. Muszę jednak powiedzieć bez uciekania się do gróźb, że jeżeli ta obstawa nie zejdzie ze sceny, to przedstawienie się nie odbędzie.

— A to niby kto tak zdecydował?

— Mógłbym złożyć całą odpowiedzialność na was, obywatelu pułkowniku, gdyż nie zostawiliście na scenie miejsca dla aktorów, ale ponieważ za porządek na scenie odpowiadam ja jako reżyser, więc oświadczam wam, że tak zadecydowałem ja.

— Wy? Słuchajcie no...

— Tak, ja. I nie błyskajcie tak na mnie oczami, bo to dzisiaj na nic się wam nie zda. Tak się złożyło, że nic mi nie możecie zrobić. Do końca spektaklu jestem pod opieką, która mnie chroni skutecznie nawet przed wami.

— Znowu grozicie?

— Nie. Usiłuję was tylko przekonać, że wasze kompetencje są w tym wypadku bardzo ograniczone.

Popatrzył na mnie tak, jak patrzył na badaniach w czasie przesłuchań. Oczy mu pociemniały z nienawiści. Widocznie jednak dłuższe doświadczenie nauczyło go zachowywać ostrożność, gdyż obrócił się na pięcie i wybiegł. Nastała długa cisza. Żołnierze z obstawy zachowywali się wciąż z taką obojętnością, jakby wszystko, co zaszło, zupełnie ich nie dotyczyło. Pułkownik wrócił po kilku minutach. Zapewne porozumiał się przez telefon ze swoimi zwierzchnikami.

— Ilu ludzi tutaj nie będzie wam przeszkadzało? — wycedził przez zęby.

— Dwóch. I to nie na scenie.

— A gdzie?

— Jednego możecie umieścić na samym przodzie za rampą sceny, jest tam szpara pozwalająca śledzić widownię, drugiego w głębi za werandą. Żaden z nich nie może zdradzić swojej obecności, bo to ośmieszyłoby dzisiejszych widzów. Sami wiecie, jak bardzo nie lubią śmieszności. Zresztą, to nie moje zmartwienie.

Pułkownik jednym niedbałym ruchem ręki kazał powstać swoim podkomendnym, drugim wypędził ich ze sceny i nie zaszczycając mnie spojrzeniem wyszedł za nimi. Stąpał powoli z demonstracyjną godnością.

Zamierzałem jeszcze sprawdzić, co się dzieje w hallu teatralnym, ale kiedy zbliżyłem się do drzwi prowadzących na widownię, z zakamarka, gdzie siedziała zazwyczaj suflerka, wyskoczył uzbrojony wartownik i zastąpił mi drogę.

— Nie wolno! — powiedział z groźbą w głosie.

Przedstawienie mogłem obejrzeć ukryty za ścianką dekoracji. Uprzednio przygotowano mi tam dwa kwadratowe otwory zamaskowane merlą. Wprawdzie aktorów widziałem nienajlepiej, gdyż przy wszystkich sytuacjach toczących się w pobliżu traciłem ich z oczu, ale w nagrodę zyskiwałem wprost wymarzony obraz widowni. Ogarniałem spojrzeniem całą salę od pierwszych rzędów foteli na parterze po ostatnie miejsca na balkonie. W tej chwili jeszcze tonęły w półmroku.

Odwiedziłem aktorów już przygotowanych do spektaklu w ich ciasnych garderobach, sprawdziłem dla zadośćuczynienia dobrym obyczajom ich wygląd, zamieniłem parę obojętnych słów, czego się przestrzega zawsze przed premierą i przez scenę udałem się do Zelwerowicza. Za względu na kalectwo miał urządzoną naprędce garderobę w schowku na rekwizyty po lewej od widza stronie sceny. Siedział już zupełnie przygotowany do występu tyłem do lustra z laską na kolanach i przygładzał doklejone siwe, szlacheckie wąsy. Jak zwykle, kiedy doświadczał niepokoju, poruszał ustami pykając, jakby zasypiającemu dziecku udawał lokomotywę.

— No, cóż — powiedział, kiedy wszedłem — aktor nie wybiera sobie widowni... I chwała Bogu, i chwała Bogu... Źle bym na tym wyszedł, prawda?

— Prawda — przytaknąłem i poszedłem do swojego stołka w ciasnej kryjówce. Wkrótce odezwał się pierwszy dzwonek. W sali zabłysły światła.

Po otwarciu drzwi widownia zapełniła się w jednej chwili. Odbyło się to jednak bez zwykłego gwaru. W tej ciszy donośniej brzmiały nawoływania się kilku dygnitarzy popisujących się swobodą. I oni jednak wkrótce ucichli. Widownia oczekiwała w milczeniu. Różniła się znacznie od zwykłej. Na balkonie nabitym do ostatniego miejsca wzdłuż ścian po obu stronach stanęły szeregi młodych mężczyzn ubranych po cywilnemu w jednakowe garnitury. To samo powtórzyło się na parterze, gdzie zostały wolne pierwsze trzy rzędy. Wkrótce czwarty rząd zajęli od brzegu po brzeg panowie także ubrani jednakowo, lecz jakby trochę staranniej. Dopiero kiedy ławą zwartych ciał odgrodzili widownię od wolnych miejsc na przodzie, otworzyły się pierwsze drzwi na salę. Za przykładem funkcjonariuszy ochrony rządu wszyscy wstali. Do teatru wkroczyło Biuro Polityczne partii.

Słowo „wkroczyło" dopiero przy tym sposobie poruszania się nabrało właściwego znaczenia. Określenie, że uczynili to godnie, nie oddaje jeszcze w pełni ich zachowania. Przebijała z niego przede wszystkim chęć budzenia podziwu. Toteż z niezwykłą starannością, jak mało kto przed nimi, organizowali sobie publiczne występy. Wynajdywali mnóstwo świąt, uroczystości, pochodów, na których pozwalali się wielbić. Ponieważ uznawali to za jeden ze sposobów uprawiania polityki, więc zapewniali sobie z góry entuzjazm tłumów. Wyznaczali spośród zgromadzonych przysięgłych wielbicieli, wznoszących co chwila okrzyki „Niech żyje!" na chwałę rządzących i „Śmierć! Śmierć!" na hańbę ich wrogów. Starali się też wyglądać okazale. Na takie występy ubierali się jak do pamiątkowej fotografii. Nie korzystali z ubogich „usług dla ludności", które przewidywały trzy rozmiary garniturów z lichego materiału dla zdumiewającej rozmaitości mężczyzn na tym bożym świecie. Mieli własnych krawców, szewców, kapeluszników, a drogie sukna sprowadzali zza granicy. Chęć wyróżnienia się z tłumów zaludniających świat posuwali znacznie dalej niż dawni władcy, których urodzenie zwalniało od podobnych kłopotów. Nimb królewskości zaćmiewał czasem nawet niedostatki fizyczne. Car Mikołaj II nie okazywał skrępowania, kiedy na uroczystościach kroczył obok małżonki wyższej od niego niemal o głowę. Stalin, jeszcze mniejszy, kazał na samym środku trybuny ustawiać specjalne podwyższenie, aby górować nad otoczeniem. Uważał za swój polityczny obowiązek sprostanie wyobrażeniom ludowym o herosie większym i silniejszym od zwykłych ludzi.

Nasi wielkorządcy na ogół nie uciekali się do podobnych zabiegów. Może krępowała ich trochę skłonność ludu polskiego do kpin. W dużo większym stopniu jednak od nadmiernego okazywania potęgi powstrzymywała ich znajomość sytuacji. W ich zachowaniu pycha, ciągle nie syta hołdów, mieszała się z jakimś niedowierzaniem, że to ich wyniesienie zdarzyło się naprawdę. Najbardziej uderzającą cechą tych ludzi była ponurość. Trudno było wyobrazić sobie, że mogą się śmiać ze szcze-

rego serca, swobodnie i beztrosko. W każdym ich słowie i ruchu czaił się strach zrodzony nie z okrutnych dziejów świata, ale z zależności od strasznych ludzi. Nikogo ze swego otoczenia nie mogli być pewni, w każdym czaił się wróg, szpieg i podstępny współzawodnik w zdobywaniu władzy. Stąd brała się ich skłonność do intryg, podsłuchów, donosów, rozjątrzonej podejrzliwości, wciąż czujnej i bezsennej wrogości, słowem wszystkich przywar panoszących się w tyranii. Rozeznać się w tej plątaninie najbystrzej mógł ten, kto przestawał na samym dworze albo posiadał na nim wpływowych opiekunów. Wprawdzie znakomita większość naszych władców przeszła właściwe przeszkolenie w głównym ośrodku dyspozycji, ale nie wszystkim udało się utrzymać na dłużej dobre stosunki. Toteż nawet kolejność wchodzenia na salę obrad była ściśle uzależniona od tego, jak każdy z nich był widziany w tajemniczej, groźnej i wszechmocnej centrali. Zresztą podlegającej tym samym niepokojom.

Przez swoje kwadratowe okienka zaklejone merlą patrzyłem, jak ukazywali się w drzwiach wedle obowiązującego natenczas porządku i zajmowali miejsca również wyznaczone z góry. Pierwszy, rzecz prosta, wszedł Bierut w asyście dwóch adiutantów, którzy stanęli po obu stronach wejścia. Bierut zajął fotel w samym środku pierwszego rzędu i lustrował wchodzących. Podchodzili do niego jeden za drugim w ustalonej kolejności i schylali głowy w głębokich ukłonach przy podawaniu ręki. Na powitanie bardziej poufałe, z dotknięciem ramienia, pozwolił sobie tylko malutki Aleksander Zawadzki, który podobno cieszył się niezmienną łaskawością rosyjskich mocodawców. Te względy miał zawdzięczać inteligencji tak skromnej, że nawet przy wschodniej podejrzliwości nie można go było posądzać o szczyptę krytycyzmu. Płonął ciągle tym samym ponurym entuzjazmem, jak knot zanurzony w brudnej oliwie. Podobno jako przewodniczący Rady Państwa wypowiadał się zawsze za wykonaniem wyroku śmierci.

Zanim odezwał się gong i zgasły światła na widowni, zdążyłem się przyjrzeć twarzom zwróconym ku kurtynie. Różniły się one od twarzy oglądanych zazwyczaj. Nie było na nich widać tego oczekiwania, jakie zdradzają widzowie przed spektaklem poprzedzonym rozgłosem. Przeciwnie, były tak doskonale obojętne, jakby powlekała je laka, którą aktor chiński utrwala swoją, nigdy nie zmienianą, charakteryzację.

Toteż patrząc na trzy rzędy twarzy, starających się o wyraz nieprzenikniony, jakby należały do ławy przysięgłych, byłem ciekaw, czy wydarzenia na scenie zdołają chociaż na chwilę ożywić te woskowe maski. Przyglądałem się im zatem znacznie uważniej niż aktorom, których mogłem oglądać dopiero wtedy, kiedy odsunęli się na środek sceny.

Już na początku spektaklu stwierdziłem z ulgą, że umieli w najwyższym stopniu zachować godność aktorską. Nie okazywali w niczym, że występują przed publicznością, od której zależał ich los. Nie starali się jej niczym przypodobać. Dbali jedynie o prawdę ludzką postaci i wykazywali wzorową dyscyplinę sztuki. Przewodził w tym Zelwerowicz, o którego lękałem się najbardziej. Starość i choroba sprawiały bowiem, że często bawił się rolą jak dziecko nową zabawką. Tym razem jednak swą rolę zbiedniałego ziemianina, całkowicie uzależnionego od władczej córki, zagrał z niezwykłym wyczuciem chwili. Był pochlebczy i uniżony, nie wobec panów swojego losu na widowni, lecz wobec dwu ambitnych kobiet na scenie. Rozmowa tych dwu pań, zawiązująca akcję, świadczyła, że autor włada nadspodziewanie sprawnie środkami dramatycznymi. W paru zdaniach zarysowała się wyraźnie sytuacja w tym pensjonacie, gdzie zubożała ziemiańska rodzina uzależniona jest od humorów bogatej lokatorki burżuazyjnego pochodzenia. Panna Parmen, grana przez Zofię Małynicz, mogła sobie pozwolić na okazywanie łaskawości wskazującej na to, jak bardzo jej względy mogą zaważyć na losach rodziny. Chciałaby nawet uchodzić za bezinteresownego dobroczyńcę. Proponuje, aby młodsza siostra właścicielki pensjonatu wyjechała za jej pieniądze do Włoch na naukę śpiewu, gdyż obdarzona jest wyjątkowo pięknym głosem. Przyczyna tej szlachetności jest jednak zupełnie odmienna. Panna Parmen, dość już posunięta w latach, chciałaby usunąć dziewczynę z domu, gdyż o jej względy ubiega się młody i niezamożny adwokat, również zamieszkały w pensjonacie. A cała intryga polega zwyczajnie na tym, że do młodego człowieka zapłonęła spóźnioną i namiętną miłością sama ofiarodawczyni. Dramat rozwija się zręcznie i szybko na oczach widzów wedle najlepszych wskazań dramatu naturalistycznego. Panna Parmen drapieżnie przyciska do stołu rękę młodego człowieka, a kiedy ten wysuwa ją delikatnie z niechcianego uścisku, postanawia ożenić go ze skromną i nieładną opiekunką swojej matki. Piękna Anna odrzuca z pogardą ofiarowane jej stypendium, gdyż świetnie zdaje sobie sprawę z powodów tej łaskawości. Robi to nie tylko dlatego, że jest głęboko zakochana w młodym prawniku, ale że również spodziewa się z nim dziecka. Wypadki toczą się z brutalną szybkością. Pomieścił je akt pierwszy i drugi, grane łącznie. W następnym akcie, toczącym się kilka miesięcy później, do pensjonatu zajeżdżają już jako elegancko ubrane małżeństwo prawnik z guwernantką i wtedy Anna nie może ukryć swego stanu, co powoduje usunięcie jej z domu przez niemiłosierną siostrę. W ten sposób zbliżamy się do sceny, która wywoływała dotąd głębokie wzruszenie publiczności. Okazywało się wówczas, że szczególną wrażliwością na ludzkie okrucieństwo odznaczali się

widzowie, których z pozoru trudno by było posądzić o brak opanowania. Tak się złożyło, że na jakiś tydzień przed obecnym przedstawieniem jeden ze spektakli wykupił Urząd Bezpieczeństwa, prawdopodobnie ze względu na spodziewaną wysoką wizytę. Otóż mogłem wtedy zanotować z niejakim rozbawieniem, że na żadnym z poprzednich przedstawień nie występowało takie nieukrywane zbiorowe pociąganie nosami. Toteż ze szczególną uwagą śledziłem twarze dotąd nieruchome. Otóż i tutaj nie zdołano utrzymać zamierzonej pozy. Biuro Polityczne wprawdzie nie pozwoliło sobie na jawne oznaki wzruszenia, ale przynajmniej zapowiedziało je kilka głębokich, powstrzymywanych westchnień. Z tego, jak się okazało, niezawodnego efektu byliśmy z Zelwerowiczem prawdziwie dumni, gdyż był on wynikiem nie spontanicznego odruchu, ale zamierzonego i dosłownie ściśle obliczonego. Mianowicie, kiedy Anna po przypadnięciu do kolan ojca podnosiła swój ubogi węzełek i zmierzała do drzwi, to wtedy Zelwerowicz, wygrywając swoje kalectwo, uciekał się do niemego błagania. Podnosił mianowicie lewą rękę, a prawą, opartą na lasce, wykonywał dwa ruchy. Tę liczbę drgnięć chorej ręki wyliczyliśmy sobie na próbach dokładnie, gdyż wydawała się nam wyzwalać najsilniejsze emocje. Istotnie, kiedy na kilku późniejszych spektaklach Zelwerowicz pozwolił sobie przekraczać tę magiczną ilość ruchów, widzowie zamiast się podać wzruszeniu kręcili się tylko niespokojnie na miejscach. Sprawdziliśmy i tym razem na widzach niezmiernie odpornych, że zamierzony czar działał.

Tuż po zapadnięciu kurtyny po trzecim akcie, zanim Zelwerowicz zdołał dojść do swojej garderoby powłócząc sparaliżowaną nogą, na scenę wbiegł minister Sokorski. Był niezmiernie podniecony. — Obywatel prezydent — wołał zdyszanym głosem — prosi do siebie: Zelwerowicza, Kruczkowskiego i Korzeniewskiego. Prezydent Bierut prosi o stawienie się u niego natychmiast trzech wymienionych artystów. Zobaczywszy Zelwerowicza jak siedzi w fotelu z pochyloną głową, jeszcze z ręką na lasce i ciężko oddycha, podbiegł do niego zginając się w ukłonie. — Obywatel prezydent pragnie z wami rozmawiać, mistrzu. Oczekuje na was na widowni. Zechcijcie do niego zejść na dół. Będzie mógł pan zejść, prawda? Zelwerowicz bez słowa odwrócił się do lustra, sprawdził, czy mu się dobrze trzymają siwe przyklejone wąsy, pogładził ręką własną siwą czuprynę i zwrócił się do garderobianego, który stał za nim. — Ty, kochasiu — powiedział spokojnie — przeprowadzisz mnie jak zwykle, ale pamiętaj że teraz będą schody. Dasz sobie radę?

— Na pewno, na pewno, może się pan nie obawiać — zaręczał z zapałem garderobiany — dotąd zawsze szło nam dobrze. Zarzucił prawą rękę Zelwerowicza sobie na kark i przechylił

duże ciało aktora w swoją stronę. Tak przesunęli się do wyjścia. Szliśmy za nimi. W pewnej chwili Sokorski nas wyprzedził, otworzył drzwi i zszedł na dół. Zelwerowicz chwycił się zdrową ręką za poręcz i oparty całym ciałem na drobnym garderobianym pokonał dwa pierwsze stopnie.

Zobaczyliśmy wtedy Obywatela Prezydenta. Stał uroczyście wyprostowany przed wyzłacanym fotelem w stylu Ludwika XV z łaskawym uśmiechem na szerokiej twarzy. Tuż za nim, po obu bokach fotela, prężyło się w galowych mundurach dwóch wysokich adiutantów. Ze swoimi srebrnymi sznurami przy naramiennikach i odznaczeniami na piersiach nie różnili się niczym od tych oficerów, którzy zaledwie przed kilku laty stali na baczność w loży za marszałkiem Rydzem-Śmigłym, kiedy raczył zaszczycić swą obecnością uroczyste przedstawienie w Teatrze Narodowym.

Dość obskurny hall w Teatrze Kameralnym zmieniony był nie do poznania. Jakiś z przydzielonych do Belwederu architektów czy historyków sztuki przeobraził połowę tego ubogiego i ciasnego korytarza teatralnego w salon recepcyjny. Wspaniały gobelin zamykał przejście do dalszej części hallu, ze ścian zwisały takież arrasy czy gobeliny skonfiskowane w którymś z ocalałych cudem pałaców. Na takim właśnie tle pysznił się swymi złoceniami fotel przeznaczony dla prezydenta, zapewne również zdobycz wojenna z innego budynku zabytkowego, którego nie wyrabowały i nie zamieniły w kloakę wojska zwycięskiej ofensywy.

Bierut uprzejmym gestem zaprosił nas do salonu. Sokorski stanął za nim, w przyzwoitej odległości, nieco z boku. Najwyraźniej przygotowywał się do przedstawienia zaproszonych.

— Wytrzymasz, kochasiu? — zapytał Zelwerowicz garderobianego, który uginał się pod jego ciężarem. — Wytrzymam, nie ma strachu — odpowiedział garderobiany, zszedł o stopień niżej i ściągnął sobie na plecy ogromne bezwładne ciało. Utrzymał ten ciężar przez dłuższą chwilę, zanim aktor trzymając się lewą ręką poręczy opuścił martwą prawą nogę.

— Idzie nam jakby na pokaz — pochwalił się Zelwerowicz dość głośno, aby Bierut mógł usłyszeć. — Byle tak dalej. Jesteś gotów? Garderobiany powtórzył poprzednie czynności, ale po jego wytrzeszczonych oczach było widać, że podjął się zadania nad siły. Bierut widać zdał sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji, gdyż nie odwracając głowy rzucił za siebie do stojących nieruchomo za nim adiutantów: — Proszę pomóc, towarzysze! Oficerowie wymienili ze sobą ukradkiem szybkie spojrzenia. Przebijało z nich zdumienie, jakie okazałyby manekiny sklepowe, gdyby im polecono zrobić porządek na wystawie. Ruszyli jednak do schodów, odsunęli szorstko garderobianego i ujęli Zelwerowicza pod ramiona. Niemal nieśli go na dół.

— No, proszę — powiedział Zelwerowicz postawiony przed Bierutem. — Zawsze twierdziłem, że ostatecznie rozstrzyga siła militarna. Dziękuję panom, wojacy.

Oficerowie poprawili na sobie mundury, jak ptaki pióra nastroszone w popłochu, sprawdzili czy metalowe wisiorki zwisają prostopadle, po czym wyprężyli się znowu za plecami prezydenta. Wdrożone im zachowanie nie przewidywało zaskakujących wypadków. Wyszkolono ich dla ozdoby.

— Poprosiłem panów artystów do siebie — powiedział Bierut — aby im wyrazić zadowolenie ze spektaklu we własnym imieniu oraz towarzyszy z Biura Politycznego. Proszę udać się z nami na salę.

Minister Sokorski otworzył drzwi na widownię i stanął przy nich, aby przepuścić przed sobą prezydenta z adiutantami. Poszliśmy za nimi. Zelwerowicz oparł się znowu na garderobianym i dość sprawnie pokuśtykał na czele naszej trójki.

Oczekiwało nas przyjęcie naprawdę niezwykłe. Na sali teatralnej nie było publiczności. Parter i piętro zionęły pustką. Zniknęło nawet tych dwudziestu paru rosłych panów, którzy wypełniali ramię przy ramieniu czwarty rząd krzeseł. Natomiast przed pierwszym rzędem pustych foteli stali uszeregowani jak na trybunie honorowej w dniu wielkiej uroczystości członkowie Biura Politycznego. Ustawili się w przyjętej i ściśle przestrzeganej kolejności. Poznawaliśmy postacie znane nam z publikowanych ciągle zdjęć w prasie i w filmie. Zachowywaliśmy je w pamięci tak dokładnie, że mogliśmy bez omyłki wskazać, kto uległ przesunięciu z miejsca piątego na ósme po niezbyt ostrożnej wypowiedzi, a kto zniknął w ogóle z reprezentacji i został na oficjalnych zdjęciach zastąpiony przez okazały bukiet kwiatów. Przydarzyło się to niezbyt dawno Gomułce i Spychalskiemu. Zastąpiły ich na zbiorowych fotografiach wspaniałe wiązanki goździków i chryzantem. Trzeba przyznać, że wyglądały korzystniej.

Tutaj przynajmniej kilku panów ustawionych w szereg imitowało postawę wojskową, chociaż przyzwyczajenia do wciągniętego brzucha i wypiętej piersi mógł, na dobrą sprawę, nabrać tylko jeden, marszałek Konstanty Rokossowski.

Nie musiał się wysilać, aby się wyróżnić. Górował nad wszystkimi przynajmniej o głowę. Przy bardzo wysokim wzroście zachował smukłą sylwetkę kawalerzysty. Mundur polskiego oficera nosił jak paradny strój carskiego huzara czy dragona. Dobrze skrojona kurtka opinała mu się na wygiętej kibici tak ściśle i bez najmniejszej zmarszczki, jakby przylegała do gorsetu. Może nosił ten gorset naprawdę. Powitał nas przyjaznym uśmiechem na zadziwiająco młodej twarzy. W tym jego poufałym uśmiechu było jednak coś z zażenowania. Uśmiechał się tak,

jakby nas za coś przepraszał. Może za to, że nie nauczył się mówić po polsku i że wobec tego nie weźmie udziału w rozmowie, a może nawet za to, że mu przyszło w niełatwym życiu udawać Polaka dla wcielenia w stalinowskie imperium podbitego kraju. Wiedział przecież dobrze, że trzeba było w nim rozstrzelać najdzielniejszych, żeby narzucić posłuch. Robił wrażenie prawdziwego żołnierza, który zachowuje szacunek dla pokonanego przeciwnika i nie zabija bezbronnych. Budził odruchowo i pewnie zupełnie bez powodu sympatię. Może dlatego, że nie widziano u niego krwi na rękach ani zdrady przyjaciół na sumieniu. Mało kto zresztą wiedział, jak było rzeczywiście. Po prostu nie miało się ochoty przypuszczać, że obarczał zmyślonymi zbrodniami kolegów w trakcie śledztwa albo składał donosy na towarzyszy w celi. Co do jego postępowania w Polsce na stanowisku najwyższego rangą powiernika Stalina, to bardzo niewiele o tym wiedziano. Działalność Rokossowskiego jako dowódcy polskich sił zbrojnych była otoczona ściśle strzeżoną tajemnicą. Zadziwiająco mało z niej przenikało na zewnątrz. Zupełnie na przykład nie docierało do opinii publicznej, jaką rolę odgrywał w podstępnym zwabianiu do powrotu bohaterskich oficerów polskich z Zachodu, aby ich umieszczać w celach śmierci. Można się tylko było domyślać, że na powierzenie mu takich odpowiedzialnych zadań, jakie spełniał w Polsce, musiał czymś zasługiwać. Zaufania Stalina nie zdobywało się tanim kosztem. Trzeba było za nie płacić w monecie lepkiej od zbrodni. Były to jednak tylko straszne domysły. Toteż przyjazny uśmiech, jakim nas powitał już na wstępie, różnił się czymś ludzkim od tych wszystkich urzędowych uśmiechów, które przeskakiwały z twarzy na twarze w miarę, jak przesuwaliśmy się wzdłuż rzędu dygnitarzy, aby uścisnąć podane ręce.

Bierut stał przy rampie sceny w otoczeniu swoich wyprężonych adiutantów, nadzorując powitanie. Sokorski drobił przed nami i wymieniał co chwila nasze trzy nazwiska mijanym dygnitarzom zaszczycającym nas podaniem ręki.

Nie wszystkie z wyciągniętych dłoni było łatwo przyjąć. Oto chociażby stojący obok pustego fotela Bieruta Jakub Berman. Niski, łysy, otyły, ale z uderzająco pięknymi oczami, celowo przygaszonymi, uchodził wówczas powszechnie za sprawcę sprowadzenia podstępnie z Anglii i wymordowania w piwnicach bezpieki bohaterskich oficerów, walczących po stronie aliantów. Dzisiaj trochę z sekretów tamtej haniebnej epoki wychodzi na jaw. Wiadomo zatem, że morderstwa polityczne planował sam Bierut stosownie do otrzymanych poleceń, ale naśladując Stalina szerzył pogłoski, że zajmował się tym niejako z urzędu polityk sprawujący nadzór nad Bezpieczeństwem. „Gospodarz", bo i tę dobrotliwą nazwę wypożyczył od Stalina,

zabiegał o sympatię w narodzie, który ciemiężył. Swoje bliskie stosunki z Berią utrzymywał w dobrze strzeżonej tajemnicy. Nie miał natomiast nic przeciw temu, żeby wiadomości o bliskich stosunkach Bermana z Berią przedostawały się za drzwi obite wojłokiem. Znajdowały chętny posłuch, gdyż przy podziale władzy Berman uzyskał, czy też pozwolił sobie narzucić, opiekę nad tak odległymi z pozoru dziedzinami administracji, jak kultura narodowa i bezpieczeństwo publiczne. W takim połączeniu nabierały one nowego i bardzo wymownego znaczenia, dotychczas nie rzucającego się w oczy. Praktyki stalinowskie sprawiały, że w nowym układzie stosunków przestawały się one tak bardzo między sobą różnić. W kręgach bliższych znajomych Berman nie cieszył się opinią człowieka o żywszej inteligencji. Nie uważano go także za szczególnie przebiegłego. Mimo to uchodził za przeciwnika, który może być prawdziwie niebezpieczny. Toteż przypisywano mu zbrodnie obmyślane i wykonane przez innych. Może dlatego, że dotychczas udawało się mu wyjść cało z wielu zasadzek, jakie wciąż zastawiali na siebie wzajemnie współuczestnicy władzy.

Do nas uśmiechnął się przy powitaniu samym tylko skrzywieniem ust bez najmniejszej zmiany w oczach, które niczego nie wyrażały. Nawet tego, czy nas naprawdę dostrzegają. Wobec tej pustki spojrzenia, wyraźnie zamierzonej i kontrolowanej, mechaniczne uśmiechy na innych twarzach wydawały się mniej obelżywe. Nawet przy okazywanej łaskawie życzliwości. Były zresztą tak do siebie podobne, że zostały dzisiaj w pamięci po paru dziesiątkach lat, jako zbiorowy odruch wykonany jak w wojsku, na komendę.

Po przejściu do końca rzędu krzeseł przystanęliśmy pod rzędami z prawej. Zelwerowicz na przodzie, my obaj z Kruczkowskim za nim. Bierut wystąpił o krok przed swoich adiutantów.

— Przekazałem obecnym tu artystom — powiedział bez posługiwania się kartką — słowa naszego uznania za osiągnięcia tego spektaklu. Jestem przekonany, a jest to przekonanie nas wszystkich, że został dokonany poważny krok do celu wyznaczonego naszej sztuce. Jej głównym obowiązkiem jest czerpać z postępowych tradycji naszej przeszłości i przekazywać je w realistycznej formie nowemu odbiorcy tak, aby wychować go dla przyszłości, czyli dla socjalizmu oraz...

Wydaje się, że przytoczony początek przemówienia został powtórzony wiernie. Nie dlatego, żeby miał zapaść głęboko w pamięć, ale dlatego, że nie mógł zabrzmieć inaczej. Straszliwa nowomowa, rozpowszechniona dotychczas, zaczynała się wówczas ledwie kształtować. W ustach dawnego zecera z prowincji odwoływała się jeszcze do pospolitych zwrotów używanych

poprzednio w języku literackim, ale już zawierała główne cechy komunikatu zadekretowanego. Posługiwała się formułami wygłoszonymi przez Żdanowa, które inspirował i zatwierdził sam Stalin. Odtąd miały obowiązywać od Bugu zagarniętego Polsce po Wyspy Kurylskie zagarnięte Japonii. Zjawiła się więc „inżynieria dusz ludzkich", rozpoczynająca swój triumfalny pochód przez wszystkie zjazdy, konferencje, narady i odprawy.

Towarzysz prezydent stwierdził, że artyści tego przedstawienia takie umiejętności inżynieryjne wykazali i prosił, żeby przedstawiciele teatru przekazali swoim kolegom tę pochlebną opinię. Zapewniał zresztą, że zrobi to również towarzysz minister Kultury i Sztuki.

Minister Sokorski ukłonił się głęboko prezydentowi Bierutowi, ujął Zelwerowicza pod ramię i wraz z garderobianym po drugiej stronie, przeprowadził go między rzędem wyprostowanych dygnitarzy i „Gospodarzem" z jego stojącymi na baczność adiutantami. Tak opuściliśmy widownię, która wkrótce wypełniła się znowu podnieconym tłumem, bardziej jednak przejętym udziałem w widowisku dla wybranych niż samym dramatem.

Ostatni, czwarty akt „Grzechu" dopisał, jak wiadomo, Leon Kruczkowski. Najlepiej tę robotę literacką i polityczną scharakteryzował sprzeciw Marii Dąbrowskiej. Wystąpiła ona ze stanowczą obroną praw autorskich zmarłego pisarza. Nie miałaby zapewne tuż pod ręką wielu nieodpartych argumentów, gdyby Kruczkowski wobec pomysłu zakończenia sztuki zachował się jak literat, a nie jak polityk. Jako literat na pewno nie zachował się poprawnie.

Przerwa między trzema aktami a czwartym wymagała dużo czasu, gdyż trzeba było zmienić miejsce akcji. Z pensjonatu przenosiło się ono na rusztowania wznoszonego domu, po których wspinała się wraz z towarzyszkami Anna dźwigająca cegły i wapno. Tak zwane koźlarki, złożone z biedoty wiejskiej, należały do najgorzej płatnych i najbardziej pogardzanych robotnic. Nie był to jednak pomysł Kruczkowskiego, chociaż go o to pomawiano. Takie rozwiązanie proponował sam Żeromski, który stosownie do upodobań naturalizmu śledził losy kobiet upadłych. Przewidywał je jednak inaczej niż działo się to w nowym akcie czwartym. Żeromski, jak wskazuje ocalała jeszcze scena, zamyślał raczej o odmianie „Dziejów grzechu". Anną, jako łatwym łupem, interesował się spodlony literat, poprzednik Płaza-Spławskiego. Kruczkowski po niedawnych doświadczeniach z „Kordianem i chamem" wysunął pomysł godny raczej prezesa Związku Literatów Polskich i członka KC niż kontynuatora Żeromskiego. Uczynił Annę proletariuszką, ocaloną od hańby przez zdobywających nową świadomość klasową robotników budowlanych. Nowy Płaza-Spławski na rusztowaniach wznoszonej

kamienicy się nie zjawił. Przyszedł natomiast skruszony uwodziciel, aby wraz z tęskniącym ojcem Anny i zamienionym na eleganckiego lokaja dawnym służącym nakłonić dziewczynę do powrotu do pensjonatu. Przyjęcie takiego ratunku utrzymałoby sztukę w dziewiętnastowiecznym realizmie. Kruczkowski jednak przenosił akcję w czasy niemal współczesne. Anna, jako świadoma proletariuszka, wsparta przez solidarnych towarzyszy, odrzuca z pogardą tę propozycję i z dumą w oczach znosi stłumiony szloch kochanego ojca.

Przyglądając się bacznie członkom Biura Politycznego, poszukiwałem na ich twarzach wyrazu uznania dla jej świadomości klasowej, ale go nie dostrzegłem. Najwyższy organ partyjny zdobył się na więcej trzeźwości niż politykujący literat. Przypomnijmy, że było to w latach najżarliwszej wiary w socrealizm. Kruczkowskiego tłumaczyło to, że nie był w swoich przekształceniach rzeczywistości jedyny. Możemy sobie oszczędzić wymieniania pisarzy i krytyków, malarzy i muzyków, którzy z podobną naiwnością głosili wówczas posłuszeństwo socrealizmowi. Należy jednak brać pod uwagę, że oprócz gorliwości kierował nimi strach. Bez tego upadlającego uczucia nie da się zrozumieć postępowania wielu rozumnych i uczciwych ludzi.

Co zaś do „Grzechu", to swoją niezwykłą karierę wraz z wyjazdami do Paryża i Londynu — a było to pierwsze po wojnie przekroczenie zachodniej granicy przez teatr polski — dramat zawdzięczał nie tylko okolicznościom politycznym. Była to po prostu bardzo dobra sztuka zapowiadająca nawet więcej niż dały późniejsze bardzo głośne dramaty Żeromskiego.

Bohdan KORZENIEWSKI

Nieostrożność

Przyszedł do mnie, usiadł i zaczął:

— Jestem świnia.

— Zgadza się — odrzekłem.

Zerknął na mnie niepewnie, nie wiedząc czy żartuję, czy mówię poważnie. Uznał, że chyba żartuję i ciągnął dalej.

— Jestem podłym człowiekiem. Sam nie wiem, czy to wynika z podłego charakteru, czy z głupoty.

— Dlaczego nie z jednego i drugiego? Jesteś tyle podły co głupi.

Tym razem spojrzał na mnie już nie z niepewnością, ale ze zdumieniem, lecz zobaczywszy lustro za moimi plecami utkwił w nim wzrok i zdumienie w jego oczach ustąpiło miejsca głębokiemu zainteresowaniu. Wyjął z kieszeni grzebyk i przyczesał się.

— Cieszę się, że rozmawiasz ze mną szczerze... — teraz ja ciągnąłem — ... Bo już myślałem, że to nigdy nie będzie możliwe. Jesteś jaki jesteś, ale przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę.

Schował grzebyk, ale miałem wrażenie, że przyczesując się nie słuchał mnie uważnie, a nawet zapomniał co powiedziałem przedtem, bo rzekł:

— Nie zaprzeczaj. Ty nie masz pojęcia, ile ja świństw w życiu zrobiłem.

— Wcale nie zaprzeczam. Znam cię od dawna i jestem o tobie tego samego zdania, co ty.

— Świnia! Podlec! Kanalia!

I zakrywszy twarz dłońmi, zaszlochał.

— Nie zapominaj, że także kretyn, bałwan i głupiec.

— A może neurastenik? — zaproponował, patrząc na mnie przez palce, które trzymał przy twarzy.

— Nie, zwyczajny głupiec.

— Albo schizofrenik... Tchnięty boskim oddechem szaleństwa. Społeczeństwo tego nie rozumie.

— Gdzie tam! Normalny matoł.

— Ale co do tych świństw... Nie sądzisz, że to raczej wyjątkowe? Coś jak Nietzsche, Dostojewski, „Podróż do kresu nocy", „Kwiaty zła", Lord Byron przynajmniej...

— Nie, zwyczajna świnia.

Odjął dłonie od twarzy i zjadł miętówkę.

— No to może sprawa Grzechu Pierworodnego? Człowiek jest ułomny, nie wolno go potępiać. Ty we mnie kamieniem rzucasz, a sam... Raczej byś mnie pokochał.

— Wykluczone.

— A jak nie ten boski oddech szaleństwa, to może Ubogi Duchem wobec tego. Błogosławieni Ubodzy Duchem, albowiem... No, sam wiesz. Może od tej strony byś się zgodził?

— Nie.

— Jak to, nie?! A za świnię powinieneś mnie pokochać, przecież ja się spowiadam. Jak chcesz, to mogę nawet żałować.

— Nie fatyguj się.

— A gdybyśmy wzięli świnię przez profesora Skinnera? Człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje czyny, bo otoczenie tak go już ukształtowało. Odruchy warunkowe. Rozumiem, że Grzech Pierworodny ci nie odpowiada, bo to staroświeckie. Ale Skinner?

— Też nie. Jesteś zwyczajny, normalnie głupi podlec i to wszystko.

— Nic szczególnego?

— Nic.

— Nic ciekawego, interesującego, nic takiego, o czym można by sobie pogadać?

— Nie, nic takiego.

— No to żegnam — rzekł zimno, wstał i poszedł.

I okazało się, że doniósł. Do Świętej Inkwizycji i do Humanistów-Ateistów jednocześnie. Szybko mu to poszło, bo pisał donos przez kalkę.

Teraz ukrywam się w górach. Siedząc w szałasie skleconym z gałęzi i trzęsąc się z zimna, myślę sobie: I na co mi to było?

Sławomir MROŻEK

Wiersze

T'ang

Imiona cesarzy dynastii T'ang (618-906) są dla mnie abstrakcją. Ale tak samo jest abstrakcją wszystko, co działo się wtedy w zachodniej Europie i w Bizancjum. Zapewne, wielkie wydarzenia: nagły pochód Islamu podbijającego Afrykę i zdążającego na północ wzdłuż obu krańców Morza Śródziemnego; wschodnie chrześcijaństwo w spazmach polityki to znaczy walk z tymi, którzy uważali, że Chrystus ma jedną, boską naturę (monofizyci) i tymi, którzy głosili, że wprawdzie ma dwie natury, ale jedną, boską, wolę (monoteleci) jak też wielkiego ruchu ikonoklastów; państwa na europejskim półwyspie, których nazwy nie nasuwają żadnych skojarzeń, niemniej istniały: Austrazja ze stolicą w Metz, Neustria ze stolicą w Soissons; król Franków, Karol, od którego słowo „król" pochodzi, ogłaszający się cesarzem w roku 800 i znany w historii jako Wielki; tablice dynastii; Merowingowie, Karolingowie.

Karol nie posiadł trudnej sztuki czytania i pisania. W swoim analfabetyzmie nie był wyjątkiem. Prowincjonalna łacina, która do niedawna była powszechnie używana w mowie i piśmie, dała już wtedy początek dialektom ludowym, mającym przekształcić się w nowoczesne języki, ale wzgardzonym przez kler, który posługiwał się łaciną kościelną. Umieć czytać i pisać znaczyło przynależeć do kleru, świeccy tym się nie zajmowali.

W Chinach pisali wtedy znakomici poeci, spadkobiercy tradycji, która przez kilkaset lat doskonaliła formy literackie. Ci poeci są nam współcześni. Nie są nam współcześni politycy-teologowie Bizancjum ani tym bardziej niepiśmienni Frankowie Austrazji czy Neustrii. To znaczy choć byli takimi samymi ludźmi jak my, nie umiemy ich wyłuskać z ich szat, zbroi, obyczajów i nawet przywołani w wyobraźni zachowują coś z powietrza

muzeum. Tak zresztą jak bardzo piśmienni i czytający poezję cesarze T'ang. Co innego poeci. Ich wrażenia, ich myśli i uczucia, ich namiętności i wady okazują się takie jak nasze, choć żyli tysiąc lat temu, a dzieje się to za sprawą ich słów, które są dokładne, oszczędne i zmysłowe. Byłoby może inaczej, gdyby opowiadali dużo o sobie i o wartościach drogich im cywilizacji, ale oni przede wszystkim są zajęci opisywaniem tego, co jest przed ich oczami i ten związek ich poezji z malarstwem świadczy chyba o zasadniczej orientacji, która znalazła wyraz w taoizmie i pokrewnych mu kierunkach myśli: zniknięcie opisującego, pokłon złożony obiektowi. Nie wykluczam zresztą, że są szczególne powody, dla których ta malarska poezja jest nam dzisiaj bliska. Już Schopenhauer wygłosił pochwałę „sztuki obiektywnej", której najwyższe spełnienie widział w holenderskich martwych naturach, ale trzeba było czasu, żeby jego intuicje nabrały mocy wskutek bliższego zapoznania się Zachodu z myślą i sztuką zarówno chińską jak japońską.

Poszukując poezji, która by honorowała świat widzialny, w jakimkolwiek języku, nie mogłem nie natrafić na poetów chińskich. Nie znam jednak języka i wcale mi nie zależy na robieniu przekładów. Biorę po prostu przekłady angielskie, czasem francuskie, i czerpię z nich to, co mi potrzebne, żeby napisać dany wiersz tak, jak mógł kiedyś wyglądać, choć mógł wyglądać też inaczej. *Nota bene* niemożliwość tłumaczenia poetów Dalekiego Wschodu z zachowaniem rymów i rachunku sylab niemało przyczyniła się do przewrotu w nowoczesnej poezji europejskiej i amerykańskiej, zbiegając się w czasie z początkami „wiersza wolnego". Dla mnie praca nad tymi odtworzeniami czy przybliżeniami jest fascynująca ze względu na problemy rytmu i zwartości, które trzeba rozwiązywać, żeby wersy nie rozpadły się w zdania prozy.

Czesław MIŁOSZ

TU FU (713-770)

ZACHÓD SŁOŃCA

Zachód błyszczy na paciorkach
Firanek. Wiosenne kwiaty
Kwitną w dolinie. Ogrody

wzdłuż rzeki są pełne
Zapachów. Dym kuchennych
Ognisk smuży się
Nad pokładami wolno płynących galarów.
Wróble skaczą i koziołkują
W gałęziach. Wirujące owady
Roją się w powietrzu. Kto to odkrył
Że jeden puchar mocnego wina
Zdolny jest rozproszyć
Tysiąc kłopotów?

ŚWIT ZIMOWY

Zwierzęta i ludzie zodiaku
Jeszcze raz biegną nad nami.
Zielone butelki po winie,
Resztki homarów zaściełają stół.
„Za dawną przyjaźń, dawne dni". Każdy
Siedzi zasłuchany
W swoje myśli i turkot pierwszych wozów.
Ptaki pod okapem
Trzepią się niespokojnie
Z powodu hałasu i światła. Wkrótce
O świcie zimowym, spotkam
Mój rok czterdziesty. Na oślep
Ku długim cieniom zachodu
Pędzi życie unoszone przez uparte chwile
I wiruje koło mnie jak pijany pożar.

GOŚCIE

Miałem astmę przez długi czas.
Zdaje się, że lepiej teraz
W tym domu nad rzeką.
I spokojnie. Ludzie
Nie naprzykrzają się. Myślę jaśniej
I czuję się wypoczęty. Dobrze mi tutaj.
Jeżeli ktoś odwiedzi mnie pod tą strzechą
Mój syn przynosi mój słomiany kapelusz.

Wychodzę i zbieram
Trochę świeżych warzyw.
Niewiele mam do dania
Ale daję z przyjaźnią.

WANG CZIEN (736-835)

POŁUDNIE

W kraju południa śpiewa dużo ptaków.
Połowa tamtejszych miast nie ma obronnych murów.
Na wiejskich rynkach tłoczą się dzikie plemiona.
Wsie w górach noszą imiona rzek.
Z mokrych piasków wznoszą się trujące mgły.
Dziwne ognie przebłyskują w nocnym deszczu.
I przechodzi tędy jedynie samotny nabywca pereł
W swojej dorocznej wędrówce nad Południowe Morze.

PO CZU I (772-846)

WYRUSZAJĄC WCZEŚNIE RANO Z OBERŻY W CZU-CZENG

(pisane w r. 815)

Spadł deszcz i obmył z pyłu okolicę.
Droga wiedzie po równi doliną wzdłuż rzeki.

Księżyc wstaje nad mrocznymi ostatkami nocy,
Podróżni śpieszą korzystając z chłodu.

W wielkiej ciszy nucę sobie półgłosem piosenkę,
Smętne myśli zalęga czarna ciemność.

Rosą zalatuje od ławic lotosu,
Z pól ryżowych słychać szelest strumyka.

Na dźwięk naszych dzwonków pies ruszył się we śnie,
Blask naszych pochodni budzi ptaka w listowiu.

Świt przeziera zza kształtu mglistych drzew.
Dziesięć mil, aż wreszcie dnieje.

PO ZEBRANIU JESIENNYCH PODATKÓW

Z tych wysokich murów patrzę na miasto w dole
Gdzie gęsto od tubylców, niby od roju much.

Jak mam rządzić tym ludem, jak mam go prowadzić
Jeżeli nie rozumiem nawet co mówią?

Podatki zebrane, teraz przynajmniej rad jestem,
Słysząc, że w mojej prowincji nie narzekają.

Nie myślę, że coś zrobiłem dla jej dobrobytu,
Powodem są zbiory obfite w tym roku.

Niedużo mam roboty z moimi papierami,
Spokój i cisza w altanie nad jeziorem.

W jesienny deszcz z okapu spadają jagody,
Dzwon wieczorny wygania ptaki z lasu.

Promień słońca nawiedza południowy ganek
Kiedy leżę na moich poduszkach oddając się nic nie
[robieniu.

NOCUJĄC U STARCA NAD STRUMIENIEM

(pisane w r. 820)

Serca ludzi kochają złoto i jadeit,
Usta ludzi pożądają wina i ciała.

Nie tak jak ten starzec z jaru nad strumieniem:
Popija wodę z tykwy, nic więcej nie pragnie.

Po jednej stronie zbiera chrust i trawę.
Po drugiej postawił mur i pokrył strzechą.

Co roku zasiewa jedną morgę ziemi,
Na wiosnę zaprzęga dwa żółte wołki.

W tych rzeczach znajduje doskonały spokój
I poza nimi nie dba o więcej.

Spotkałem go przypadkiem idąc wzdłuż strumienia,
Zaprosił mnie do siebie na nocleg w chacie.

Nim odszedłem tam skąd wzywa mnie i Dwór i Rynek
Spytał mnie o mój urząd i uposażenie.

Nie uwierzył, śmiał się długo i głośno:
„Tajni radcy nie sypiają przecie w stodołach!"

SZALEŃCZO ŚPIEWAJĄC W GÓRACH

Nie ma wśród ludzi nikogo bez wady.
Moją wadą jest pisanie wierszy.

Rozstałem się z wieloma nałogami
Ale tej słabości nie umiem się pozbyć.

Ile razy patrzę na piękny krajobraz,
Ile razy spotykam drogiego przyjaciela

Podnoszę głos i recytuję strofę poezji
I zdumiewam się jakbym na ścieżce spotkał boga.

Od kiedy zostałem wygnany do Hsun-Yang
Połowę czasu spędzam w górach.

I nieraz kiedy skończę nowy wiersz,
Sam, wspinam się drogą do Wschodniej Skały,

Opieram się plecami o biały kamień,
Przyciągam do siebie zieloną gałąź kasji,

Moje szalone śpiewanie budzi pagórki, doliny,
Zaciekawione, zbiegają się małpki i ptaki.

Bojąc się, żeby nie zostać pośmiewiskiem świata
Wybieram miejsce nie odwiedzane przez ludzi.

Archiwum polityczne

Konflikt izraelsko-palestyński

KORESPONDENCJA Z KAIRU

„Oby mury na Bliskim Wschodzie runęły jak runął mur berliński" — takie życzenie wyraził w połowie listopada kairski dziennik *Egyptian Gazette* z okazji wizyty nad Nilem wysłanników Wspólnoty Europejskiej, ministrów spraw zagranicznych Francji, Irlandii i Hiszpanii. Czy jest to pobożne życzenie, czy też istnieją teraz rzeczywiste szanse przełamania impasu na Bliskim Wschodzie? Pytanie nie jest błahe, gdyż z wyjątkiem Indochin jest to najdłużej trwający konflikt, przeradzający się sporadycznie w działania zbrojne, konflikt, który z pewnością kryje największe niebezpieczeństwo poważnych komplikacji międzynarodowych (ewentualny nowy kryzys naftowy).

Na pierwszy rzut oka sygnały polityczne ostatnich miesięcy są obiecujące. Dziesięć lat pokoju między Izraelem a Egiptem — chłodnego wprawdzie, ale mimo wszystko pokoju — zmieniło klimat na tym odcinku frontu arabsko-żydowskiego. „Intifada", insurekcja palestyńska prowadzona w nowym stylu — kamieniami — wywołała w Izraelu głębokie dylematy polityczne i moralne, skłaniając tamtejszy rząd do podjęcia inicjatywy w kierunku przyznania powstańcom choćby namiastki autonomii. Organizacja Wyzwolenia Palestyny już nieco wcześniej uznała koniunkturę za wystarczająco pomyślną, aby zerwać z postawą chronicznie destruktywną i formalnie przyjąć stawiane przez Stany Zjednoczone podstawowe warunki nawiązania dialogu. Waszyngton zareagował zarazem z ostrożną przychylnością na plan premiera Icchaka Szamira rozpisania wyborów na terytoriach okupowanych, nie wdając się jednak w prognozę perspektyw jego realizacji. Związek Sowiecki — idąc po linii gorbaczowowskiego „nowego myślenia" — zarządził wreszcie odwilż na froncie żydowskim, przyspieszył znacznie emigrację do Izraela i

wyraził nawet gotowość do koordynowania działań mediacyjnych ze Stanami Zjednoczonymi.

W tej całkiem nowej partii dyplomatycznej bardzo ważną rolę odgrywa Egipt. Jak się zdaje, prezydent Hosni Mubarak nie powoduje się w pierwszym rzędzie chęcią odzyskania przewodniej pozycji na Bliskim Wschodzie, utraconej po klęsce gospodarczo-wojskowej ostatnich lat ery nasserowskiej. Jego eksponowane miejsce na scenie bieżących wydarzeń jest raczej wynikiem niezwykłej serii sukcesów polityki zagranicznej Kairu. W maju 1989 r. Egipt został po 10-letniej nieobecności ponownie przyjęty do Ligi Arabskiej. Co więcej, nie musiał za to niczym zapłacić. Przeciwnie, Liga wyraziła aprobatę dla tych samych wytycznych jego polityki, które były swego czasu podstawą jego wydalenia z Ligi, inaczej mówiąc dla dialogu z Izraelem. Wkrótce potem Mubarak został wybrany przewodniczącym Organizacji Jedności Afrykańskiej, a więc stanowisko prestiżowe, mimo że pozbawione większego ciężaru politycznego na arenie międzynarodowej. W drugiej połowie minionego roku udało się wreszcie Mubarakowi wznowić kontakty z niebezpiecznym sąsiadem z Trypolisu, pułkownikiem Kadafim, i podjąć pierwsze kroki w kierunku poprawy stosunków z równie groźnym wodzem syryjskim, Hafezem Assadem. Sukcesy te stworzyły podatny grunt, który zaowocował w lecie nową inicjatywą pokojową Kairu.

Jest zresztą w tym rozwoju wypadków pewna logika, która poszła już w zapomnienie. W grudniu 1977 r., zaledwie miesiąc po swej historycznej podróży do Jerozolimy, ówczesny prezydent Egiptu Anwar Sadat zaprosił przedstawicieli Izraela i OWP na wstępne rozmowy pokojowe. Palestyńczycy zaproszenie to zignorowali. Tym samym stracili szansę współdecydowania o własnym losie. W następnym roku zawarty został ponad ich głowami układ pokojowy w Camp David między Izraelem a Egiptem. Sadat stał się wrogiem numer jeden wszelkiego rodzaju ekstremistów arabskich i zapłacił życiem za swą śmiałość.

Hosni Mubarak nie odstąpił jednak od linii wytyczonej przez swego poprzednika. Jak mi powiedział generał Munir el Ganam, wiceminister budownictwa mieszkaniowego, rządowi przyświeca następujące rozumowanie: Egipt stoczył w ciągu ćwierćwiecza cztery wojny o Palestynę. W wojnach tych poniósł ciężkie straty i potężnie się zadłużył (dzisiaj dług przekracza 40 miliardów dolarów). Tymczasem musi skoncentrować wszystkie siły i zasoby na rozwiązywaniu ogromnych trudności wewnętrznych (co 9 miesięcy przybywa jeden milion do ponad 50-milionowej ludności, podczas gdy obszar nadający się do uprawy i zamieszkania w kraju będącym oazą rzeczną wynosi zaledwie 36.000 km², tyle mniej więcej, co dwa województwa przedwojennej Polski). Egipt potrzebuje więc przede wszystkim pokoju, sąsiedzi zaś nie mogą liczyć na jego pomoc w ewentualnych awanturach zbrojnych.

Nie oznacza to, by solidarność arabska przestała istnieć dla Egiptu. Sympatie w dobie Intifady są po stronie Palestyńczyków, choć zarazem wszędzie w Egipcie spotkać można turystów izraelskich, a kupcy równie chętnie przyjmują szekla jak inne waluty. Minęło przy tym na dobre nasserowskie potrząsanie szabelką. Realia te uznał szef OWP Jaser Arafat, budując na Intifadzie własną nową inicjatywę polityczną już na jesieni 1988 r. To on zresztą był głównym motorem działań zakulisowych, które doprowadziły na arabskim szczycie w Casablance w maju 1989 r. do ponownego przyjęcia Egiptu do Ligi Arabskiej. Po niecałych dwóch miesiącach Mubarak odwdzięczył się, wysuwając 10-punktowy plan, który jest trzonem nowych zabiegów o dialog izraelsko-palestyński. Warto przypomnieć szczegóły tego projektu:

— Izrael zobowiązuje się do uznania wyników wyborów na terytoriach okupowanych;

— wybory odbywają się pod nadzorem obserwatorów międzynarodowych;

— wybranym przedstawicielom ludności palestyńskiej przysługuje nietykalność;

— siły izraelskie wycofują się przed wyborami z obszarów objętych głosowaniem;

— Izrael zobowiązuje się do nawiązania w ciągu trzech do pięciu lat rozmów zmierzających do definitywnego rozwiązania konfliktu;

— Wstrzymane zostaje zakładanie nowych osiedli izraelskich na terytoriach okupowanych;

— kandydaci w wyborach mają zagwarantowaną całkowitą wolność słowa;

— obywatele izraelscy mają zakaz przebywania na terenach okupowanych w dniu głosowania;

— w wyborach uczestniczą palestyńscy mieszkańcy wschodniej części Jerozolimy;

— wreszcie Izrael uznaje zasadę „wymiany terytoriów za pokój" jako część składową końcowego układu pokojowego.

Zważywszy zaciętość i długotrwałość konfliktu, plan Mubaraka odznacza się niezwykłą zręcznością. Aby uspokoić obawy Izraela, ani razu nie wymienia z nazwy OWP i nie wspomina wcale o ewentualnym utworzeniu państwa palestyńskiego. Z wyjątkiem ostatniego punktu ogranicza się właściwie do propozycji proceduralnych. Ostatni punkt natomiast zawiera przynętę, której znaczenie rośnie w miarę przeciągania się Intifady: wymianę terytorium za pokój.

Plan Szamira z wiosny 1989, na który odpowiedzią był plan Mubaraka, jest w rzeczywistości funkcją sporów toczących się w izraelskim establishmencie politycznym. Były minister spraw zagranicznych Abba Eban napisał kilka miesięcy temu w dzienniku *Washington Post*, że uważa za wręcz niepoważne próby wykluczenia z rokowań pokojowych organizacji, którą 159 państw uznaje za rzecznika narodu palestyńskiego. W ogóle usiłowanie wyznaczenia składu delegacji strony przeciwnej na rozmowy pokojowe nie ma żadnego historycznego precedensu. Nie należy bowiem stawiać znaku równania między dyktatem a rokowaniami pokojowymi. W artykule napisanym nieco wcześniej dla *Los Angeles Times* Eban przypomniał, że już w połowie lat sześćdziesiątych sondował możliwość wzorowania się na strukturalnym modelu Beneluxu oraz szerzej Wspólnoty Europejskiej dla rozwiązania konfliktu bliskowschodniego przez utworzenie konfederacji izraelsko-palestyńsko-jordańskiej. Zaletą tej koncepcji byłoby połączenie niepodległości narodowej z postępującą integracją ekonomiczną i wspólnotą interesów regionalnych. Jej oczywistą wadą jest, że od tego czasu sytuacja znacznie się zmieniła, żeby przypomnieć tylko dwie krwawe wojny i formalne wyrzeczenie się przez króla Jordanii Husseina wszelkiej odpowiedzialności politycznej za terytoria okupowane przez Izrael.

Naczelną troską wszystkich dotychczasowych rządów izraelskich było poczucie śmiertelnego zagrożenia trzymilionowego narodu przez ponad stumilionowy świat arabski, wrogo doń nastawiony, wyposażony w miliardowe zasoby naftodolarowe i składający się w małej ale wpływowej części z elementów politycznie nieodpowiedzialnych. Terroryzm chwilowo ustał na rozkaz Arafata, ale jego potencjał z pewnością nadal istnieje. Nowy duch Arafata nie dokonał przełomu psychologicznego i należy sądzić, że szef OWP kieruje się nadal przede wszystkim przesłankami taktycznymi. Ale czy jest to wystarczający powód, aby Izrael trwał w całkowitym niemal bezruchu?

Jednym z głównych problemów izraelskiej koalicji rządowej jest, że składa się ona z dwóch niemal równie silnych obozów. Skutkiem tego rząd ma tendencję do przemawiania dwoma głosami, co nie utwierdza jego wiarygodności. Premier Szamir pragnie wyzwolić Palestyńczyków z Zachodniego Wybrzeża Jordanu i z Gazy z sideł OWP, uważając że w razie pojawienia się przedstawicieli Arafata na rozmowach pokojowych, wystąpiliby oni bezzasadnie w roli triumfatorów i zwycięzców. Jest to jednak chwilowo zadanie nierealne. Sytuację komplikuje dodatkowo akcja tworzenia nowych osiedli żydowskich na obszarach okupowanych, przy poklasku ekstremistów w rodzaju rabina Meira Kahane i ugrupowania Gusz Emunim. Szef Partii Pracy Szymon

Peres daje natomiast półgębkiem do zrozumienia, że gotów byłby przyjąć zasadę zamiany terytoriów za pokój, ale boi się wywołać na tym tle kryzys rządowy, gdyż nie jest pewien wyników następnych wyborów powszechnych.

Niestabilność koalicji rządowej w Jerozolimie jest tylko jednym z elementów działających na niekorzyść Izraela. Alarmująca jest przede wszystkim sytuacja finansowa kraju, ratowanego tylko pomocą amerykańską, która wynosi 3 miliardy dolarów rocznie. Nawet przy tak wielkich subwencjach zagranicznych bankructwo państwa jest stanem faktycznym. Podatki mają rozmiary konfiskacyjne, budżet cierpi na ogromny i chroniczny deficyt, wszechpotęga związków zawodowych i niska wydajność pracy przypominają „chorobę brytyjską" z lat siedemdziesiątych, rynek cierpi na nadmiar reglamentacji, inflacja galopuje, kapitały uciekają za granicę, zadłużenie zewnętrzne jest astronomiczne. Żydzi są bardzo gospodarni, kryzys ekonomiczny ma zatem inne przyczyny, przede wszystkim konieczność zachowania gotowości obronnej na poziomie technicznym, stanowiącym przeciwwagę do ilościowo wielokrotnie silniejszego przeciwnika. Jak się zdaje, zbliża się jednak próg, za którym słabość gospodarki izraelskiej, spowodowana ogromnymi wydatkami na wojsko, zagrozi bezpieczeństwu państwa. Błędne koło się zamyka.

Trwająca już dwa lata Intifada sytuację tylko pogarsza. Oblicza się, że w jej wyniku działalność gospodarcza w Gazie i na Zachodnim Wybrzeżu Jordanu spadła o połowę. Cierpią z tego powodu przede wszystkim Palestyńczycy. Dla Izraela straty te wynoszą tylko kilka procent dochodu narodowego, ale w sytuacji kryzysowej każdy procent się liczy. Co więcej, Izrael musi wprowadzać zmiany natury strukturalnej. Aby zastąpić zbuntowaną tańszą arabską siłę roboczą, trzeba angażować droższych robotników izraelskich albo inwestować w modernizację techniczną. Sprawa ta ma również aspekt polityczny. Stopniowo, w miarę trwania Intifady, wytwarzają się dwa, coraz bardziej niezależne od siebie obwody ekonomiczne: izraelski i palestyński. Ten ostatni jest słabiutki, ale dla Palestyńczyków gotowych do poświęceń materialnych stanowi na dłuższą metę swoiste przysposobienie psychologiczne do niepodległości. Do poświęceń Palestyńczycy już przywykli. Dotychczasowe koszta Intifady to setki zabitych, tysiące rannych, dziesiątki tysięcy aresztowanych.

Demografia także działa na niekorzyść Izraela. Palestyńczyków jest prawie milion na Zachodnim Wybrzeżu, ponad pół miliona w Gazie, sto kilkadziesiąt tysięcy we wschodniej Jerozolimie. Ich przyrost naturalny jest tak wysoki, że Izraelczycy staną się prawdopodobnie na początku nowego stulecia mniejszością na administrowanych obecnie przez siebie terenach.

Jednym z najciekawszych aspektów obecnej, niekiedy burz-

liwej dyskusji publicznej w Izraelu jest, że przeniosła się ona na forum religijne. Kontrowersję teologiczną wywołał były rabin Izraela Ovadia Josef, który w lipcu 1989 r. spotkał się z prezydentem Egiptu Mubarakiem. W wygłoszonym później przemówieniu rabin Josef dał do zrozumienia, że są jego zdaniem okoliczności, w których oddanie okupowanych obszarów byłoby usprawiedliwione. Biblijny nakaz zachowania „Eretz Israel" (ziemi Izraela) może mieć mianowicie mniejszą wagę niż nakaz zachowania życia. W drodze analogii rabin Josef wskazał na możliwość złamania zakazu pracy w sobotę, na przykład przez lekarzy czy sanitariuszy, którzy muszą ratować czyjeś życie. Jego zdaniem więc, oddanie terytoriów okupowanych byłoby uzasadnione, ale tylko pod warunkiem, że pozwoli uniknąć przelewu krwi i doprowadzi do autentycznego pokoju.

Być może najboleśniejszy dla Izraela jest zarysowujący się coraz wyraźniej brak solidarności z Ziemią Obiecaną. Nie jest to zjawisko zupełnie nowe. Od 1985 r. więcej Żydów opuszcza Izrael niż przybywa doń imigrantów żydowskich. Intifada proces ten znakomicie przyśpieszyła. Widać to najlepiej na przykładzie Żydów ze Związku Sowieckiego. Spośród ponad 3.300, których zarejestrowano w punkcie tranzytowym w Wiedniu w maju 1989 r. tylko 96 wybrało Izrael jako miejsce osiedlenia. Większość wolała jechać do Stanów Zjednoczonych.

Właśnie na tej nowej, amerykańskiej ziemi obiecanej zachodzą tymczasem zmiany, które spędzają sen z powiek kierownictwa izraelskiego. *Lobby* żydowskie w USA było w ostatnich dziesięcioleciach potężne. Znane są wypadki utraty mandatów przez kongresmenów i senatorów, którzy ośmielili się głosować przeciwko interesom Izraela. Jednostką liniową tego *lobby* jest *American Israel Public Affairs Committee*. Właśnie to forum wybrał sobie ubiegłego lata amerykański sekretarz stanu James Baker, by dyplomatycznym uderzeniem pięścią w stół przywołać swych słuchaczy do realiów obecnej polityki amerykańskiej. Oto dwa kluczowe zdania z jego przemówienia: Izrael winien „porzucić raz na zawsze nierealną wizję Wielkiego Izraela", winien też „wyciągnąć rękę do Palestyńczyków jako do sąsiadów posiadających prawa polityczne". Baker domagał się również, aby ustało zakładanie nowych osiedli izraelskich na terytoriach okupowanych i żądał ponownego otwarcia szkół palestyńskich zamkniętych z powodu Intifady. Aby zachować równowagę, sekretarz stanu dał do zrozumienia Palestyńczykom, że Ameryka nie wyda im Izraela na srebrnej tacy, do Arabów zaś w ogóle zaapelował, aby zaniechali *dżihad* (świętej wojny) przeciwko Izraelowi i uznali jego prawowite miejsce na Bliskim Wschodzie. Nie zabrakło wreszcie w wystąpieniu Bakera zapewnień dalszego poparcia amerykańskiego dla Izraela, jednakże bezprecedensowa

ostrość sformułowania dwóch przytoczonych przed chwilą zdań wywołała w Jerozolimie osłupienie.

Od tego czasu stanowisko Waszyngtonu uległo sprecyzowaniu. W październiku powstał pięciopunktowy plan Bakera, składający się z następujących elementów:

— uzgodnienie dialogu izraelsko-palestyńskiego, przy czym Kair miałby być głównym miejscem obrad;

— uznanie przez wszystkie strony, że Egipt nie może być w tych rozmowach zastępcą strony palestyńskiej;

— zgoda Stanów Zjednoczonych, że Izrael weźmie udział w dialogu dopiero wtedy, kiedy skład delegacji palestyńskiej będzie dla niego do przyjęcia;

— w czasie rozmów Izrael ma wyjaśnić swą inicjatywę pokojową, Palestyńczycy natomiast mogą swobodnie poruszać inne tematy;

— odbyć się powinno uprzednio spotkanie ministrów spraw zagranicznych USA, Izraela i Egiptu.

Jak widać, chłodne przyjęcie przemówienia Bakera przez koła polityczne Jerozolimy odniosło zamierzone skutki. W planie sekretarza stanu Ameryka najwyraźniej uchyla się od obiecania Palestyńczykom ich własnego państwa mimo, że Baker wcześniej mówił o ich „prawach politycznych". Jakich? Zapewne uznano w Waszyngtonie, że w tym stadium kontaktów dyplomatycznych wskazana jest mglistość. Tak samo Departament Stanu zdaje się popierać punkt widzenia Izraela, że działacze OWP nie powinni uczestniczyć w bezpośrednim dialogu z państwem żydowskim. Polityka jest jednak sztuką rzeczy możliwych. Wiadomo, że rozmowy pośrednie są w toku od wielu miesięcy i to z udziałem Palestyńczyków.

Co skłoniło Stany Zjednoczone do takiej ugodowości w stosunku do organizacji uważanej przez wiele lat za ugrupowanie czysto terrorystyczne? Niewątpliwie punktem wyjściowym był zwrot dokonany jesienią 1988 r. przez Arafata, a zatwierdzony następnie przez szczyt Ligi Arabskiej w Casablance w maju minionego roku. Szczegóły nowej linii politycznej OWP zostały wyłożone przez Arafata na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ w grudniu 1988 r. Istotą jego planu jest dwupaństwowość jako rozwiązanie problemu palestyńskiego. Państwo Izrael ma sąsiadować z państwem palestyńskim skonfederowanym z Jordanią. Układ pokojowy zawierający te elementy ma być międzynarodowo zagwarantowany. Stan ten ma być osiągnięty w czterech wzajemnie uzależnionych od siebie etapach:

— wycofanie sił izraelskich z okupowanych obszarów i zastąpienie ich przez siły międzynarodowe na podstawie wspólnie uzgodnionego terminarza;

— wybory (pod nadzorem międzynarodowym) przedstawi-

cieli ludności tych obszarów celem wyłonienia legislacyjnego ciała palestyńskiego;

— mianowanie przez to zgromadzenie ciała wykonawczego, które z kolei wyznaczyłoby delegację na rokowania z Izraelem;

— przygotowanie wreszcie międzynarodowej konferencji pokojowej, zwołanej na podstawie uchwał nr 242 i 338 Rady Bezpieczeństwa ONZ (są to uchwały z 1967 r. i 1973 r., wzywające z grubsza do ewakuacji terenów okupowanych przez Izrael w działaniach wojennych tych lat oraz do rozwiązania kwestii palestyńskiej) oraz na podstawie uznania prawa Palestyńczyków do samostanowienia.

Jak widać, projekt ten odbiega daleko od haseł świętowojennych Arafata i jego towarzyszy. Nowy plan nie został opracowany z dobroci serca. Zrywając z przeszłością, Arafat dążył zapewne do osiągnięcia dwóch celów: ograniczenia strat wynikających z załamania się sprzymierzonego z OWP imperium sowieckiego i utrzymania w rękach swej organizacji inicjatywy politycznej w chwili, kiedy wyłania się w społeczności palestyńskiej rywal w postaci młodego, wewnętrznego, czyli krajowego a nie emigracyjnego kierownictwa Intifady.

Zauważyć tu należy, że OWP daleka jest od jedności wobec planu Arafata. Na zjeździe w Tunisie w sierpniu 1989 r. ugrupowania El Fatah, głównego członu OWP, doszło do ostrej zakulisowej krytyki szefa i jego ugodowego w stosunku do Izraela kursu ze strony zarówno dowódców jednostek partyzanckich jak też szeregowych działaczy. Ich zdaniem Arafat posunął się zbyt daleko w ustępstwach na rzecz Izraela i Stanów Zjednoczonych bez uzyskania w zamian konkretnych zapewnień, że zakończy się trwająca od 22 lat okupacja ich ojczyzny i że Izrael uzna prawa narodowe Palestyńczyków. Wydźwięk tych walk wewnętrznych jest oczywisty: jeśli nie będzie postępu w realizacji mnożących się inicjatyw pokojowych — i to postępu uwzględniającego prawa narodowe Palestyńczyków — nastąpi powrót do walki zbrojnej, wychodzącej daleko poza rzucanie kamieniami, któremu na imię Intifada. Plan Mubaraka nie spotkał się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem w obozie palestyńskim. Prezydentowi Egiptu zarzuca się przede wszystkim, że pominął w swych propozycjach zasadę samostanowienia narodu palestyńskiego. W sumie jednak uznaje się plan Mubaraka za pozytywny wkład do obecnego dialogu.

Wręcz chłodno odnoszą się natomiast Palestyńczycy do planu sekretarza stanu Bakera. Odpowiedź nań wysłano z Tunisu do Waszyngtonu via Kair, gdzie pierwsze przecieki dotyczące jej treści pojawiły się w przedostatnim dniu mego pobytu w stolicy Egiptu. Dokument składa się z pięciu punktów:

— OWP ma prawo do wyznaczania członków delegacji palestyńskiej, tak z wewnątrz kraju jak z emigracji;

— porządek obrad winien być otwarty i niczym nie uwarunkowany;

— punktem wyjściowym stanowiska delegacji palestyńskiej będzie plan pokojowy OWP;

— dialog z Izraelem winien się odbyć pod auspicjami ONZ z udziałem pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ;

— dialog palestyńsko-izraelski będzie miał charakter wstępny w ramach przygotowań do międzynarodowej konferencji pokojowej.

Najef Hawatmeh, przywódca Demokratycznego Frontu Wyzwolenia Palestyny, jednego z najbardziej radykalnych ugrupowań wchodzących w skład OWP, wyraził zdanie, że dokument ten stanowi w rzeczywistości odrzucenie projektów Szamira, Bakera i Mubaraka. Trudno w to uwierzyć, jeśli się zważy, że każdy punkt odpowiedzi OWP dotyczy procedury dialogu z Izraelem. Hawatmehowi chodzi zapewne o podbijanie stawki celem nakłonienia Izraela i USA do ustępliwości wobec OWP i jej roli w przyszłych rokowaniach.

Jedno jest pewne: konfliktu izraelsko-palestyńskiego nie da się rozwiązać w oderwaniu od szerszego świata arabskiego oraz od interesów wielkich mocarstw, wśród których można tylko z żalem odnotować brak Wspólnoty Europejskiej. Egipt, czołowe mocarstwo arabskie, zasygnalizował planem Mubaraka, że nie zgodzi się na rozstrzygnięcia wypracowane za jego plecami. Król Hussein nie zgodzi się ani na ustalenie granicy Izraela na rzece Jordan, ani na utworzenie państwa palestyńskiego mogącego stanowić zagrożenie dla jego słabego w sumie królestwa. Syria Hafeza Assada, której reputacja elementu wywrotowego na Bliskim Wschodzie jest dobrze udokumentowana, utrudni wszelkie rozwiązanie pomijające oddanie jej przez Izrael strategicznych wzgórz Golanu. Obstrukcji można się też spodziewać ze strony Moskwy, jeśli uzna, że została wykluczona z udziału w kształtowaniu ostatecznej ugody. Jaser Arafat zaś nie pozwoli nawet na rozpoczęcie rokowań, jeśli dojdzie do wniosku, że wbrew wystawionemu mu przez Amerykę świadectwu dobrego zachowania nie odgrywa w nich roli, jakiej się domagał. Izraelowi wreszcie przypada w tym dramacie rola specjalna z tej choćby przyczyny, że jest jedyną demokracją w całym tym regionie. W końcu więc to wyborca zadecyduje, czy skończyć z izolacją polityczną kraju, czy też ryzykować nowy konflikt zbrojny.

Jakie są więc perspektywy rozwiązania konfliktu? Ostrożnie mówiąc, szanse niepowodzenia obecnych zabiegów pokojowych są mniejsze niż dawniej po prostu dlatego, że w tym kierunku idzie ogólna ewolucja stosunków międzynarodowych. Nie skłania

to jeszcze to optymizmu. Załamanie się rozmów wokół wszystkich zgłoszonych dotąd projektów można sobie łatwo wyobrazić. Byłoby ono na przykład na rękę elementom najbardziej zachowawczym w Izraelu, dla których *status quo* jest z punktu widzenia państwa żydowskiego korzystny, a zatem rozstrzygnięcie konfliktu nie jest sprawą ani pilną ani konieczną. Zachowawczość w okresie szybkich przemian może być jednak polityką krótkowzroczną, o czym przekonały się ostatnio kolejne reżymy w krajach Europy środkowo-wschodniej. W Izraelu istnieje jednak tendencja bardziej dalekowzroczna — chwilowo mniejszości — proponująca „kompromis historyczny" z Arabami. Przy ocenie dyskusji publicznej toczącej się w Izraelu wokół tych koncepcji należy zawsze pamiętać, że zagrożenie młodego jeszcze państwa pozostaje rzeczą bardzo realną. Jeden tylko Egipt przeskoczył dotąd próg odrębnego pokoju z „wrogiem", Arafat zmienił wprawdzie front, ale uczynił to ze względów głównie taktycznych, reszta zaś bezpośrednich sąsiadów zajmuje stanowisko wyczekujące i może być równie podatna na wezwania do pokoju jak na podżegawcze hasła pułkownika Kadafiego czy fundamentalistów irańskich. Najlepszym świadectwem obyczajów politycznych panujących w tym regionie jest straszliwa tragedia Libanu, gdzie wszystkie te siły mają swobodę manewru. Trudno się dziwić Izraelowi, że chce się uchronić przed takim losem.

Nasuwa się myśl, że Izrael ma inną rolę do odegrania na Bliskim Wschodzie niż obcego ciała w morzu arabskim. Każdy kto jeździł do krajów arabskich widział ogrom nędzy i zacofania za fasadami Hiltonów i Sheratonów. W razie zawarcia trwałego pokoju Izrael mógłby wskoczyć w tę lukę, stać się w pewnym sensie niezbędnym elementem tego regionu. Kiedy byłem na Synaju, dowiedziałem się, że w czasie wieloletniej okupacji izraelskiej tamtejsi chłopi mogli nabywać w Izraelu specjalnie wyhodowane nasiona, odporne na zasolenie wody. Od czasu wycofania się armii izraelskiej, a szczególnie od czasu Intifady, dostawy te urwały się, z wielką szkodą dla ludzi, którzy z trudem mogą się wyżywić na skraju pustyni. Jest to tylko jeden przykład spośród wielu, najbardziej oczywistym zaś byłaby pomoc izraelska w organizacji życia gospodarczego i administracyjnego, tak bardzo kulejącej w krajach sąsiednich.

W jakim stopniu Arabowie byliby skłonni przyjąć taką pomoc? Nastroje w krajach zacofanych, gdzie informacja jest ściśle kontrolowana, bywają bardzo zmienne, urabianie zaś nastawień psychicznych leży w zakresie możliwości władz. W Egipcie śmierć Nassera wywołała jeden z najpotężniejszych w historii wybuchów masowej histerii. Zaledwie trzy lata później jego wszechobecne dawniej portrety poznikały bez żadnego protestu z budynków publicznych i witryn sklepowych. W razie

nastania pokoju po 40-tu latach wojny otwartej, podjazdowej czy zimnej można by sobie wyobrazić takie nagłe przeobrażenie nastrojów na skutek powszechnie odczuwanej ulgi.

Wyobraźnia nie zastąpi jednak realiów. Także w świecie arabskim są różne szkoły myślenia. Jedną z nich reprezentuje Egipt, który już dziesięć lat temu zrobił swoje i stara się teraz nakłonić innych do wejścia na drogę pokoju. Przedstawicielem drugiej tendencji jest Arafat, którego posunięcia obliczone są przede wszystkim na podsycanie sprzeczności w obozie przeciwnika. Uzyskał on wprawdzie aprobatę Ligi Arabskiej, ale w niektórych stolicach arabskich nadal wygłasza się bardzo osobliwe poglądy. Nie brak polityków, dla których Izrael jest w skali historycznej taką samą efemerydą, jaką było na przykład państwo krzyżowców, a kwestia żydowska tworem i problemem europejsko-amerykańskim. Ci uważają, że nie należy iść na żadne kompromisy.

Zakładając jednak — co należy czynić bardzo ostrożnie — że do jakiegoś układu dojdzie, trzeba pamiętać, że będzie to układ między rządami, że pozostanie jeszcze wiele do zrobienia w zakresie pojednania zwykłych ludzi, poddawanych od dziesięcioleci propagandzie nienawiści do przeciwnika. Będzie to zadanie na lata, być może na pokolenia.

Andrzej KRZECZUNOWICZ

Kair, 28 listopada 1989

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wywiady «Kultury»

Dzieje wspólnych interesów

ROBERT KACZMAREK: — *Powstanie „Solidarności" mogło się kojarzyć francuskiej umiarkowanej lewicy z odkryciem kamienia filozoficznego...*

GERARD SOUFFLET*: — ... i nieoczekiwaną szansą. W kraju od 35-ciu lat rządzonym przez partię, do rozprawy z systemem totalitarnym zabrał się związek zawodowy. Dla socjalistów zachodnich, dla niekomunistycznych związków nie mogło być bardziej wymarzonej okazji do zneutralizowania komunistów.

R.K.: — *Czy ówczesne zainteresowanie Polską nie było jednak spowodowane wyłącznie względami wewnętrznej taktyki politycznej?*

G.S.: — Nasze stosunki wewnętrzne niewątpliwie wpływały na związki z Polską. W okresie powojennym komuniści odgrywali u nas poważną rolę, w znacznym stopniu sterowaną z Moskwy. Rzucało to duszący cień na całą lewicę francuską... Francuska partia komunistyczna nadawała stalinizmowi międzynarodową sankcję; będąc dość bezradni w stosunku do tej sytuacji, czuliśmy się za nią trochę odpowiedzialni.

R.K.: — *Picasso na Kongresie Pokoju we Wrocławiu w 49-tym, Aragon, oddający cały swój talent w służbę stalinizmowi...*

* Gerard Soufflet — francuski inżynier, działacz umiarkowanego związku zawodowego CFDT, od początku stanu wojennego czynny w pomocy dla podziemia polskiego.

G.S.: — Znasz wiersz Aragona o KGB? Nie? „Niech żyje Czeka, niech żyje francuskie GPU, potrzebujemy GPU przeciwko papieżowi...."

Nie był to tylko problem intelektualnego nieładu artystów-radykałów. W praktyce wszystkie instytucje polityczne wojującego stalinizmu znajdowały mocne oparcie u francuskich komunistów. Słowa tych ostatnich trafiały u nas na podatny grunt, zważywszy tęsknotę zeświecczonego społeczeństwa do raju utraconego oraz skuteczną rolę rewindykacyjną komunistów w sporach lokalnych. W tej sytuacji na całej lewicy panowało pomieszanie pojęć. Proces porządkowania ich zaczął się od XX Zjazdu i wydarzeń w Polsce i na Węgrzech w 1956 roku. Ale pomimo rewelacji lat 56, 68 i następnych rola komunistów we Francji bynajmniej nie malała i należało znaleźć na to radę. Wydarzenia w Polsce pobudziły ruchliwość intelektualną obserwatorów politycznych wszystkich barw, a powstanie „S" dostarczyło niekomunistycznej lewicy poszukiwanego środka. Regres komunistów we Francji datuje się od początku lat osiemdziesiątych i ma ścisły związek z powstaniem „S" i wydarzeniami stanu wojennego.

R.K.: — *A poza środowiskiem komunistów?*

G.S.: — Wszędzie pojęcia uległy zmianie. Ogólny upadek gospodarki na Wschodzie musiał wpłynąć na poglądy całej lewicy. Kiedy byłem z Alainem Chupin u twoich kolegów w Krakowie w roku 1985, ze zdumieniem stwierdziłem, że opowiada się on za gospodarką mieszaną. Dziś jest to może bardziej oczywiste, ale cztery lata temu usłyszeć, że sekretarz federalny CFDT popiera gospodarkę mieszaną było całkowitą nowością — a stało się to wyraźnie pod wpływem krakowskich kolegów związkowych...

W latach 60-tych i później panował u nas pesymizm. Nowy człowiek rodził się gdzie indziej: na wschodzie Europy, na Kubie, w Chinach. „S" uporządkowała pojęcia. Zachód mógł z powrotem nabrać zaufania do własnych wartości. Z drugiej strony „S" była znakiem uniwersalnej nadziei, tego kamienia filozoficznego, dzięki któremu świtała nadzieja przełamania podziałów Wschód-Zachód, jednostka-społeczeństwo, praca-zarządzanie.

R.K.: — *Po 13 grudnia 1981 pojęcie wspólnego interesu straciło na aktualności...*

G.S.: — Wszyscy — wyjąwszy komunistów — byliśmy z wami. Pojedynczy ludzie, zorganizowane grupy, lewica, prawica, wszyscy szukali sposobów pomocy, przesłania paczki, osobistego

przedarcia się do Polski. W pierwszym konwoju, w jakim uczestniczyłem w 1982, byli praktykujący chrześcijanie, był także trockista. Nie trafiliśmy wówczas na działaczy podziemia, przyjęły nas siostry zakonne. Spotkaliśmy inną Polskę niż ta, jakiej oczekiwaliśmy: z całą wyrazistością ujawniła się rola Kościoła. Dla lewicowych Francuzów, z zasady antyklerykałów, zaskoczeniem był fakt, że potężny związek, wyzywający całą potęgę Moskwy, czerpie siłę z głębokiego zakorzenienia w strukturze i posłaniu Kościoła. Trockista, który spędził kilka dni w obrębie zabudowań klasztornych, sprawiał później wrażenie innego człowieka.

R.K.: — *Nawrócił się...*

G.S.: — Nie, ale doznał klasycznego przy kontaktach z Polską doświadczenia: zmiany utartych poglądów, przeżycia bogactwa świata. Robotnicy, którzy postawili stalinizm pod murem, nie przypominali zachodnich socjalistów. Ci, których spotkaliśmy, w większości darzyli zaufaniem Reagana, ku rozpaczy mojego trockisty, a wszyscy byli zaangażowanymi katolikami.

R.K.: — *Normalnie Kościół słabnie, gdy rośnie optymizm człowieka, wiara w rozum, w porządek ludzki, w przyszłość. Rola jego rośnie natomiast, gdy człowiek kwestionuje samego siebie, np. w czasach porewolucyjnych. Tak bywało na Zachodzie. W Polsce zaś optymizmowi „S", jej wierze w człowieka towarzyszył wzrost roli Kościoła. W pewnym stopniu ułatwiło to przetrwanie „Solidarności". Ale jego wszechobecność miała także złe strony.*

G.S. — Zwracano nam uwagę na fakt, że Kościół w Polsce nigdy nie był tak zamożny i wpływowy. Z drugiej strony polityczną symbiozę prześladowanego związku i triumfującego Kościoła odbierano jako czynnik stabilizujący niepewną sytuację.

R.K.: — *Obok sympatii i solidarności, jaką rolę odgrywał u was rachunek polityczny?*

G.S.: — Pomoc dla polskiego podziemia zaliczana była do aktywów central związkowych, członkowie związków uznawali ją za rzecz normalną i pożądaną. „S" była przy tym jedyną płaszczyzną, na której spotykali się działacze pięciu niekomunistycznych związków, nigdy przedtem nie mający ze sobą nic wspólnego. Od lat mówiło się u nas, że dobrze byłoby coś razem... ale trzeba było zrobić pierwszy krok. „S" stała się

zatem rodzajem wyjątkowego i cennego obyczaju politycznego. Na początku były wspólne demonstracje, a wkrótce stała pomoc regionom i organizacjom „S". Wszyscy robią mniej więcej to samo, nie wchodząc sobie w paradę. Stałą formą wspólnej akcji jest paryskie biuro „S", finansowane przez pięć związków. Chodzenie koło spraw polskich bywało ciekawym zajęciem, niekiedy prowadziło także do frustracji — zwłaszcza gdy opadało zainteresowanie Francuzów.

R.K.: — *A Polacy? Utrzymywałeś dość regularny kontakt z przywódcami zakładowymi i regionalnymi.*

G.S.: — Widziałem związek o wiele słabszy od tego, jaki wyobrażano sobie na Zachodzie, widziałem działaczy zepchniętych do podziemia, usiłujących przetrwać oblężenie, osamotnionych — ale chyba nie usiłujących wyjść z tego osamotnienia, nie tworzących także strategicznych wizji. Zaprzyjaźniłem się z niektórymi...

R.K.: — *Kolejne stadium historyczne, w jakim się znaleźliśmy, to przyspieszony rozkład komunizmu. Jak ci się dziś przedstawia nasz wspólny interes?*

G.S.: — Cierpi! Niesłychanie trudno jest nam się dostosować do sytuacji, gdy zanikowi instytucjonalnego komunizmu w Polsce towarzyszy trwałość podziemnych przyzwyczajeń ludzi szukających kontaktów z nami. W ogóle jest zamieszanie, głównie prowokowane przez dostojników polskich.

R.K.: — *Arogancja przewodniczącego, niedorzeczne wypowiedzi prymasa, rząd bez wizji i ministrowie bez woli...*

G.S.: — Historia z klasztorem w Oświęcimiu narobiła wam wiele złego, wykazując jak łatwo Polacy stawiają się ponad prawem, nawet przez siebie podpisanym. Wałęsa zaś wpędził nas w stan kompletnego zamieszania. Traktując zachodnich menadżerów jak bezrozumne panienki, wykazał całkowite niezrozumienie normalnych stosunków gospodarczych i poderwał zaufanie do rozsądku Polaków.

R.K.: — *Ale wytargował cztery miliardy franków...*

G.S.: To albo zbieg okoliczności, albo inscenizacja, wywołana

wcześniejszym przeciekiem do Gdańska, że szykują się pieniądze.

R.K.: — *Trudno mówić o zbiegu okoliczności, kiedy przez sześć miesięcy przywódcy „S" jeżdżą po świecie, żądając pieniędzy pod groźbą upadku własnych reform — i te pieniądze w końcu otrzymują. Niepokoi mnie fatalizm, spychający Polaków do roli petentów, trudny do przezwyciężenia, ponieważ być może leżący w interesie Zachodu. Pamiętasz trudne chwile, jakich nam nie brakowało przez okres współpracy z krakowską strukturą zakładową.*

G.S.: — Zdaniem wielu Francuzów, trudności zaczęły się piętrzyć począwszy od 1985 roku. Ludzie się zużywali...

R.K.: — *To chyba nie tylko sprawa ludzi, lecz przede wszystkim okoliczności. W pierwszych latach układ między podziemiem i Zachodem miał stosunkowo prosty charakter: chodziło tylko o pomoc. Później jednak trzeba było myśleć o jakichś formach współpracy i zaczęło być gorzej. Przeciągający się stan wojenny, odpływ ludzi, rosnąca izolacja podziemia i gospodarczy upadek kraju spowodowały, że po polskiej stronie oczekiwano tylko pomocy materialnej — nie dla pracy, lecz dla przetrwania. Ze strony francuskiej zaś sytuacja była akurat odwrotna, ponieważ w normalnych warunkach czas działa na korzyść rzeczowych poczynań...*

G.S.: — Niekoniecznie. Z upływem czasu Francuzi też nawalali.

R.K.: — *Ale udało się zróżnicować inicjatywy — kolonie dziecięce, staże dla działaczy, współpraca sektorami: ekologia, energetyka, rolnictwo. Dotyczyło to nie tylko związków zawodowych, jak CFDT, czy szczególnie głęboko w Małopolsce zaangażowana chrześcijańska CFTC, ale także grup nieformalnych. Tymczasem odnosiło się wrażenie, że czas po obu stronach żelaznej kurtyny biegł w przeciwne strony. Miałeś tego świadomość, podobnie jak inni znani mi Francuzi, którzy często jeździli do Polski. Na odprawach byliśmy całkowicie zgodni: trzeba, by Polacy także wywiązali się ze zobowiązań wynikających z umów — a przecież nie było sposobu, żeby nakłonić ciebie czy twoich kolegów do rzeczowego postawienia sprawy w Krakowie: panowie, tam gdzie systematycznie nie ma roboty, nie będzie pieniędzy. Tym sposobem zdarzało się, że finansowaliście kręgi pracy pozornej, przypominającej znane w kraju „Rondo" z powieści Brandysa. Takie sytuacje, choć nie stanowiły reguły, nie były chyba wyjątkiem — i jaką stąd naukę mogli wynieść Polacy w stosunku do Zachodu? Jeśli będziesz mi płacił za nic, czy sądzisz że wezmę się do roboty?*

G.S.: — Uważasz, że nie potrzebujecie tych milionów?

R.K.: — *Będą niezbędne na opłacenie kosztów zmiany systemu — np. na fundusz bezrobocia, które powstanie po cofnięciu większości dotacji, czy na zapomogi dla ubogich i emerytów po pełnym uwolnieniu cen. Ludziom nie dysponującym wizją normalnej gospodarki pojęcie funduszów zachodnich kojarzy się przede wszystkim z ich funkcją dystrybucyjną — to znaczy sposobem zatkania bieżących dziur konsumpcyjnych. Jak dotąd, władze szukają pieniędzy nie proponując sejmowi radykalnych reform, co oznacza, że finansowany jest stary ustrój. Próba syntezy systemu nakazowego i rynkowych intencji, jaką jest program ekonomiczny rządu, budzi zadowolenie wielu polskich komentatorów, przekonanych, że politycy Zachodu przyjęli go z zachwytem. W istocie poczynania władz zmierzają raczej w kierunku wzmocnienia obwodów administracyjnych niż produkcyjnych — to znaczy, że zależy im głównie na urealnieniu kontrolnych funkcji administracji krajowej i zdobyciu wiarygodności kredytowej w politycznych sferach Zachodu. Tymczasem konieczne jest przede wszystkim masowe odwołanie się do przedsiębiorczości i rozumu społeczeństwa wokół konkretnych programów rygoru i pracy z jednej strony oraz otwarcie kraju dla kapitałów na wielką skalę z drugiej. Gdy chodzi o tworzenie bogactw, to porozumienia między politykami bez ułożenia wspólnych interesów z międzynarodowymi grupami nie dadzą trwałych efektów. Podobnie gdy chodzi o gęstą tkankę więzi na niskim szczeblu — deklaracje rządowe mają mniejsze znaczenie niż zachęcanie do kontaktów własnym przykładem. Wszystko to wymaga jednak odważnych zmian prawno-ustrojowych, a na początek wymiany pieniądza.*

G.S.: — Ale ten rząd istnieje dopiero od trzech miesięcy...

R.K.: — *Dzisiaj czas ma inny wymiar — przede wszystkim dla tych, którzy biorą się do rządzenia. A rodowody dzisiejszych władz polskich sięgają znacznie dalej, niż trzy miesiące. Polityka rządu, naśladowcza raczej niż twórcza, a w szeregu resortów po prostu nieudolna, to bezpośredni twór polityki przywódców „S". Być może sytuacja w Polsce rozwijać się będzie biernie, śladami powszechnego huraganu w naszej części świata, utrzymując kraj na niskim poziomie produkcyjnym i w ogonie przemian politycznych — aż do wyborów parlamentu i powołania sprawnego rządu, politycznie spójnego i dysponującego umiejętnościami i wolą na historyczną miarę. Dziś brak ogólnej wizji wewnętrznej, a z drugiej strony od czasów okrągłego stołu Związek prowadzi międzynarodową politykę na wielką skalę operując tymi samymi środ-*

kami, jakimi wcześniej negocjował małe formy pomocy. W miejsce odważngo i fachowego programu, który mógłby zmobilizować społeczeństwo i otworzyć kraj na kapitały inwestycyjne, przywódcy „S", a później rządowi, przemierzają świat z żądaniami gotówki tout court. *Wasi politycy, chociaż w pełni świadomi, że nie tędy droga, wykazują wielką sympatię dla rozsądku Polski oraz osobiście dla Wałęsy i po paru miesiącach wahań — wyciągają pieniądze — dodajmy nie swoje, tylko podatników. Rząd włoski zapowiada 400 mln., wzywając innych, by przeszli od słów do czynów. Amerykanie uchwalają 700 milionów dla nas, a tylko 100 milionów dla Węgrów. Giscard przestrzega przed następstwami upadku polskich reform. Mitterrand daje cztery miliardy franków w dzień po niesłychanym ataku Wałęsy. Jaką stąd Polacy wyciągną naukę?*

G.S.: — Poprzedniego dnia Delors przestrzegał Polaków, by nie oddawali się marzeniom...

R.K.: — *Ale ten sam Delors wcześniej zapewniał Wałęsę, że zrobi wszystko, by nakłonić rządy Wspólnoty do pomocy. Ani słowa o tym czego musiał być świadom — że wysiłek polski jest niedostateczny dla zainteresowania głównych aktorów światowego układu gospodarczego, to jest międzynarodowych koncernów i gęstej sieci średnich firm rozwojowych. Tym sposobem przez pół roku kapitaliści ugruntowali swój sceptycyzm w stosunku do Polaków i poszukają interesu gdzie indziej — na Węgrzech, w NRD, w Grecji. Z drugiej zaś strony przez całe lata pamiętać się będzie w Polsce, że Wałęsa pięścią w stół zawsze wydębi te miliony, skądinąd najzupełniej niewystarczające. Nie twierdzę, że Zachód jest czemuś winien. Sądzę natomiast, że obok właściwych nam totalitarnych przyzwyczajeń istnieją silne przyczyny zewnętrzne, fatalnie utrzymujące Polskę w stanie niezaradności. Jedną z nich jest fakt, że Zachód nie nadąża z oceną sytuacji w Polsce...*

G.S.: — Przy tym tempie wydarzeń to rzecz raczej normalna. We Francji tempo przekształceń historycznych jest wolniejsze: 1936 rok — Front Ludowy, 1944 — IV Republika, 1958 — V Republika, 1968 — rozruchy majowe... U was: 1945 — 56 — 68 — 70 — 76 — 80 — 81... Trudno to śledzić z należytą uwagą i bez pewnych obaw.

R.K.: — *Ale to rozkład systemu na skalę planety, nie wybieraliśmy tych ciekawych czasów. Tak czy inaczej mam wrażenie, że w waszej świadomości nadal trwa obraz monolitu społecznego po 13 grudnia 81: naród opierający się Złu. Byłby może czas na zróżnicowanie spojrzenia. Globalna wizja Polski na poły mistyczna,*

pozwala politykom polskim ignorować obyczaj, że do negocjacyjnego stołu należy się zgłosić z pakietem propozycji i zapleczem załatwionych lub przynajmniej rozpoczętych reform. Politycznie adorowany Wałęsa jest przekonany, że przemysłowcy niemieccy przyjdą na spotkanie, choć nie ma im nic do powiedzenia. W takiej sytuacji polityka zagraniczna nie przyspiesza u nas zmian wewnętrznych — i tak naprawdę nic się nie udaje. Chyba, że z punktu widzenia bieżących interesów Zachodu o to chodzi, by rewolucja polska nie poszła za daleko, a bieżące napięcia ulegały rozładowaniu poprzez spektakularne i niewystarczające manewry kredytowe.

G.S.: — Krótko mówiąc, spisek.

R.K.: — *Nie spisek, lecz wygodny obyczaj polityczny. Mam wrażenie, że Zachód w sprawach polskich ma odruchy opiekuńcze, co nie wpływa korzystnie na kształtowanie nowych polskich polityków. Jest w Polsce wielu rozsądnych obserwatorów, ludzie — także politycy — uczą się szybko, kontakty międzynarodowe oparte o rzeczowe kryteria rosną w liczbę i znaczenie — i wcześniej czy później geografia polityczna i społeczne zachowania ulegną u nas zmianom. Szczególna szkodliwość odruchów opiekuńczych Zachodu związana jest przede wszystkim z ograniczeniem polskiej suwerenności i możliwością określania z zewnątrz naszego pola manewru: dotąd możecie robić rewolucję i będziemy wam pomagać, ale odtąd już nie. Sądzisz, że istnieje takie „dotąd"?*

G.S.: — Może je stanowić wzrost poczucia polskiego odosobnienia, jeśli wejdzie ono w jawny konflikt z rozwojem uniwersalizmu w Zachodniej Europie: jakiś rodzaj wojowniczej religijności albo agresywny nacjonalizm... Pewien niepokój wywołuje sprawa wielkich Niemiec, które dla zdobycia wolnej ręki w polityce wewnątrzniemieckiej mogą pewnego dnia rozważać znaczne rozszerzenie swoich opcji wschodnich kosztem integracji ze Wspólnotą Europejską. To chyba czysta hipoteza, ale trzeba jej być świadomym. Przy wysiłku wszystkich stron — a także zgodzie, że będą to procesy powolne, a nie gwałtowne — wszystko jest do załatwienia w ramach Europy. Integrujemy najpierw RFN w obrębie Wspólnoty, a potem przyjmujemy NRD...

R.K. — *Jeśli chodzi o stosunki z Polską, to konieczne jest zastąpienie mitologii pragmatyką, by proces o jakim mowa mógł przebiegać bez gwałtownych zakłóceń. Zracjonalizowanie języka w kontaktach z politykami polskimi pomoże im zdać sobie sprawę, że muszą opracować i zgłosić w sejmie program integralnych*

zmian systemu, z braku czego tracą bezcenny czas, angażując się w rozwiązania łatwe, ale nieskuteczne: eksploatację mitu polskiego za granicą i chaotyczne półśrodki prawne w kraju. Zmienić obyczaje jest suwerennym prawem Polaków, ale potrzebny jest także wolny od koniunkturalnych mirażów język Zachodu; nie wiemy co to znaczy historyczna konieczność pomocy Polsce, natomiast znamy pojęcie interesu i gotowi jesteśmy rozważyć waszą ofertę prawną, finansową i technologiczną... Zresztą trzęsienie ziemi na Wschodzie pozbawia Polskę uprzywilejowanego stanowiska i wielka szkoda, że wielu z naszych nadal głęboko wierzy w swoje prawa pierworodnego.

G.S.: — Powiedzmy sobie, że to wy przede wszystkim musicie zmienić swoje obyczaje... Niech mi Wałęsa nie wymyśla od obłudnych panienek... swoją drogą, skąd u niego takie doświadczenia... Nie dysponuję milionami i nie do mnie się zwracał, ale mnie to dotyczy. Chodzi mi o sytuację zwykłych ludzi, Francuza z ulicy, który od lat pomagał przyjaciołom w Polsce. Obecnie, w warunkach pewnej wolności, zakres współpracy ludzi i małych grup mógłby się ogromnie rozwinąć. Nie tylko w Polsce obserwujemy przyspieszenie. Na Zachodzie odbywa się głębokie przewartościowanie tradycyjnych układów. Podział lewica — prawica traci na znaczeniu. Rzeczywiste konflikty dziś to produkcja — ekologia, konieczność wzrostu — potrzeba oszczędności energii i surowców, konsumpcja — wolność jednostki, międzynarodowy podział pracy — kodeks pracownika... Przypuszczam, że w tych dziedzinach współpraca z wami przyniosłaby wiele wszystkim zainteresowanym — tymczasem dominanta czynników ekonomicznych, magia wielkich sum i wreszcie zachowanie waszych polityków grożą wam nową formą izolacji, w której powtórzycie wiele naszych błędów...

R.K.: — *...dorzucając własne...*

G.S.: — Przeciwdziałać izolacji mogłyby kontakty bezpośrednie, będące często kontynuacją pomocy z lat ubiegłych. Ale nie można ludzi zniechęcać ponad miarę. Dawniej różne niedociągnięcia z polskiej strony łatwo było wytłumaczyć specyfiką podziemia, proscenium zajmowały moralne wartości oporu i trud przetrwania. Wypowiedź waszego szefa wyzwoliła uśpiony sceptycyzm, wywołany wyłącznie roszczeniami polskich działaczy politycznych. Po występie Wałęsy nie wiemy, co dalej robić.

R.K.: — *Ależ... kontynuować, dostosowując język do nowych czasów. Wałęsa mówi trochę to, czego sami go nauczyliście. Czy ty wytrzymałbyś takie natężenie bałwochwalstwa, na jakie on jest wystawiony na zagranicznych przyjęciach? Ilu takich Wałęsów wychowało się na bezkrytycznej asyście zachodnich kolegów? Ale nie można porzucać spraw w pół drogi. To początek rewolucji, której kresem może być całkowite zakwestionowanie planetarnego systemu wojennego — i to chyba nasz największy wspólny interes.*

Robert KACZMAREK

Paryż, 18.11.89

Dyktatorzy nie lubią fotoreporterów

ROZMOWA Z TOMASZEM KIZNY Z NIEZALEŻNEJ AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „DEMENTI" Z WROCŁAWIA

RAFAŁ BUBNICKI: — *Zacznijmy od początku. Kiedy powstała Niezależna Agencja Fotograficzna i dlaczego przyjęła nazwę „Dementi"?*

TOMASZ KIZNY: — Na początku był stan wojenny. Rzeczywistość, którą nam zaserwowano 13.12.1981 była, jak wiadomo, nie do przyjęcia. Wymagała czynnego sprzeciwu, czyli ujmując rzecz najprościej — wykonywania czynności zabronionych. Fotografia spełniała ten wymóg. Przed planowaną na 31 sierpnia 1982 demonstracją uliczną jeden z moich znajomych — Staszek Gulbinowicz — zaproponował, abyśmy z grupą przyjaciół wykonali dokumentację fotograficzną i filmową tej manifestacji. Wtedy zrobiliśmy pierwsze zdjęcia. Wkrótce potem część z nas porzuciła drukowanie i kolportowanie bibuły, czym uprzednio się zajmowaliśmy. Fotografowanie stało się naszym głównym, nielegalnym zajęciem. Nienormalne warunki trwały w Polsce wystarczająco długo, aby to, co było prostą formą oporu, jedną z wielu możliwych odpowiedzi na wyzwanie, jakim był stan wojenny, stało się w miarę upływu lat zawodem, a grupa przyjaciół — „firmą".

A dlaczego „Dementi"? Przecież to były czasy, kiedy Jerzy Urban zapewniał na konferencjach prasowych, że „spokój panuje w Warszawie", podczas gdy pod oknami „Interpressu" wybuchały petardy z gazem łzawiącym. Fotografie przemycane na Zachód zaprzeczały oficjalnej, propagandowej wersji rozwoju sytuacji w Polsce, dementowały komunikaty PAP i oświadczenia Jerzego Urbana o „postępującym procesie normalizacji". Wtedy fotografia pełniła taką funkcję, a my tak rozumieliśmy naszą rolę wobec przemocy i wszechobecnego, nachalnego, oficjalnego kłamstwa. Sądzę, że jest to ogólniejsza reguła. W czasie dramatycznych wydarzeń, w których uczestniczą całe społeczności czy narody, a rządzący blokują informację, fotografia pełni szczególną rolę. W takich momentach jej znaczenie urasta do rangi obiektywnego, niezaprzeczalnego dowodu, a także oskarżenia. Tak było w Chile, Wietnamie, Afganistanie, Kambodży i wielu innych miejscach, ostatnio w Pekinie. Dlatego dyktatorzy nie lubią fotoreporterów.

R.B.: — *Pierwsze trzy lata działalności agencji to przede wszystkim dokumentowanie wydarzeń. Robiliście zdjęcia dla przyszłych historyków.*

T.K.: — Nie wiem, czy dla historyków. Ich bardziej interesują fakty niż fotografie. Staraliśmy się przede wszystkim przesyłać zdjęcia na Zachód. To było najważniejsze. W Polsce nasze zdjęcia nie były właściwie nikomu do niczego potrzebne. Wtedy jeszcze nie było prasy podziemnej, która byłaby w stanie zdjęcia drukować. Ale dla nas najważniejsze było samo fotografowanie. Łączył nas styl życia. Jak wielu młodych ludzi, mieliśmy do wyboru albo emigrować przy pierwszej nadarzającej się okazji, albo wymyślić sobie sposób na życie. Fotografowanie i emocje z tym związane, organizowanie „firmy", praca, którą zawsze stawiałem na pierwszym miejscu, ale także wspólne wyjazdy w góry, jakieś alkoholowe imprezy, to wszystko dawało poczucie niezależności, pozwalało stworzyć enklawę w beznadziejnej i absurdalnej codzienności zmilitaryzowanego realnego socjalizmu. Warto było tak żyć. Natomiast jeśli chodzi o wartość historyczną fotografii z tamtego okresu, to bym jej nie przeceniał.

R.B.: — *Jak układała się współpraca z RKS i Solidarnością Walczącą?*

T.K.: — Współpraca z RKS (1982-1984) właściwie nigdy nie zawiązała się na dobre. Dla nas dotarcie do RKS było trudne — nie funkcjonowaliśmy w środowiskach „Solidarności" w czasie

legalnego działania związku. Z drugiej strony RKS zajęty był sprawami bieżącymi i traktował naszą działalność jak piąte koło u wozu, czemu trudno się dziwić. Współpraca z RKS zakończyła się w momencie aresztowania osoby pośredniczącej w kontaktach.

W 1984 roku zaczęliśmy współpracować z Solidarnością Walczącą. Doświadczenia z tej współpracy mamy niestety bardzo złe. W ramach takiej organizacji jak Solidarność Walcząca nie mogło być miejsca dla grupy o takiej formacji jak nasza. Byliśmy skazani na konflikt, ale zrozumienie tego zajęło mi dwa lata. Rozstaliśmy się ostatecznie w 1986 roku, kiedy odczuliśmy w dotkliwy sposób (mniejsza o szczegóły), że jesteśmy traktowani instrumentalnie. Doszło do konfrontacji, ponieważ okazało się, że oczekuje się od nas uznania interesów organizacji za bezapelacyjnie nadrzędne, podporządkowania się Komitetowi Wykonawczemu SW, przysięgania na Rzeczpospolitą Solidarną (?) i tym podobnych rzeczy. Wszystko to w oprawie frazeologii o naszej autonomii i niezależności. Po doświadczeniach z Solidarnością Walczącą powiedziałem sobie stanowczo — nigdy więcej takich eksperymentów z dużymi „firmami" — organizacjami, partiami czy ugrupowaniami politycznymi. Jesteśmy sami.

R.B.: — *W 1986 roku, po raz pierwszy po 13.12.1981, wyjechaliście na Zachód...*

T.K.: — Gdzie przekonaliśmy się, że jesteśmy sami, ale niezupełnie. Spotkaliśmy ludzi, którzy zechcieli nam pomóc, ponieważ uważali, że to co robimy jest pożyteczne i potrzebne. W Polsce na takich zasadach pomagał nam Komitet Kultury Niezależnej. Ci ludzie niczego nie chcieli nam narzucać. Do niczego przypisywać. Nikt nie próbował dyskontować efektów naszej pracy. Jeśli ta pomoc do czegoś nas zobowiązywała, to tylko do solidnej, rzetelnej pracy. Do niczego więcej. To nam odpowiadało. Serdeczne dzięki.

R.B.: — *Na czym w praktyce polega Wasza działalność jako agencji?*

T.K.: — Opracowujemy i rozsyłamy serwis fotograficzny do polskich gazet krajowych i emigracyjnych, współpracujemy z wychodzącymi poza zasięgiem cenzury pismami w CSRS oraz z czechosłowacką i rosyjską prasą emigracyjną. Ponadto stałymi odbiorcami naszych serwisów fotograficznych są czasopisma zajmujące się Europą Wschodnią (*Uncaptive Minds, East European Reporter* czy *Across Frontiers*). Realizujemy zamówienia

dziennikarzy krajowych i zagranicznych oraz oferujemy nasze zdjęcia zachodnim agencjom prasowym jak Reuter czy AP.

R.B.: — *Jak układa się współpraca agencji z polskimi pismami emigracyjnymi?*

T.K.: — Pisma emigracyjne są naszym naturalnym partnerem i wszystko przemawia za współpracą.

R.B.: — *Skoro tak jest, to dlaczego pojawiają się problemy?*

T.K.: — Większość pism emigracyjnych nie na zwyczaju płacić honorariów w sposób, nazwałbym to, automatyczny. Często trzeba na nie bardzo długo czekać i na ogół egzekwować, wykonując wiele dodatkowych zabiegów, które pochłaniają czas i energię. Ustalenie profesjonalnych zasad współpracy jest sprawą zasadniczą. Chodzi o sprawy najprostsze: respektowanie praw autorskich, ustalenie wysokości honorariów, regularne ich wypłacanie, podpisywanie zdjęć nazwą agencji, informowanie gdzie jakie zdjęcie się ukazało.

R.B.: — *NAF „Dementi" zajmuje się nie tylko działalnością agencyjną. Przygotowaliście osiem wystaw we Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, Bonn, Paryżu i Wiedniu. Ponadto wzięliście udział w sześciu wystawach, do których agencja przygotowała materiał fotograficzny. Dlaczego tyle energii włożyliście w przygotowanie wystaw, które nie są głównym celem istnienia agencji?*

T.K.: — Nie wiem, co jest naszym głównym celem — fotografia prasowa czy wystawy. Do tej pory udawało się nam jakoś godzić te dwa rodzaje aktywności. Oczywiście, masz rację, że robienie wystaw fotograficznych nie mieści się w formule działania agencji fotograficznych. Agencja zajmuje się robieniem, kupowaniem i sprzedawaniem zdjęć dla prasy. Jeśli profesjonalizacja, która jest wymogiem obecnej chwili, miałaby oznaczać rezygnację z opracowań tematycznych, z wystaw, to ja raczej rezygnuję z profesjonalizacji. Fotografowanie na „zadymach" wymaga dobrej orientacji, sprytu, refleksu i odrobiny szczęścia. To jest pasjonujące. Jeśli zdjęcie jest dobre, a wydarzenie ważne, to po jakimś czasie widzisz je wydrukowane. To jest miłe, ale fotografia prasowa szybko przemija. Opracowanie wystawy wymaga innego nastawienia, innego rodzaju wysiłku i daje inne satysfakcje.

R.B.: — *Do 1989 roku wystawialiście wyłącznie w obiegu niezależnym tj. najczęściej w kościołach. Ta sytuacja miała ogromne plusy, ale i duże minusy.*

T.K.: — Niezależny obieg wystawienniczy stworzył możliwość pokazania ludziom tego, co robiliśmy, pozwolił zaistnieć społecznie nie tyle nam, bo pozostawaliśmy anonimowi, ale naszej pracy. Fakt, że w tych latach mogliśmy wystawiać, jest nie do przecenienia. Jestem wdzięczny takim ludziom jak ks. Stanisław Orzechowski, prowadzący galerię „Na Ostrowie" — zupełnie wspaniały — Jurek Ryba czy ks. Mirosław Drzewiecki i wielu innych, dzięki którym powstał we Wrocławiu niezależny obieg wystawienniczy, gdzie stawialiśmy pierwsze kroki. Jestem wdzięczny ludziom, natomiast jeśli chodzi o Kościół, to podzielam zdanie (sporo już o tym pisano), że jego rola ograniczyła się do łaskawego, a w miarę upływu czasu coraz bardziej kapryśnego przyzwolenia. Ta sytuacja wymagała niekiedy niebywałego samozaparcia ludzi, którzy organizowali niezależne życie kulturalne.

R.B.: — *Wystawę pt. „Ocaleni z Gułagu" pokazaliście już w pierwszym obiegu, w Starej Galerii ZPAF w Warszawie, na przełomie czerwca i lipca br. Jak doszło do tej wystawy?*

T.K.: — W 1985 roku przypadkiem dowiedziałem się od jednego z przyjaciół, że we Wrocławiu żyją byli więźniowie sowieckich łagrów, którzy mają zdjęcia z obozów. Udało mi się poznać tych ludzi i zyskać ich zaufanie. Udostępnili mi zdjęcia z Workuty, Kołymy, Inty i innych „wysp archipelagu". Wykonanie i przywiezienie tych zdjęć do Polski wymagało niemałej odwagi. W maju 1988 roku, w Bolesławcu, na II Zjeździe Sybiraków i Łagierników, Żołnierzy Okręgów Wschodnich AK pokazaliśmy pierwszą wersję wystawy, zatytułowaną „Łagry".

R.B.: — *Kim byli autorzy zdjęć?*

T.K.: — W większości żołnierzami AK wywiezionymi na wschód w latach 1944-1946. Po zwolnieniu z łagrów (w latach 1955-1957) przez kilka lub kilkanaście miesięcy czekali na zgodę władz sowieckich, by mogli powrócić do kraju. Mieszkali wówczas poza obozem, mogli korespondować, założyć rodzinę, mieli prawo do wynagrodzenia za pracę (w wysokości połowy normalnych zarobków). Po latach głodowania najpierw kupowali żywność, a następnie odzież, która zastępowała łagrowe łachmany. Dopiero później nabywali inne rzeczy, m.in. aparaty fotogra-

ficzne. Zdjęcia wywoływano i powiększano na miejscu — zorganizowano nawet w prywatnym mieszkaniu wystawę. W Warszawie pokazaliśmy przede wszystkim zdjęcia z Workuty — stamtąd pochodzą najciekawsze fotografie.

R.B.: — *Zdjęcia eksponowane na wystawie pokazują powrót do życia. Łagry istnieją w tle.*

T.K.: — W łagrach robienie zdjęć było niemożliwe. Zdjęcia wykonane przez Bernarda Grzywacza, Henryka Jasińskiego, Stanisława Kiałkę, Zygmunta Sajdaka, Edmunda Webera i innych, nieznanych autorów pokazują łagry fotografowane z zewnątrz, dokumentują powrót do życia byłych więźniów. Te zdjęcia mają tak humanistyczny wyraz właśnie dlatego, że mówią o potrzebie uśmiechu, miłości i normalności, które tym ludziom udało się przenieść przez 11 lat doświadczeń piekła, jakim był łagier.

W oparciu o wystawę „Ocaleni z Gułagu" zamierzamy wydać album fotograficzny.

R.B.: — *Jakie są zamierzenia agencji na najbliższe miesiące?*

T.K.: — Czasy się zmieniły. Trzeba sprostać wymaganiom, jakie stawia wykonywanie naszego zawodu w warunkach w miarę normalnego, jawnego życia. Myślę, że damy sobie z tym radę. Tylko obawiam się, aby profesjonalizacja, która stawia tyle wymagań, nie zabrała nam czegoś, co jest bardzo ważne. Mam na myśli przyjaźnie, bezinteresowność, styl życia. W pewnym stopniu jest to nieuniknione, ale chciałbym, aby udało się zachować trochę radości i atutów, jakie niosło ze sobą nasze amatorstwo.

Rozmawiał Rafał BUBNICKI

DRUKARNIA POLSKA
KONTRAST
Breitensteinstrasse 33
D – 8209 Schlossberg-Rosenheim
☎ 08031 / 7777

wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe oraz wszelkie inne prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim. Solidne wykonanie — ceny umiarkowane! Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

Sprawy i troski

Pęknięty mur

Cały świat patrzył z sympatią, kiedy ponad berlińskim murem strzelały korki od szampana, a cegły z tej jedynej w swoim rodzaju granicy sprzedawano jako pamiątki po 10 dolarów. W ciągu pierwszych dni po otwarciu granicy między oboma państwami niemieckimi miliony obywateli NRD pojechały zobaczyć, jak żyją ich zachodni rodacy. Większość wróciła. W RFN pozostało raptem kilkanaście tysięcy uchodźców najświeższej daty. A jeszcze kilka tygodni wcześniej było zupełnie inaczej. Ci ludzie, którzy zdecydowali się uciekać do Niemiec Zachodnich wiedzieli, że będzie to podróż w jedną stronę.

●

Życie lubi paradoksy, Niemcy z NRD — aby uciec od swoich pobratymców z Zachodu — musieli uciekać na wschód i południe. Wielu z nich trafiło do kraju za Odrą. Początkowo przyjeżdżali zwyczajnie, z wizami i ważnym paszportem.

Pierwsi uchodźcy, jakich przyjęła ambasada Republiki Federalnej Niemiec, byli ludźmi bez imion i nazwisk. Po prostu bali się, zaś anonimowość dodawała im poczucia bezpieczeństwa. Bali się nie o siebie — chronił ich teren ambasady, za który jednak wypuszczali się bardzo niechętnie, choć wielu z nich mówiło, że Polska to już Zachód, że kraj, w którym „Solidarność" utworzyła rząd, jest dla nich bezpieczną przystanią. Był to strach o rodziny, o przyjaciół, którzy zostali, strach, z którego trzeba się leczyć przez wiele lat.

— Nie będę z tobą rozmawiać — powiedziała mi wtedy dziewczyna, stojąca z dużymi walizkami pod płotem ambasady.

— Nie powiem, jak się nazywam, gdzie mieszkam i co chcę robić prócz tego, że wyjeżdżam. Nie dlatego, że ci nie wierzę. Ale podam jakiś szczegół i rodzice będą mieli kłopoty.

— I tak mogą mieć kłopoty, bo przecież uciekasz z NRD.

— Nie wiem. Nie rozmawiajmy już.

Budynki ambasady zamieniły się w tymczasowy hotel. Między drzewami rozpięto sznury, na których suszyło się pranie. Ciekawi mieszkańcy Saskiej Kępy przychodzili pod ambasadę, żeby sobie popatrzeć.

Zobaczyć mogli niewiele. Widzieli dorosłych spacerujących po trawnikach, oglądali grupki bawiących się dzieci. Od czasu do czasu słyszeli krzyki rodziców, kiedy ich pociechy próbowały przełazić przez płot do polskich rówieśników. Żadnych rozmów, żadnego bliższego kontaktu. Pozorny spokój.

Zaludniało się pod zachodnioniemiecką ambasadą. Wzrosły szanse wyjazdu, od kiedy z Warszawy zaczęły kursować „pociągi wolności", a później samoloty czarterowe, więc ludzi przybywało. Wąskie uliczki Saskiej Kępy stały się parkingiem dla dziesiątek trabantów i wartburgów. Wiele samochodów otulał gruby koc jesiennych liści — znak, że już długo nikt nimi nie jeździł. Każdego ranka przed wystawionym poza teren ambasady kioskiem formowała się długa kolejka. Ludzie stojący w ogonku do wolności byli jakby bardziej rozmowni. Jednak skwapliwie unikali telewizyjnych kamer. Lepiej uważać.

— Przyjechałem z rodziną z Drezna — mówi młody chłopak, wskazując na dwudziestokilkuletnią dziewczynę, dwójkę dzieci i starszą parę, zapewne rodziców. — Wizy do Polski załatwiliśmy już na wiosnę. Dlaczego chcę wyjechać? To proste. W NRD tylko sekretarze i dyrektorzy mają wszystko. Dla zwyczajnych ludzi — takich jak ja — już nie starcza. Tak, miałem własne mieszkanie i samochód. Miałem też świadomość, że te dwa pokoje i trabant zostaną mi na zawsze. Żadnych perspektyw.

— Był pan na Zachodzie? Ja nigdy. Ale oglądałem tamtą telewizję. Tam ludzie po prostu żyją. Mogą jeździć, dokąd chcą, normalnie zarabiają. Dlaczego mam dzieciom zagrodzić drogę do tego, o czym sam zawsze marzyłem?

— Jestem Niemcem, takim samym jak ci z drugiej strony Łaby — podpowiada mężczyzna w średnim wieku. — Mam prawo żyć tak, jak oni. To nienormalne, żeby jeden naród musiał żyć w dwóch różnych krajach, żeby jednym było wolno, a drugim nie.

— Jak tak dalej pójdzie, to będziecie żyć w jednym kraju, tyle że NRD zostanie pusta. Dość dziwny to sposób na zjednoczenie.

— Nie, wszyscy nie wyjadą. Przecież komuniści wiz nie dają. Ktoś zostanie, musi zostać! Ale — szczęśliwie — to nie będę ja.

Pod ambasadą przybyło również Polaków. Już nie tylko po to, żeby popatrzeć. Niektórzy rodacy mogli tam wykazać handlowy zmysł.

Ile zapłacić za nowy, choć od nowości kiepski samochód? Pewnie, że jak najmniej, ze 200-300 zachodnich marek. Przecież enerdowcy samochodów na Zachód nie wezmą, a muszą mieć parę groszy na początek. Człowiek, który ma do wyboru: sprzedać albo zostawić, nie upiera się przy cenie. Warto korzystać. Skrupuły niech

idą w kąt. Jeśli nie kupię ja, kupi ktoś inny.

Lecz — prawdę mówiąc — w okolicach ambasady kręciło się niewielu cwaniaków. Niemców otaczała życzliwość. Ludzie z pobliskich domów zapraszali ich do siebie na kawę, podrzucali coś do jedzenia. Pewien starszy pan przenocował na swoim poddaszu aż dwie rodziny. Dał jeść, porozmawiał, dzieciom pozwolił bawić się w przydomowym ogródku. Dawno, przed wielu laty wyuczył się niemieckiego. Wtedy to był język wrogów. Była wojna, siedział w kilkunastu obozach i znajomość niemieckiego zwiększała szanse na przeżycie. Teraz ani przez myśl mu nie przeszło, że mógłby odmówić pomocy. Wojna to dobra, choć okrutna szkoła. Uczą w niej, że potrzebującego nie godzi się zostawić.

Z czasem pomieszczenia ambasady stały się za szczupłe, aby pomieścić rosnącą w gwałtownym tempie grupę uchodźców. Emigranci znaleźli schronienie w podwarszawskim Tarchominie, w budynkach należących do Kościoła. Zresztą z Kościołem stykali się już wcześniej. Dla wielu z nich wieże zwieńczone krzyżem były drogowskazem do wolności. Przychodzili do różnych warszawskich parafii, prosili o adres ambasady, coś do jedzenia, jakieś ubranie. Bardzo często nie mieli pieniędzy. Właśnie o takich ludziach opowiada ksiądz, zarządzający tarchomińskim ośrodkiem:

W czym ja mogę im pomóc? Daję dach nad głową i to właściwie wszystko. Oni nawet nie chcą ze mną rozmawiać, nie zwierzają się, nie szukają pociechy. Czasami któryś z nich powie, że Polacy dostali w stanie wojennym od Niemców taką wielką pomoc, iż wsparcie uchodźców to forma spłaty długu.

— Nie, rozmawiać z nimi pan nie będzie. Nie zechcą. Jak tylko znajdzie się ktoś obcy, chowają się w budynkach. Po drugie musiałby pan mieć zgodę władz kościelnych.

Księża, zajmujący się z ramienia Episkopatu Polski działalnością charytatywną również wiele nie powiedzą. Podkreślają rozmiar niemieckiej pomocy dla Polski, mówią coś o moralnym zadłużeniu, lecz czynią to niechętnie. Jest to czas, kiedy sprawa uchodźców z NRD nabrzmiała. Skoro problem wzbiera — mówią księża — idealnym otoczeniem dla niego jest cisza. Żadnych informacji ani szczegółów. Wiadomo, że Niemcy są. Niech to wystarczy.

Korespondenci zachodnioniemieccy od lat zakotwiczeni w Polsce zgodnym chórem przyznają, że problem uchodźców jest trudny do rozwiązania. Z jednej strony wspomożenie uciekinierów było dla władz RFN testem na wiarygodność rządu Mazowieckiego. Z drugiej — stosunki Polska-NRD, umowy gospodarcze i turystyczne, setki Polaków, którzy pracują we wschodnioniemieckich przedsiębiorstwach. Jak postąpić, żeby wilk był syty i owca cała?

Lecz prawdziwe kłopoty miały dopiero nadejść. NRD praktycznie zamknęła granicę z Polską. Rozpoczęły się nielegalne ucieczki.

Haiko ma 26 lat i szczęście w nieszczęściu. Jego szczęście polega na tym, że dotarł do Polski. Nieszczęście — że przyjechał do Warszawy o trzeciej nad ranem. Spóźnił się zaledwie cztery

minuty na odjazd pierwszego „pociągu wolności" (nie mógł wiedzieć, że będą następne). Też się boi, jeszcze nie pozbył się strachu przed NRD-owskimi służbami granicznymi, polską milicją i WOP-em, które — jak mówili zachodnioniemieccy dziennikarze — często fundowały sobie prawdziwe polowania na uchodźców. Nie poda nazwiska, nie pokaże twarzy do kamery. Co będzie, jeśli sytuacja się zmieni, jeśli wyjazd do RFN okaże się niemożliwy? Haiko wie, jak wyglądają NRD-owskie więzienia.

Początkowo zdecydowałem się uciekać przez Czechosłowację i Węgry — opowiada mocnym głosem. — Chciałem przepłynąć Dunaj. Nie udało się. Na plaży złapała mnie czechosłowacka straż graniczna. Prowadzili mnie pod lufą karabinu maszynowego, potem przewieźli do policyjnego aresztu, gdzie już siedziało trzech moich rodaków. Spędziliśmy tam dwa dni. Było zimno, Czesi nie dali nam żadnych koców. Przez te dwa dni komisariat zaroił się od Niemców. Siedziało nas ponad czterdziestu — wszyscy złapani nad Dunajem — młodzi i starzy, rodziny z małymi dziećmi.

W końcu zawieźli nas do Bratysławy, na lotnisku wsadzili do specjalnego samolotu. Przy prawie każdym Niemcu posadzono funkcjonariusza czechosłowackiej służby bezpieczeństwa. Przez cały czas lotu byliśmy przywiązani do foteli pasami bezpieczeństwa. Przywiązano nawet małe dzieci. Dolecieliśmy do Berlina i tam zawieziono nas do głównej siedziby NRD-owskiej służby bezpieczeństwa. Pochodzę z Frankfurtu nad Odrą, więc po jakimś czasie odwieziono mnie do mojego miasta. Tam siedziałem w areszcie ponad czterdzieści godzin. Oskarżono mnie o próbę ucieczki, ale puszczono do domu.

Odwiedziłem rodziców mojego przyjaciela. Powiedzieli mi, że on też uciekał, też go złapali i już siedzi. Wtedy zrozumiałem, że nie mam na co czekać. Spakowałem manatki do plastikowej torby, wziąłem dętkę samochodową, pojechałem pociągiem czterdzieści kilometrów powyżej Frankfurtu i poszedłem w kierunku polskiej granicy. Początkowo szedłem kilka kilometrów przez pole. Później przepłynąłem kanał. Potem znów przez pole i wreszcie dotarłem do rzeki. Woda była zimna, miejscami bardzo płytka. Przez noc doszedłem do jakiegoś polskiego miasteczka — nie wiem, jak się ono nazywa. Pojechałem na gapę pociągiem do Szczecina, potem do Warszawy. Kiedy znalazłem się pod ambasadą Republiki Federalnej Niemiec, dowiedziałem się, że uchodźcy już wyjechali.

O historii Jensa opowiada Maria. Jest Polką, poznali się przed paru laty w Szczecinie. Znajomy, który pracuje w NRD, jeździł aż pod Rostok, żeby wyznaczyć im miejsce spotkania już po polskiej stronie. Kilkadziesiąt kilometrów przed granicą Jens widział wiele NRD-owskich patroli. Żołnierze legitymowali ludzi, większość zawracali. Nie wie, jakim cudem udało mu się przecisnąć. Granicę przeszedł na piechotę — na wyspie Uznam nie trzeba przepływać przez rzekę. Widział polskich żołnierzy i milicjantów, jeżdżących na motocyklach, bacznie obserwujących okolice. Kilkukilometrowy

marsz trwał parę godzin. Jens szedł kilkaset metrów, potem kładł się, uważał, żeby go nikt nie wypatrzył. W końcu natknął się na samochód. Kierowca szczęśliwie mówił po niemiecku. Jens wiedział, że już spóźnił się na spotkanie. Poprosił o podwiezienie go do Szczecina, obiecał kierowcy, że Maria mu zapłaci. Nagle na szosie zatrzymał ich patrol milicji. Milicjant zajrzał do samochodu, chwilę pogadał z kierowcą. To były najgorsze minuty. Zwłaszcza wtedy, kiedy kierowca odezwał się do Jensa po niemiecku. Ale milicjant ich puścił. Dlaczego? Znał kierowcę z widzenia, wiedział, że pracuje w NRD, tuż przy granicy. Kierowca — Jens przez całą drogę nie zapytał go nawet o imię — powiedział milicjantowi, że jedzie z kolegą z pracy, a dokumenty Jensa są w porządku. Milicjant uwierzył. Kiedy dojechali do szczecińskiego mieszkania Marii, kierowca nie wziął od Jensa ani grosza.

Potem już było łatwo — nocny pociąg ze Szczecina i dworzec w Warszawie. Jens i Maria poszli do zachodnioniemieckiej ambasady. Tam usłyszeli opowieść o szczecińskim taksówkarzu, który brał od Niemców sześćset marek za podwiezienie do Warszawy, krążył z nimi wokół miasta, a potem oddawał milicji.

Ulla i Georg poznali się na dworcu w Zgorzelcu. Tam po raz pierwszy zaczęli się bać. Na peronie widzieli grupę enerdowców pilnowanych przez policję. Złapali ich polscy żołnierze. Oboje mieli dokumenty w porządku. Nie bali się, że mimo zezwolenia na wjazd do Polski niemieckie służby graniczne ich nie przepuszczą. W nocy dotarli przez pola do Nysy. Bagaże zostawili nad wodą, weszli do rzeki. Woda była płytka. Po polskiej stronie las dochodził prawie do samej rzeki. Brzeg był pusty. Przemoczeni szli przez las, potem przez pole. Spotkali polskiego chłopa. Bez pytania wziął ich do domu, nakarmił, wysuszył ubranie, pozwolił się przespać. Gdy wstali, chłopa nie było. Bali się, że poszedł na milicję. Ale trafili na dobrego człowieka. Chłop pojechał po bilety na autobus. Jego syn odwiózł ich aż do Poznania. Stamtąd pociągiem pojechali do Warszawy. W pociągu cały czas milczeli, bali się. Dopiero w Warszawie dowiedzieli się, że w Poznaniu byli już bezpieczni.

Thomas miał dużo szczęścia. Na polską stronę granicy przeszedł przez Nysę, w okolicach Gubina. Po stronie NRD widział dużo patroli. Kilkakrotnie natknął się na płyty z powbijanymi na sztorc gwoździami. Jak się stanie na taki gwóźdź, to nawet najgrubsza podeszwa nie uratuje stopy od przebicia. A z okaleczoną nogą uciekać się nie da. Już w Polsce Thomas wpadł na milicjantów. Musieli wiedzieć, że jest Niemcem, zdradzała go mokra torba. Milicjanci obejrzeli go, o coś pytali. Gdy nie odpowiadał, starszy machnął ręką i po prostu poszli sobie w inną stronę. Okazją dotarł do Krosna Odrzańskiego. Tam sprzedał pieniądze — za sto marek zachodnioniemieckich dostał osiemdziesiąt tysięcy złotych. Starczyło na bilet do Poznania i Warszawy. Sto marek i kilka godzin strachu — przyznaje Thomas — to niska cena za wyjazd do normalności.

Pod zachodnioniemiecką ambasadą rozmawiałem naturalnie

tylko z tymi, którym się udało. Co się stało z ludźmi, którzy nie mieli szczęścia, zostali złapani przez NRD-owskie lub polskie służby graniczne? Kiedy jeszcze stał berliński mur, za pechowymi uciekinierami zamykały się bramy więzień. Czy teraz, kiedy mur pękł, wyszli z aresztów i czy może należą do tych kilkunastu tysięcy uchodźców, którzy nie uwierzyli we wschodnioniemiecki marsz do demokracji?

Tomasz JERZ

SOLIDARITY FOUNDATION

Redaktor *Kultury* otrzymał od p. A. Ross Johnsona, amerykańskiego dyrektora Radia Wolna Europa, list datowany 21 września 1989, który przytaczamy w części dotyczącej p. Piotra Mroczyka:

Szanowny Panie Redaktorze

Jest rzeczą godną pożałowania, że *Kultura* (Nr 9/504) zdecydowała się opublikować notatkę (Wydarzenia miesiąca), której treść rzuca cień na dobre imię p. Piotra Mroczyka, nie dając mu uprzednio możliwości sprostowania kilku nieścisłości zawartych w tejże notatce. Cieszę się, że mogę uczynić to w jego imieniu.

Pan Mroczyk, który od niedawna pracuje w RWE jako wicedyrektor Rozgłośni Polskiej, był poprzednio dyrektorem wykonawczym Fundacji Solidarności. Jej finanse są w Stanach Zjednoczonych z mocy prawa sprawą publiczną. RWE/RL dokonała przeglądu kont Fundacji nie znajdując w nich żadnych nieprawidłowości.

Pan Mroczyk istotnie jest współwłaścicielem tygodnika *Gwiazda Polarna*. Jednak Fundacja i jej fundusze nie miały żadnego związku z kupnem gazety p. Mroczyka".

Odpowiadam na list p. Ross Johnsona z dużym opóźnieniem, gdyż przez ostatnie miesiące byliśmy pochłonięci sytuacją w Polsce i we Wschodniej Europie. Ponieważ jednak moje przedłużające się milczenie było interpretowane jako nasze wycofanie się z pytań pod adresem p. Mroczyka, wyjaśniam, że nie kwestionując dobrego imienia p. Mroczyka — i zapewniając, że gdyby odpowiedział na nasze pytania, natychmiast bym jego odpowiedź wydrukował — muszę stwierdzić, że Fundacja Solidarności prowadziła, oczywiście, akcję propagandową w celu zbierania funduszów na pomoc dla Polski i że ofiary na Fundację składali nie tylko Amerykanie, ale także Polacy. Jest więc chyba zrozumiałe, że nie tylko RWE/RL i podatkowe instytucje amerykańskie, ale także polska opinia publiczna chciałaby otrzymać informacje w następujących sprawach:

a) Czy Fundacja Solidarności jeszcze istnieje, czy też uległa likwidacji?
b) Jakie sumy zostały zebrane?
c) Ile pieniędzy i komu przekazała Fundacja do Polski?
d) Ile wyniosły koszta administracyjne (lokal, pensje, wydatki reprezentacyjne, itp.?)

Przyjmuję do wiadomości, że to p. Mroczyk jest personalnie współwłaścicielem *Gwiazdy Polarnej*, a nie Fundacja Solidarności.

Jerzy GIEDROYC

Kraj

Program gospodarczy rządu Mazowieckiego

Oficjalnym celem programu gospodarczego, przyjętego przez rząd Tadeusza Mazowieckiego na posiedzeniu Rady Ministrów dnia 9 października 1989, jest budowa systemu rynkowego zbliżonego do tego, jaki istnieje w krajach wysoko rozwiniętych. Realizacja programu ma przebiegać w dwóch fazach. W pierwszym etapie, trwającym do początku 1990 roku, podejmie się działania mające na celu zahamowanie inflacji i ograniczenie deficytu gospodarczego. Faza druga przemian zasadniczych rozpocznie się na początku 1990. Obejmie ona wprowadzenie mechanizmu rynkowego w dziedzinie wymiany towarów, kapitałów i pracy, otwarcie gospodarki na świat, przebudowę systemu podatkowego, finansowego i bankowego.

Tak ujęty program odpowiada na ogół zaleceniom mojego artykułu z końca 1987 („Ustrój gospodarczy Polski wyzwolonej", *Kultura* Nr 1-2, 1988) i powinien być uznany jako zasadniczy krok naprzód w odbudowie gospodarki polskiej.

Niektóre punkty programu nasuwają jednak mniej lub więcej daleko idące zastrzeżenia.

Podział programu na fazy

System gospodarczy nowoczesnego kraju jest niesłychanie skomplikowanym organizmem, składającym się z wielkiej ilości powiązanych ze sobą organów i części. Każda zmiana, wprowadzona do jednego z tych składników, odbija się z mniejszą lub większą siłą i szybkością na działaniu wielu albo nawet wszystkich innych części. A jeżeli zmiana nie jest dobrze dopasowana do możliwości adaptacyjnych innych części, to cały mechanizm może stanąć.

Inflacja, a raczej stagflacja (tzn. zwyżka cen połączona ze spadkiem produkcji) jest wbudowana w system gospodarki scentralizowanej, w której państwo produkuje wielką ilość dóbr nietowarowych, tzn. nie nadających się do sprzedaży w kraju lub za granicą, finansując tę produkcję podatkiem obrotowym, ciążącym na cenach dóbr i usług towarowych oraz, co gorsza, wprost emisją pieniądza nie mającgo pokrycia towarowego. Nie można więc wyplenić stagflacji, nie zmieniając jednocześnie całego systemu produkcyjnego, administracyjnego, podatkowego, kredytowego, pieniężnego i cenowego, co z kolei pociąga wielkie zmiany w zatrudnieniu i poziomie życia ludności. Pod tym względem uwolnienie cen artykułów żywnościowych przez rząd Rakowskiego 1 sierpnia 1989 roku, bez jednoczesnej reformy całej struktury zaopatrzenia i zbytu, było wielkim błędem, za który ludność polska, a w szczególności jej część specjalnie nieuprzywilejowana, drogo zapłaciła i płaci jeszcze.

Reformę systemu gospodarczego Polski należy zatem przeprowadzić, przynajmniej w głównych jej zarysach, jednorazowo i jednocześnie. Jest to bardzo trudne i wymaga drobiazgowego przygotowania, ale stanowi nieodzowny warunek skuteczności reformy. Za minimum akcji, które należy wprowadzić w życie od razu uważam: usamodzielnienie wszystkich przedsiębiorstw, uwolnienie wszystkich cen i płac, zredukowanie roli państwa jako producenta, racjonalizację polityki podatkowej, budżetowej, pieniężnej i finansowej państwa.

Usamodzielnienie przedsiębiorstw

W obecnych warunkach współzależności, która obejmuje cały świat, przedsiębiorstwo musi korzystać z maksimum zdolności adaptacyjnych, aby móc wytrzymać nacisk konkurencji i dostosowywać się dostatecznie szybko do ciągłych zmian technologicznych i rynkowych w kraju i za granicą. Wszelka ochrona przedsiębiorstwa przed konkurencją krajową lub zagraniczną prowadzi siłą rzeczy do zastoju i zacofania, zarówno dane przedsiębiorstwo jak i cały kraj. Jeszcze gorsza jest aktywna ingerencja państwa w sprawy zarządzania i rozwoju przedsiębiorstwa. Ingerencja ta rozdwaja celowość działalności przedsiębiorstwa na dwie prawie zawsze przeciwstawne obiekty: czy działalność ta ma odpowiadać chwilowym i zmiennym upodobaniom władzy, czy też ma dążyć do długoterminowej maksymalizacji zysku, co jest normalnym celem każdego zdrowego przedsiębiorstwa i odpowiada najlepiej interesom całego społeczeństwa?

Program rządowy wspomina wprawdzie o „zwiększeniu zakresu samodzielności przedsiębiorstw państwowych", ale nie podaje jeszcze żadnych szczegółów w tej sprawie. Odnosi się wrażenie, że chodzi tu o zarządzenia czysto administracyjne, nie zmieniające zasadniczo

roli przedsiębiorstwa państwowego w jego formie obecnej. Utworzony uchwałą Rady Ministrów urząd pełnomocnika ds. przekształceń własnościowych ma opracować projekt prywatyzacji, której zasięg nie został jeszcze sprecyzowany. Wreszcie program rządowy nie wspomina wcale o trudnościach, na jakie jeszcze napotkają przedsiębiorstwa prywatne na wsi i w mieście.

Usamodzielnienie przedsiębiorstw wymaga zniesienia absolutnie wszystkich ograniczeń legalnych i administracyjnych (z wyjątkiem przepisów dotyczących ochrony zdrowia, bezpieczeństwa i środowiska) oraz bezlitosnego wyplenienia nadużyć władzy, na jakie jeszcze napotyka w Polsce zakładanie i prowadzenie przedsiębiorstw prywatnych w rolnictwie, przemyśle i usługach, zniesienia absolutnie wszystkich przymusowych nadbudówek organizacyjnych w formie central skupu i zaopatrzenia, kółek rolniczych, zjednoczeń, wspólnot i innych monopoli, a wreszcie całkowitą przebudowę istniejących przedsiębiorstw państwowych.

Przebudowa ta powinna dążyć do stopniowej prywatyzacji wszystkich przedsiębiorstw państwowych, ale prywatyzacja wymaga kapitału, którego w Polsce nie ma. Dlatego właśnie prywatyzacja musi być stopniowa i jak najszerzej otwarta dla kapitałów zagranicznych. W tym celu należy już teraz przekształcić wszystkie przedsiębiorstwa państwowe w spółki akcyjne, których akcje będą stopniowo sprzedawane polskim i zagranicznym wnosicielom kapitału, ze szczególnym uwzględnieniem pracowników danego przedsiębiorstwa i wolnych związków zawodowych. Przez długi czas jeszcze w większości tych spółek państwo będzie siłą rzeczy głównym akcjonariuszem. Trzeba więc przewidzieć w statucie tych spółek taki system wyboru przedstawicieli państwa w radach nadzorczych, aby czuli się całkowicie niezależni od administracji państwowej i mieli jako cel tylko rozwój przedsiębiorstwa. Zarys takiego systemu zaproponowałem w cytowanym wyżej artykule *Kultury*. W tymże artykule starałem się nakreślić rolę przedstawicieli załogi i wolnych związków zawodowych, którzy powinni być reprezentowani w radach nadzorczych, ale nie zajmować tam pozycji dominującej.

Uwolnienie cen i płac

Aby umożliwić samodzielnym przedsiębiorstwom pobieranie racjonalnych decyzji, trzeba aby wszystkie ceny i płace formowały się spontanicznie na rynkach wolnych od wszelkich arbitralnych interwencji. Program rządu słusznie postanawia, że „kontrola cen zostanie ograniczona do egzekwowania przepisów o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym". W tym celu specjalny „organ antymonopolistyczny zostanie wyodrębniony ze struktury Ministerstwa

Finansów. Program przewiduje również liberalizację importu, co jest najlepszym sposobem zwalczania monopoli wewnętrznych. Niestety w tej dziedzinie Polska związana jest do końca 1990 roku umowami pięcioletnimi w ramach RWPG. Umowy te trzeba starać się rozwiązać przed terminem, co wobec zmian zachodzących w Europie Środkowo-Wschodniej nie powinno być niemożliwe.

Postanowienia programu w sprawie płac są mniej logiczne. Jakkolwiek ulepszona w stosunku do istniejącego systemu „indeksacja wyrównawcza" wynagrodzeń sprzeciwia się zasadzie usamodzielniania przesiębiorstw. Płace powinny być ustalane bezpośrednio w drodze rokowań pomiędzy wolnymi związkami zawodowymi i samodzielnymi przedsiębiorstwami (państwowymi, spółdzielczymi i prywatnymi). Państwo nie powinno ingerować, tak aby zarówno dyrekcja przedsiębiorstwa jak i jego załoga czuły się odpowiedzialne za jego losy. Sankcją zaniżonych płac powinien być strajk, a sankcją za wygórowane żądania płacowe upadłość przedsiębiorstwa.

Rola państwa w produkcji

Program przewiduje znaczne zmniejszenie roli państwa jako producenta: sprzedaż niektórych rzeczowych składników mienia państwowego, w tym mieszkań oraz majątku produkcyjnego pochodzącego ze zlikwidowanych przedsiębiorstw. Zmniejszona też ma być liczba dotowanych artykułów żywnościowych i środków produkcji dla rolnictwa. Dotacja węgla zostaje jednak utrzymana. Wszystkie te decyzje, oprócz ostatniej, należy uznać za pozytywne w zasadzie, ale połowiczne, a przez to mijające się z celem, którym powinno być całkowite wycofanie się państwa z ingerencji w dziedzinę produkcji dóbr i usług podzielnych.

Rola państwa jako producenta powinna być ograniczona do tworzenia dóbr i usług niepodzielnych, takich jak obrona narodowa, bezpieczeństwo publiczne, wymiar sprawiedliwości, ogólna administracja itp. oraz do kierowania rozbudową ogólnej infrastruktury gospodarczej kraju, do której należą: wielkie drogi, autostrady, porty, lotniska, szkolnictwo, instytuty naukowe, rozwój kultury narodowej itp. Wszelka interwencja państwa w dziedzinę produkcji dóbr podzielnych jest szkodliwa, nie tylko dlatego, że zwykle jest nieudolna i kosztowna, ale przede wszystkim dlatego, że uniemożliwia prowadzenie racjonalnego rachunku ekonomicznego i to nie tylko w danej dziedzinie, ale w całej gospodarce narodowej. Najlepszym tego przykładem jest sprawa węgla. W obecnych warunkach nikt w Polsce nie wie, czy i ile węgla powinna produkować Polska, czy powinna go eksportować, czy nie? Tylko wolne ceny i płace oraz wolny import i eksport mogą dać odpowiedź na to pytanie.

Reforma systemu finansów państwa

Program słusznie przewiduje, że „deficyt budżetowy nie może być finansowany nieoprocentowanym kredytem Narodowego Banku Polskiego".

Wprowadzenie jednolitego podatku dochodowego od osób prawnych oraz zastąpienie podatku obrotowego podatkiem od wartości dodanej przyczyniają się również do zmniejszenia stagflacyjnego charakteru dotychczasowego systemu. Szkoda tylko, że reformy te zaczną obowiązywać dopiero od 1991 roku. Opóźni to o rok wejście w życie prawdziwie efektywnej akcji antyinflacyjnej.

Program wspomina o „zaostrzeniu polityki kredytowej NBP wobec przedsiębiorstw" oraz o wprowadzeniu weksla do wzajemnego kredytowania się przedsiębiorstw, ale nie podaje żadnych szczegółów w tych sprawach. A chodzi przecież o sprawy zupełnie zasadnicze, gdyż kredyty udzielane przez NBP przedsiębiorstwom, a zwłaszcza długoterminowe kredyty inwestycyjne, odgrywają, obok państwowego deficytu budżetowego, decydującą rolę w zasilaniu tendencji stagflacyjnych w Polsce.

Aby pieniądz emitowany przez NBP nie był „pustym", trzeba żeby jego emisji towarzyszyło jednoczesne i równowartościowe zwiększenie podaży towarów „rzucanych" na rynek oraz żeby konsumpcji ostatecznej tych towarów towarzyszyło zniknięcie z obiegu pieniądza, który finansował produkcję tych towarów. Najlepszym sposobem, aby właśnie tak było, jest starodawny system redyskonta przez bank emisyjny weksli i innych krótkoterminowych zobowiązań płatniczych, którymi pośrednicy handlowi i inni nabywcy płacą producentom za zamówiony towar. Potrzebujący gotówki na opłacenie kosztów produkcji fabrykant dyskontuje weksel w swoim banku handlowym. Bank może weksel zachować do chwili jego płatności, albo przedstawić do redyskonta w innym banku handlowym, który w razie potrzeby może zwrócić się do jeszcze innego banku handlowego albo do banku emisyjnego. Weksel dociera do banku emisyjnego tylko wtedy, gdy stopa dyskontowa banków handlowych jest wyższa niż banku emisyjnego. Oznacza to albo, że rynek pieniężny nie jest dostatecznie płynny w stosunku do tempa wzrostu produkcji, albo że stopa banku emisyjnego jest zbyt niska i że należy ją podwyższyć, aby lepiej wykorzystać rezerwy własne banków handlowych. Redyskontując weksel bank emisyjny wprowadza do obiegu nowy pieniądz. Pieniądz ten żyje tylko do chwili spłacenia weksla, tzn. do chwili gdy towar zostaje sprzedany ostatecznemu konsumentowi. Równoległość emisji pieniądza i wzrostu produkcji towarowej jest idealnie utrzymana.

Jednakowoż, to właśnie ta doskonałość systemu dyskontowego jest główną przyczyną jego stopniowego zaniku na korzyść innych sposobów emisji, z których najbardziej rozpowszechnionym jest tak zwana *open market policy*. W systemie tym bank emisyjny oddzia-

łowuje na płynność rynku pieniężnego i ewentualnie finansowego poprzez zakup lub sprzedaż, w pierwszym wypadku krótkoterminowych, a w drugim długoterminowych papierów wartościowych. Wśród tych papierów figurują oczywiście na pierwszym miejscu, w większości krajów, bony skarbowe, a także długoterminowe pożyczki państwowe i obligacje wielkich przedsiębiorstw. Zaletą systemu jest jego wielka elastyczność i możność jednoczesnego wpływania na krótko- i długoterminową stopę procentową. Wadą — łatwość, z jaką może on prowadzić do niczym nieograniczonej inflacji. Tym ważniejsze jest zatem, aby bank emisyjny miał możność oparcia się zbyt wygórowanym żądaniom kredytowym rządu, ograniczając zakup emitowanych przez państwo lub przez przedsiębiorstwa papierów wartościowych do istotnych możliwości i potrzeb wzrostu produkcji towarowej. Wymaga to, aby prezes i rada nadzorcza NBP byli całkowicie niezależni od rządu, tak jak to ma miejsce np. w RFN i w Stanach Zjednoczonych, a o czym program rządowy niestety zapomina.

Paryż, listopad 1989 *Jan MARCZEWSKI*

Brojlernia

Życie publiczne w Polsce, podobnie jak w innych systemach totalitarnych, nie wychodzi poza ideę tłumu, który przez cały czas zdaje się mieć na oku jednostkę. Stąd powszechność zebrań, posiedzeń, defilad, wieców, capstrzyków i pochodów, gdzie pojedynczy człowiek sprowadzony zostaje do nieważnej części wielkiej liczby. Jednostka uwięziona w tłumie staje się liczbą, za pomocą której można szantażować opornych i niezbyt skorych do okazywania powszechnego entuzjazmu. Współczesny Polak to nieszczęśliwy człowiek, któremu los skąpi samotności, by mógł w ciszy zastanowić się nad sobą. Istotą życia w kraju są tłumy. Solidarność również chętnie odwoływała się do demagogii tłumu — ulubione jej powiedzenie: „jest nas dziesięć milionów". Nasza egzystencja toczy się na oczach innych. Ale ludzkie mrowie daje jednostce poczucie znikomości, zaś społeczeństwo zamienia w brojlernię. Człowiek, który jest nikim, w tłumie staje się groźną masą, kapryśną i nieobliczalną, bo kierowaną chwilowym nastrojem, o czym wie każdy polityczny konferansjer.

Być Polakiem znaczy stale przebywać w tłumie, mieć nieustanne poczucie deficytu przestrzeni, po której wolno się poruszać i niepewność, czy inni, lepiej pracujący łokciami nie zechcą wypchnąć mnie z zajmowanego miejsca, co rodzi kompleks oblężonej

twierdzy i zamknięcia, wyrażający się w agresjach, czemu nie jest w stanie zaradzić cieniutka warstewka kultury i chrześcijańskie wezwania do miłości bliźniego. Polak żyje i umiera w ciasnocie. Cała jego egzystencja to podróż w zatłoczonym wagonie. Rodzi się na przepełnionym oddziale położniczym w zgiełku i ciżbie, gnieździ się w ciasnym mieszkaniu jak w kurniku, odstawiany jest do zatłoczonego żłobka a potem przedszkola, jeździ zatłoczonym tramwajem do szkoły, gdzie w klasie znajduje się więcej uczniów niż może ona pomieścić. Od dzieciństwa towarzyszą mu kolejki, które przenoszą psychologię brojlerni na ulice miast. Kolejka to nic innego jak doraźnie uporządkowany tłum. Najniżej w hierarchii znajdują się stojący na końcu. Czekający z przodu mogą okazywać im swoją pogardę do woli. Dominującym przeżyciem pozostaje poczucie stłoczenia, bo ciasnota nie opuszcza nas ani na chwilę. Polak umiera na szpitalnym korytarzu. Za posłanie służy mu łóżko polowe lub materac rozłożony na podłodze. Miejsce wiecznego spoczynku znajduje w przekopanym po dwudziestu latach czyimś grobie, gdyż ciasno również na cmentarzach. Nawet przeżycia religijne nie wychodzą poza stłoczenie. Procesje i pielgrzymki zdają się dominować w Polsce nad wspaniałą formą dawnego chrześcijaństwa, w którym na plan pierwszy wysuwało się skupienie jako nieodzowny warunek rozmowy człowieka z Bogiem. Z przeżyć religijnych w tłumie bierze się być może powierzchowność polskiego katolicyzmu. Kościoły są pełne, ale chrześcijaństwa w postępowaniu ludzi niezbyt wiele. Optyka tłumu skutecznie wprowadza w błąd.

Badając przyczyny agresji, w klinikach psychiatrycznych przeprowadzono następujące doświadczenie: do ciasnej klatki wpuszczono trzydzieści szczurów. W ciągu kilku dni połowa zwierząt zginęła. Pozażerały się wzajemnie, a te, które zostały przy życiu, były niespokojne i nerwowe. Badania laboratoryjne wykazały, że wskutek niebywałego stłoczenia organizmy zwierząt doświadczalnych nadmiernie wydzielały w mózgu substancję odpowiedzialną za poziom agresji. Zdaje się, że życie w tłumie stanowi odmianę ścisłego nadzoru, skoro stale brakuje człowiekowi miejsca, które należy tylko do niego, gdzie mógłby się schronić przed sobą lub światem. W mrowisku ludzkim trzeba dbać o jedno, aby nie rzucać się w oczy, nie wyrastać ponad otoczenie, bo zawsze jest to niepożądane, a często niebezpieczne. Cechą tłumu pozostaje średniość, dlatego w naszej kolektywistycznej zbiorowości panuje kult jednostek przeciętnych. Projekcja tej cechy polskiego życia odbywa się na wszystkie dziedziny. Jej skutkiem jest połowiczność: połowiczność dążeń, połowiczność zamierzeń, połowiczność zmian, połowiczność myślenia, połowiczność wiary, połowiczność rozpaczy, połowiczność pracy i połowiczność polityki. Niemrawo płynące letnie życie sprawia, że Polska to dziwna martwa natura z olbrzymimi tłumami na placach, gdzie jednostka traci znaczenie, a jej los przestaje kogokolwiek zajmować.

Artur STANKIEWICZ

Porozumienie ponad podziałami

W SPRAWIE NOMENKLATURY

Nomenklaturą nazywamy warstwę ludzi pełniących wyróżnione funkcje społeczne (zajmujących stanowiska kierownicze lub inne posady, które umożliwiają wywieranie znacznego wpływu na życie społeczne — w skali lokalnej lub ogólnokrajowej), a powołanych do pełnienia owych funkcji bądź bezpośrednio przez władze PZPR różnych szczebli, bądź przy czynnym współudziale tych władz. Istnienie tej warstwy i jej dość duży zasięg jest faktem znanym z doświadczenia wszystkim Polakom; fakt ten potwierdzają też rozmaite dokumenty (np. odpowiednie wytyczne biura politycznego PZPR i wykaz stanowisk, których powierzanie podlega kontroli organów PZPR, opublikowany w piśmie *Aneks* nr 26, w październiku 1981 r.)

Jest też rzeczą powszechnie znaną, że kryteria wedle których formowana była przez całe dziesięciolecia nomenklatura funkcjonująca nadal w PRL, nie uwzględniały interesów polskiego społeczeństwa. Po pierwsze, od kandydatów do pełnienia ważnych społecznie funkcji nie wymagano wysokich kwalifikacji zawodowych (wystarczyło pewne minimum tych kwalifikacji). Po drugie, żądano od nich daleko posuniętej dyspozycyjności wobec odpowiednich organów PZPR (od komitetów zakładowych po biuro polityczne), co przesądzało o negatywnej selekcji moralnej. Po trzecie, zachowanie raz zdobytej pozycji w nomenklaturze wymagało przede wszystkim praktycznego potwierdzenia owej dyspozycyjności, a prawie nie zależało od sposobu i stopnia wywiązywania się z obowiązków związanych formalnie z daną funkcją. Następstwem tych zasad doboru i stabilizacji kadr pełniących ważne role społeczne stały się liczne uciążliwości, nieprawidłowości i wręcz zwyrodnienia życia społecznego w kraju; katastrofa gospodarcza, której jesteśmy świadkami, jest także po części efektem tych zasad. Ubocznym, ale nader szkodliwym ich produktem jest zjawisko nomenklaturowych klik i koterii, współdziałających w imię prywatnych interesów swych członków, często z naruszeniem prawa, a zawsze wbrew interesowi społecznemu. Sprzyja temu rozbudowany system przywilejów, z których korzysta nomenklatura.

Przemiany polityczne, które dokonały się w Polsce w ostatnich miesiącach, skruszyły część „wierzchołka góry lodowej": nomenklatury najwyższego szczebla. Nie doprowadziły, jak dotąd, ani do wyraźnego zmniejszenia liczebności nomenklatury średnich i niższych szczebli, ani do znacznego ograniczenia jej wpływu na życie kraju. Pojawiły się natomiast nowe zagrożenia związane z istnieniem tej warstwy. Jednym z nich jest zjawisko nazywane uwłaszczeniem nomenklatury, prowadzące do rozgrabienia resztek majątku narodowego, pozostałych po okresie absurdalnych, wyniszczających metod zarządzania gospodarką; najpospolitszą postacią tego zjawiska jest mnożenie się spółek opartych na nomenklaturowych „układach", a funkcjonujących kosztem państwowych zakładów pracy. Inne niebezpieczeństwa wiążą się z brakiem barier, które zapobiegałyby przenikaniu nomenklatury w jej dotychczasowej roli do nowo powstających lub reformowanych instytucji i struktur życia społecznego. Daje się bowiem zauważyć zjawisko masowego „przygarniania" ludzi nomenklatury przez ciała i osoby, powołane do zapewnienia owym instytucjom demokratycznego charakteru. Grozi to opóźnieniem procesu przemian, m.in. przez zarażanie grup ludzi, posiadających mandat społeczny na kierowanie tym procesem, obyczajami władzy, która miała rozliczne przywileje, a przy tym niejasne kompetencje i rozmyty zakres odpowiedzialności.

Faktyczna legalizacja nomenklatury może więc spowodować utratę tożsamości nowo kreowanych struktur i form życia społecznego i zahamować proces demokratyzacji. Tymczasem liczne głosy opinii publicznej protestujące przeciwko tej sytuacji zbywane są przywoływaniem zasady pluralizmu (stosującej się tu tylko w sensie, jaki nadawał jej w swoim czasie Jerzy Urban) albo szyderczym pomówieniem o upodobanie do „polowań na czarownice". Zmniejsza to zaufanie społeczne do nowego rządu.

Urzeczywistnienie zapowiedzianego przez rząd programu ekonomicznego i związane z tym programem dalsze przemiany społeczne i polityczne są zapewne jedynym skutecznym środkiem pozbawienia nomenklatury wszelkiego wpływu na życie kraju. Jednakże obserwowana obecnie „opiekuńcza" postawa wobec tej warstwy oddali znacznie, jeśli nie uniemożliwi, realizację owego programu i przemian. Konieczna jest zatem zmiana tej postawy. Elementarnymi przejawami zmiany w tym zakresie byłyby:

Szybka likwidacja wszystkich tych nomenklaturowych stanowisk i posad, które są po prostu zbędne z punktu widzenia interesu społecznego; krok ten jest skądinąd ekonomicznie uzasadniony.

Natychmiastowe ogłoszenie i stopniowa, lecz konsekwentna realizacja zasady wybieralności lub konkursowego trybu obsadzania pozostałych stanowisk, zarezerwowanych dotąd dla nomenklatury; powinny to być w pełni demokratyczne wybory i autentyczne, otwarte konkursy, w których kryterium oceny będzie wyłącznie poziom kompetencji. Umożliwienie kandydowania w takich wyborach lub konkursach osobom, które dotychczas zajmują te stanowiska z woli PZPR, wydaje się jedyną rozumną interpretacją idei pluralizmu.

Jest to poprawiony i uzupełniony na podstawie dyskusji tekst, który na spotkaniu PPP w dniu 27 października 1989 roku postanowiono ogłosić jako stanowisko Porozumienia w sprawie nomenklatury.

W SPRAWIE NOWEGO ŁADU PRAWNEGO W POLSCE

Dynamika ostatnich wydarzeń w Europie Środkowej pokazuje, że narody nie czekają na prawodawców. Zniecierpliwienie społeczeństwa polskiego może przekreślić nawet najbliższe plany. Jedną z form walki o pokojowe przemiany jest walka z czasem. Większość projektów prawnych usiłuje reformować nasze państwo według starej receptury, nie naruszając jego omnipotencji.

Prace legislacyjne w polskim Sejmie w dążeniu do zmiany wszystkiego są zagrożone zdystansowaniem przez rozwój wydarzeń. Nastąpiła samoblokada, ustawy są tak powiązane ze sobą, że chcąc naraz zmieniać cały system, grozi nam, że szybko nie zmienimy niczego.

Społeczeństwo — jak się zdaje — chciałoby już w tej chwili uzyskać więcej możliwości ruchu w ramach prawa. Potrzebujemy katalizatorów przemian, minimalistycznych regulacji o bliższym horyzoncie czasowym. Konkurencją dla obecnego bagna przepisów nie jest przyszły idealny ład prawny. Szczególnie, że życie wymusza na Sejmie i rządzie kolejne doraźne ustępstwa w stosunku do deklarowanych celów i metod.

Uczestnicy PPP są przekonani, że w obecnej sytuacji Sejm powinien zająć się wyłącznie sprawami dla przyszłości kraju najważniejszymi, tj. dotyczącymi ustroju politycznego i gospodarczego. Naszym zdaniem najpilniejsze jest uchwalenie następujących aktów prawnych:

— Taka zmiana art. 84 Konstytucji, aby jasna była sytuacja istniejących i tworzących się ugrupowań, partii i stronnictw politycznych oraz ich osobowości prawnej. Wydaje się, że pospieszne uchwalenie ustawy o partiach politycznych nie jest potrzebne i stworzy w bliżej niesprecyzowanym czasie niepewną prawnie sytuację partii politycznych. Zmiana art. 84 ust. 2 Konstytucji przez dodanie jednego słowa: „partii" wyjaśniłaby problem i dałaby możliwość utworzenia normalnie funkcjonującej sceny politycznej.

— Opracowanie w pełni demokratycznych ordynacji wyborczych do Sejmu, Senatu i Samorządu Terytorialnego.

— Konieczne jest dokonanie zmian stwarzających warunki finansowo-prawne dla inwestycji rodzimego i obcego kapitału, przede wszystkim polegających na:

a) określeniu przekształceń prawnych w sferze własności, a szczególnie zasad prywatyzacji majątku państwowego

b) Uproszczeniu systemu podatkowego i pozbawieniu go charakteru represywnego wobec przedsiębiorców

c) dokonaniu zmian w prawie dewizowym w połączeniu z prawem bankowym.

Szczególnie pilne jest zawieszenie wszystkich ustaw, które ograniczają aktywność obywateli poprzez nadmierną reglamentację stosunków gospodarczych. Ograniczenie interwencji państwa już dziś wyzwoliłoby inicjatywy lokalne, będące niezbędnym warunkiem realności idei samorządu terytorialnego. Uchylenie tych przepisów jest obecnie ważniejsze niż czasochłonne próby stworzenia nowych, choćby nawet doskonałych, aktów prawnych. Po sześciu miesiącach pracy nowego Sejmu nadzieje społeczeństwa potrzebują oparcia w czytelnych znakach przemian.

OŚWIADCZENIE WYDAWNICTWA „POMOST"

DO UCZESTNIKÓW WALNEGO ZJAZDU DELEGATÓW STOWARZYSZENIA WOLNEGO SŁOWA

Wydawnictwo PoMost jest jednym z założycieli i członkiem Komitetu Organizacyjnego Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Ponieważ nadal kontynuujemy działalność podziemną i przedstawiciele naszego Wydawnictwa nie wezmą udziału w Zjeździe, pragniemy tą drogą zwrócić się do Was, prezentując nasze stanowisko dotyczące wolności słowa i przyszłości niezależnego ruchu wydawniczego.

Istotą powstania niezależnego ruchu wydawniczego w naszym kraju było odrzucenie komunistycznych metod rządzenia, a w szczególności sposobu zarządzania kulturą narodową, który prowadził przez dziesięciolecia do jej degradacji. Wokół tego ruchu skupiali się ludzie, dla których prawo do prawdy, wolności przekonań i wolności słowa były prawami niezbywalnymi. O te prawa walczyliśmy ścigani przez Służbę Bezpieczeństwa w okresie stanu wojennego, do tych praw dążymy dziś.

Przez okres kilkunastu już lat ruchem tym kierowała pryncypialność i związane z tym odrzucenie wszelkich kompromisów tak w sferze wartości, jak i taktycznych. To właśnie przyniosło drugiemu obiegowi niekwestionowany sukces w ratowaniu i odbudowie rangi polskiej kultury. Zostało to dobitnie podkreślone na tegorocznym Niezależnym Forum Kultury.

Podejmując przed laty niezależną działalność wydawniczą, wytyczyliśmy sobie cel: całkowite zniesienie cenzury i powstanie gwarancji, że już nigdy nie powróci. Dziś, choć jesteśmy bliżej, jednak nie jesteśmy u celu:

1. Nie zmieniły się przepisy prawne, nie zniesiono cenzury. Z szumnych deklaracji Minister Cywińskiej składanych w chwili obejmowania przez Nią stanowiska — że nie uznaje cenzury, że cenzury nie będzie — pozostała, też do dnia dzisiejszego niezrealizowana, obietnica zwolnienia od cenzury książek i periodyków od miesięczników wzwyż. Tej opieszałości nie sposób wytłumaczyć;

2. Wciąż brak koniecznej decyzji o rozwiązaniu koncernu R.S.W., o którego roli w niszczeniu polskiej kultury przypominać chyba nie trzeba nikomu. Decyzja ta jest nie do uniknięcia i trzeba ją podjąć natychmiast;

3. Zamiast planowanego uspołecznienia środków masowego przekazu mamy sytuację, w której dostęp do nich mają tylko dawni dysponenci i opozycja zwana konstruktywną;

4. Nadal nie mogą funkcjonować na równych prawach wszystkie partie i ugrupowania polityczne.

Wymieniliśmy tu tylko główne wyznaczniki obecnej sytuacji. Reszty dopełniają mniej lub bardziej oficjalne wypowiedzi naszych, do wczoraj, kolegów-wydawców, dziś doradców Ministra Kultury i Sztuki.

Prezentują oni dość karkołomny tok rozumowania, w którym argumentują, że to dobro wydawców, dziennikarzy i ugrupowań politycznych wymaga dalszego utrzymania, chociaż w zmienionej formie, cenzury. Gdyby jej nie było — tłumaczą — sądy związane ze starym aparatem władzy wstrzymując nakłady rozłożą ekonomicznie każdą inicjatywę wydawniczą.

A przecież zdrowy rozsądek nakazuje w tej sytuacji gruntowną reformę sądownictwa i ustalenie trybu odwoławczego z gwarancjami finansowymi, nie zaś nakłanianie do kompromisów ludzi, którzy na cenzurę nigdy się nie godzili.

Po wtóre przy braku koncepcji co do przyszłości drugiego obiegu (to udowodniło spotkanie przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki z wydawcami niepaństwowymi) nakłania się wydawnictwa niezależne do szybkiej legalizacji. W jaki sposób miałyby funkcjonować oficjalnie, silne potencjałem ludzkim, ale słabe ekonomicznie i to nawet w stosunku do wydawnictw prywatnych, o tym się nie mówi. Natomiast ci, którzy deklarują dalsze działanie w podziemiu już usłyszeli: jak się nie ujawnicie, to będzie to traktowane jako unikanie płacenia podatków.

Konieczne jest tu więc wyjaśnienie. Wie o tym doskonale główny doradca Minister Cywińskiej zajmujący się sprawami ruchu wydawniczego, wiedzą o tym wszyscy, którzy zetknęli się z drugim obiegiem. Podziemna działalność wydawnicza jest działalnością nierentowną. Przez całe lata podziemne firmy mogły ją prowadzić

dzięki dotacjom płynącym z Zachodu. Były to kwoty niebagatelne, o czym doradca Pani Minister też wie. Roli tej pomocy nie sposób przecenić.

Czy intencją nowego rządu jest opodatkowanie zachodnich dotacji przekazywanych na rzecz naszej kultury?

Na marginesie — Wydawnictwo PoMost uważa, że już najwyższy czas, aby Ministerstwo Kultury i Sztuki oficjalnie podziękowało ofiarodawcom i organizatorom tej pomocy, tak instytucjom i fundacjom jak i osobom prywatnym, szczególnie zaś Jerzemu Giedroyciowi i Irenie Lasocie.

Powtarzamy raz jeszcze — jesteśmy bliżej, ale jeszcze nie u celu.

Koniecznością jest:

1. zmiana ustawodawstwa znosząca całkowicie cenzurę i dostosowująca do tego wszystkie przepisy prawne;

2. umożliwienie swobodnego działania partii politycznych i ugrupowań społecznych z ich wydawnictwami i gazetami;

3. wprowadzenie nowych zasad funkcjonowania kultury i sztuki z przejściem od mecenatu państwowego na finansowanie przez sieć niezależnych fundacji;

4. uspołecznienie środków masowego przekazu i udostępnienie ich wszystkim partiom i ugrupowaniom społecznym;

5. natychmiastowe rozwiązanie R.S.W.

Wydawnictwo PoMost będzie działało nadal w dotychczasowej formie. Decyzje o jej zmianie podejmiemy w dniu wejścia w życie ustawy znoszącej całkowicie cenzurę.

Wierzymy, że Stowarzyszenie Wolnego Słowa stanie się silnym *lobby*, które podobnie jak podziemni wydawcy, choć innymi metodami, będzie zdecydowanie naciskać na realizację powyższych postulatów.

Mamy nadzieję, że Kluby Książki Nieocenzurowanej upomną się w MSW o książki zagarnięte w okresie stanu wojennego. Dochodzą do nas głosy, że zostały one spalone i zniszczone. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, jeżeli w Polsce u schyłku XX wieku palono i niszczono książki, to winni tych przestępstw na kulturze narodowej nie mogą uniknąć odpowiedzialności.

Bądźmy konsekwentni i zdecydowani, a prawa, o które walczymy od lat, staną się powszechnymi dla wszystkich obywateli naszego kraju.

Warszawa, 10.12.1989

Wydawnictwo POMOST

I Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek...

Dyrektorzy — naczelni redaktorzy
rozgłośni pr i ośrodków rtv

Uprzejmie informuję, że przewodniczący komitetu d/s rtv Andrzej Drawicz przekazał dyrektorom centralnych programów rtv następujące wytyczne w związku z ósmą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego. Prośba o wzięcie tych wytycznych pod uwagę w przypadku podejmowania na antenach lokalnych tej problematyki.

„Podejmując rozmowę z autorami, którzy przygotują poszczególne pozycje programowe proszę przekazać następujące moje sugestie:

— Należy zachować zasadę równego dystansu w stosunku do ówczesnych dwu stron konfliktu, tzn. umożliwić przedstawienie racji, które przemawiały przeciwko decyzji o stanie wojennym, jak i przesłanek, które to pociągnięcie w jakiejś mierze usprawiedliwiały.

— W miarę możliwości należy ograniczać eksponowanie kwestii formalno-prawnych związanych ze stanem wojennym, lecz raczej koncentrować się na aspekcie politycznym i moralnym.

— Nie należy szczególnie eksponować kwestii ewentualnego zagrożenia interwencją radziecką, jako przesłanki do wprowadzenia stanu wojennego: w przypadku podejmowania tej kwestii należy zadbać o to, aby wyraźnie osadzać problem w ówczesnych realiach (ekipa Breżniewa) tak, aby nie wywołać wśród telewidzów nastrojów antyradzieckich.

— Programy dotyczące rocznicy wprowadzenia stanu wojennego powinny być pozbawione akcentów rewanżyzmu, nawoływania do odwetu itd., powinny natomiast stworzyć wśród widzów odczucie zadośćuczynienia moralnego i politycznej satysfakcji.

— Należy wystrzegać się jakichkolwiek ataków personalnych, a zwłaszcza prób dezawuowania osoby prezydenta PRL.

— W takich ewentualnych programach, jak np. prezentujących wspomnienia byłych internowanych, lub w programach pokazujących tłumienie siłą strajku, należy zachować szczególną rozwagę i umiar, z drugiej jednak strony należy dać jakiś rodzaj satysfakcji moralnej osobom represjonowanym".

Z-ca dyr.
Sekretariatu Generalnego
Barbara OKOŃ

Warszawa 18.10.1989 nad nr 21

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Sytuację w Związku Sowieckim charakteryzują ogromne, dziwne i trudne do wyjaśnienia kontrasty. W poprzednim przeglądzie pisałem o zadziwiającym kontraście między spokojem ojca *pieriestrojki* a krytycznym położeniem kraju. Przez cały miniony miesiąc frapował mnie kontrast między entuzjazmem dla Gorbaczowa na Zachodzie (podczas jego podróży do Włoch, spotkania z papieżem i rozmów z Bushem) i stosunkiem do niego w ZSSR. Większość zachodniej prasy nie znajdowała dość słów zachwytu dla Michaiła *Il Magnifico* i Raissy *La Semplice* (włoskie gazety nazywały ją także Carycą). W *Time Magazine* przeczytałem, że podczas rozmowy Gorbaczowa z Bushem w małej kajucie na „Maksymie Gorkim" atmosfera była tak ciepła, że wydawało się — donosił amerykański korespondent — że pojawiła się „świetlista aureola" (11.12.89). Nietrudno się domyślić, że wisiała nad głową generalnego sekretarza. 3 grudnia ukazały się w *New York Times* wyniki ankiety nt. stosunku Amerykanów do Związku Sowieckiego. Okazały się niemal identyczne do wyników z 1945 r.: 30% Amerykanów uważa, że ZSSR pragnie pokoju, 54% ma do niego stosunek obojętny, a 13% wrogi. We wrześniu 1987 r. wrogi stosunek deklarowało 41% indagowanych. Naród amerykański powrócił do uczuć, jakie żywił do swego sojusznika w latach walki z faszyzmem, kiedy Związkiem Sowieckim rządził znany liberał i demokrata, „wujaszek Joe".

Jest to bez najmniejszej wątpliwości zasługa Gorbaczowa. To dzięki niemu — uważa Zachód — świat wyszedł z zimnej wojny, z komunizmu, z totalitaryzmu i z Jałty. Słychać oczywiście jeszcze głosy „dysydentów". Amerykański komentator A.M. Rosenthal napisał 6.12.89 w *New York Times*, że „u brzegów Malty prezydent Bush obiecał użyć potęgi politycznej i ekonomicznej Stanów Zjednoczonych dla uratowania władzy partii komunistycznej w Związku Sowieckim. Taki jest główny sens i ironia historyczna Malty".

Pominę pierwszą wizytę przywódcy sowieckiego w Watykanie (poprzedził go tam Mikołaj I), by wrócić do odwiecznego tematu — sytuacji w Związku Sowieckim. Jak wynika z komunikatów, Gorbaczow w nieoficjalnych rozmowach z Amerykanami (którzy, podobnie jak cały Zachód, nazywają go po prostu „prezydentem") w porywie szczerości przyznał, że ostatecznym sprawdzianem jego polityki będzie gospodarka. Jeżeli uda się postawić ją na nogi, wszystko potoczy się dobrze; jeżeli nie — wszystko runie. Wasilij Sielunin, dziennikarz i ekonomista, który w latach *pieriestrojki* zdobył sobie bardzo szeroki krąg czytelników dzięki swojej niezależności i jasności spojrzenia, ogłosił w *Nowym Mirie* nr 10/1989 artykuł pt. „Czarne dziury gospodarki". Podsumowuje w nim gorbaczowowską *pieriestrojkę*. Oto fragment: „Najważniejszy wniosek z czterech ostatnich lat brzmi następująco: planowy system zarządzania się przeżył". Zarazem: „Błąd nasz nie polega na tym, że wszczęliśmy reformy ekonomiczne. Na odwrót, przyczyną rozpadu gospodarki jest fakt, że nie przebudowaliśmy gospodarki". Sielunin opisuje sytuację w kraju i na podstawie danych oficjalnych oraz innych, prawdziwych, dowodzi rozpadu gospodarki. Pełen faktów, liczb i rozmyślań, artykuł Sielunina jest niezmiernie interesujący i pouczający. Ale i bez niego można sobie z łatwością wyobrazić stan sowieckiej gospodarki. Moskwiczanie mogą się np. wybrać do muzeum osiągnięć gospodarki narodowej ZSSR, które istnieje w Moskwie od ponad pół wieku. Gości wita u wejścia słynna rzeźba Wiery Muchinej „Robotnik i kołchoźnica", którzy wespół wskazują drogę w przyszłość. Niedawno w kilku pawilonach muzeum urządzono wystawę bubli. Organizatorzy sami przyznają, że zebrali je bez najmniejszego wysiłku — wystarczyło zajść do pierwszego lepszego sklepu i zebrać z półek towary. Warto by wydać katalog tych zadziwiających eksponatów ku przestrodze zachodnim przemysłowcom, którzy marzą o współpracy z ZSSR. Mnie samemu wystarczyłby główny eksponat, mianowicie butelka moskiewskiej wody mineralnej z utopioną w niej myszą.

Artykuł Sielunina przekonywująco dowodzi, że mysz w wodzie mineralnej jest prawdziwym obrazem stanu gospodarki sowieckiej. Inaczej zresztą być nie może. Nie dlatego, by brakowało realnych planów reform. Są takie, tylko nikt ich nie chce realizować. Jak pisze autor „Czarnych dziur gospodarki", „mówić wolno, tylko nikt nie słucha".

Pisząc „nikt nie słucha", Wasilij Sielunin ma na myśli przede wszystkim wodza, generalnego sekretarza i prezydenta, człowieka, który ucieleśnia *pieriestrojkę*. Gorbaczow słyszy tylko to, co chce usłyszeć. Jego polityka jest mimo wszystkich zakrętów stała. Twierdzenie to może wydawać się dziwne w obliczu zachodzących zmian. Jeśli jednak poczytać jego teksty i zestawić je — co nie jest proste, bo nagadał góry — z wypowiedziami z kwietnia 1985 i listopada 1989, to znajdziemy w nich trwałe, niezmienione jądro *pieriestrojki*. W listopadzie Gorbaczow mówił — jak zawsze — obficie: przemawiał na posiedzeniach Rady Najwyższej ZSSR, udzielił wywiadu (podkreślano wówczas, że pierwszego) na trybunie mauzoleum, wystąpił też na zjeździe studentów. Wreszcie 26 listopada ukazał się w *Prawdzie* płód jego myśli teoretycznej pt. „Idea socjalizmu a rewolucyjna *pieriestrojka*".

Tam już wszystko jest. Dokąd zmierzamy? — zapytuje Gorbaczow. — Do socjalizmu. Będzie to „socjalizm ludzki", inaczej mówiąc „zgodny z prawami historii produkt postępu cywilizacji i historycznej twórczości narodu". „Humanistyczne, wolne i rozumne społeczeństwo" zostanie zbudowane w zgodzie „z teorią marksizmu-leninizmu", ponieważ — podkreślił generalny sekretarz — „przez minione lata (czyli przez ostatnie 150 lat — A.K.) myśl społeczna właściwie nie obaliła ani nie prześcignęła marksistowskiej idei 'królestwa wolności', opartego na tym, że ludzie opanują materialne środki produkcji i dzięki temu zmienią stosunki społeczne". Oświadczywszy, że marksizm-leninizm bynajmniej nie wybiera się, by zejść z tego świata, Gorbaczow dodał: „Rewolucja październikowa nie była przypadkiem, lecz wielkim, ogólnonarodowym, historycznym wyłomem w przyszłość". W rezultacie „Nie odżegnujemy się i nie odżegnamy się od idei uspołecznienia, pierwszeństwa własności społecznej...". Co więcej, „nie mamy potrzeby rezygnować z powszechnie znanej przewagi centralizmu i planowania na wielką skalę". Michaił Siergiejewicz przesadził, mówiąc „powszechnie znanej". Sieluninowi np. nic nie wiadomo o przewadze centralnego planowania, ale dla Gorbaczowa to nie ma znaczenia.

Studentom Gorbaczow powiedział to samo: „Nie powinniśmy dopuścić do 'negatywizmu' w stosunku do tego, co zrobiły poprzednie pokolenia"; „zachowamy marksizm-leninizm oczyszczony z narośli dogmatyzmu, scholastyki i koniunkturalnych interpretacji. Wrócimy do jego źródeł..." itd., itp. (*Prawda* z 16.11.89).

Tak jak poprzednio, tak i w przemówieniach i artykułach z ostatniego okresu wódz trzyma się złotego środka. Potępia „przyjaciół ludu" ze skrajnej lewicy i prawicy, którzy proponują „zbawcze recepty". Takich przyjaciół mu nie trzeba, bo jest — by powtórzyć za pewnym dziennikarzem — zarazem „aparatczykiem numer jeden" i „radykałem numer jeden" (*Moskowskije nowosti* z 26.11.89). Centrową postawę Gorbaczowa uważa się w Związku Sowieckim za brak zdecydowania, podlizywanie się jednym i drugim, niezrozumienie dla niezbędnych zmian albo niechęć do ich wprowadzenia.

Chcąc przestraszyć swoich oponentów, Gorbaczow zagroził na zwołanym 9 grudnia plenum KC, że poda się do dymisji. To samo lubił robić Stalin w latach swojej niepowstrzymanej wspinaczki na szczyty władzy. Strasząc jak Gorbaczow dymisją, szantażował swoich towarzyszy: nikogo innego nie ma, po mnie tylko chaos.

Gorbaczowowi odpowiedziała grupa sześciu deputowanych. Andriej Sacharow, przewodniczący związku prywatnych producenów W. Tichonow, ekonomiści G. Popow i J. Czerniczenko, historyk J. Afanasjew i fizyk A. Muraszow zaapelowali o powszechny polity-

czny strajk ostrzegawczy w dniu 11 grudnia między 10-tą i 12-tą w południe. Datę wybrano świadomie: 12 grudnia rozpoczynał się 11-ty zjazd deputowanych. W apelu mowa była o tym, że „*pieriestrojka* napotyka w naszym kraju na zorganizowany opór. Uchwalenie podstawowych ustaw ekonomicznych o własności, przedsiębiorstwach i przede wszystkim ziemi wciąż się odkłada". Apel kończyły słowa: „Własność w ręce ludu! Ziemia — w ręce chłopów! Fabryki — w ręce robotników! Cała władza — w ręce rad!"

Są to hasła wzorowane na rewolucji październikowej. Siedemdziesiąt dwa lata później historia wróciła do punktu wyjścia. Tyle, że hasła te dziś padają na inny grunt. W 1917 r. większość ludności Rosji stanowili chłopi, którzy rzeczywiście domagali się ziemi (było jej zresztą znacznie mniej, aniżeli sądzili). Dziś chłopstwo musiałoby się dopiero odrodzić z masy kołchoźniczej, zanim by mogło zapragnąć ziemi. Hasło „fabryki w ręce robotników" już w 1917 roku brzmiało niezbyt jasno, a i dziś jest sporne. Doświadczenie Jugosławii nie daje powodów do optymizmu. „Cała władza w ręce rad" równa się w dzisiejszej sytuacji żądaniu zniesienia kierowniczej roli partii.

Prasa zachodnia roi się od zwycięskich relacji: w jednym socjalistycznym kraju za drugim likwiduje się artykuł nr 6 (numer zmienia się w zależności od kraju). Jest to zwycięstwo, ale względne. Brzmienie art. 6 konstytucji sowieckiej jest owocem ery Breżniewa. W tym kształcie przeszło do konstytucji z 1977 roku. W stalinowskiej konstytucji z 1936 r. o roli partii mówił art. 126 (i mówił znacznie mętniej). W konstytucji RSFSR z 1918 r. i w pierwszej konstytucji ZSSR z 1922 r. w ogóle nie było mowy o partii, co nie przeszkadzało jej sprawować absolutnej władzy w kraju.

Gorbaczow na razie sprzeciwia się zniesieniu art. 6, ale nie wyklucza, że kiedyś — później — do tego dojdzie. Nie będzie to dowodziło porażki partii, tylko tego, że dostosowała się do nowych warunków.

Apel o strajk polityczny jest — mimo zawartych w nim tradycyjnych haseł — dowodem politycznego dojrzewania narodu. Niewielka liczba ludzi, którzy posłuchali wezwania, świadczy o tym, że do dojrzałości jeszcze daleko. Warto też zwrócić uwagę, że choć apel o pierwszy od początku lat 20-tych strajk polityczny wydaje się sensacją, prasa zachodnia nie poświęciła mu dość uwagi, podobnie jak i radiostacje Głos Ameryki, Swoboda i in. Radość z powodu wizyty Gorbaczowa we Włoszech i na Malcie zaćmiła im wzrok. Tylko *Russkaja mysl* (8.12.89) opublikowała w całości tekst apelu, zresztą bardzo krótki.

Wasilij Sielunin, który podobnie jak kilku innych ekonomistów zrozumiał istotę sowieckiego systemu, proponuje inne wyjście. W wywiadzie dla radia Swoboda opowiedział swą podróż do Kuzbasu, zagłębia węglowego i zachodniej Syberii, gdzie latem 1989 roku wybuchł pierwszy strajk górników. Tam właśnie Sielunin zobaczył alternatywny model władzy — komitety robotnicze. Przysłuchiwał

się konferencji w Nowokuzniecku, gdzie komitety strajkowe przekształcone w komitety robotnicze utworzyły Związek Robotników Kuzbasu. Początkowo założyciele chcieli — opowiada Sielunin — aby nowa organizacja społeczno-polityczna nazywała się nie „Związek Robotników Kuzbasu", a „Związek Ludzi Pracy". Najpierw górnicy odnosili się do inteligentów nieufnie, zwłaszcza do członków Związku Demokratycznego, którzy przyjechali na teren strajku: „Strajk jest czysto ekonomiczny. Sami sobie poradzimy". Potem zrozumieli, że potrzebne im będą rady inteligentów. Dla Wasyla Sielunina analogia jest oczywista: „Najbardziej zachwycił mnie pęd do związku wśród zdrowo myślącej inteligencji. Przecież to samo działo się w Polsce... Kiedy polscy robotnicy zjednoczyli się z jasno myślącą inteligencją, stworzyli w ciągu dosłownie dwóch-trzech miesięcy organizację, która ogarnęła całą Polskę... I komuniści musieli tę siłę uznać".

Dzieje reform ekonomicznych ery Gorbaczowa dzielą się na trzy etapy. Pierwszy — kiedy wydawało się, że trzeba koniecznie „przyspieszyć": tzn. szybciej i sprawniej produkować tyle, co dawniej. To się nie udało. Nastąpił drugi etap — wahania, przygotowywanie licznych połowicznych ustaw, które zdestabilizowały stare ramy, ale nie stworzyły nowych. Trzeci etap — obecny — opiera się na strategii premiera Ryżkowa i jego zastępcy, akademika Abałkina. Domagają się oni wprowadzenia stanu wyjątkowego, aby móc przeprowadzić niezbędne reformy, w tym reformę cen. Sielunin pisze: „Środki nadzwyczajne, które zamierza wprowadzić rząd Ryżkowa i Abałkina, do niczego u nas nie doprowadzą. Myślę, że do wiosny albo do lata przyszłego roku okaże się, że stan gospodarki nie tylko się nie poprawił, ale się pogorszył". Wtedy nastąpi katastrofa. I wtedy — pisze Sielunin — będzie nam potrzebna alternatywna struktura. „Marzę o tym — dodaje — żeby wydarzenia potoczyły się tak, jak w Polsce. Bo jeśli nie wariant polski, jeśli nie uda nam się stworzyć podobnych ram, wtedy niewykluczona jest rzeź: boję się, że nieprzytulnie się zrobi w naszym kraju" (*Russkaja mysl* z 8.12.89).

Jakieś trzydzieści lat temu Bułat Okudżawa napisał „Mistrza Griszę". Już wtedy pisał, że „w naszym domu hula przeciąg, dachem wstrząsa wiatr". Okudżawa wyrażał wtedy nadzieję, że przyjdzie mistrz Grisza, „o dwóch silnych, krzepkich dłoniach" i wszystko naprawi. Nadzieje na mistrza Griszę przekształciły klasę robotniczą w przedmiot umizgów. Wszyscy zabiegają o jej poparcie, starają się przeciągnąć ją na swoją stronę. Nowy partyjny szef Leningradu zorganizował w ciągu ostatnich tygodni kilka wieców. Tworzy blok robotników, nieformalnych grup i Cerkwi wokół haseł obrony biednych przed przestępczymi prywaciarzami. Toczą się wybory do miejscowych rad. Poprzedni szef leningradzkiej organizacji partyjnej i faworyt Gorbaczowa, Sołowiew, już przepadł. Jego następca usiłuje zdobyć popularność demagogią.

Antysemityzm cieszy się niesłabnącym wzięciem. W 6 nrze

Naszego sowriemiennika (1989 r.) ukazała się „Rusofobia" Igora Szafarewicza. Rzecz dotyczy „małego narodu", który od tysiąca lat usiłuje zniszczyć „duży naród". W nrze 11 tego samego pisma ukazały się rozdziały, które w nrze 6 zakwestionowała cenzura, bo wydawały się jej zbyt żydożercze. Teraz już można je ogłosić, bo nastał czas *głasnosti*.

Dyskutuje się o różnych wariantach. Wypada przypomnieć 1846 rok. „Car Wszechrosji udał się do Rzymu. Pamiętają tam jeszcze zapewne — pisał Fiodor Tiutczew — to powszechne wzruszenie, z jakim powitano jego wejście do katedry św. Piotra. Wszedł prawosławny car, wrócił do Rzymu po tylu wiekach nieobecności. Pamiętają elektryczny dreszcz, który przeszedł po tłumie, kiedy car poszedł się pomodlić u grobu apostołów. Wzruszenie było słuszne. Przed grobem klęczał nie sam car, cała Rosja padła wraz z nim na kolana. Miejmy nadzieję, że nie na darmo zanosiła modły do świętych szczątków!"

Nie wiadomo, czy Michaił Gorbaczow poszedł w ślady cara Wszechrosji i „zaniósł modły do świętych szczątków". Na razie wciąż modli się jeszcze do marksizmu-leninizmu, w nadziei, że w nagrodę ojcowie-założyciele ześlą cud. Innych nadziei nie widać...

12.12.1989 *Adam KRUCZEK*

Kronika niemiecka

W Polsce przebywała wieloosobowa delegacja Republiki Federalnej Niemiec na czele z kanclerzem H. Kohlem. Podróż do Warszawy poprzedziła rezolucja Bundestagu, iż Niemcy nie zamierzają kwestionować ani dziś, ani w przyszłości prawa narodu polskiego do bezpiecznych granic. Podkreślono, że nienaruszalność granic jest podstawą pokojowego współżycia w Europie. Na marginesie doszło oczywiście do sporów dotyczących zagwarantowania także na przyszłość niepodważalności granic na Odrze i Nysie. CDU-CSU są ciągle zdania, że najpierw konieczny jest układ pokojowy. ■ Rządy RFN i PRL podpisały szereg umów dwustronnych: w sprawie popierania i wzajemnej ochrony inwestycji; o wzajemnym ustanowieniu i działalności instytutów kultury i informacji naukowo-technicznej; o wymianie młodzieżowej; o współpracy w dziedzinie ochrony środowiska i współpracy naukowo-technicznej, jak również umowy ministerstw rolnictwa dot. wspierania współpracy przedsiębiorstw tego resortu i min. zdrowia dot. współpracy w dziedzinie

zdrowia i nauk medycznych. Kanclerzowi towarzyszyła liczna ekipa dziennikarzy, którzy główny akcent w swych relacjach położyli na sprawę niemieckiej mniejszości narodowej mieszkającej w Polsce. „Niemcy pracują lepiej od Polaków, więc Śląsk będzie kiedyś znów niemiecki" — twierdzi zdaniem korespondenta telewizji ARD jeden z Niemców mieszkających na Opolszczyźnie. Z wielką uwagą odnotowano wizytę Kohla, któremu towarzyszył T. Mazowiecki w Krzyżowej (Kreisau), nieopodal Wałbrzycha. W zrujnowanym, dawnym majątku hr. Jamesa von Moltke powstać ma zachodnioniemiecko-polskie centrum. Przybyli na odprawioną w obu językach mszę św. przedstawiciele niemieckiej mniejszości nieśli transparenty w języku niemieckim: „Jesteś również naszych kanclerzem". Podczas rozmów obu delegacji poruszono także kwestię odszkodowań dla osób, które ucierpiały w czasie drugiej wojny światowej. W odpowiedzi Kohl stwierdził, że ważna jest przede wszystkim realizacja zobowiązań bońskiego rządu wynikających z programu pomocy dla Polski wspierającego proces reform. ■ Franz Joachim Schoeller, ambasador RFN w Warszawie, przeszedł tuż przed wizytą Kohla w Polsce na przedwczesną emeryturę. Decyzję umotywowano złym stanem zdrowia. Jak się jednak okazało, Schoeller był zamieszany w nielegalny handel bronią, m.in. z Brazylią. Bońskie min. spraw zagr. zwolniło go w końcu dyscyplinarnie. ■ Wizytę H. Kohla przerwała na jeden dzień decyzja szefa partii i państwa NRD, Egona Krenza, o otwarciu granicy niemiecko-niemieckiej (9.11.89). Po 28 latach, 2 miesiącach i 27 dniach berliński mur upadł. Wszyscy obywatele NRD mają teraz prawo do swobodnego podróżowania za granicę. W ciągu niecałych 4-ech tygodni od otwarcia granicy RFN i Berlin Zachodni odwiedziło ponad 10 mln obywateli NRD. Otwarto dziesiątki nowych przejść granicznych, co jednak nie zapobiegło wielokilometrowym korkom „Trabantów" i „Wartburgów". Niemcy wschodni masowo rzucili się w RFN na owoce południowe i tani sprzęt radiofoniczny. Pierwszych przybyszy witano owacyjnie kwiatami i szeregiem przecenionych towarów. Wkrótce euforia minęła, ustępując miejsca narastającej niechęci. Mieszkańców RFN i Berlina Zachodniego denerwują kolejki w sklepach i w bankach, tłok w środkach komunikacji miejskiej i zatruwające powietrze enerdowskie „dwutakty". ■ 600 beczek po 300 kg każda sprowadziła do Polski z RFN chorzowska firma Prodryn. Rdzewiejące beczki zawierają truciznę. Sprawę skierowano do prokuratury. Interes z robieniem z Polski wysypiska zachodnich śmieci ciągle się jeszcze opłaca. ■ W Polsce przebywał jeden z czołowych działaczy SPD, Hans Koschnick. Spotkał się z M. Rakowskim i Józefem Czyrkiem, min. stanu w urzędzie prezydenta. Tematów rozmów nie podano. ■ Nowym premierem NRD został dotychczasowy szef SED w Dreźnie, Hans Modrow (13.11.89). Tego samego dnia nowym przew. enerdowskiej Izby Ludowej został funkcjonariusz partii rolników, Günter Maleuda. Jednym z pierwszych posunięć szefa nowego rządu było wprowadzenie zakazu sprzedaży obcokrajowcom szeregu art. prze-

mysłowych i żywności. Zakupów dokonywać można jedynie na podstawie dowodu osobistego NRD. Jednocześnie zapewniano, iż pracujący w Niemczech wsch. obcokrajowcy będą mogli nadal bez przeszkód nabywać wszystkie towary. Już wkrótce jednak wsparci nowymi rozporządzeniami rządu obywatele NRD dali upust swej niechęci do Polaków. W wielu sklepach i nawet w restauracjach pojawiły się napisy w języku polskim informujące, że sprzedaży dokonuje się jedynie dla obywateli NRD. Doszło do przypadków dewastacji polskich samochodów. Do stolicy NRD przybyła delegacja polskiego min. spraw zagr. z dyr. B. Miernikiem na czele. W wyniku rozmów z min. spraw zagr. O. Fischerem (pełniącym tę funkcję od czasów rządów W. Stopha) nie udało się osiągnąć żadnego porozumienia. Rząd w Warszawie zagroził, iż wycofa z NRD grupę 32-ch tysięcy polskich specjalistów i robotników, jeśli sytuacja nie ulegnie poprawie. Przed kamerami polskiej TV wystąpił ambasador NRD w Warszawie, J. van Zwoll, który przeprosił obywateli polskich za doznane przykrości. Władze NRD nie zmieniły jednak swych decyzji. Dodać trzeba, iż nowe rozporządzenia zakazują również obywatelom polskim opuszczania strefy tranzytowej podczas podróży przez NRD. W Berlinie wsch. zabroniono dalszej podróży do Budapesztu setce polskich pasażerów posiadających ważne dokumenty podróży. ■ Obecne wciąż na ulicach enerdowskich miast tłumy demonstrantów wyraźnie się radykalizują. Po żądaniu otwarcia granic, wolnych wyborów i wykreślenia z konstytucji zapisu o kierowniczej roli partii coraz głośniejsze staje się żądanie zjednoczenia Niemiec. Opozycja zdaje się tym wyraźnie zaskoczona. ■ Rządząca SED (Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec, a nie, jak się tłumaczy w PRL — Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności) wyraźnie się rozpada. Nie pomogło otwarcie granic, obietnica wolnych wyborów ani wykreślenie z konstytucji zapisu o kierowniczej roli partii. Wciąż odkrywa się nowe sensacje nt. korupcji byłych czołowych funkcjonariuszy. Przerażenie posłów Izby Ludowej i dwóch milionów członków SED wywołały informacje o luksusowych osiedlach, setkach hektarów zarezerwowanych dla towarzyszy terenów łowieckich, czy wreszcie handlu bronią z Afryką czy Ameryką Płd. Odpowiedzialny za sprawy dewizowe kraju wysoki funkcjonariusz rządu NRD, Alexander Schalck-Golodkowski, zbiegł za granicę i poszukiwany jest listem gończym. Mówi się, że na jego prywatnych kontach w Szwajcarii znajdują się miliony, jeśli nie miliardy zachodnich marek. KC i BP SED podały się w całości do dymisji. Uprzednio wyrzucono jeszcze z partii byłego szefa E. Honeckera i b. premiera W. Stopha. Aresztowano byłych członków BP KC SED — G. Mittaga (gospodarka) i H. Tischa (zw. zaw.). Po 44-ech dniach urzędowania podał się również do dymisji przew. Rady Państwa i szef rady obrony kraju Egon Krenz. Specjalny zjazd SED wybrać ma nowe władze. ■ Władze Berlina Zach. wprowadziły w życie nowe przepisy, umożliwiające wydalenie obyw. polskich, których podania o azyl zostały odrzucone. Co więcej,

możliwe jest również wydalenie osób, które żyją od lat w mieście, ale nie mają jednak stałego prawa pobytu lub korzystają z pomocy socjalnej. W ciągu pierwszych 10-ciu miesięcy 1989 roku w Berlinie Zach. podanie o azyl złożyło ponad 5.400 Polaków. Tylko 5% wniosków rozpatrzono pozytywnie. Ponad 1.800 Polaków oczekuje na decyzję. ■ Działająca w Kolonii polska księgarnia Wawel obchodziła piątą rocznicę istnienia. Prowadzące placówkę małżeństwo A.J. Łątków zorganizowało z tej okazji spotkanie z wrocławskim pisarzem Lotharem Herbstem. W księgarni miał wieczór autorski również mieszkający na stałe w USA pisarz i poeta, Henryk Grynberg. Nakładem Wawelu ukazał się pierwszy numer biuletynu *Głos Wawelu*. ■ W RFN na zaproszenie przew. współrządzącej partii wolnych demokratów (FDP) hr. Otto Lambsdorfa przebywała delegacja CK SD z przew. Józefem Jóźwiakiem. Rozmawiano również z kanclerzem H. Kohlem, który poinformował, że RFN przeznaczyła 250 mln dolarów na fundusz stabilizacyjny dla Polski. ■ Na krótko przed spotkaniem na szczycie na Malcie kanclerz Kohl wystąpił z dziesięciopunktowym planem, którego końcowym celem jest zjednoczenie Niemiec. Kohl proponuje utworzenie komisji mieszanych między obydwoma rządami niemieckimi, które zajmowałyby się gospodarką, komunikacją, ochroną środowiska, nauką, techniką i kulturą. Kanclerz Kohl opowiada się za stworzeniem konfederacyjnych struktur między oboma państwami, co w końcowym efekcie doprowadzić winno do zjednoczenia Niemiec. Plan Kohla poparły frakcje CDU-CSU, FDP i SPD. Jedynie Zieloni opowiedzieli się za zachowaniem obecnego podziału na dwa państwa niemieckie, zarzucając kanclerzowi, iż dąży „do potajemnego wcielenia NRD do Rzeszy". ■ Terrorystyczna Frakcja Armii Czerwonej (RAF) zamordowała czołowego bankiera RFN, szefa „Deutsche Bank" i doradcę Kohla, Alfreda Herrhausena. Dwa dni przed zamachem lewicowa *Die Tageszeitung* udowodniała, iż prokurator generalny RFN niesłusznie zajmuje się RAF-em. Zamordowany był jednym z najważniejszych, jeśli nie głównym specjalistą zachodnioniemieckiego świata finansów. Sprawców nie wykryto. ■ W dortmundzkim ratuszu Andrzej Szczypiorski otrzymał nagrodę kultury im. Nelly Sachs. Jest ona przyznawana raz na dwa lata za wybitne zasługi w dziedzinie zbliżenia między narodami. Wielką karierę zrobiła na zachodnioniemieckim rynku książka Szczypiorskiego pt. „Początek" (Instytut Literacki, Paryż 1986). Po niemiecku wydano też „Mszę za miasto Arras" i ostatnio zbiór opowiadań pt. „Amerykańska whisky". Zachodnioniemiecka prasa (m.in. *Der Spiegel*) poświęciła polskiemu pisarzowi obszerne artykuły. ■ W Warszawie przebywała delegacja koncernu Volkswagena, która prowadziła wstępne rozmowy z dyrekcją FSO na temat ewentualnej umowy licencyjnej. FSO prowadzi jednocześnie negocjacje z Fiatem, Daihatsu i Citroenem. Jak na razie brak konkretnych decyzji. Samochodów również. ■ Na lipskim festiwalu filmów dokumentalnych główną nagrodę zdobył film Andrzeja Fidyka pt. „Parada",

ukazujący kult jednostki na przykładzie koreańskiego przywódcy Kim Il Suna. W obszernej relacji z festiwalu telewizji NRD nie poinformowała, kto jest autorem nagrodzonego „Złotym Gołąbkiem" obrazu. Przypadek?... ■ Od stycznia do końca listopada '89 Polskę odwiedziło 670 tysięcy obywateli NRD. Co dziesiąty bywalec na szczecińskim targowisku na Turzynie to przybysz z NRD. Wielu sprzedaje przywiezione towary, wielu jednak kupuje też w polskich sklepach. „I nikt im nie odmawia ani nie wyprasza ze sklepu" — skarży się dziennikarz Polskiego Radia. Tymczasem, jak pisze *Der Spiegel*, przybysze z NRD sprzedają w Berlinie Zachodnim przemycane przez granicę towary. Tylko w ciągu jednego tygodnia celnicy wschodnioniemieccy zatrzymali 180 osób, które usiłowały przenieść do Berlina Zach. dzieła sztuki, biżuterię i zabytkowe książki. ■ Nakładem Polskiego Duszpasterstwa Katolickiego w Berlinie Zach. ukazał się już 7-y numer kwartalnika *Słowo*. Zawiera on m.in. „Refleksję historyka niemieckiego", Golo Manna, syna Tomasza Manna. „Historyczne refleksje polsko-niemieckie" w tym numerze przedstawia również Zdzisław Szpakowski, redaktor warszawskiej *Więzi*.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

Kronika litewska

W Litewskiej Republice Sowieckiej, w odróżnieniu od większości innych, nomenklatura jest przeważnie litewska. Ciekawe, czy starannie maskowała patriotyzm, czy też zwietrzyła, że utrzyma się na powierzchni tylko w roli buntownika? Prawdopodobnie i jedno i drugie. Najpierw młodzież komunistyczna, a teraz już i partia coraz śmielej domagają się wystąpienia z ogólnozwiązkowego Komsomołu i ogólnozwiązkowej partii komunistycznej. ■ Litwini uzyskali autonomię kulturalną (prawa językowe, możność organizowania się, zakładania czasopism, zniesienie wykładów marksizmu-leninizmu i wprowadzenie wykładów historii Litwy w wersji przedwojennej) oraz pewne ustępstwa symboliczne (flaga narodowa). Zaszły ogromne i chyba nieodwracalne zmiany w stosunkach między Kościołem a państwem, uwolniono więźniów politycznych, zezwolono na kontakty z emigracją, reaktywowano Uniwersytet Witolda Wielkiego w Kownie, zwrócono katedrę. Osiągnięcia są liczne, ale też zmiany na gorsze: coraz marniejsze zaopatrzenie, wielkie zanieczyszczenie przyrody itp. Zaogniły się też stosunki z Rosjanami i Polakami. ■ W dniu wielkiego wiecu Sajudisu w Wilnie powtórzył się polski cud z

czasu wizyty papieża, mianowicie ludzie wstrzymali się od picia. Karetki zbierające pijanych krążyły tego dnia po Wilnie prawie puste. Na ogół jednak nie zmniejszyła się ani przestępczość, ani napływ imigrantów z innych republik. ■ W pierwszych latach powojennych nękana partyzantką i masowymi deportacjami Litwa była krajem zrujnowanym. Uprzemysłowienie nastąpiło później, stąd przemysł litewski jest nowocześniejszy niż w wielu innych republikach: radioodbiorniki, telewizory, pralki, lodówki, elektronika. Litwa ma trzy potężne elektrownie: hydroelektrownię na Niemnie poniżej Kowna, siłownię Elekrenai na gazie sprowadzanym rurociągami z Moskwy oraz elektrownię atomową Ignalino na Wileńszczyźnie. Do tego należy dodać rafinerię ropy w pobliżu granicy łotewskiej i fabryki cementu oraz materiałów budowlanych w tym samym rejonie. ■ Poziom życia był na Litwie wyższy niż w Rosji. Tysiące Rosjan przyjeżdżają tu na zakupy, a w ub. r. również tysiące Polaków. W odpowiedzi Litwini ograniczyli prawo wywozu do Polski, a później zarezerwowali „talony" na telewizory itp. tylko dla miejscowej ludności. Od dawna brakuje na Litwie obuwia i proszków do prania, natomiast z chlebem, nabiałem i jarzynami jest lepiej niż w Rosji. Kołchoźnicy mają spory kawałek ziemi do własnej dyspozycji (i mogą wydzierżawić więcej), na którym uprawiają jarzyny i hodują krowy oraz wieprze, dzięki czemu miejscowy rynek jest o wiele lepiej zaopatrzony niż w Rosji. Tzw. *pieriestrojka* posuwa się jednak bardzo powoli. Do zakupu gospodarstw — nawet z prawem dziedziczenia — mało kto się kwapi. Po pierwsze ludzie boją się, że wbrew obietnicom gospodarstwa zostaną im odebrane albo obłożone rekwizycjami czy podatkami, które ich zrujnują. Po drugie w sowchozach jest taka specjalizacja, że tylko ok. 15% chłopów potrafiłoby samodzielnie gospodarzyć. ■ Przywódca litewskiej partii komunistycznej Brazauskas wyjaśnił, że niepodległość może wejść na porządek dnia dopiero za wiele lat, bo integracja gospodarcza Litwy z Rosją jest tak wielka, że zlikwidowanie jej zajęłoby bardzo dużo czasu. Cóż niepodległa Litwa mogłaby sprzedawać do Wspólnego Rynku, który dusi się od nadmiaru masła i mięsa? Przemysł litewski jest przestarzały i dostosowany do sowieckich standardów. Litwa przoduje wprawdzie w produkcji komputerów, ale i one są przestarzałe, nie mówiąc już o tym, że nie mają nawet własnego języka komputerowego, a tylko rosyjski. ■ Partii litewskiej grozi rozłam na część związaną z ogólnorosyjską KPZS i część niezależną. Komsomołowi, jeżeli pozostanie wiernopoddańczy, zagrożą niezależne harcerstwo, kółka młodzieży katolickiej itp. ■ We wrześniu ub.r. Gorbaczow oświadczył na naradzie z przedstawicielami Bałtów, że odnosi się przychylnie do ich ruchów reformatorskich, ale że posuwają się za daleko, domagając się wystąpienia ze Związku Sowieckiego i utworzenia samodzielnych narodowych partii komunistycznych. Za niedopuszczalne uznał też dyskryminowanie rozmaitych kategorii obywateli. Te ostatnie odnosi się prawdopodobnie do estońskiego projektu pozbawienia niedawnych osadników prawa

głosu — w praktyce oznaczało to Rosjan. Estończycy chcieli (a i Litwini mieli na to ochotę), aby przybysze mogli głosować w wyborach do instancji ogólnozwiązkowych, ale nie do lokalnych. Dotyczyło to również licznych w Nadbałtyce garnizonów, co zostało poczytane za obrazę Armii Czerwonej. Rekruci litewscy są zresztą w Armii Czerwonej szykanowani — znane są przypadki pobicia, rozstroju nerwowego, samobójstw i odmowy złożenia przysięgi. ■ Na żądanie Gorbaczowa, aby wyrzekli się aspiracji niepodległościowych, Litwini odpowiadają, że litewska partia komunistyczna może sobie zdobyć poparcie tylko wtedy, jeśli będzie niepodległościowa. Centralistyczna poniosłaby sromotną klęskę w wyborach, które odbędą się prawdopodobnie w lutym. ■ Gorbaczow nadal popiera projekt szerokiej autonomii gospodarczej, która miałaby wejść w życie od nowego roku. W Moskwie, Wilnie i Tallinie opracowuje się odnośne projekty ustaw. Gorbaczow ma zastrzeżenia co do wprowadzenia osobnej waluty, mniejsze co do wprowadzenia wspólnego rynku trzech państw bałtyckich, natomiast kategorycznie sprzeciwia się utworzeniu osobnych formacji wojskowych. Stanowisko Gorbaczowa jest bardziej pojednawcze aniżeli centralnych władz moskiewskich. Wystąpienia Bałtów irytują konserwatystów i w ogóle nacjonalistów rosyjskich. Gorbaczow po raz pierwszy zetknął się z przysłowiowym litewskim uporem w czasie Zjazdu w maju-czerwcu 1989. W obliczu projektu komisji konstytucyjnej, której kompetencje naruszałyby prawa poszczególnych republik, litewska delegatka Danuta Prunskiene (dyrektorka wileńskiego instytutu administracji państwowej) na znak protestu opuściła salę wraz z 40-toma Litwinami i kilkoma bałtyckimi pobratymcami. Nieprzyzwyczajony do takiej krnąbrności Gorbaczow pospiesznie zamknął obrady. Po kilkutygodniowych targach komisja konstytucyjna została wybrana, aczkolwiek z nieco węższymi kompetencjami. ■ Z końcem maja br. Sajudis popierało 78% Litwinów i 10% nie-Litwinów, a z końcem sierpnia odpowiednio 86% i 35%. Pierwszego sekretarza litewskiej partii popierało natomiast 84% i 82% Litwinów oraz 64% i 74% nie-Litwinów. A więc oświadczenie Rady Bałtów, że zadaniem Bałtów jest odzyskanie niepodległości drogą parlamentarną i pokojową, cieszy się poparciem ogółu ludności. ■ „Żywy ludzki łańcuch", który latem ub. r. połączył Wilno, Rygę i Tallin, zgromadził ponad milion ludzi trzech narodowości. Świetnie zorganizowana manifestacja miała duży rozgłos na świecie. Mieli na nią przybyć dyplomaci amerykańscy, ale nie uzyskali zezwolenia. Wynagrodzili to liczni fotoreporterzy. Omawiając ów żywy łańcuch, delegat litewski na obradach w Moskwie podkreślił, że była to manifestacja za niepodległością Litwy i wszystkich jej mieszkańców — Litwinów, Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Polaków i Żydów. Manifestacja odbyła się w 50-lecie paktu między Hitlerem a Stalinem, który zmienił granice tej części Europy. ■ Ruch „zielonych" jest na Litwie bardzo popularny z powodu skandalicznego zanieczyszczenia ziemi, wody, powietrza, a nawet wód podskórnych. Zieloni uzyskali nareszcie

wpływ na zarząd łowiectwa. Chodzi tu o polowania, popularne wśród wyższej biurokracji i oficerstwa. Tymczasem obfitość zwierzyny powoduje wielkie szkody w lasach. W związku z tym zarząd łowiectwa został podporządkowany leśnictwu, które będzie zainteresowane, aby rósł młody las. ■ Moskwa zarządziła specjalny podatek na naprawę dróg. Rząd litewski uznał, że stan dróg litewskich jest zadowalający i na swoim terenie nie ściąga tego podatku. ■ Amerykanie zdają się popierać żądania wolnościowe, gdyż wysłannicy Sajudisu znajdują otwarte drzwi w Departamencie Stanu. ■ Wysłannicy parlamentu europejskiego ze Strasburga — gdzie jednym z promotorów spraw litewskich jest ks. Otto von Habsburg — opowiadają się za taktyką ostrożną i odkładaniem sprawy niepodległości na później. ■ W łonie emigracji istnieją dwa konkurujące ze sobą ośrodki (oba w USA), centrala związku organizacji społecznych na wszystkich kontynentach PLB i naczelny komitet wyzwolenia Litwy VLIK, coś w rodzaju rady narodowej przy polskim rządzie w Londynie, reprezentujący partie polityczne i dawne ruchy oporu. VLIK ze względów prawno-tradycyjnych jest skrępowany w kontaktach z Sajudisem i przez to traci wpływy na emigracji, natomiast PLB ma ożywione kontakty z krajem. PLB jest bardziej antypolsko nastawione i ma wieczne pretensje do Papieża. ■ W Wilnie badała grunt wycieczka amerykańskich biznesmenów litewskiego pochodzenia. Litwini amerykańscy łożą na muzea, biblioteki i galerie sztuki w starym kraju. Liczni uwolnieni dysydenci litewscy jeżdżą po świecie, wygłaszając odczyty. Legendarna litewska dysydentka-katoliczka Nicole Sadunaite, ku której czci są w Niemczech kółka młodzieży katolickiej, nareszcie wyjechała za granicę i zapytana przez francuskiego dziennikarza, co sądzi o *pieriestrojce* i o Gorbaczowie, odrzekła: „Dzisiejsza *pieriestrojka* jest najbardziej zdradzieckim oszustwem. Zgodnie z zaleceniem Lenina Gorbaczow uzyskuje od kapitalistów sznury, na których chce ich powiesić. To jest jego plan. Lecz będzie tak, jak zechce dobry Bóg, i na co my zasłużymy". Najwięcej jej żal było sowieckich kryminalistów. Bo ludzie religijni mają w nieszczęściu jakiś punkt oparcia, inni też mogą mieć jakieś ideały, dla których cierpią, a rosyjskiemu kryminaliście nie dano nic, żadnego moralnego punktu oparcia. ■ Może wpojona sowieckim obywatelom skłonność do nienawiści przyczyniła się do zaognienia stosunków polsko-litewskich, może świadoma intryga, może zaangażowanie emocjonalne w ten spór rodzinny, dosyć, że gdy wymarzony przez Mickiewicza zryw wolnościowy ogarnął Wilno, zabrakło Polaków w pierwszych szeregach bojowników. Bolesne to, że Polacy, czy też ich część, przystąpili do bloku z Rosjanami, tworząc *Jedinstwo*. Przyczynili się do tego „bracia Litwini", którzy nie chcieli uznać w Polakach równoprawnych współgospodarzy. Polacy wileńscy tworzyli dawniej większą część górnej warstwy społeczeństwa. Dzisiaj Polonia litewska jest zupełnie sproletaryzowana. Można przypuszczać, że jest to owoc współpracy rosyjsko-litewskiej, gdyż w okresie między wojnami Litwini w swej

niepodległej republice osiągnęli to, że gdy w niegdysiejszej palestrze kowieńskiej Polacy stanowili większość, a litewski adwokat był może jeden, to już w r. 1938, gdy zostało otwarte polskie poselstwo — nie mogło ono znaleźć doradcy prawnego, bo nie było już w Kownie ani jednego adwokata Polaka. Nie wdając się w szczegóły obecnej sytuacji dodajmy, że podobno już w tym roku na wyższe uczelnie można było składać egzaminy wstępne tylko w języku litewskim, więc kto skończył polską szkołę, nie mógł dalej studiować.

E. ŻAGIELL

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280. Cena F. 120,00.

●

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury", „Zeszytów Historycznych" oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352. Cena F. 150,00.

●

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych" ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkim.

Str. 128. Cena F. 70,00.

O religii bez namaszczenia

Refleksje na czasie

List do redakcji londyńskiego *Times*'a (19.10.89):

„Brytanią coraz bardziej rządzą postawy bezlitosne". Tak według doniesienia z 2 bm. twierdzi Dr Runcie (arcybiskup Canterbury, A.P.).

Jako emerytka mieszkam teraz w pobliżu stacji londyńskiego metra. To właśnie zdecydowało o moim wyborze tego bloku mieszkań dla ludzi starych i od tego czasu moją radością są nieustanne dowody ludzkiej życzliwości.

Gdy wracam z miasta, często jednym z ostatnich pociągów, za każdym razem nie jedna lecz kilka osób, ludzie młodzi czy starsi, odstępują mi swoje miejsce i ofiarują pomocne ramię, zawsze z przyjaznym uśmiechem. Za dnia, gdy rachitycznym krokiem przemierzam podwórze, dzieci zaprzestają zabawy, bym mogła bezpiecznie przejść. Pięciolatki zapytują, czy nie potrzebuję pomocy. Matki, obładowane zakupami i widocznie zmęczone, nie zapominają pozdrowić mnie miłym uśmiechem.

W tym otoczeniu czuję się bezpieczna, w nocy niemniej jak w dzień. Na każdego poddającego się złym instynktom malkontenta muszą być dziesiątki dobrych ludzi. Dotyczy to również ludzkiej szczodrobliwości. Każdego dnia znajdujemy w gazetach informacje o nowych instytucjach charytatywnych powstających dla niesienia ludziom ulgi w bólu i smutku. I wszystkie te fundusze cieszą się ogromnym poparciem.

Czy to wszystko są dowody na mnożenie się bezlitosnych postaw w naszym społeczeństwie? Trudno mi się z tym zgodzić.

Dr Agnes WILKINSON".

Rzadki głos osoby zadowolonej z życia i swego społeczeństwa. Jakoś trudno spostrzec mnogość dobra w naszej cywilizowanej normalności, a to co jest złe natychmiast przykuwa uwagę. Oczywiście. Gazeta nie napisze, że pan Smith jest zdrów i miał dobry dzień; natomiast gdy pani Smith wpadnie pod samochód, to natychmiast jest *news* (to chyba Chesterton). Z faktu, jak dobrze nasze społeczeństwo funkcjonuje na co dzień, zdajemy sobie sprawę dopiero, gdy nas zaskoczy, dajmy na to,

strajk autobusiarzy. Przyzwyczajenie sprawia, że bardzo arbitralnie przeprowadzamy linię zerową między dobrem a złem, dobrobytem a nędzą, szczęściem i nieszczęściem, nawet między zdrowiem a chorobą (bezpłatna służba zdrowia sprzyja hipochondrii). Na dobrą sprawę tylko asceci potrafią tę linię mądrze przeprowadzić.

W październikowej *Kulturze* pani de Hernandez-Paluch napisała o szeroko zakrojonej we Francji, a całkowicie dobrowolnej akcji „Restaurants du Coeur", darmowego karmienia głodujących (są tacy także w zamożnych krajach) i redakcja zasugerowała podjęcie podobnej akcji w Polsce. Czytam w prasie, że Kościół (oczywiście) już taką akcję w kilku miejscach prowadzi. Nawiasem mówiąc, w Londynie kilka osób postanowiło zaradzić katastrofalnej ucieczce personelu z klinik dziecięcych w Warszawie. Uciekają, bo nie wytrzymują na głodowych płacach. Uczestnicy akcji składają się po 100 funtów miesięcznie na jedną klinikę i z tego każdy pracownik dostaje, niezależnie od funkcji, 40.000 zł miesięcznie więcej. Tam, gdzie się to udało zorganizować, ucieczka na razie ustała. Gdyby ktoś chciał się do tej akcji przyłączyć, proszę napisać na 115 Redston Road, London N8 7HG.

Nie tylko arcybiskup Runcie skarży się na nieczułość brytyjskiego społeczeństwa. Cały oficjalny Kościół Anglii zadarł poważnie z obecnym rządem konserwatywnym, któremu zarzuca faworyzowanie bogatych, tworzenie warunków do indywidualnego bogacenia się kosztem uboższych warstw społeczeństwa i zaniedbywania opieki społecznej. Konserwatyści ze swej strony zarzucają biskupom mieszanie się do polityki (jak to zawsze bywa) i uleganie modnym lewicowym skłonnościom. Na szerszej arenie międzynarodowej słychać podobne zarzuty pod adresem Kościoła katolickiego. We Francji ukazała się ostatnio książka pt. *Dieu est-ils contre l'économie ?*, radykalna krytyka nauki społecznej Kościoła od *Rerum Novarum* po *Sollicitudo Rei Socialis* obecnego papieża*. Rozreklamował ją w serii artykułów *Le Figaro* , przedrukowując między innymi otwierający książkę list otwarty autorów do Jego Świątobliwości Ojca Św. Jana Pawła II. Jądro listu stanowi sugestia, że encyklika *Sollicitudo Rei Socialis* powinna być przerobiona albo uzupełniona tak, by zasługiwała na tytuł *Sapientia Rei Economicae*. W rzeczy samej autorzy zarzucają wszystkim papieżom od Leona XIII nieznajomość zasad ekonomii. Prawa rozwoju gospodarczego, powiadają, są dziś dobrze znane i zamykają się w jednym słowie:

* Jacques Paternot et Gabriel Veraldi, *Dieu est-il contre l'économie ?*, Fallais (Paris) et l'Age d'Homme (Lausanne).

kapitalizm. Jeśli Kościół rzeczywiście chce praktykować „preferencyjną opcję na rzecz ubogich" (a nie na rzecz ubóstwa) i pomóc w wydobyciu krajów Trzeciego Świata z nędzy, to tych właśnie praw powinien nauczać. Zamiast tego „zbyt wielu biskupów, księży, pasterzy głosi ideologię, która nie tylko niszczy wszelką wolność polityczną i religijną gdziekolwiek znajdzie się u władzy, ale ponadto okazuje się niezdolna do wypracowania jakiegokolwiek poziomu dobrobytu". Główne ostrze krytyki jest skierowane przeciw teologii wyzwolenia, którą autorzy określają alternatywnym mianem chrystianizmu-leninizmu.

Nie czytałem książki Paternota i Veraldiego. Niewiele by mi z tego przyszło, bo nie jestem ekonomistą. Jako laik zresztą gotów jestem przyznać, że motorem rozwoju gospodarczego jest szeroko pojęty „kapitalizm", który oczywiście nie jest żadną ideologią (jak to z naciskiem podkreślał Ernest Skalski w październikowej *Kulturze*), lecz zespołem normalnych ludzkich motywacji gospodarczych, inaczej zwanych prawami rynku, ale działających całkiem niezależnie od jakiejkolwiek teoretycznej nadbudowy. Natomiast czytałem wszystkie główne encykliki społeczne papieży i znam jako tako naukę społeczną Kościoła. Czyżby istotnie w okresie powszechnej i aż nazbyt widocznej degrengolady systemów odgórnego planowania gospodarczego Kościół głosił jakiś „chrystianizm-leninizm"? Gdzie ci francuscy autorzy to wyczytali? Od Leona XIII Kościół konsekwentnie bronił prawa do własności prywatnej jako jednego z filarów osobistej ludzkiej wolności i zawsze też podkreślał wartość, zarówno gospodarczą jak i duchową, wolnej inicjatywy, zarówno indywidualnej jak zbiorowej (także w *Sollicitudo Rei Socialis*, zob. par. 15 i 44). Autorzy widocznie mają na myśli latynoamerykańskich teologów wyzwolenia, którzy chętnie a całkiem niepotrzebnie posługują się terminologią marksistowską, co im pierwsza instrukcja watykańska w tej sprawie z 1984 r. aż nader surowo wypomniała. Druga, która ukazała się półtora roku później (marzec 1986), była pod tym względem bardziej zrównoważona i okazywała Latyno-Amerykanom więcej zrozumienia (encyklika SRS tylko tę drugą wspomina). Bo przecież Południowa Ameryka nigdy nie zaznała rządów „realnego socjalizmu" (dlatego tamtejsi teologowie mogą sobie pozwolić na marksistowskie rojenia, bo o realnym marksizmie nie mają pojęcia), a zatem przyczyną nędzy kontynentu musi być coś innego, chyba właśnie szeroko pojęty „kapitalizm". Bo jest i kapitalizm, który nawet gdy gwarantuje mnogość dóbr, niezliczonym masom ludzkim gwarantuje tylko dalszą nędzę. Dlatego nauka społeczna Kościoła, broniąc prawa do własności prywatnej i wolnej inicjatywy gospodarczej, głosi również potrzebę „solidarności". (Jan Paweł II niejako nobilitował to pojęcie, nadając mu zgoła teolo-

giczny wydźwięk, zob. SRS par. 39, 40). Ale solidarności nie da się z góry zaplanować; wprost przeciwnie, także solidarność może być wynikiem tylko wolnej incjatywy jednostek i grup ludzkich, mniejszych i większych, w zależności od wagi i zasięgu problemu, jaki jest do rozwiązania. W tym sensie solidarność jest pozytywnym aspektem innej fundamentalnej zasady nauki społecznej Kościoła, zasady pomocniczości (*subsidiaritas*), która stwierdza, że żaden wyższy szczebel organizacji społecznej nie powinien podejmować zadań, które są wykonalne na niższym szczeblu. Zasada pomocniczości jest zatem jednym z fundamentów demokracji. Teologia wyzwolenia w swym praktycznym działaniu daje znakomity przykład funkcjonowania zasady pomocniczości; są nim tak zwane wspólnoty podstawowe (*communidades de base*), które powstały zrazu z powodu braku księży jako grupy wspólnego czytania Pisma św. i modlitwy, ale rozwinęły się z biegiem czasu również w ośrodki sąsiedzkiej samopomocy.

Nauka społeczna Kościoła nie jest doktryną ekonomiczną. Jest doktryną moralną i obowiązuje (obowiązuje moralnie) w odniesieniu do wszystkich recept ekonomicznego uszczęśliwiania ludzkości. Nie jest więc też jakąś trzecią drogą między kapitalizmem a socjalizmem (przed czym słusznie ostrzega Skalski), gdyż operuje na innej płaszczyźnie, szerszej i wyższej niż sama tylko ekonomia czy polityka, właśnie na płaszczyźnie moralnej (SRS par. 41).

●

Choć sformułowana w ciągu ostatnich stu lat przez Kościół katolicki, jest to w gruncie rzeczy nauka ogólno-chrześcijańska. Ale nie jest ona wyłączną własnością tego Kościoła ani nawet całego chrześcijaństwa, bo nie sam Kościół tylko jest jej autorem. Jest ona dziełem dialogu między Kościołem a tym, co dzisiaj nazywamy świeckim światem. Na długo przed pierwszą encykliką społeczną praojciec socjalizmu Saint-Simon ochrzcił swoje idee mianem Nowego Chrześcijaństwa. Ale ten dialog jest jeszcze dawniejszy i sięga czasów, kiedy Kościół zachodni na gruzach dawnego imperium rzymskiego budował nową cywilizację: tworzył szkoły i uniwersytety, zakładał szpitale, rozdzielał jałmużnę i głosił (raz po raz, nie zawsze) *treuga Dei* wśród walczących ze sobą barbarzyńskich władców. Europejscy barbarzyńcy nie mieli żadnego poczucia odpowiedzialności społecznej. Trwało z grubsza tysiąc lat, zanim świeckie państwa nauczyły się od Kościoła rudymentów tej odpowiedzialności, zanim pojawiły się świeckie szkoły, świeckie szpitale, zanim władcy zaczęli się troszczyć o los swych poddanych, szanować ich godność,

dopuszczać do udziału w rządach i zanim się zaczęły wyłaniać zręby prawa międzynarodowego, z prawami jednostki włącznie. Był to długi proces sekularyzacji chrześcijańskich wartości, których do tej pory Kościół był jedynym depozytariuszem, proces do dziś bynajmniej nie zakończony. Proces tak pojętej sekularyzacji musi trwać nadal, bo misja Kościoła na tym przecież polega, by chrześcijańskie wartości wszczepiać w nie-kościelny świecki świat.

To jest jeden aspekt sekularyzacji, aspekt niewątpliwie pozytywny. Drugą stroną medalu jest to, że nieodłączny od procesu sekularyzacji wzrost samodzielności społeczeństw sprawił, że Kościół począł nad nim tracić kontrolę. Wyemancypowani spod kościelnej kurateli świeccy myśliciele (i nie tylko świeccy) poczęli dawać swój własny wkład do systemu wartości naszej cywilizacji, wkład nie zawsze zgodny, a często wprost sprzeczny z zasadami Ewangelii. Ale krytyka przepowiadania Kościoła przyczyniła się również do głębszego zrozumienia ewangelicznych wartości. Dialog ze światem zawsze obfitował w umysłowe starcia i ten aspekt procesu sekularyzacji też trwa po dziś dzień. Ten aspekt też nie jest całkowicie negatywny, bo jest on wynikiem poszanowania ludzkiej wolności; a z serca służyć prawdzie można tylko w atmosferze i poczuciu wolności.

Oczywiście jest to obraz niezmiernie uproszczony, ale pozwala on dostrzec, że sekularyzacja, na którą dziś tak często się skarżymy, nie jest jednoznacznym złem; wprost przeciwnie, jest zapoznanym triumfem 2.000-letniego kiełkowania ziarna Ewangelii w łonie świeckiej cywilizacji. Zapoznanym, bo emancypacja chrześcijańskich wartości sprawia również, że po drodze zgubiły one swą chrześcijańską etykietę. Odnalazł ją Jan XXIII w swych dwóch wielkich encyklikach, nazywając te świeckie dziś wartości „znakami czasu" i odnaleźli je ojcowie soborowi w konstytucji o Kościele w świecie współczesnym (*Gaudium et Spes*). J.M. Domenach w niewielkiej książeczce (napisanej wspólnie z M. de Certeau) mówi nawet o *christianisme éclaté*, prawdziwym wybuchu chrześcijańskich wartości w naszym świecie, a Yves Congar OP z naciskiem stwierdza, że XX wiek, wiek niewiary i obojętności religijnej, jest równocześnie najbardziej ewangelicznym okresem w dziejach (Yves Congar: *Entretiens d'automne*, Editions de Cerf 1987). Sędziwy teolog ma na myśli charakterystyczne dla naszych czasów niezliczone przejawy troski o ludzi małych i upośledzonych (mówi o nich także autorka zacytowanego na początku listu do redakcji *Times*'a). Na dobrą sprawę kto z nas wolałby żyć raczej w „wiekach wiary", które były równocześnie wiekami straszliwego okrucieństwa, także rozlicznych holokaustów (tylko ze względów technicznych na mniejszą skalę)? Ja nie.

●

Stopniowe zanikanie chrześcijańskiej etykiety na pozytywnych wartościach naszego wieku ma jednak swą niepokojącą stronę, bo oznacza zatracenie kontaktu ze źródłem tych wartości, którym jest Ewangelia. Dlatego w wieku sekularyzacji mówi się dużo i coraz natarczywiej o potrzebie ewangelizacji (czy re-ewangelizacji). Bo sekularyzacja znaczy również, że ludzie przestają chodzić do kościoła i dlatego nie słyszą Ewangelii. Jest to dość prymitywny sposób mierzenia stopnia religijnego zaangażowania ludności, ale sposób najłatwiejszy i właściwie jedyny, jeśli chodzi o statystyczną kwantyfikację. Ogólna tendencja nie ulega wątpliwości, trwa już od kilku stuleci, zanim jeszcze zajęli się nią socjologowie religii. W skali globalnej jednak nie jest ona tak jednoznaczna, jak by to wynikało z europejskich statystyk; statystyki misyjne wykazują bez mała lawinowy rozrost liczebny kościołów chrześcijańskich, zwłaszcza katolickiego, w krajach Trzeciego Świata, głównie w Afryce. Ale i w starym świecie ucieczka z kościołów nie jest tak jednoznacznym zjawiskiem, jak to się do niedawna wydawało.

Londyński *Tablet* ogłosił niedawno (10.06.89) niezmiernie interesujące wyniki badań dwóch socjologów amerykańskich, które objęły 14 krajów, przy czym punktem wyjścia i ramą odniesienia była dla nich intensywna, choć pod wielu względami kontrowersyjna religijność ludności USA. Nie ma wśród tych krajów Polski; jedynym krajem Europy środkowo-wschodniej, który objęły badania, są Węgry, gdzie poziom praktyki niedzielnej okazał się jednym z najniższych. Polska, jak wiadomo, jest pod względem praktyki religijnej zjawiskiem wprost fenomenalnym, podobnie jak Irlandia i to zwłaszcza Irlandia Północna (co na oko sądząc nie jest specjalnym komplementem). Ponadto religijność polska jest zjawiskiem niesłychanie skomplikowanym, bynajmniej nie jednoznacznym, i staje się ostatnio przedmiotem pogłębionej refleksji ze strony tak duchowieństwa jak i świeckich teologów i socjologów religii.

W wynikach amerykańskich badań uderzają nade wszystko dwie rzeczy. Pierwsza to ta, że wbrew szeroko rozpowszechnionym mniemaniom praktyka niedzielna, choć bardzo różna w różnych krajach, od 1945 r. utrzymuje się na z grubsza niezmienionym poziomie. Jest najwyższa, jak powiedziałem, w Irlandii (do 90%) i w USA (przeciętnie 50%), dosyć niska we Włoszech (ok. 35%), bardzo niska we Francji i na Węgrzech (10 do 20%). Pośrodku są takie kraje jak Wielka Brytania, Kanada, Niemcy Zachodnie, Hiszpania, Australia. W niektórych notuje się niewielki wzrost, w innych dalszy spadek, ale ogólnie żaden

dramatyczny spadek nie jest widoczny. Jest jednak od tego jeden uderzający wyjątek: pod koniec lat 60-tych i na początku lat 70-tych nastąpił dramatyczny spadek frekwencji niedzielnej wśród ludności katolickiej, równocześnie w pięciu krajach (USA, W. Brytanii, RFN, Australii i w mniejszym stopniu we Włoszech). Od tego czasu praktyka katolicka w tych krajach ustabilizowała się znowu na zmniejszonym poziomie. Autorzy (obaj katolicy, jeden z nich ksiądz) nie widzą innego wytłumaczenia tego faktu jak traumatyczny efekt encykliki *Humanae Vitae* z 1968 roku.

Druga rzecz uderzająca. Nasilenie praktyki religijnej zmienia się z wiekiem i to na ogół jednakowo we wszystkich badanych krajach, zarówno katolickich jak i o większości nie-katolickiej. Niezależnie od frekwencji praktyk religijnych w danym kraju krzywa nasilenia spada nieco po wyjściu z lat dziecinnych i dochodzi do najniższego poziomu w wieku około lat dwudziestu, po czym mniej więcej od 25-go roku życia podnosi się gwałtownie i wzrasta stromo mniej więcej do pięćdziesiątki, potem mniej stromo do sześćdziesiątki i dalej. Uderzające jest, że krzywa wzrostu ma we wszystkich badanych krajach prawie ten sam kształt: interwał wzrostu od 25-ciu do 50-ciu lat wynosi około 30%, a między 50-tym a 65-tym rokiem życia około 10%. Można się było spodziewać wzrostu religijności na starość (w obliczu zbliżającej się śmierci i paralelnego wzrostu życiowej mądrości), ale okazuje się, że nie jest to jedyny czynnik. Autorzy raportu interpretują gwałtowny wzrost religijności młodych ludzi jako objaw wzrostu poczucia odpowiedzialności moralnej po dojściu do dojrzałości, głównie w związku z małżeństwem i zadaniem wychowania dzieci.

Standardowym miernikiem praktyki religijnej w badaniach była frekwencja udziału w niedzielnych nabożeństwach. Dane notują procent ludności, który idzie do kościoła co niedzielę. Jest to wskaźnik jako tako poprawny jeśli chodzi o katolików, którzy mają formalny obowiązek udziału we mszy niedzielnej; mówi on znacznie mniej o religijności nie-katolików, którzy takiego formalnego obowiązku nie mają. Ale nawet wśród katolików wskaźnik ten jest znacznie wyższy, gdy się uwzględni również tych, co chodzą do kościoła nieregularnie. Wśród katolików amerykańskich w wieku ponad 35 lat procent idących na mszę raz w miesiącu wynosi 75, w Irlandii aż 95, w Niemczech i Holandii 67, w Wielkiej Brytanii 60, we Włoszech 53, we Francji 45, a na Węgrzech 12.

Miarą ewangelizacji jednak nie jest tylko chodzenie do kościoła. Wiadomo, że ludzie praktykujący swą religię wcale nie są koniecznie bardziej „ewangeliczni" niż niepraktykujący lub niewierzący; porównanie etosu moralnego krajów katolickich i pro-

testanckich pod wielu względami wypada na niekorzyść tych pierwszych. Widocznie są i inne formy kontaktu z Ewangelią, choć niewidoczne i mniej wymierne. Niemniej *jakiś* kontakt z Ewangelią jest *conditio sine qua non* ewangelizacji. Dopóki Słowo głoszone w kościele i liturgia ludziom nic nie mówią, ludzie do kościoła nie przyjdą. Wtedy trzeba im je zanieść, gdzie są. Jest oczywiście wiele form takiego wychodzenia ludziom naprzeciw, jak choćby polskie duszpasterstwo środowiskowe albo to, co robi Matka Teresa w Kalkucie. Bardzo głośną inicjatywą tego rodzaju była w swoim czasie instytucja księży-robotników we Francji.

Francja, jak widzieliśmy, jest krajem o niskiej frekwencji praktyk religijnych i zwłaszcza robotnicy zdają się całkowicie z Kościoła wyobcowani (stąd siła, dziś już w dużej mierze należąca do przeszłości, francuskiej partii komunistycznej). Dlatego w latach bezpośrednio powojennych ówczesny arcybiskup Paryża kardynał Suhard postanowił posłać pewną ilość księży do fabryk. Młodzi księża entuzjastycznie podjęli to wezwanie i podjęli pracę fizyczną w przemyśle. Ksiądz stał się dla robotników nie odległą postacią przemawiającą z wysokości ambony, lecz kolegą, pracującym tak samo i zarabiającym tak samo jak jego świeccy koledzy. Niespodziewanie ta akcja nie znalazła uznania w Rzymie Piusa XII i od połowy lat 50-tych poczęły się sypać ze Świętego Oficjum (tak się ten urząd watykański jeszcze wtedy nazywał) gromy na księży-robotników i popierający ich francuski episkopat. W Rzymie uznano pracę w fabryce i bratanie się z komunizującymi robotnikami za niegodne kapłana i niebezpieczne dla ich powołania, nawet dla ich wiary i czystości (*sic*). Szczególnie brano im za złe solidaryzowanie się z robotniczą walką o płace i warunki pracy, udział w strajkach i przynależność do związków zawodowych, także komunistycznych. (Pod tym względem, nawiasem mówiąc, sprawa księży-robotników żywo przypomina aktualną dzisiaj sprawę teologii wyzwolenia; inna rzecz, że nawet życzliwi historycy ruchu przyznają, że postępowanie niektórych księży-robotników nie zawsze było właściwe). Wreszcie w lipcu 1959 roku klamka zapadła i Rzym stanowczo zakazał tej formy wewnętrzno-misyjnej akcji. We Francji podniosła się wrzawa, a i dziś, w trzydziestą rocznicę wydarzenia, sprawa ponownie wypłynęła na łamy gazet. Protestował następca Suharda na stolicy paryskiej, kard. Feltin, i słynny biskup Lille kard. Liénart, protestowali intelektualiści jak François Mauriac, ale Rzym pozostał nieubłagany. Dla samych księży-robotników oznaczało to kryzys sumienia, konflikt między powołaniem a wymaganiami posłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej. Zaskoczeniem było, że cios padł już po śmierci papieża Piusa XII, zdecydowanego przeciwnika księżo-robotniczego eksperymentu, podobnie jak szef Św. Oficjum kard. Ottaviani. Niektórzy uważają, że Św. Oficjum wybrało właśnie ten moment, by uprzedzić ewentualne uznanie ruchu przez nowego papieża, dobrze znającego Francję z czasów swej nuncjatury w Paryżu Jana XXIII. I uznanie faktycznie przyszło, choć dopiero za Pawła VI, w formie uchwały Soboru Watykańskiego w sierpniu 1965 roku, która zadekretowała wznowienie ruchu księży-robotników.

Następnych dziesięć lat było okresem największego rozwoju ruchu (800 księży-robotników w roku 1976), lecz od tego czasu zaznaczył się pewien spadek do około 600 w chwili obecnej. Trwa pamięć bolesnego konfliktu sprzed trzydziestu lat, ale sami księża-robotnicy rzadko trafiają na łamy gazet. Widocznie po cichu robią swą ewangelizacyjną robotę. Jakie są jej konkretne (i wymierne) rezultaty, trudno powiedzieć. Jednak ruch księży-robotników pozostaje wymownym symbolem, objawem zmniejszenia dystansu między historycznym klerem a świeckimi; może jeszcze bardziej wymownym symbolem tego samego jest to, co robi kler spod znaku teologii wyzwolenia w Ameryce Południowej. Powiedziałbym nawet, że jest to podjęta świadomie, wykalkulowana doza sekularyzacji kleru, która na długą metę zdaje się być warunkiem re-ewangelizacji wyobcowanych z Kościoła świeckich.

Antoni POSPIESZALSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kronika kulturalna

Trzy oddechy literatury emigracyjnej

Pani Marii Danilewicz Zielińskiej

Bliskość obiektu nie zawsze sprzyja jego poznaniu. Chcąc ogarnąć ogromną przestrzeń, należy zrezygnować ze szczegółów nieraz szalenie istotnych dla krajobrazu, i wznieść się wysoko w górę. Dopiero wtedy odsłoni się zarys ogólny, rzeźba terenu, najważniejsze elementy pejzażu. Wobec współczesnej polskiej literatury emigracyjnej nie można postąpić inaczej.

Polska literatura emigracyjna powstała w zupełnie innych warunkach aniżeli krajowa. Inna była sytuacja pisarza na obczyźnie, inne doświadczenia indywidualne i zbiorowe, kształtujące wybory twórcze, inaczej rozumiano funkcję literatury i jej związki z narodem, uwikłanie w mechanizmy rządzące życiem i aspiracjami diaspory oraz związki i uzależnienia od procesów politycznych i socjologicznych, determinujących los Polski i Europy. Wszystko to składa się na specyficzny i niepowtarzalny obraz literatury polskiej poza granicami kraju. Spróbujmy wyłowić cechy decydujące o jej unikalności.

●

Ponieważ decyzja o emigracji jest dla artysty o wiele bardziej brzemienna w skutki niż dla reprezentanta jakiegokolwiek innego zawodu, toteż niemal zawsze podyktowana jest motywami politycznymi. Nie zawsze oznacza to rzeczywiste zaangażowanie polityczne, bowiem równie często motorem decyzji i aktywności artystycznej jest ogólna dezaprobata systemu. Fakt ten powoduje, iż literatura emigracyjna w silniejszym stopniu niż

krajowa nacechowana jest tą problematyką, co z kolei powoduje jej ofensywność i bezkompromisowość. Elementy te pogłębia oczywista swoboda politycznej wypowiedzi, poczucie nieskrępowanej wolności słowa. Siłę ekspresji wzmacnia nierzadko świadomość misji i podwyższona wiara w znaczenie literatury i sztuki, odwołująca się do spadku Wielkiej Emigracji. Polityczne zaangażowanie powoduje zwykle tworzenie się mniej lub bardziej zamkniętych środowisk wzajemnie kontrolujących swą ortodoksyjność, często opozycyjnych wobec innych grup lub późniejszych fal emigracyjnych. W sposób oczywisty względy te dyktują określone postawy wobec kraju i powstającej w nim kultury.

Twórczość emigracyjną pobudzają lub osłabiają wydarzenia w ojczyźnie oraz kolejne przypływy i odpływy inteligencji twórczej, przynosząc zamykanie się na pozycjach nieprzejednania lub otwieranie się na dyskusję i wymianę doświadczeń. Po roku 1945 notujemy dwie duże fale odpływu pisarzy polskich z emigracji (wędrówki ludów po zakończeniu wojny i — mniej liczne — powroty po głośnym przełomie październikowym) oraz trzy kolejne fale przypływu z kraju (migracje wywołane skutkami wojny, „eksport mózgów" z 1968 roku, masowy odpływ ludności i intelektualistów polskich po roku 1980, wzmocniony stanem wojennym i jego skutkami polityczno-ekonomicznymi). Niezależnie od ruchów masowych, spore znaczenie miewają indywidualne decyzje twórców (symboliczne „ucieczki" Cz. Miłosza i S. Cata-Mackiewicza). Fale te stanowią na ogół podstawę periodyzacji, choć nie zawsze towarzyszą im zmiany w życiu kulturalnym, podobnie jak kolejne przełomy polityczne w kraju nie zawsze pozwalają wyróżnić nowe okresy historycznoliterackie.

Emigracyjne obiegi literackie są wyraźnie rozwarstwione. Istnieje elitarna kultura emigracyjna (*Kultura, Aneks, Zeszyty Literackie*) oraz inteligencki populizm (*Wiadomości, Nowy Dziennik, Kontakt*). Niektóre pisma adresowane są do krajowego oraz emigracyjnego inteligenta, inne do rzesz czytelników przeciętnych. Te obiegi i odbiorcy naturalnie przenikają się na wszystkich poziomach, niemniej w wyobrażeniu krajowym nieodmiennie od lat dominuje przeświadczenie, iż średnią problemów i literatury emigracyjnej wyrażają wysublimowane periodyki literackie oraz twórcy tacy jak Cz. Miłosz, G. Herling-Grudziński, J. Stempowski, A. Wat i ich najwybitniejsze utwory. W rzeczywistości spora część literatury emigracyjnej nakierowana jest z konieczności na znacznie mniej wyrobionego odbiorcę (np. *Narodowiec*), usiłując wyrażać jego miejscowe problemy i doświadczenia, dostosowując się do jego umysłowych potrzeb.

Stałą cechą kultury emigracyjnej jest jej rozsianie, rozproszenie pisarzy po różnych częściach ziemskiego globu. Poza krę-

giem intelektualnej elity emigracji, skupionej wokół kilkunastu periodyków i kilku oficyn wydawniczych, większość twórców odcięta jest nie tylko od wymiany artystycznych doświadczeń, ale również od czasopism i książek polskich. Ci traktują pisanie jako swoiste hobby, bo zmusza ich do tego konieczność stałej pracy zarobkowej. W tej sytuacji życie literackie na obczyźnie jest w zasadzie mało zinstytucjonalizowane. Przypadki powstawania grup i szkół artystycznych są niezwykle rzadkie (takim wyjątkowym tworem była grupa „Kontynenty"). Stąd też literatura emigracyjna nie zna mechanizmów i zjawisk „reaktywności zbiorowej", jakie cechują życie intelektualne w kraju. Grupowanie się i podobieństwo dzieł wynikają na ogół z podobieństwa losów ludzkich, indywidualnych doświadczeń, usytuowania zawodowego, cech otaczającego pisarza społeczeństwa wraz z jego kulturą i obyczajami.

Poczucie osamotnienia, zrywanie się związków z językiem i rodzimą kulturą, trudność w utrzymaniu się z literatury, wreszcie hermetyczność kręgów skupionych wokół emigracyjnych czasopism i wydawnictw rodzi poczucie frustracji i braku motywacji, któremu opierają się wyłącznie jednostki odporne, wybitne lub przeświadczone o własnym posłannictwie. Tragiczne położenie pisarza przeciętnego powoduje rwanie się linii artystycznych, niespodziewane upadki talentów, nagłe zamilknięcie po rewelacyjnych debiutach. Ta niestabilność i fragmentaryczność dróg literackich rodzi istotne problemy w ustalaniu geografii kultury polskiej na obczyźnie, chronologii losów twórczych, utrudnia rozpoznawanie rang i hierarchii literackich. Poza gronem „wielkich latarników" (np. W. Gombrowicz, Cz. Miłosz, J. Mackiewicz, Cz. Straszewicz, G. Herling-Grudziński) notujemy liczną grupę „pisarzy-meteorów", których talent i możliwości zostały niebezpiecznie zredukowane do skromnego ilościowo dorobku (np. J. Maurer, Z. Haupt, J. Poray-Biernacki, L. Lipski). Niezwykle często dopiero śmierć takich twórców lub podane do druku *posthuma* włączają ich utwory we właściwą orbitę.

Żaden twórca, żyjący i tworzący w obcym kraju, który wybiera za drugą ojczyznę, przyjmując jego język, zwyczaje, kulturę i wartości, nie uchroni się od powolnego w nie wrastania. Przypadki całkowitej odporności na otaczający świat i okopania się w polskości należą do rzadkości; częściej zdarzają się zresztą w pierwszej, wojennej fali wychodźczej niż w późniejszych. Cechą intelektu jest otwartość, krytycyzm, ciekawość i zdolność do umysłowej adaptacji, więc wdzieranie się pisarzy emigracyjnych w kultury europejskie i światowe jest oczywiste. W wyniku tych procesów rodzą się dwie podstawowe, przeciwstawne tendencje: fascynacja otaczającą kulturą i chęć całkowitego wtopienia się w nią oraz pragnienie przeszczepienia na rodzimy grunt

najciekawszych idei obcej kultury. W pierwszym przypadku odchodzi się od języka i problemów polskich aż po całkowite wrośnięcie w nową kulturę, która wzbogacana jest doświadczeniem polskim (np. L. Tyrmand, J. Pietrkiewicz); w drugim kierunek ewolucji jest dokładnie odwrotny, prowadząc do poszerzenia kultury polskiej o wartości uniwersalne, wiążąc ją z „domem Europy" i świata (np. Cz. Miłosz, G. Herling-Grudziński, S. Barańczak). Naturalnie oba te procesy niejednokrotnie krzyżują się, przenikają, często nawet występują u tego samego artysty.

W wieku masowego przemieszczania się, turystyki, środków masowego przekazu i wyspecjalizowanych technik poligraficznych nie ma możliwości całkowitego odcięcia czytelnika krajowego od twórczości emigracyjnej. Nie było to skądinąd możliwe również w XIX wieku. Dzieła emigracyjne przenikają do kraju i włączają się najpierw w obieg profesjonalny, a później szeroki. Dość często odbiór i ocenę deformowały procesy mitotwórcze, spowodowane szczelną blokadą informacyjną, podobnie jak rezonans czytelniczy niejednokrotnie zależał od czynników czysto politycznych (wzmacnianych paradoksalnie przez krajową propagandę). Nie zmienia to faktu, że w wymiarze historyczno-literackim dokonał się i nadal trwa proces wrastania najwybitniejszych dzieł emigracyjnych w obieg krajowy. Kolejną zatem cechą literatury emigracyjnej jest zwiększony udział w kształtowaniu świadomości kulturalnej i historycznej odbiorcy krajowego, a co za tym idzie poczucie współuczestnictwa w kształtowaniu modelu kultury narodowej. Charakterystyczne dla wszystkich emigracji zjawiska zamykania się w sobie i wyrodnienia słabną z biegiem lat, zacierając coraz wyraźniej podział na dwie literatury.

Naturalne procesy wtapiania się twórczości krajowej w obieg emigracyjny oraz asymilacja wszelkich wartości kulturowych zrodzonych za granicą przybrały w ciągu ostatnich kilkunastu lat takie rozmiary i skalę, że tradycyjne i utrwalone już pojęcie literatury emigracyjnej staje się anachronizmem. Kiedy zarówno pisarz emigracyjny jak i krajowy publikują swe utwory jednocześnie w Polsce i za granicą, nie doświadczając ani tu, ani tam (rola wydawnictw niezależnych) ograniczeń cenzuralnych, mamy do czynienia z oczekiwanym od dawna stanem zrośnięcia się obu literatur. Poza immanentnymi cechami dzieła nie ma już znaczenia, czy powstało ono w Warszawie, Pułtusku, Paryżu, Rzymie czy w Chicago. Wolność literatury jest funkcją wolnego wyboru pisarzy. Dotyczy to tak samo twórczości krajowej jak i emigracyjnej. Powstaje „bezprzymiotnikowa" literatura polska.

Patrzymy zatem na zjawisko historyczne o zakrzepłych już formach. Ruch i fermentacja, które obserwujemy obecnie, należą do nowej ery. Jej oblicza, mechanika i wewnętrzne reguły do-

piero się kształtują, tworzy je każde nowe dzieło i czasopismo, zarówno emigracyjne jak i krajowe. Nas jednak interesuje spojrzenie w tył. Czym b y ł a literatura emigracyjna? Nie wymyślimy tu niczego rewelacyjnie nowego, więc ustalmy chociaż to, co najważniejsze.

Literatura emigracyjna to całość twórczości artystycznej w języku polskim, powstałej i opublikowanej poza granicami kraju przez pisarzy, którzy podjęli świadomą decyzję osiedlenia się za granicą. Jest ona tyleż wyrazem protestu przeciwko warunkom politycznym i życiowym panującym w ojczyźnie, co wytworem sytuacji artysty w nowej rzeczywistości. Wyraża tendencję do utrzymania żywej więzi z kulturą i językiem, przy równoczesnym uwzględnieniu doświadczenia, jakim jest życie na obczyźnie. Równie istotnym celem jest dla niej wyrażanie poglądów, postaw i treści, które niemożliwe są w Polsce ze względu na ograniczenie swobody wypowiedzi i kolportażu, jak i artystyczny wyraz indywidualnych i zbiorowych przeżyć i refleksji, będących udziałem Polaków wkorzeniających się w nowe kultury. Składa się na nią twórczość o szeroko rozbudowanych funkcjach politycznych i twórczość eksperymentatorska, pogłębiona intelektualnie, rozrywkowa, czy zgoła neutralna. Jako zjawisko dynamiczne, literatura emigracyjna ulega przemianom zgodnie z rytmem wydarzeń politycznych w kraju, Europie i na świecie, lecz przede wszystkim zgodnie ze swym rytmem wewnętrznym, dzięki indywidualnym wyborom pisarzy polskich rozrzuconych przez historię i los po ziemskim globie.

●

Jak przebiegają granice współczesnej polskiej literatury emigracyjnej? Jakie zjawiska wyznaczają poszczególne okresy? Co stanowi o ich swoistości, autonomii?

Łatwo zauważymy, że większość spośród istniejących, nielicznych zresztą, syntez literatury emigracyjnej jej współczesną historię otwiera w 1939 roku. Podobnie nietrudno dostrzec, iż konsekwentne rozumienie tej twórczości w myśl ustaleń z pierwszej części tego szkicu, prowadzi nieubłaganie do wniosku co najmniej zaskakującego: że karta współczesnej polskiej literatury emigracyjnej otwiera się w roku 1945. W tym miejscu trzeba kilku słów wyjaśnienia. Otóż wątpliwości co do włączania twórczości wojennej na wychodźstwie do literatury emigracyjnej wyrażano nieraz: autorzy monumentalnej „Literatury polskiej na obczyźnie", M. Danilewicz Zielińska w „Szkicach o literaturze emigracyjnej" i „Literaturze wolnego słowa", W. Karpiński w szkicu „Broń ostatnia" z tomu „Książki zbójeckie". Równocześnie nawet ci sami autorzy anektowali ją, uznawali za stały

składnik emigracyjnej literatury polskiej. Trudno nie rozumieć motywów tej decyzji. Wynikała ona, po pierwsze, ze świadomości ogromu piśmiennictwa wojennego, opublikowanego poza granicami kraju często wiele lat później. Po drugie wielu autorów pozostało na Zachodzie, co nakazywało scalić ich twórczość wojenną z powojenną. Po trzecie, trzeba było ratować tak wielki i istotny dorobek (szczególnie dotyczący losu Polaków na terenie Związku Sowieckiego) w chwili, gdy z piśmiennictwa krajowego został on wyrzucony *en bloc*, zdawało się nieodwołalnie i na zawsze. Spójrzmy jednak na problem bez emocji i z dystansem, jaki nas tutaj obowiązuje.

Otóż nieodłączną cechą wszystkich wojen są wielkie ruchy i migracje społeczne, a przede wszystkim działalność armii i ich zapleczy na ogromnych przestrzeniach, często poza granicami własnego kraju. Zawsze towarzyszy tym ruchom literatura, która jest stałym składnikiem narodowej kultury, bez względu na to, na jakim froncie powstała. Jeśli nie istnieje pojęcie „wojennej literatury emigracyjnej" dla tak samo rozproszonych wypadkami po świecie Francuzów, Anglików, Niemców, Kanadyjczyków i Norwegów, to nie ma powodu, by tworzyć takie sztuczne pojęcia dla Polaków. Troskę o powstanie wiarygodnej „Literatury polskiej okresu wojny i okupacji", na równych prawach traktującej twórczość w s z y s t k i c h pisarzy tego okresu, chwytających za pióro we w s z y s t k i c h krajach i na w s z y s t k i c h frontach, zostawmy historii literatury. W bilansie ostatecznym nie zapomina ona o niczym, co utrwalone. Taka synteza powstanie. Już powstaje.

Emigracja jest zjawiskiem uwarunkowanym politycznie. Rzeczywisty wybór pomiędzy wychodźstwem a powrotem do kraju stanął przed wszystkimi Polakami, a więc i przed pisarzami w roku 1945, nie wcześniej. Dopiero seria kolejnych wydarzeń, takich jak zatwierdzenie układów w Jałcie i Poczdamie, uznanie przez rządy alianckie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i cofnięcie uznania dla Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Zachodzie, rozwiązanie Armii Krajowej i „proces szesnastu" w Moskwie, postawiła twardo przed obywatelami polskimi na obczyźnie alternatywę: wracać czy pozostać? Dopiero na przełomie kilku miesięcy, między lutym a sierpniem 1945 roku, stało się o s t a t e c z n i e i p u b l i c z n i e jasne, że Polska zostanie odtworzona, ale w nowych granicach i w odmiennym, komunistycznym porządku ustrojowym. Od tego momentu rozpoczęły się procesy, które zbudowały mur między literaturą powstającą w kraju i za granicą, tworząc dwa odrębne systemy wartości politycznych, kulturowych, moralnych i artystycznych, odmienne postawy i normy ocen historii, świata i sztuki.

W tym miejscu pora odpowiedzieć na pytanie, jakie wydarzenia i fakty literackie okazały się momentami węzłowymi w dziejach polskiej literatury emigracyjnej, wyznaczając najbardziej podstawowe cezury periodyzacyjne. Wydaje się, że można mówić o trzech wyraźnie odmiennych jakościowo fazach: okres I, od roku 1945 do 1951, który charakteryzuje nieustabilizowanie, płynność, poczucie tymczasowości, dominacja skrajnych postaw politycznych, wyodrębnianie się pierwszych środowisk pisarskich, powolne kształtowanie się nowych, cywilnych reguł życia literackiego na obczyźnie, zaczątki etosu pisarza-emigranta; okres II, od roku 1951 do 1976, zwieńczony najwybitniejszymi dziełami, najważniejszymi dyskusjami i pełnym ustabilizowaniem się środowiska pisarskiego, poświadczony zdobyciem należnej mu rangi i autorytetu zarówno wśród krajowej publiczności literackiej, jak i pośród intelektualnych kręgów państw Zachodu. W tym to okresie określone zostały artystyczne, polityczne i moralne funkcje literatury na obczyźnie. Przekonanie o „reakcyjności" i anachroniczości sztuki emigracyjnej wypierały dokonania świadczące o czymś wręcz przeciwnym; okres III, po roku 1976, kiedy literatura emigracyjna coraz obficiej wkraczała na rynek krajowy, głównie przez powstały właśnie obieg niezależny. Równocześnie wydawnictwa emigracyjne szerzej otwarły swe łamy dla autorów nie mieszczących się w systemie narzuconym przez monopol państwowy, co przyspieszyło proces unifikacji obu literatur. Tę fazę charakteryzuje powszechna sława szeregu twórców i dzieł powstałych poza granicami, pojawienie się kulturowych nawiązań, odbić i kontynuacji.

I. OKRES FORMOWANIA: 1945-1951

Najczulszym barometrem literatury jest zawsze poezja. Pomiędzy rokiem 1946 a 1950 obserwujemy niemal 14-krotny spadek produkcji poetyckiej. Co ukrywa się za tą wymowną liczbą? Przede wszystkim ostry szok zatrzaśniętych dla wielu pisarzy drzwi do ojczyzny i drastyczna zmiana ich sytuacji materialnej i życiowej. Powoduje to gorączkowy ruch w poszukiwaniu stałego miejsca zamieszkania oraz źródeł utrzymania, co z kolei osłabia więź z literaturą. Trudno mówić o zagospodarowaniu się pisarzy w nowych warunkach. Rozpad instytucji wojskowych, stanowiących dla wielu z nich oparcie, i przejście do życia cywilnego wywołało kryzys w zbiorowej aktywności artystycznej oraz ograniczenie możliwości wydawniczych.

Znaczne obniżenie rangi i możliwości literatury polskiej na obczyźnie spowodował powojenny odpływ dużej liczby wybitnych

twórców do kraju (A. Słonimski, W. Broniewski, K. Pruszyński, J. Tuwim, K.I. Gałczyński, T. Borowski, A. Fiedler), który został wprawdzie zrównoważony „przypływami", głównie z armii i z obozów (S. Czernik, T. Sułkowski, J. Radzymińska, W. Trościanko, F. Goetel, W. Wohnout), jednakże „zastępcy" nie gwarantowali jeszcze tego samego poziomu. Zbiegło się to dodatkowo z ostrym kryzysem lub całkowitym wypaleniem witalności sporego grona pisarzy (S. Baliński, J. Lechoń, K. Wierzyński, J. Tuwim, A. Słonimski, Z. Nowakowski), którzy nadawali w latach wojennych ton całemu piśmiennictwu na obczyźnie. Niemoc twórcza dotknęła praktycznie wszystkich skamandrytów, nawet tych, którzy powrócili do kraju. Tylko niektórzy przeżyli po latach renesans talentu.

Pośród różnych form zbiorowego życia pisarzy zaobserwować można dwie przeciwstawne tendencje: demobilizacyjną, czego przykładem może być krótki żywot *Przed Świtem* lub przeobrażenie się *Nowej Polski* w pismo prokomunistyczne, oraz perspektywiczną, wyznaczaną przez inicjatywy takie jak powołanie do życia Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (1945), wznowienie *Wiadomości* (1946) i zakup Domu Pisarza w Londynie, wreszcie powstanie Instytutu Literackiego, przeniesionego w 1948 roku do Francji.

Najbardziej inspirującą rolę odegrały w tym okresie redagowane przez M. Grydzewskiego *Wiadomości*. Mimo, iż w zakresie literackiego oddziaływania już wtedy zarysowała się „dwuwładza" londyńskiego periodyku i paryskiej *Kultury* (J. Giedroyc), zdecydowanie silniejszy ton nadawały tradycjonalne, wierne modelowi Skamandra *Wiadomości*, które próbowały odnowić na nowym gruncie ideał sztuki kawiarnianej. Skupiły one najbardziej znane pióra polskie za granicą, na ich łamach startowały nawet przyszłe gwiazdy *Kultury* — J. Stempowski, G. Herling-Grudziński. Niestety aliaż tematyki wojskowo-patriotycznej, nostalgicznej nuty nastrojowo-wspomnieniowej oraz skamandryckiego populizmu rodem z artystycznej bohemy dał jak najgorsze efekty, zwłaszcza, że dołączyła się do tego manifestacyjna, typowo wygnańcza postawa politycznej ortodoksji.

Wśród utworów lirycznych spoza tego kręgu również zdecydowanie dominowała tematyka żołnierska, próby poetyckiego przetworzenia przeżyć wojennych. Ich twarda, męska, wojskowa nuta, połączona z estetyzującymi opisami najbardziej egzotycznych krain i pejzaży, zanotowanych okiem żołnierza, wydaje się dziś zupełnie anachroniczna. Nawet dotychczasowi nowatorzy (M. Czuchnowski, J. Brzękowski) poddali się tej manierze. W liryce odezwały się szkodliwe zwykle dla niej elementy publicystyki politycznej. Ogólnie można powiedzieć, że okres ten nie zrodził wartościowej, ambitnej poezji.

Nieco lepsza sytuacja panowała w prozie, w której całkowicie dominowała tematyka wojenno-obozowa. Brak możliwości stabilizacji nie pozwolił na rozwój większych form, dlatego niepodzielnie królowało opowiadanie i inne krótkie formy (np. „Passegiata" J. Bielatowicza, „Kapitan Łuna" F. Goetla, „Szopa za jaśminami" T. Nowakowskiego, „Na nieludzkiej ziemi" J. Czapskiego). Pośród powieści można zauważyć cztery najogólniejsze tendencje: 1. próby literacko-dokumentarnego zapisu martyrologii obozowej („Między młotem a sierpem" W. Grubińskiego, „Książka o Kołymie" A. Krakowieckiego, „W domu niewoli" B. Obertyńskiej, „Ludzie sponiewierani" H. Naglerowej); 2. różnorakie ujęcia wojennego losu polskiego („Zmowa nieobecnych" M. Kuncewiczowej); 3. nurt reportażu wojskowo-frontowego („Bitwa o Monte Cassino" M. Wańkowicza, „Po Narwiku był Tobruk" J. Jasieńczyka); 4. utwory przygodowo-sensacyjne („Sprawa mostów" A. Nieduszyńskiej, „Republika atomowa" Z. Bohusza-Szyszki) oraz groteskowe („Budujemy kanał" W. Olszewskiego).

Najkrócej mówiąc, bagaż lat wojennych okazał się tak ciężki, że w pierwszej fazie rozwoju literatury emigracyjnej pisarze pisali głównie o tym. Brak dystansu czasowego, zmuszające do pośpiechu warunki spowodowały, iż dziełom tego okresu na ogół brakuje oddechu epickiego, prezentowany zaś materiał cechuje zdecydowana przewaga wizji dokumentarnej nad literacką, brak przetworzenia artystycznego.

Spokojne, filozoficzne spojrzenie na rzeczywistość i kulturę cechuje natomiast wartościowe, wydane po śmierci autora eseje z tomu „Portret Kanta i trzy eseje o wojnie" B. Micińskiego oraz przenikliwy, pisany z dystansu „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec" J. Stempowskiego. Ubogą eseistykę uzupełnia bogata i ognista publicystyka polityczna i felietonistyka (S. Mackiewicz, M. Wańkowicz, Z. Nowakowski).

II. OKRES ROZKWITU I STABILIZACJI: 1951-1976

Jest to okres wszechstronnego rozkwitu wszystkich gatunków literackich, wymiany między pokoleniami, a także przełomu w myśleniu o polityce, historii, sztuce. Kształtują się nie tylko nowe reguły życia artystycznego, nowe hierarchie i relacje międzypokoleniowe, lecz przede wszystkim dokonują się istotne zmiany w stosunku do kraju i powstających w nim dzieł. Moment tego przebudzenia, ujawnienia się nowych postaw, wiąże się z silniejszym zakorzenieniem polskich emigrantów, z przejściem od fazy adaptacyjnej do kulturotwórczej, z przeniesieniem punktu ciężkości z przeszłości na przyszłość. Wydarzeniem symbolicznym, otwierającym tę nową fazę, stał się majowy numer *Kultury* z 1951 roku, zawierający pierwszy tekst Miłosza opublikowany na obczyźnie pt. „Nie" oraz pierwszy fragment „Transatlantyku" Gombrowicza. Dramatyczny artykuł Miłosza zapoczątkował skomplikowany proces zmiany nastawień środowiska emigracyjnego do problematyki krajowej („Oświadczenie" w ostatnim numerze *Kultury* z 1951 roku, „Umysł zniewolony", ankieta *Kultury* z 1956 roku pt. „Literatura emigracyjna a kraj"). Z kolei groteskowo-szydercza powieść Gombrowicza bezlitośnie wyszydziła atmosferę narodowych pamiątek, ksenofobii, kulturowego getta i intelektualnego bezruchu, uświadamiając konieczność rewizji emigracyjnych postaw i uczynienia literatury polskiej na obczyźnie bardziej europejską, uniwersalną.

Zewnętrznym wyrazem tego przesilenia stało się przełamanie narzuconego przez *Wiadomości* modelu myślenia i sztuki przez intelektualne środowisko *Kultury* (J. Giedroyc, J. Stempowski, J. Mieroszewski, Cz. Miłosz, J. Czapski, G. Herling-Grudziński), lansujące wzorzec kultury „otwartej", wolnej od szowinizmu, dogmatyczności i literackiego szablonu, politycznie niezależne od kraju, lecz interesujące się eksperymentem wschodnim i jego wewnętrznymi mechanizmami.

Kolejnymi oznakami ożywienia stało się okrzepnięcie istniejących już instytucji (Instytut Literacki) oraz powstanie nowych, liczących się ośrodków artystycznych (Polska Fundacja Kulturalna, „Oficyna Poetów i Malarzy", „Kontynenty"), licznych serii wydawniczych, pierwszych prób samopoznania („Literatura polska na obczyźnie", bibliografia „Kultury" J. Kowalika, „Szkice o literaturze emigracyjnej" M. Danilewicz Zielińskiej) oraz nowych ośrodków myśli politycznej, aktywnie oddziałujących na kraj i emigrację (Radio Wolna Europa — 1952, *Na Antenie*).

Czynnikiem dodatkowo sprzyjającym przemianom na emigracji stały się wypadki 1956 roku w Polsce, które ożywiły wymianę myśli, skłaniając do powrotu paru wybitnych twórców emigracyjnych (M. Wańkowicz, J.S. Sito, M. Choromański, Z. Kossak-Szczucka, T. Parnicki, M. Kuncewiczowa). Ubytek ten zrównoważyły jednak dwie fale wartościowych przypływów: 1. emigracje indywidualne po 1956 roku (M. Hłasko, A. Stawar, A. Wat, S. Mrożek, L. Tyrmand); fala 1968 i jej „pokłosie" (H. Grynberg, J. Kott, L. Kołakowski, W. Wirpsza, S. Wygodzki, W. Odojewski i in.). Wprawdzie lata te przyniosły również śmierć sporej grupy znakomitych pisarzy (A. Bobkowski, Cz. Straszewicz, S. Piasecki, M. Hłasko, K. Wierzyński, W. Gombrowicz, J. Stempowski, S. Vincenz), niemniej zdążyli oni wnieść swój wkład w przemianę.

Okres ten przynosi wyraźną poprawę kulturowego „samopoczucia" emigracji, rosnące przekonanie o jej historycznej roli, oparte nie tylko na świadomości, że reprezentuje autentycznie wolne grupy myśli politycznej, lecz również na konkretnych osiągnięciach artystycznych. Utworzyła się bowiem czołówka rzeczywiście wybitnych pisarzy (Cz. Miłosz, W. Gombrowicz, S. Mrożek, S. Mackiewicz, G. Herling-Grudziński), aspirujących do miana emigracyjnych klasyków, niektóre zaś ich dzieła uzyskały rangę współczesnych arcydzieł. Dwudziestopięciolecie to jest zatem okresem artystycznej pełni i owocowania. Pełne żniwo tej dojrzałości przyniesie już okres następny: przyznanie Miłoszowi nagrody Nobla i masowe wtargnięcie utworów emigracyjnych do kraju poprzez obieg niezależny.

W dziedzinie poezji obserwujemy nieodwracalną już martwicę modelu liryki neoromantycznej (J. Rostworowski, Z. Boguszewiczowa, B. Obertyńska) i całkowitą anachronizację wzorca skamandryckiego („Poezje zebrane" J. Lechonia, „Wiersze emigracyjne" S. Balińskiego), od którego uwolnił się wyłącznie K. Wierzyński („Sen mara", „Czarny polonez"). Formacją najambitniejszą, konstytuującą poetycki kanon tego okresu okazała się generacja II Awangardy i jej niektórych, nieco starszych sprzymierzeńców („Światło dzienne", „Miasto bez imienia", „Gdzie wschodzi słońce..." Cz. Miłosza, „Ciemne świecidło" A. Wata, „Ciemny czas" W. Iwaniuka, „Rozłupany przez perłę" M. Czuchnowskiego, „Złota Hramota" J. Łobodowskiego, „Wiersze zebrane" B. Przyłuskiego, „Piękny tor" J. Bujnowskiego, „Tarcza" T. Sułkowskiego, „Dwadzieścia lat poezji" J. Pietrkiewicza). Pisarzom tym udało się odnaleźć intelektualny wyraz formalny dla historiozoficznych rozważań, medytacji nad przemijaniem, niepochwytnością urody świata. Wewnętrzna dyscyplina tej poezji znakomicie odpowiada zarówno wyrafinowaniu dzieł, które stanowią jej inspirację, jak i „pełni" zawsze interesującej ją kultury śródziemnomorskiej. Łączy ona tyleż zaintrygowanie wewnętrznym światem jednostki, co i chęć ogarnięcia całości polskiego, czy europejskiego doświadczenia; tyleż wizualny, dotykalny wymiar rzeczywistości i historii, co i jej wymiar ukryty, metafizyczny.

W kręgu podobnych pryncypiów i inspiracji sytuowała swą lirykę dwujęzyczna już na ogół grupa pisarzy z „Kontynentów" (A. Busza, B. Czaykowski, A. Czerniawski, J. Darowski, J.A. Ihnatowicz, M. Paszkiewicz, J.S. Sito, F. Śmieja, B. Taborski). Ich wiersze z antologii „Ryby na piasku", „Opisanie z pamięci" oraz z indywidualnych zbiorków charakteryzuje polemiczny stosunek do tradycji, szczególnie tej, którą symbolizowały *Wiadomości*, fascynacja dla nowszych zjawisk poetyckich (Miłosz, Herbert, Różewicz), próby stopienia w jedną całość głównych

pierwiastków liryki polskiej i anglosaskiej, chętne odwoływanie się do muzyki i sztuk plastycznych, wreszcie pełen rezerwy stosunek wobec współczesnej cywilizacji i zasłuchanie w tajemniczy głos wewnętrzny człowieka i natury.

Również proza tego okresu wydźwignęła się, głównie dzięki wkładowi wielkich „latarników" (W. Gombrowicz, Cz. Miłosz, Cz. Straszewicz, G. Herling-Grudziński, J. Mackiewicz) oraz utworom pisarzy „pierwszego frontu" (A. Bobkowski, A. Chciuk, F. Czernyszewicz, H. Grynberg, M. Hłasko, M. Kuncewiczowa, L. Lipski, H. Naglerowa, T. Nowakowski, W. Odojewski, M. Pankowski, T. Parnicki, Z. Romanowiczowa, L. Tyrmand). Znamionuje je zainteresowanie dla historii, przeszłości własnej i ojczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem okresu wojennego, pierwsze próby panoramicznego, filozoficznego ogarnięcia europejskiego losu, chęć zdiagnozowania własnej sytuacji na obczyźnie, a co za tym idzie, silny udział pierwiastka autobiograficznego.

Prozę narracyjną tego okresu można zgrupować w następujących kręgach tematycznych: zapis polskiego doświadczenia wojennego („Słowo o bitwie" J. Jasieńczyka, „O honor organizacji" S. Piaseckiego, „Droga donikąd" J. Mackiewicza); 2. martyrologia więzienno-obozowa („Inny świat" G. Herlinga-Grudzińskiego, „Kazachstańskie noce" H. Naglerowej, „Próby i zamiary" Z. Romanowiczowej); 3. psychologiczne i moralne konsekwencje wojny („Obóz wszystkich świętych", „Syn zadżumionych" T. Nowakowskiego, „Przejście przez Morze Czerwone" Z. Romanowiczowej; 4. obraz polskiego życia w diasporze („Tworzywo" M. Wańkowicza, „Piotruś" L. Lipskiego, „Ameryko! Ameryko!" D. Mostwin); 5. wizje utraconej ojczyzny („Smagła swoboda" M. Pankowskiego, „Dolina Issy" Cz. Miłosza, „Komysze" J. Łobodowskiego, „Leśnik" M. Kuncewiczowej); 6. wizje Polski powojennej („Zdobycie władzy" Cz. Miłosza, „Kociołek na Ziemowita" Cz. Straszewicza); 7. powieść psychologiczna („Łagodne oko błękitu" Z. Romanowiczowej, „Karierowicz" J. Mackiewicza); 8. proza historyczna („Dziedzictwo" Z. Kossak-Szczuckiej, „Koniec Zgody Narodów" T. Parnickiego); 9. obraz jednostki zbuntowanej lub walczącej o tożsamość („Transatlantyk" W. Gombrowicza, „Piękni dwudziestoletni" M. Hłaski, „Skrzydła ołtarza" G. Herlinga-Grudzińskiego, „Matuga idzie" M. Pankowskiego); twórczość przygodowa, sensacyjna, rozrywkowa („Stacja Abbesses" S. Zahorskiej, „Walter 7.65" J. Jasieńczyka, „Granatowa załoga" W. Cygana).

Rewelacyjnie płodny okazał się ten okres również w dziedzinie najbardziej „intelektualnego" gatunku literackiego, jakim jest esej i dziennik. Utwory takie jak „Szkice piórkiem" A. Bobkowskiego, „Dziennik pisany nocą" G. Herlinga, „Dziennik"

J. Lechonia, „Dziennik" W. Gombrowicza, „Rodzinna Europa", „Widzenia nad Zatoką San Francisko" Cz. Miłosza, „Eseje dla Kasandry" J. Stempowskiego, „Na wysokiej połoninie", „Dialogi z Sowietami" S. Vincenza, „Obecność mitu" L. Kołakowskiego, „Pierścień z papieru" Z. Haupta, „Oko" J. Czapskiego stanowią dorobek, który filozoficzną szerokością perspektywy, zdystansowaniem do świata i erudycyjną jasnością myśli całkowicie przytłumił eseistykę krajową. Można nawet mówić o „szkole" emigracyjnego eseju: łatwo wkraczającego w historiozofię — lecz opartego na doświadczeniu, ostro prześwietlającego kulturę własną i obce — ale zachowującego zrozumienie i tolerancję. Bez wątpienia w jakimś stopniu gatunek ten zapłodnił felietonistykę (J. Sakowski, A. Janta).

III. OKRES PRZENIKANIA: 1976-1989

Na poważną i głęboką przemianę literatury zarówno emigracyjnej jak i krajowej w tym okresie złożyło się wiele przyczyn. Wydarzeniem, które uruchomiło ten lawinowy proces kulturowy, były wypadki radomskie z 1976 roku. Za fakt symboliczny uznać należy ukazanie się na fali silnego ruchu inteligencji niezależnej pierwszego numeru *Biuletynu Informacyjnego KOR*. Kolejnymi ogniwami tego procesu stały się powstanie podziemnych periodyków literackich (*Zapis, Puls*), gwałtowne rozmnożenie się czasopism i wzrost aspiracji wydawniczych, uwidoczniony w druku całych powieści („Kompleks polski" T. Konwickiego, „Nierzeczywistość" K. Brandysa w *Zapisie*), zawiązanie się wydawnictw niezależnych („NOW-a", „Przedświt"). Oficyny te, publikując najwybitniejsze utwory czołowych pisarzy emigracyjnych (Gombrowicz, Miłosz), otworzyły tym samym również innym drogę do kraju. Analogiczną akcję rozpoczęły natychmiast oficyny wydawnicze na emigracji, publikując podziemne powieści (Konwicki, Brandys, J. Stryjkowski) oraz wiersze (S. Barańczak, R. Krynicki, J. Bierezin). W efekcie rozwijania się tej współpracy obserwujemy pełne otwarcie czasopism i wydawnictw na Zachodzie dla pisarzy krajowych, których objęły zapisy cenzury oraz przełamanie rynku państwowego przez obieg niezależny, który z taką samą troską publikował zakazanych pisarzy krajowych jak i emigracyjnych. Spory wpływ na awans pisarzy emigracyjnych w Polsce miało przyznanie Miłoszowi nagrody Nobla oraz stała akcja RWE przyswajania utworów „na czerwonym indeksie", co uświadomiło krajowemu odbiorcy skalę dokonań literatury polskiej na obczyźnie. Wydarzenia te z kolei doprowadziły do rozluźnienia gorsetu cenzury.

Wkrótce narodziła się cała akcja przypominania wybranych twórców emigracyjnych (J. Lechoń, A. Janta, K. Wierzyński, S. Mrożek, M. Pankowski, T. Sułkowski) oraz pojawiły się pierwsze próby syntez („Zanim powstanie panorama" Z. Lichniaka, emigracyjny numer *Więzi*, „Pisarz na obczyźnie").

Powstanie „Solidarności" otworzyło nową kartę — wróciło krajowi dzieła kolejnych pisarzy emigracyjnych. Ogłoszenie stanu wojennego nie tylko nie zatrzymało tego procesu, lecz przyspieszyło go, rodząc z kolei zjawisko przeciwne — masowego wypływu utworów stanowiących reakcję na te wypadki, częściowo drukowanych w podziemiu, częściowo wędrujących wprost do oficyn na Zachodzie. Na efekty nie trzeba było długo czekać: obustronne „otwarcie" zacieśniło więzy między obu literaturami, ożywiło wymianę myśli i doświadczeń, a przede wszystkim otworzyło nową sytuację jakościową — drukujący pod pseudonimami i własnymi nazwiskami autorzy stali się cząstką literatury emigracyjnej, tak samo jak literatura emigracyjna stała się niezbywalnym składnikiem twórczości krajowej. Efekty liczbowe tego okresu są wymowne: ilość utworów publikowanych na obczyźnie podwoiła się, momentami wręcz potroiła.

Na emigracji obserwujemy kolejną wymianę pokoleń: umiera kilkunastu wybitnych pisarzy (S. Baliński, B. Przyłuski, L. Tyrmand, A. Chciuk, J. Sakowski, B. Obertyńska). „Młodzi gniewni" ze środowiska *Kultury* przeradzają się nieuchronnie w „klasyków", obok nich zaś wyrasta grupa urodzonych już na ogół po wojnie „konkurentów": S. Barańczak, A. Zagajewski, W. Karpiński, E. Bieńkowska. Proces wymiany rozpoczyna się również w życiu czasopiśmienniczym. Obok zasłużonej *Kultury* pojawia się kilka utrzymywanych na wysokim poziomie, redagowanych przez reprezentantów późniejszych fal emigrantów periodyków (*Aneks, Zeszyty Literackie, Puls, Archipelag, Libertas*). Również emigracyjne wydawnictwa doczekują się silnego wsparcia i konkurencji w postaci „Aneksu", „Kontry", „Polonii Book Fund", „Odnowy", „Spotkań".

Nowym jakościowo zjawiskiem staje się przechodzenie literatury emigracyjnej z okresu „bohaterskiego" w „pomnikowy". Wydań zebranych doczekują się: Miłosz, Gombrowicz, Mackiewicz, Sergiusz Piasecki. Powstają nowe ujęcia syntetyczne („Literatura wolnego słowa" M. Danilewicz Zielińskiej, „Literatura źle obecna"), cenne opracowania bibliograficzne (trzy tomy „Bibliografii «Kultury»" M. Danilewicz Zielińskiej), dobre książki krytyczno-literackie („Teksty i preteksty" M. Brońskiego, „Emigranci" T. Nyczka, „Wojna i spokój" R. Zimanda, „Książki zbójeckie" W. Karpińskiego, „Monet wieczny" A. Fiuta), opracowania wspomnieniowe („Gombrowicz w Argentynie" R. Gombrowicz, „O *Kulturze*"), nawet edycje „laurkowe" („Trzy

zimy"). Ujawniają się interesujące mechanizmy międzypokoleniowych „odbić" i twórczych dialogów: Miłosz — Barańczak („Atlantyda"), Herling — E. Bieńkowska („Dane odebrane"), Hłasko — K. Orłoś („Pustynia Gobi"), Konwicki — E.M. Ślaska („Dochodzenie"). Równocześnie obserwujemy żywiołową fermentację powstającej literatury, która rozsadza dotychczasowe o niej pojęcia, manifestując się nowymi ujęciami i formułami gatunkowymi: zapisami rozmów, zbiorami felietonistyki radiowej, tomami wykładów, zbeletryzowaną dokumentalistyką, stenogramami dyskusji i konferencji naukowych. Można powiedzieć, że okres ten wyłania nowy kształt kultury narodowej, w której dawny podział na literaturę emigracyjną i krajową zaczyna należeć do przeszłości, czego wyrazistym dowodem jest istotna trudność w kwalifikowaniu pisarzy i utworów do tego czy innego „piśmiennictwa".

W poezji model Skamandra kontynuował wyłącznie S. Baliński („Wiersze emigracyjne"). Spośród generacji konstytuującej model poprzedniego okresu najwyższą formę utrzymał Miłosz („Osobny zeszyt", „Kroniki"), na miarę zaś swojego talentu sekundowali mu: J. Łobodowski („Dwie książki"), A. Czerniawski („Wiek złoty"), W. Iwaniuk („Nemezis idzie pustymi drogami"), J. Pietrkiewicz („Poematy londyńskie"). W wyrazisty sposób ujawniła swe wysokie aspiracje generacja powojenna, rozpięta pomiędzy ciążeniem intelektualnego indywidualizmu i fascynacją światem kultury a presją przeżyć zbiorowych. Zmagając się z „tyranią" poetyckiej „dykcji" narzuconej liryce przez Miłosza, Herberta i Wata, publikują swe kolejne zbiory wierszy; S. Barańczak, („Atlantyda", „Widokówka z tego świata"), A. Zagajewski („Jechać do Lwowa"), B. Maj („Zagłada świętego miasta"), J. Polkowski („Wiersze 1977-1984"), T. Jastrun („Na skrzyżowaniu Azji i Europy").

Skomplikowana sytuacja jednak wytworzyła się w prozie. Generalnie wyodrębnić można trzy zasadnicze wektory ciążenia: 1. penetrowanie przeszłości („Zabezpieczanie śladów" W. Odojewskiego, „Umschlagplatz" J.M. Rymkiewicza, „Życie codzienne i artystyczne" H. Grynberga); 2. problematyka krajowa („Moc truchleje" J. Głowackiego, „Brak tchu" J. Andermana, „Dwa dni z Aniołem" M. Nowakowskiego); 3. zagadnienia emigracyjne („Skrytki" Z. Romanowiczowej, „Ucieczka" A. Iwańskiej, „Dane odebrane" E. Bieńkowskiej). Jednocześnie jednak uderza w oczy pewna niedostateczność każdej typologii, w sytuacji, gdy proza współczesna przeżywając stan wewnętrznego wrzenia rozsadza dotychczasowe formuły, wdziera się na nowe pola, zawłaszczając sobie diariusz („Miesiące" K. Brandysa, „Dziennik pisany nocą" Herlinga, „Dziennik 1954" L. Tyrmanda), scenariusz filmowy („Przyznaję się do winy" R. Bugajskiego), felieton radiowy („Wszystko co najważniejsze" O. Watowej), beletryzowaną autobiografię („Kurier z Warszawy" J. Nowaka), literacką dokumentalistykę („Kadencja" J. Szczepańskiego), krytykę literacką („Żmut" J.M. Rymkiewicza), reportaż („Boeing św. Piotra" T. Nowakowskiego). Obserwujemy tu proces hybrydyzacji powieści, systematycznie podmywającej gatunkowe rozróżnienia, demonstracyjnie wkraczającej w autentyk, anektującej wyraźnie dotychczas oddzielone formuły wypowiedzi. Można by rzec, że w dziedzinie prozy następuje *en masse* proces heterogenizacji i gatunkowej osmozy.

Nie przypadkiem podobne procesy ujawniają się w dziedzinie eseju, gdzie dawnym światłem świecą „starzy mistrzowie" („Ziemia Ulro" Miłosza, „Tumult i widma" J. Czapskiego, „Zbiegi okoliczności" K. Jeleńskiego, „Czy diabeł może być zbawiony", „Jeżeli Boga nie ma" L. Kołakowskiego). Obok nich pojawiła się jednak szeroka grupa twórców, proponujących zbiory wprost nawiązujące do utrwalonych ideałów („Solidarność i samotność" A. Zagajewskiego, „W poszukiwaniu królestwa człowieka" E. Bieńkowskiej), przechylające się ku modelowi krytyczno-literackiemu („Uciekinier z utopii" T. Burka, Nyczek, Karpiński), skłaniające się ku upoetyzowanej monografistyce („Braterstwo albo śmierć" K. Rutkowskiego) lub wywiadom-rzekom („Podróżny świata" R. Gorczyńskiej, „Oni" T. Torańskiej, „Hańba domowa" J. Trznadla, „Pół wieku czyśćca" S. Nowickiego). Zjawisko to zresztą skądinąd w pełni zrozumiałe. Podstawową cechą całego tego okresu jest właśnie „przenikanie".

●

Na koniec zwykle pojawia się potrzeba podsumowania. Trudno o to, gdy kompresja ogromnego przecież, bo blisko półwiekowego piśmiennictwa, jest tak silna, że cały ten przegląd zdaje się być sam rodzajem podsumowania. Rodzi się jednak parę uwag, których nie sposób pominąć. Otóż innym emigracjom udało się narzucić Europie i światu poprzez swoją twórczość, zarówno elitarną jak i rozrywkową, swój *image* (emigracja włoska, irlandzka, rosyjska); niektórym nawet udało się uzyskać realny wpływ na polityczną świadomość narodów świata (diaspora żydowska). Niestety polska literatura emigracyjna (podobnie jak zresztą krajowa) wykazuje wyraźną słabość w ekspansji na intelektualne rynki świata. Nie zdobyła się nawet na stały, wartościowy periodyk w którymś z czołowych języków europejskich, mogący upowszechniać polski punkt widzenia. Poza paroma twórcami, których głos mógł lub może formować opinie i wyobrażenia na temat Polski (K. Jeleński, Cz. Miłosz, W. Gombrowicz, L. Tyrmand, L. Kołakowski, S. Barańczak), pod-

stawowy trzon pisarzy emigracyjnych wykazuje niską zdolność promieniowania na zewnątrz. Spora w tym zapewne wina polityki przekładowej, braku właściwego rozpoznania wartości rodzimych oraz potrzeb i specyfiki rynku zachodniego. Być może jest to jednak ogólna właściwość emigracji polskiej, która (pomijając fale emigracji robotniczej) dziwnie chętnie wtapia się i asymiluje w otaczających społeczeństwach, odchodząc kolejno od literatury, tradycji i języka ojczystego. Jest to właściwość niepokojąca i wskazująca być może na nieumiejętność oddziaływania literatury polskiej na emigrację. Ucieczka od własnej kultury, łatwe do zaobserwowania zawstydzenie polskością zdaje się świadczyć o niedostatecznej energii i spadku atrakcyjności sztuki polskiej dla jej diaspory, o nieumiejętności wyczucia jej potrzeb i podwyższenia intelektualnych aspiracji. Starą jest bowiem prawdą, że głównym adresatem naszej literatury emigracyjnej jest odbiorca krajowy. Wskazuje to na dośrodkowość celów i działań, a zatem rezygnację z walki o utrzymanie intelektualnego zaplecza polskiego za granicą i brak chęci do kształtowania obrazu własnego „ja" w społeczeństwach Zachodu.

Stanisław BEREŚ

Mickiewiczowski „wskrzesiciel narodu"

Niniejszy szkic jest zmienioną i poszerzoną wersją artykułu pt. *'Forty and Four' in Adam Mickiewicz's 'Forefathers' Eve'*, który wydrukowałem przed trzema laty w poświęconym belgijskiemu slawiście prof. Fransowi Vyncke tomie rocznika *Slavica Gandensia* (Nr 13 [1986], str. 299-306). Treścią artykułu jest refleksja nad strukturą „Dziadów" Mickiewicza i znaczeniem użytych w nich symboli i alegorii, szczególnie w scenie 5-ej, cz. III, znanej jako „Widzenie księdza Piotra". Bodźcem do tej refleksji była wynikająca z mych obowiązków wykładowcy konieczność zapoznania studentów nie-Polaków z arcydziełem Mickiewicza i rekonstrukcją tkanki logicznej tego nawet dla polskich odbiorców dość enigmatycznego utworu. W trakcie przygotowywania materiału do wykładu spostrzegłem, że moja interpretacja — oparta raczej na uważnej lekturze samych „Dziadów", niż na

studium tzw. literatury przedmiotu — odbiega w pewnych punktach od przyjętych w polonistyce wykładni. Przypisuję to konieczności zajęcia wobec utworu stanowiska obserwatora „z zewnątrz", który nie może odwołać się do intuicyjnego tła emocjonalnego i uznać „Dziadów" za profetyczne *unicum*, opierające się racjonalnej analizie, a który przeciwnie zobowiązany jest traktować je jak każdy inny utwór literacki, czyli konstrukcję słowno-pojęciową zawierającą określony przekaz. Krótko mówiąc, była to próba wyłuskania mickiewiczowskiego przekazu z III części „Dziadów" w tych punktach, które do dziś są sporne. Z tej racji uznałem za celową publikację tej refleksji w polskiej wersji. Oczywiście nie uważam mojej interpretacji za „definitywną", ale za zasługującą na ewentualną dyskusję.

„Dziady" zajmują w polskiej literaturze równie ważne miejsce jak ich źródło inspiracji, „Faust" Goethego, w literaturze niemieckiej. Dramat Mickiewicza przykuwa uwagę polskiego odbiorcy nie tylko patriotyczną tematyką cz. III, ale także tajemniczością, jaka spowija cały utwór. Właściwość ta wynika z dwóch źródeł: po pierwsze całość jest fragmentaryczna i luki między poszczególnymi epizodami apelują do czytelnika o „domyślenie" reszty, po drugie zaś poeta umyślnie zastosował szereg symboli i określeń alegorycznych, aby nadać swej myśli formę niepospolitą. Pierwsze źródło niejasności „Dziadów" można uznać za czynnik przypadkowy, zewnętrzny, ponieważ dramat ten jest nie doprowadzoną do końca próbą połączenia w jedno dwóch różnych utworów stanowiących transpozycje dwóch odmiennych doświadczeń życiowych autora. Tzw. „Dziady" kowieńskie, napisane przed 1823 r., obejmują fragmenty cz. I i całość cz.II i IV. Ich tematem są dzieje wzorowanego na Wertherze Goethego bohatera imieniem Gustaw, którego nieszczęśliwa miłość do kobiety poślubiającej w końcu innego stanowi poetycką parafrazę romansu Mickiewicza z Marylą Wereszczakówną. Tzw. „Dziady" drezdeńskie, czyli to, co stanowi obecnie cz. III utworu, powstały dziesięć lat później i są historią prześladowań politycznych Mickiewicza i jego przyjaciół w roku 1823.

„Dziady" kowieńskie rozgrywają się na dwóch poziomach: naturalnym i ponadnaturalnym. Domeną, w której oba te światy wchodzą we wzajemne kontakty, jest obrzęd „dziadów", czyli ludowych Zaduszek, które w mickiewiczowskim dramacie odpowiadają „Nocy Walpurgii" w „Fauście". Struktura „Dziadów" kowieńskich wskazuje, że Mickiewicz zamierzał zorganizować całość w oparciu o ulubioną przez romantyków metodę prezentowania akcji *à rebours*, czyli ukazywania wpierw wyników działań bohaterów, a później dopiero ich motywacji i zdarzeń poprzedzających. Jest to wyraźne w odniesieniu do zawartości cz. II i IV. Cz. IV, w której duch Gustawa odgrywa przed

Księdzem scenę swojego samobójstwa, wyjaśnia czytelnikowi *ex post*, kogo reprezentuje Widmo w cz. II, pojawiające się u boku Pasterki, na obrzędzie „Dziadów": jest to oczywiście duch bezimiennego tu Gustawa, zaś Pasterka to „niewierna" ukochana. Komplementarnie wobec części II i IV musiały być projektowane „kowieńskie" części I i III. Cz. I, z której znamy tylko fragmenty, jest pomyślana jako prezentacja *dramatis personae* (Dziewica i Gustaw) zanim się jeszcze poznali; w tle zaznaczone są też przygotowania do mającej się odbyć uroczystości „dziadów", ale chodzi o *inny* obrzęd niż pokazany w cz. II. Inny, ponieważ para kochanków musi się dopiero poznać, pokochać i stanąć przed konfliktem, którego rozwiązanie dane będzie w formie *implicite* w cz. II, a *explicite* w cz. IV: rozstali się, Gustaw popełnił samobójstwo, zaś ona wyszła za innego, lecz gnębią ją nadal wyrzuty sumienia. Zdarzenia poprzedzające tę katastrofę miały niewątpliwie stanowić temat nigdy nie napisanej cz. III „kowieńskiej", przy czym ich rozstrzygnięcie miało zapewne pozostać w zawieszeniu, bowiem inaczej zabrakłoby *suspense*'u, wokół którego osnute są cz. II i IV. Ta nienapisana cz. III najprawdopodobniej miała być usytuowana w czasie pomiędzy „dziadami" z cz. I i obrzędem stanowiącym główny temat cz. II. Reasumując: całość „Dziadów" miała być opowieścią o miłości Gustawa zaprezentowaną w taki sposób, że w cz. I czytelnik spotyka osoby, których dalsze losy ukazane być miały w cz. III, lecz bez ostatecznej kropki nad i; ta „kropka" jest już wprawdzie zasugerowana w cz. II — Widmo zmarłego, a więc rozwiązanie tragiczne, ale szczegóły dotyczące tego rozwiązania (tożsamość protagonistów, „zdrada" i samobójstwo Gustawa) podane zostają dopiero na końcu, w cz. IV. Obrzęd „dziadów" w cz. I i II wyznacza ramę czasową: przypuszczalnie jeden rok, w ciągu którego wszystko to się stało.

Z punktu widzenia autorskiego nienapisana cz. III musiała być najtrudniejsza, gdyż miała opisywać wypadki dziejące się w porządku naturalnym, ponieważ zaś protagoniści wyraźnie wzorowani byli na samym Mickiewiczu i Maryli, a zapewne i Puttkamerze, było to przedsięwzięcie delikatne, łatwo bowiem mogło przejść w niedelikatność. Trudno się dziwić, że młody nauczyciel w Kownie wolał odłożyć rzecz „na później". Trudno też się dziwić, iż utwór nigdy już nie został skończony w zaplanowanym kształcie, gdyż „później" nastąpił huragan, który wykatapultował autora w zgoła inny wymiar zdarzeń. Przypomnijmy je dla porządku: jesienią 1823 r. Mickiewicz i grupa jego przyjaciół-filomatów zostają aresztowani i uwięzieni w Wilnie przez Rosjan pod zarzutem konspiracji politycznej; w następnym roku młodzi „konspiratorzy" z ciężkimi wyrokami są deportowani w głąb Rosji; sam Mickiewicz zostaje potraktowany niezwykle

łagodnie (niewątpliwie dzięki *głasnosti* w oryginalnym znaczeniu, czyli faktowi, że był już znaną postacią), bo zamiast na Syberię zostaje skierowany do Odessy, a potem Moskwy; w 1829 r. udaje mu się uzyskać pozwolenie na wyjazd na Zachód, z czego skwapliwie korzysta. Pobyt rosyjski był wbrew zamierzeniom władz rosyjskich, naturalnie — łaską Opatrzności dla Mickiewicza jako człowieka i jako poety, a zatem i dla literatury polskiej. Uzdolniony młodzieniec z prowincji nagle został przeniesiony w środowisko reprezentujące bądź co bądź ówczesny poziom światowy; co więcej przeniesienie to odbyło się w glorii prześladowanego geniusza i romantycznego dysydenta, a ponadto status zesłańca po raz pierwszy i ostatni w życiu Mickiewicza oszczędzał mu trosk materialnych. Stypendium, szkoła i salony.

Ale nie był to sam miód. Z jednej strony Mickiewicz *był* ofiarą prześladowania za to, co w „Przedmowie" do „Dziadów" drezdeńskich nazwie „narodowością polską" (czyli postawą patriotyzmu względem przedrozbiorowej Rei Publicae), z drugiej zaś jego niewątpliwie uprzywilejowana pozycja w porównaniu z losem współzesłanych *mogła* wyglądać nieco dwuznacznie, szczególnie na tle zażyłości z agentką rosyjskiej policji, Sobańską, oraz braku „problemów" z władzami po powstaniu dekabrystów. Odpowiedzią Mickiewicza na ewentualne wątpliwości innych a może i własne był „Konrad Wallenrod" (1828), niewątpliwie zawoalowana *apologia pro vita sua* — choć, jak miała wyglądać zaraza w moskiewskiej Grenadzie przygotowywana przez Mickiewicza-Wallenroda, nie wiemy, ponieważ poecie udało się wkrótce po tej publikacji wyjechać na Zachód; w porę, jak się okazało, bo Nowosilcow trafnie rozszyfrował w międzyczasie *message* „Wallenroda" i autora czekałyby niewątpliwie poważne tego konsekwencje.

Istniejąca obecnie „Dziadów" część trzecia (drezdeńska) jest w pewnym sensie przedłużeniem „Konrada Wallenroda" i nie jest przypadkiem, że występujące w niej nowe *alter ego* Mickiewicza nosi imię Konrad. Powstanie Listopadowe znów ustawiło poetę w nieco dwuznacznej sytuacji i musiała mu ona doskwierać, zwłaszcza wobec docinków świeżych eks-kombatantów emigrujących z Polski. W skrócie sytuacja ta wyglądała następująco: po wybuchu Powstania Mickiewicz dość długo przebywał jeszcze we Włoszech i Francji, zamiast — jak dość powszechnie oczekiwano — udać się w szeregi walczących. Kiedy wreszcie zjawił się w Wielkopolsce, możliwości przejścia kordonu były nader ograniczone, a Powstanie dogorywało. Można też przypuszczać, że trzeźwi Wielkopolanie-gospodarze nie omieszkali podsycić jego wątpliwości co do celowości udziału w finale walk i podkreślić, iż jako wielki i znany już poeta więcej może zdziałać dla sprawy polskiej piórem niż karabinem (i mocno prawdopodobną

śmiercią w kwiecie wieku i talentu). Tak czy owak Mickiewicz nie wziął udziału w Powstaniu, natomiast w marcu 1832 r. znalazł się w Dreźnie, w którym roiło się od tych, co udział wzięli. Nie musiała to być sytuacja przyjemna, a w każdym razie wymagała zajęcia jakiegoś stanowiska. Stanowisko to zostało określone w napisanej w błyskawicznym tempie nowej — i również niedokończonej — trzeciej części „Dziadów". Jest to w zasadzie odrębny utwór, ale ponieważ ma charakter autobiograficzny, autor postanowił wcielić go do innego quasi-autobiograficznego utworu z przeszłości, czyli „Dziadów" kowieńskich, i w ten sposób je zamknąć. Przemiana Gustawa-sentymentalnego kochanka w patriotę i narodowego barda Konrada była tylko przygotowaniem do rekompozycji dzieła, która winna była pociągnąć za sobą duże zmiany w cz. IV, jako że bohater nowej całości nie mógł umrzeć. Zamysłu tego Mickiewicz nigdy nie doprowadził do końca, choć kierunek zmian zaznaczył w nowej cz. III: końcowa jej scena, dziejąca się na cmentarzu w noc „dziadów" (a więc nawiązująca do cz. II) sugeruje, iż ukazujące się „niewiernej" ukochanej Widmo jest zjawą człowieka żyjącego, który tylko *„zmienił imię stare"* (III, 9, w. 165). Niemniej wobec faktu zachowania cz. IV w postaci niezmienionej trzeba stwierdzić, że „Dziady" nie są utworem spójnym. Na tym polega ich niejasność w sensie „zewnętrznym", kompozycyjnym.

Niejasności części III mają natomiast charakter zamierzony. Służą za poetyckie przyciemnienie zasadniczego przekazu, który można prozaicznie i nieco brutalnie zrekapitulować następująco: *primo*, ja-Mickiewicz i moi przyjaciele „Litwini" już swoje wycierpieliśmy, jeśli chodzi o martyrologię patriotyczną i to w okresie, kiedy zarozumiała „warszawka" kolaborowała z Rosjanami, że aż miło; *secundo*, wobec przewagi militarnej wrogów najważniejszym obecnie zadaniem jest podtrzymywanie ducha narodowego za pomocą odpowiedniej literatury; *tertio*, tak się składa, że ja sam mam największy talent poetycki, zdobyłem już sławę i wpływ na serca Polaków i moją rolą jest utrzymywanie polskości duchowej w stanie gotowości.

Jest oczywiste, że tego rodzaju stwierdzeń nie można wypowiedzieć wprost, nie narażając się na zarzut dyskontowania zasług z przeszłości, przeceniania własnego fachu czyli twórczości literackiej i w ogóle zarozumiałości. Mickiewicz niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę i stąd enigmatyczność pewnych scen, choć z drugiej strony musiał być przekonany, że ma rację. Trudno wyobrazić sobie, by utwór o takiej żarliwości i sile wyrazu był tylko werbalną obroną człowieka niepewnego swej słuszności.

O ile wymieniony powyżej punkt (1) mickiewiczowskiego *message*'u jest oczywisty — por. sceny więzienne i „Pana Senatora", a także satyryczny obraz salonu warszawskiego w scenie 7-ej

— o tyle pozostałe dwa punkty mogą komuś wydać się wątpliwe. Ich uzasadnieniu opartemu na interpretacji „Widzenia księdza Piotra" poświęcony jest niniejszy szkic.

„Widzenie" to stanowi główną część sceny 5-ej. Do dziś jego wykładnia budzi kontrowersje wśród polonistów i polskiej publiczności literackiej, a zwłaszcza desygnat i znaczenie imienia „czterdzieści i cztery". Przyjrzyjmy się bliżej tej scenie. Stanowi ona kontynuację wątku Konrada-poety (czyli *alter ego* Mickiewicza) wprowadzonego w pierwszych trzech scenach cz. III i urwanego w chwili omdlenia Konrada w momencie kulminacyjnym Wielkiej Improwizacji. Omdlenie to ocala młodego geniusza od bluźnierstwa (*„...żeś Ty nie ojcem świata, ale.... [carem]!"*), ku któremu wiodła go inspirowana przez Szatana pycha. Na ratunek nieprzytomnemu Konradowi śpieszy kapelan więzienny ksiądz Piotr, którego pokora stanowi przeciwwagę mocy szatańskiej i daje gwarancje, iż kryzys już się nie powtórzy. Możemy tak sądzić, ponieważ w scenie 5-ej widzimy ks. Piotra już samego (a więc Konradowi przestało grozić niebezpieczeństwo), jak wraca do swej celi i pogrąża się w modlitwie. Bóg nagradza go darem proroczym i modlitwa ks. Piotra staje się monologiem, opisującym bieg przyszłych — z punktu widzenia grudnia 1823 r. — wypadków. Narrator widzi wpierw (w. 6-24) *„tłum wozów"* wiozących polską młodzież na wygnanie, a następnie to, iż jedno z owych „dzieci" „ujdzie", czyli wydostanie się z niewoli. W tym miejscu (w. 21-24) wizjoner wykrzykuje: *„...to obrońca! / Wskrzesiciel narodu! / Z matki obcej; krew jego dawne bohatery / A imię jego będzie czterdzieści i cztery"*. Dalszy ciąg wizji (w. 27-65) jest alegoryczną rekapitulacją dziejów Polski od Kongresu Wiedeńskiego (o czym niżej) poprzez Powstanie Listopadowe aż po popowstaniową emigrację. Trzecia, końcowa część „Widzenia" powraca do motywu „obrońcy" i charakteryzuje tę postać w stylu apokaliptycznym. Dalsza dyskusja w tym szkicu będzie koncentrowała się głównie na tym fragmencie, dobrze więc przytoczyć go w całości:

Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go, — był dzieckiem — znałem,
Jak urósł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.
Mąż straszny — ma trzy oblicza.
On ma trzy czoła.
Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza.
Nad jego głową, osłania lice.
Podnóżem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą, gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:

To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony;
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:

A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej, krew jego dawne bohatery,
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!

Nie ulega wątpliwości, że „mąż" o przyszłym imieniu „czterdzieści i cztery" w obu częściach „Widzenia" jest jedną i tą samą osobą i że jest nią Konrad, czyli sam Mickiewicz. Wskazuje na to sam poeta, pisząc we wstępie do „Dziadów" cz. III (w. 56-60): „Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb Rosji, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć się z Rosji".

Po zestawieniu tej wypowiedzi ze słowami „Widzenia", w. 21: *„Patrz! — ha — to dziecię uszło — rośnie — to obrońca"* i z faktem, że w 1832 r. Mickiewicz był jedynym z grupy zesłańców z 1824 r., który znajdował się poza Rosją, sprawa jest ewidentna. Ewidentny też jest charakter i rola „Widzenia" w utworze: to nie żadne *proroctwo* odautorskie dotyczące losów Polski w nieokreślonej przyszłości, lecz chwyt literacki pozwalający poecie wprowadzić wypadki p ó ź n i e j s z e do akcji dziejącej się w 1823 r. Rozumując w ten sposób, musimy dojść do nieuchronnego wniosku, że „Widzenie księdza Piotra" opisuje w formie *vaticinium ex eventu* Konrada-Mickiewicza po roku 1829, a zatem że określenia „z matki obcej", „krew jego dawne bohatery" oraz sławne „czterdzieści i cztery" odnoszą się do poety w czasie powstawania „Dziadów" drezdeńskich. Ale co one znaczą?

Wśród specjalistów ustalił się (nieco chwiejny) *consensus* interpretacyjny, wyglądający mniej więcej następująco: „z matki obcej" jest być może aluzją do domniemanego żydowskiego pochodzenia Barbary z Majewskich, matki poety; „dawne bohatery" odnoszą się do szlacheckiego pochodzenia po ojcu; „czterdzieści i cztery" jest jakimś kryptonimem typu kabalistycznego, odnoszącym się najprawdopodobniej do imienia „Adam"[1].

1. Z uwagi na czytelność tego szkicu ograniczam ilość przypisów do minimum i odnosi się to też do bibliografii. Ważniejsze jej pozycje znaleźć można w: A. Mickiewicz, *Dzieła*, t. III (Utwory dramatyczne w opracowaniu Stanisława Pigonia), W-wa 1949, str. 490, oraz: *Literatura polska*, Przewodnik encyklopedyczny, t.I (A-M), red. J. Krzyżanowski, Cz. Hernas et al., W-wa 1984, hasło *„Dziady"* (str. 222n, autor: Z. Stefanowska). Drobniejszych prac interpretacyjnych na temat terminów „z matki obcej", itd., jest legion; wymieniam kilka ważniejszych, opublikowanych w ciągu ostatnich 20-tu lat: Z. Kępiński, *„Czterdzieści i cztery", Miesięcznik Literacki*, 12 (1970), str.58-73; W. Weintraub, *Gematria w funkcji chwytu literackiego; Mickiewiczowskie 'czterdzieści i cztery'", Pamiętnik Literacki*, 4 (1980), str. 287-294; K. Górski, *„Dwa komentarze do 'Dziadów' drezdeńskich", ibid.*, 3 (1985), str. 3-9 (cz.1, pt. *„Z matki obcej"*); W. Weintraub, *„Jeszcze w sprawie Mickiewiczowskiego 'Z matki obcej'", ibid.*, 3 (1986), str. 187n. Sprawa domniemanego pochodzenia matki poety z frankistowskiej rodziny Majewskich dyskutowana jest w: S. Scheps, *Adam Mickiewicz. Ses affinités juives*, Paris (Nagel) 1964, a także stanowiła temat osobnej sesji III Międzynarodowego Kongresu p.n. „Soviet and East European Studies" w listopadzie 1985 r. w Waszyngtonie; z racji gigantycznych rozmiarów tego zjazdu (po kilkanaście sesji równocześnie) nie mogłem w owej sesji uczestniczyć, ale współuczestnik tego kongresu, prof. W. Weintraub, w swym wymienionym tu artykule *„Jeszcze w sprawie..."* z 1986 r. pisze: „Gdyby [...] udało się udowodnić, iż Barbara Mickiewiczowa z tych [frankistowskich] Majewskich pochodzi, słowa 'Z matki obcej' wypadałoby nam rozumieć [...] jako dowód nawiązania do jej żydowskiego pochodzenia. Ale dowodu takiego nikt, jak dotychczas, nie przeprowadził" (*op.cit.*, str. 188). Prof. Weintraub przychylał się do poglądu prof. Górskiego, że Mickiewicz nawiązywał do greckiego znaczenia imienia swej matki („obca"). Z punktu widzenia zajętego w niniejszym szkicu stanowiska sprawa żydowskiego czy nieżydowskiego pochodzenia matki wieszcza jest bez znaczenia.

Ta czysto biograficzna interpretacja wydaje mi się wątpliwa z trzech powodów. Po pierwsze, nagabywany przez Goszczyńskiego Mickiewicz przyznał początkowo (choć niechętnie), że określenie „czterdzieści i cztery" odnosi się do niego, natomiast w swej ostatniej prelekcji paryskiej w 1844 r. oświadczył, iż przepowiedzianym w „Dziadach" mężem opatrznościowym jest Towiański. Wynika z tego, że dyskutowane określenia traktował on jako nazwy konotujące, a nie kryptonim konkretnych personaliów. Można tedy przyjąć, że w momencie pisania „Dziadów" drezdeńskich i jeszcze jakiś czas potem Mickiewicz uważał, że to on pełni rolę „obrońcy" i „wskrzesiciela narodu", natomiast później uznał, iż lepiej spełnia ją Towiański. Drugim, pokrewnym temu kontrargumentem jest to, iż ks. Piotr w trakcie swej wizji przyszłości wybranego „dziecięcia" mówi, że imię jego będzie „czterdzieści i cztery"; a zatem chodzi tu o rodzaj tytułu, który „mężowi" zostanie dopiero nadany, a nie o imię własne. Trzeci kontrargument jest bardziej złożony i polega na tym, iż wewnętrzna logika utworu wskazuje, że określenie „czterdzieści i cztery" stanowi rodzaj synonimu pojęcia „prawdziwy Polak". Twierdzenie to wymaga bliższego sprecyzowania.

„Dziady" drezdeńskie są utworem, który można zakwalifikować jako publicystykę polityczną. Ich tezą teoretyczną jest

twierdzenie, że patriotyczne jest podtrzymywanie świadomości narodowej i że zadanie to przypada literaturze, a szczególnie poezji: świadomej swej roli i aktualnej (por. *„Czemu to o tym pisać nie chcecie, Panowie?"*; III, 7 w. 190). Martyrologiczne i antyrosyjskie sceny utworu są niejako żywą ilustracją tego postulatu. Swoistą summę poglądu Mickiewicza, iż nieszczęścia Rei Publicae są krzywdą wołającą do nieba i że pamięć o nich winna być kultywowana równie żarliwie jak w chrześcijaństwie kultywowane jest męczeństwo Chrystusa (i z podobną implikacją, że kult prowadzi do zbawienia) stanowi druga część „Widzenia księdza Piotra". Jest to kunsztownie przeprowadzona paralela pomiędzy losem Polski a Pasją Jezusa. Jej kunsztowność ocenić można dopiero po skorygowaniu omyłki interpretacyjnej, jaka do dziś dominuje w mickiewiczologii. Chodzi o rzecz następującą: mesjanistyczna paralela zaczyna się od opisu „trybunału" całej Europy (III, 5, w. 29nn), przed który wrogowie „wloką" Polskę-Chrystusa z okrzykiem *„Gal, Gal sądzić będzie"*. Określenie „Gal" stale interpretowane jest przez polemistów jako „Francuz", a zatem cały epizod traktuje się jako odnoszący się do Powstania Listopadowego i nieudzielenia Polsce pomocy przez Francję[2]. Pozostaje to w sprzeczności z logiką tej paraleli, w której wspomniany „trybunał" w sposób oczywisty odpowiada sądowi Piłata, a dalsze etapy Męki Chrystusa symbolizują kolejne zdarzenia z historii Polski: Ukrzyżowanie odpowiada zatwierdzeniu *de facto* przez Kongres Wiedeński rozbiorów, przebicie boku Chrystusa przez „żołdaka Moskala" — stłumieniu Powstania Listopadowego, Wniebowstąpienie (czyli odejście Chrystusa ze świata) — końcowi krótkotrwałej niezawisłości Polski powstańczej, a spłynięcie na ziemię szaty wznoszącego się ku niebu Jezusa — emigracji jako nosicielowi bezterytorialnej, „szczątkowej" polskości. Innymi słowy, „trybunał" musi oznaczać Kongres Wiedeński, którego rolę w ukształtowaniu losu Polski w XIX w. przyrównać można do Jałty w wieku XX. Francja nie miała na owym Kongresie wiele do powiedzenia, natomiast istotną piłatową „bezstronność" wykazała we Wiedniu Anglia; „Memoriał na temat Polski" przedstawiony przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych lorda Castlereagh 23 października 1814 r. był niedwuznacznym umyciem rąk w tej sprawie. Dlaczego Mickiewicz nazwał reprezentanta Anglii „Galem"? W okresie Kongresu Wiedeńskiego Anglia, po odsunięciu od władzy chorego umysłowo Jerzego III w 1810 r., rządzona była przez jego syna, Księcia Regenta, który jako następca tronu miał tytuł księcia Walii — po francusku *Prince de Galles*.

2. Por. komentarz prof. Pigonia w cytowanym wyżej wydaniu *Dzieł*, t. III, str. 486 (adnotacja [33]). Jego wyrażona tam opinia „Gal — Francuz" nie była dotąd kwestionowana.

Po tej małej korekcie zajmijmy się dalszym ciągiem „Widzenia". Wniebowstąpienie i spłynięcie Szaty kończą w nim bezpośrednią paralelę mesjanistyczną (zakończenie to podkreślone jest dodatkowo śpiewem pieśni wielkanocnej, o którym mówią didaskalia; „wielkanocność" odnosi się tu do całości cyklu liturgicznego obejmującego Pasję, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie); po nich na nowo powraca motyw „obrońcy", czyli Konrada-Mickiewicza. Rola tej postaci odpowiada (w świeckim wymiarze) roli Ducha Świętego-Pocieszyciela, który został po Wniebowstąpieniu zesłany apostołom celem przygotowania Drugiego Przyjścia. W terminach publicystyczno-politycznych odpowiada to zadaniu, jakie widział przed sobą Mickiewicz: barda narodowego podtrzymującego rodaków na duchu i zachęcającego do wytrwania. Mimo romantycznej przesady i apokaliptycznej teminologii nie był to przejaw megalomanii; w 1832 r. Mickiewicz znajdował się u szczytu talentu, miał uznanie i sławę i zamierzał spożytkować te atuty dla sprawy polskiej w dziedzinie, w której mógł coś zdziałać: propagandy, powiedzmy otwarcie.

W tym kontekście zarówno określenie „obrońca" jak i „wskrzesiciel narodu" tracą swą żenującą tromtadrackość. Pierwsze z nich nie wymaga komentarza, drugie zaś staje się jaśniejsze, gdy je skorelujemy z werdyktem poety kończącym jadowity opis Salonu Warszawskiego w scenie 7-ej (w. 226-230): *„...Naród nasz to lawa, / Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, / Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi; / Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi"*.

Zważywszy, iż w sensie dosłownym „wskrzesiciel" to ktoś kto k r z e s z e ogień, termin ten jest trafną nazwą człowieka, który postanowił poświęcić się podtrzymywaniu „wewnętrznego ognia" przywiązania do polskości[3].

3. O tym, że Mickiewicz istotnie traktował swą poezję jako „płomienną" świadczy m.in. scena 4-ta cz. III „Dziadów". Ma ona za bohaterkę Ewę (tzn. Ankwiczównę, którą Mickiewicz poznał w 1830 r. w Rzymie). Scena ta, pt. „Dom wiejski pode Lwowem", również dzieje się w 1823 r. (por. słowa Ewy na temat autora „piosenek", które właśnie przeczytała: *„I on także w więzieniu, jak nam gość donosił"*, w. 16); druga jej część jest również „Widzeniem" (a więc dotyczy „przyszłości" z okolic roku 1832), w którym jawi się Ewie ukwiecony ogród. Końcowe partie „Widzenia" dotyczą Róży, która *„żyje"* i *„ogień zeń bije"* (w. 67-80; por. też dalszą kwestię zwróconą ku Róży: *„A z twoich ust koralu / Wylatują promieniem / Iskierka po iskierce — Czy taka światłość jest twoim pieniem?"*, w. 81-84). Scena ta interpretowana jest jako „stan religijnego zachwycenia" Ewy (tak Z. Stefanowska w cytowanym już haśle *„Dziady"* w encyklopedycznym dziele *Literatura polska*), przypuszczalnie z uwagi na ikonografię św. Teresy. Moim zdaniem „Róża" jest tu aluzją do herbu Mickiewicza Poraj przedstawiającego białą różę na czerwonym tle, a zatem chodzi o jeszcze jedno wcielenie poety. Jest to nader prawdopodobne z uwagi na użycie *explicite* nazwy

Słowo „polskość" stwarza stosowną okazję, aby powrócić do zagadkowych terminów „z matki obcej" itd. Jak już wspomniałem, wydają się one posiadać charakter raczej funkcjonalny, niż opisowy i określać status narodowościowy „obrońcy", a nie Mickiewicza-jednostkę biologiczną; tylko dzięki tej funkcjonalności mógł on w 1844 r. „podstawić" pod nie Towiańskiego zamiast siebie. Pojęcie „narodowość" w języku Mickiewicza ma charakter aktywnej, świadomej o p c j i, a nie biernej p r z y n a l e ż n o ś c i z racji li-tylko urodzenia. Świadczy o tym użycie tego terminu w cytowanym już fragmencie wstępu do II cz. „Dziadów", gdzie mowa o zesłaniu przez Rosjan młodych ludzi p o d e j r z a n y c h o narodowość polską. Chodzi tu naturalnie nie o młodzieńców, będących Polakami w sensie metrykalno-administracyjnym (bo tu nie ma co podejrzewać, wystarczy sprawdzić), a o takich, którzy c z u j ą s i ę Polakami; w kontekście Wilna i okolic pod zaborem rosyjskim musiało to oznaczać opcję za patriotyzmem względem przedrozbiorowej „Polski", czyli Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Skądinąd jednak trwający od kilku dziesięcioleci podział na „etnicznie" polskie centrum i „mieszaną" (i oficjalnie rosyjską) Litwę oddziałał już był na świadomość (pewnych przynajmniej) ludzi po obu stronach. Mickiewicz doskonale wiedział, iż dla „warszawki" ludzie o jego pochodzeniu nie byli tak całkiem Polakami; świadczy o tym ironiczna kwestia włożona w usta jednego z warszawskich „salonowców" (III, 7, w. 63-64): *„Pan z Litwy, i po polsku? nie pojmuję wcale — Ja myśliłem, że w Litwie to wszystko Moskale"*. Była to zapewne riposta wobec „krytyki warszawskiej", która przyjęła była jego „Sonety" jako dziwaczny utwór kogoś, kto nie włada poprawnie językiem polskim.

W 1832 r. Mickiewicz był już na tyle silny, by móc twardo powiedzieć, że nawet największy szowinista z „warszawki" nie może mu odmówić tytułu prawdziwego Polaka. I to właśnie — moim zdaniem przynajmniej — wyraził za pomocą owych trzech enigmatycznych określeń. Urodzony i wychowany na Litwie („z matki obcej"), ale w środowisku polsko-szlacheckim („dawne bohatery"), a dzięki swej martyrologii i swej poezji — niezaprzeczalny wreszcie Polak[4]. Według mojej hipotezy tajemniczego „czterdzieści i cztery" winno było zatem w jakiś sposób kojarzyć się Mickiewiczowi ze słowem „Polak". W jaki sposób?

Mogę przedstawić jedynie domniemane wyjaśnienie, a nawet dwa — przy czym nie muszą się one wzajemnie wykluczać. Omówię najpierw te, które zaproponowałem już w angielskiej wersji tego artykułu. Nie jest logicznie wykluczone, iż określenie „czterdzieści i cztery" powstało w wyniku transpozycji językowej — dokonanej czy to dla żartu, czy to dla znalezienia pseudoetymologicznego „związku" między słowami — z terminu „Polak". Początek XIX w. cechowało powszechne „unarodowianie" obcojęzycznych terminologii (integrał = całka, oxygen = „kwasoród", etc.), które sprzyjało różnego rodzaju spekulacjom językowym. Na polskim terenie celowali w tym bracia Śniadeccy, którzy obaj byli profesorami Uniwersytetu Wileńskiego w czasie, gdy Mickiewicz na nim studiował. Proponowana przeze mnie rekonstrukcja mogła była powstać jako żartobliwa karykatura ich działalności słowotwórczej, a później znaleźć poważniejsze zastosowanie w „Dziadach". Hipoteza (przyznaję, że chwiejna) wygląda następująco: rosyjskie zdrobnienie *Poliaczëk* można żartobliwie oddać jako pseudołacińskie *polyaculum*, słowo to zaś rozpatrywane jako termin grecko-łaciński (Mickiewicz był filologiem klasycznym) oznacza „wieloramienną gwiazdę" (por. *pentaculum*, fr. *pentacle*, „pięcioramienna gwiazda"). Po niemiecku da się to oddać jako *Vielerstern*, co przy niewyraźnej wymowie głosek płynnych można „zrównać" z wyrażeniem *vier Elstern*, „cztery sroki" po polsku, zaś po rosyjsku *soróki czetyrie*. Dla nienawykłego do uwzględniania ruchomego akcentu ucha polskiego brzmi to prawie identycznie jak sórok i czetyrie, czyli „czterdzieści i cztery". *Quod erat demonstrandum* przynajmniej jako odległa możliwość.

Teraz druga, prostsza i prawdopodobniejsza próba eksplikacji. Zawdzięczam ją relacji prof. Leszka Bednarczuka z Krakowa, który opowiadał mi niedawno o powojennych przygodach swego znajomego, jednego z oficerów brygady „Łupaszki", i o tym jak rozpoznał on wśród przesłuchujących go po polsku UB-owców Rosjanina. Wspomnienie to brzmiało mniej więcej tak: „Słyszałem jak wymieniał numery cel i powiedział 'czterdzieści cztery'! A u nas na Wileńszczyźnie wiadomo: żaden Ruski nie potrafi powiedzieć 'czterdzieści cztery'; zawsze powie 'czyterdzieści czytery'!". Może ten „test narodowościowy" był już znany w czasach Mickiewicza? Jeśli tak, to łatwo można by zrozumieć, dlaczego poeta użył tego właśnie liczebnika jako *pars pro toto* na określenie „Polak"...

Jak powiedziałem, oba rozważane wyjaśnienia nie wykluczają się wzajemnie. Gdyby istotnie tak było, że młodszy Mickiewicz znał już popularny później na Wileńszczyźnie znak rozpozna-

swego herbu przez poetę w cz. I (w. 295-298): *„Czy tam ludzie nie mówili / O Poraju silnej ręki / I o nadobnej Maryli, / Której on ubóstwiał wdzięki?")*.

4. W tym kontekście — „narodowości" jako swoistej adopcji — warto zwrócić uwagę na zastanawiający dwuwiersz Mickiewicza pt. „Imię", który miał wejść do cyklu „Zdania i uwagi" (ale pozostał w autografie), a który przytacza prof. Górski w swym cytowanym już artykule (*op. cit.*, str. 3): *„Jakie na przyszłym świecie będziesz nosić imię? / Imię Ojca, który cię do rodziny przyjmie". Nota bene*, artykuł prof. Górskiego również podkreśla zainteresowania etymologiczne Mickiewicza, a także przekonywująco argumentuje za identycznością osoby „namiestnika" i autora „Dziadów".

wczy „Moskali", to mógł dodatkowo wpaść na tę samą transjęzykową przestawiankę, którą przedstawiłem i uznać ją za swoiste „potwierdzenie" związku między wymową liczebnika „44" a polskością. Brzmi to nieco dziecinnie, ale jest faktem, że wieszcz lubił takie zabawy. Jest rzeczą znaną, że w jednej ze swych prelekcji paryskich (dokładnie w 6-ym wykładzie z dn. 3 stycznia 1843) całkiem serio poddał pod rozwagę słuchaczy słowiańską „eksplikację" imienia babilońskiego króla Nebukadnezer'a (Nabuchodonozora) jako *Nebuh-odno-tsar*, czyli *il n'y a pas de Dieu que le roi (tsar)!* Nie był to zdaje się świeży pomysł, gdyż koncept ten najprawdopodobniej stanowi źródło słynnej *pointe*'y Wielkiej Improwizacji, a zatem przyszedł Mickiewiczowi do głowy już co najmniej 11 lat wcześniej. Skoro zaś pozostał w niej aż po wykłady w Collège de France, świadczy, że twórca „Dziadów" traktował tego rodzaju przypadkowe zbieżności dźwiękowo-znaczeniowe jako co najmniej godne uwagi.

W tym miejscu chciałbym nie tylko jeszcze raz podkreślić hipotetyczność proponowanego rozwiązania, ale też zwrócić uwagę na jego wielowarstwowość. Wydaje mi się mniej istotne, czy proponowane tu wyjaśnienie samego „czterdzieści i cztery" jest rzeczywiście definitywne i „prawdziwe", niż to, w jakiej sferze pojęciowej owego rozwiązania należy szukać. Przytoczona argumentacja na rzecz „funkcjonalnego" i „narodowościowego" znaczenia owych enigmatycznych określeń jest tą warstwą refleksji, która *faute de mieux* wytycza, jak sądzę, bardziej zgodny z logiką całości teren dalszych poszukiwań. Podobnie ma się rzecz z rozważaną ewentualnością stosowania przez Mickiewicza pseudoetymologii dla „uapokaliptycznienia" jego dyskursu, który — jak staram się wykazać — jest racjonalny i koherentny. Argumentacja za możliwością gier językowych i podkreślenie zamiłowania do nich Mickiewicza miały na celu nie tyle przeforsowanie akurat mojego pomysłu, ile zwrócenie w ogóle uwagi na dopuszczalność tego podejścia interpretacyjnego. Tak się bowiem składa, że opis „obrońcy" i „namiestnika wolności" w „Widzeniu" zawiera dwa dalsze, choć mniej sławne enigmatyczne określenia, które wyglądają szczególnie kusząco z tego punktu widzenia. Chodzi o wersy 83-84: *„A życie jego — trud trudów / A tytuł jego — lud ludów"*. W literaturze przedmiotu nie znalazłem żadnego ich przekonywującego wyjaśnienia, pozwolę więc sobie znów na dygresję interpretacyjną.

Zacznę od przypomnienia, iż całe „proroctwo" ks. Piotra jest opisem sytuacji życiowej, społecznej i literackiej Mickiewicza w 1832 r., świątobliwy bernardyn w Wilnie na przełomie 1823 i 1824 r. „widzi" ją bowiem wyraźnie dzięki łasce Boga i autora. Mimo apokaliptycznej stylizacji językowej większość określeń tej partii „Widzenia" jest łatwo czytelna: „trzy stolice" (w. 76) i

„trzy korony" (w. 81) to trzej rozbiorcy, do których obecnie należy Res Publica, podczas gdy jej naczelny poeta i piewca (*„namiestnik wolności"*) jest wygnańcem na obczyźnie (*„a sam bez korony"*). *„Trzy końce świata drżą, gdy on woła"* (w. 77) to niewątpliwa aluzja do Polski stanowiącej pod zaborami „zbieg" trzech mocarstw i do entuzjastycznej w niej już wówczas recepcji twórczości poety; jego ogromny *„kościół"* zbudowany *„na sławie"* (w. 78n) to jego publiczność; jego cudowny dar poetycki (*„księga tajemnicza"*, w. 73) nadaje mu uniwersalny status, który wynosi go *„nad ludy"* i *„nad króle"* (w. 80). Wzmianka o „aniele", który go wiedzie w jego „ślepocie" (w. 69) to zapewne wdzięczne westchnienie do Opatrzności, która przeprowadziła go bezpiecznie przez więzienie, zesłanie i początki emigracji. Następne dwa wersy (70-71) wydają mi się aluzją do ostrożnej postawy poety w Rosji, o której w alegorycznej formie mówił już w „Konradzie Wallenrodzie", a wprost powie w wierszu „Do przyjaciół-Moskali" (*„Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę"*, w. 25), wymaga to jednak poddygresji z uwagi na eliptyczną składnię frazy.

Przyjrzyjmy się tym wersom uważnie: *„Mąż straszny — ma trzy oblicza, / On ma trzy czoła"*. Mickiewiczolodzy traktują nieodmiennie wszystkie terminy tej frazy jako opis atrybutów „namiestnika", a więc całość jako stwierdzenie, iż jest on „mężem strasznym" i że ma „trzy oblicza" i „trzy czoła". Angielski tłumacz „Widzenia" F.N. Fortey tak się przejął tym obrazem, że w swym tłumaczeniu dodał jeszcze z własnej inicjatywy biednemu „namiestnikowi" (czyli Mickiewiczowi) *three eyes...*[5] Wszystko to wydaje się polegać na nieporozumieniu, a raczej na niezrozumieniu mickiewiczowskiego tekstu. Omawiana fraza ma d w a podmioty (*„mąż straszny"* i *„on"*) z czego wynika, że nie jest zdaniem prostym lecz złożonym, w którym (na skutek elizji z uwagi na rytm) brak spójnika adwersatywnego (czyli: „natomiast", „zaś" itp.). Ponieważ zaimek „on" wyraźnie odnosi się do „namiestnika", określenie „mąż straszny" jest właśnie jego przeciwstawieniem. Sens właściwy (tzn. zamierzony przez poetę) wydaje mi się następujący: „[Każdy] *mąż straszny* (= zły człowiek) *ma trzy oblicza* (tzn. jest autentycznym hipokrytą, [natomiast] *on* (= przyszły „namiestnik", bard narodowy) *ma* [jedynie] *trzy czoła* (tzn. maski, zasłony stosowane z konieczności wobec silniejszego wroga)". Czy liczba „czół" odnosi się do konkretnych okoliczności stosowania kamuflażu i ostroż-

5. Oryginał nonsensownego przekładu Fortey'a ukazał się pierwotnie w *Gems of Polish Poetry*, Warsaw 1923, i został zacytowany przez J. Krzyżanowskiego w jego *Polish Romantic Literature* (1931), które to dziełko zostało reprodukowane stosunkowo niedawno (Freeport, New York 1968), tak że anglojęzyczni czytelnicy mają wciąż dostęp do tej bredni.

ności (a więc np. śledztwa w Wilnie, pobytu w Rosji i okresu wahań co do udziału w Powstaniu), czy też została po prostu dostosowana do dominującej w całym fragmencie triady, trudno osądzić. Niemniej ogólny wydźwięk analizowanej frazy wydaje się z tego punktu widzenia jasny i, co ważniejsze, zgodny z innymi wypowiedziami poety.

Po tym niezbędnym oczyszczeniu przedpola możemy wreszcie powrócić do zagadkowych określeń „trud trudów" i „lud ludów". Zaznaczę od razu, że zaproponowane tu objaśnienie ma również charakter hipotetyczny i jedynym jego składnikiem uprawdopodobniającym jest to, że zdaje się wynikać z toku logicznego całości. Wersy 82-83 wydają się dawać kwintesencję pozycji „namiestnika" w chwili, kiedy widziana przez ks. Piotra „przyszłość" jest już faktem dokonanym, czyli charakteryzować Mickiewicza w momencie pisania cz. III „Dziadów". Wskazują na to poprzedzające słowa: „*Na trzech stoi koronach, a sam bez korony*" (w. 81) — czyli: należy do zbiorowości podległej trzem zaborcom, choć sam jest emigrantem na zewnątrz tej zbiorowości — oraz to, że owe enigmatyczne definicje „życia" i „tytułu" następują po dwukropku. Mamy tu więc autocharakterystykę poety w roku 1832 podnoszącą to, co uważał za najistotniejsze dla siebie. Ponieważ — jak już powiedzieliśmy wielokrotnie — istotą misji „obrońcy", „wskrzesiciela narodu" i „namiestnika wolności" był krzepiący wpływ jego poezji na rodaków, dyskutowane określenia odnoszą się najprawdopodobniej do tej sprawy. Zważywszy zaś omawianą uprzednio skłonność wieszcza do etymologizowania (niekiedy nader naiwnego, por. sprawę Nabuchodonozora) jest zupełnie możliwe, że i tu chodzi o spolszczenie obcojęzycznych terminów, dostosowane do biblijnego stylu „Widzenia" (por. „*Król królów*", „*canticum canticorum*" itp.). Jeśli tak, to winniśmy szukać jakichś pierwowzorów związanych z pojęciami „trud, praca, wysiłek" i „lud, naród, zbiorowość". Z tego punktu widzenia najstosowniejszym kandydatem wydaje mi się obecnie[6] określenie *poeta popularis* (lub zgoła: *popularissimus*), którego źródłosłowami są grecki czasownik *poiéo*, „robię, czynię", i łaciński rzeczownik *populus*, „lud". W ciągu swego pobytu na Zachodzie Mickiewicz zdążył był już niewątpliwie nasłuchać się komplementów i doświadczyć hołdów rodaków w dostatecznej ilości, by dojść w 1832 r. do przekonania, że jest istotnie najpopularniejszym poetą polskim swego czasu; wskazuje na to trzykrotnie użyte słowo „sława",

6. W angielskiej wersji tego szkicu zastanawiałem się nad ewentualną interpretacją wyrażenia „trud trudów" jako pseudotłumaczenia gr. *syn-ergía*, „sprzysiężenie, konspiracja", a „lud ludów" — *sým-bolen*, „symbol, znak, hasło", ale od tego czasu zmieniłem zdanie i proponowane tutaj eksplikacja wydaje mi się prawdopodobniejsza.

zamykające całość „Widzenia". Biorąc pod uwagę, iż był to szczytowy punkt romantyzmu, a poezja i w ogóle literatura w XIX w. miały — z braku innych „środków masowego przekazu" — znacznie szerszy i głębszy wpływ na wykształconą publiczność niż obecnie, można zrozumieć, że Mickiewicz miał w tym momencie poczucie swego znaczenia i wierzył w swoje możliwości. Fakt, że mówił o tym w sposób zawoalowany świadczy o jego trzeźwości i pewnej skromności, a to, że uważał swój dar i swoją sławę za instrumenty działania, a nie cel sam w sobie, winno zwiększać jeszcze nasz szacunek dla niego. „Złamanie pióra" wkrótce potem, poszukiwanie innych środków działania na rzecz sprawy polskiej aż po próby militarne, aż po przedwczesną śmierć w Konstantynopolu świadczą, że drezdeński optymizm dość szybko ustąpił miejsca rozczarowaniu. Lozańskie stwierdzenie „wiek męski, wiek klęski" brzmi gorzko i łzy poety, o których w tym wierszu mowa, nie były jedynie konwencjonalnym rekwizytem. Mickiewicz wydaje mi się jedną z tragiczniejszych postaci panteonu polskiej literatury.

Przedstawiona tu refleksja nad „Dziadami" zamierzona została — wbrew pozornemu brakowi rewerencji dla wieszcza i pozornie zbędnemu rozszczepianiu jego słów na dziesięcioro — jako wyraz hołdu dla tego człowieka. „Dziady" i „Pan Tadeusz" to największe dzieła polskiej literatury i od półtora wieku stanowią dla niezliczonych rzesz ludzi o polskiej narodowości (w sensie w jakim rozumiał to wyrażenie Mickiewicz) wspólny punkt odniesienia i źródło emocji sprawiających, że wewnętrzny ogień polskości trwa. Jeśli „Dziady" mamy traktować jako utwór profetyczny, to trafne przeczucie przez ich autora swej roli obrońcy jest moim zdaniem jedynym autentycznym — i spełnionym — proroctwem, jakie ten utwór zawiera. Ta próba wydobycia go z gąszczu nie zawsze przemyślanych komentarzy, zmieniających niekiedy tę wielką poezję w ośmieszający ich twórcę i polską literaturę wypadek typu *polnische Jaselki* ma zastąpić wiązankę kwiatów, której nie miałem gdzie złożyć przed laty na z trudem odszukanej w jesiennej ulewie nędznej uliczce Tatli Badim Sokak w Konstantynopolu, gdzie niegdyś stał dom, w którym Mickiewicz umarł.

Wojciech SKALMOWSKI (M. BROŃSKI)

Kształt bukszpanu ożeniony czy zamężny?

Ten tytuł to bynajmniej nie mocno spóźniony manifest futurystyczny, ale mocno spóźniony krzyk rozpaczy, który coraz częściej wyrywa się z mojej krtani przy lekturze fascynujących skądinąd tekstów.

Kiedy dwadzieścia lat temu wyjeżdżałam z kraju, przyjaciółka podarowała mi Mały Słownik Języka Polskiego z wiele mówiącą dedykacją: „Pamiętaj słowa Twojego dzieciństwa i młodości". Do piekącego upokorzenia związanego z naszą emigracją, tą z sześćdziesiątego ósmego roku, doszło jeszcze jedno — nieme założenie, że przede wszystkim zapominamy, jak się mówi po polsku. Toteż ile razy ktoś przyjeżdżający z kraju starał się powiedzieć mi komplement, że j e s z c z e dobrze mówię po polsku, reakcja moja miała z reguły charakter zaczepno-odporny: przecież to mój język, przecież to mój zawód, uczę tego języka, posługuję się nim, piszę... Teraz na takie *dictum* z trudem powstrzymuję się od uwagi, że nie można tego powiedzieć o moim rozmówcy.

A problem jest rzeczywisty, nie urojony. W roku ubiegłym na konferencji slawistycznej w Waszyngtonie jedna z amerykańskich lektorek języka polskiego skarżyła się obecnym tam polskim językoznawcom: my tu uczymy, że po przeczeniu należy używać dopełniacza, a studenci wracają z Polski i skarżą się, że mało kto w Polsce dopełniacza w ogóle używa. Sama pamiętam, jak w latach sześćdziesiątych wyśmiewaliśmy (akcent na „a" nie na „i") sposób mówienia Gomułki, dziś włączam polski kanał telewizyjny w Nowym Jorku i większość prezenterów (najświeższych emigrantów) posługuje się „gomułkowskim" akcentem, wcale o tym nie wiedząc. To jest najtrwalszy wkład Gomułki, który teraz nierzadko na amerykańskich falach eteru (Wolna Europa, Głos Ameryki) wraca do kraju jako tak zwany *reedback*. Uprzedzam więc swoich studentów: nie imitujcie, proszę, tego obyczaju.

Od dawna nikt nie spodziewa się od dziennikarstwa, aby było szkołą, czy nawet szkółką (w sensie hodowli) języka. Dziennikarstwo jest w stanie wyżywić już tylko słowniki błędów językowych. Ale wirus i zanieczyszczenie dawno już przeskoczyły na szpalty felietonów literackich i książek. W tym semestrze starałam się znaleźć jakiś względnie czysty językowo materiał publicystyczny do czytania i analizowania na zajęciach. Podzielam do pewnego stopnia przekonanie moich kolegów slawistów, że trzeba dać studentom próbkę publicystyki, bo jeżeli nie są literaturoznawcami, gazety będą stanowiły ich zasadniczą lekturę. W ręce wpadł mi niedzielny „kulturalny" dodatek do *Życia Warszawy* i tam w jednym z felietonów przeczytałam o pewnej niemieckiej specjalistce od seksuologii „po raz drugi szczęśliwie ożenionej". Autor dumnie podpisujący się pod tym (a nawet nad tym) tekstem wcale nie miał na myśli żadnej dewiacji seksualnej. Głęboko wierzył, że kobieta była „ożeniona", to samo przekonanie zapewne żywił redaktor działu i etatowy korektor tego czołowego dziennika. Sięgnęłam po następne pismo. Już prawie wybrałam felieton z *Tygodnika Powszechnego*, kiedy omal się nie zakrztusiłam (porównaj: krtań) czytając: „Wyksztusiliśmy...". Nie spodziewałam się, że liberalizm polskich pism jest już tak daleko posunięty.

To był pechowy tydzień. W nowo wydanej powieści przeczytałam o „zważonych mrozem liściach" i czymś tam „zanużonym" w wodzie. Przyzwyczajona do dynamiki angielskiego rozumiem, że język się rozwija, stare reguły idą do lamusa, a ludzie w Polsce mają większe problemy. Niemniej jednak są to ludzie, którzy żyją językiem i z języka i wciąż powinno być dla nich dość istotną sprawą, czy mróz „waży", czy „warzy", czy zanurzenie ma związek z nurkowaniem czy ze znużeniem, a także, że po „k" tylko „bukszpan" i „kształt" pisze się przez „sz".

Nie tak dawno przeczytałam w *Twórczości*, że „każda liszka swój listek chwali", co też jest grubym nieporozumieniem, czy też nieznajomością językowej tradycji. Jak uczy nas przysłowie „każda liszka (czyli lis) swój ogonek chwali", a liszka (czyli gąsienica) listki po prostu pożera. Nie chodzi tu bynajmniej o puryzm językowy, ale o krztę dbałości, bez której język niszczeje tak samo jak krakowskie pomniki pod wpływem dymów Nowej Huty. I nie są to wydawnictwa typu oficyny, gdzie jedna osoba pisze, drukuje i sprząta. W każdej z tych instytucji tekst przechodzi przynajmniej przez ręce (i oczy) redaktora i korektora. Toteż wszystkim tym, którzy dla nas piszą, redagują i adiustują przepisuję dedykację, wpisaną mi kiedyś do Słownika Języka Polskiego: „Pamiętajcie słowa Waszego dzieciństwa i młodości". Ja po dwudziestu latach jeszcze ciągle pamiętam, moi rówieśnicy z tych samych szkół i uniwersytetu powoli zapominają.

Anna FRAJLICH

STYPENDIA IM. STANISŁAWA LAMA

W sprawie stypendiów im. Stanisława Lama na rok 1990 Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu informuje, że termin składania podań o przyznanie pięciu stypendiów im. Stanisława Lama upływa 1-go marca 1990 r. Stypendia te są jednorazowe w wysokości około 4.000 franków i przyznawane są osobom mieszkającym poza Paryżem, na prace z zakresu historii literatury polskiej.

Pierwszeństwo mają kandydaci, których projekty (zaopiniowane przez kompetentnych naukowców lub pisarzy) wymagają studiów w Bibliotece Polskiej, lub w innych ośrodkach dokumentacji we Francji.

Informujemy również, że do Komitetu stypendialnego napływają liczne podania godne pozytywnego rozpatrzenia, których, z braku wystarczających funduszy, nie jesteśmy w stanie uwzględnić. Stąd też zwracamy się do wszystkich z gorącą prośbą o pomoc w zwiększeniu funduszu stypendialnego im. Stanisława Lama. Czeki prosimy przesyłać na „Société Historique et Littéraire Polonaise - 6, quai d'Orléans — 75004 Paris (Fundusz im. St. Lama)".

Dr Jerzy MOND
Przewodniczący Komitetu Stypendialnego

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □ PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Nagrody „Kultury" za r. 1989

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: MICHAŁ HELLER (ADAM KRUCZEK)

Michał Heller czytelnikom *Kultury* znany jest jako Adam Kruczek od dwudziestu z górą lat, dokładnie od maja 1969, gdy ukazał się jego pierwszy przegląd prasy sowieckiej. Od tego czasu było ich z górą dwieście. Pierwszy zaczynał się od pięćdziesięciolecia władzy sowieckiej i prób rehabilitacji Stalina. Ostatni poświęcony był niedawnemu plenum KC KPZS dotyczącemu kwestii narodowej. Łącznie stanowią one kronikę Związku Sowieckiego w ciągu minionych dwudziestu lat, której żadna inna nie dorównuje ani wszechstronnością — nie ma przecież dziedziny życia sowieckiego, którą by pozostawiła na uboczu — ani niezwykłym wręcz bogactwem zgromadzonych danych. W przyszłości stanie się ona lekturą obowiązkową dla historyków Związku Sowieckiego w erze Breżniewa i jego następców. Już dziś zresztą przeglądy zebrane w tomie *Polska w oczach Moskwy* (1984) są niezastąpionym źródłem informacji o polityce sowieckiej wobec Polski w okresie „Solidarności".

Czytelnikom *Kultury* Adam Kruczek dostarcza comiesięcznej lekcji czytania prasy sowieckiej, która jest zarazem lekcją analizy politycznej, a przede wszystkim — przyjemnością po prostu. Jak nikt poza nim podniósł on bowiem przegląd prasy do godności publicystyki o wielkim rozmachu. Dzięki ogromnym zasobom erudycji, obejmującej piśmiennictwo rosyjskie i sowieckie we wszystkich bodaj jego wymiarach i panującej nad całą historią Rosji i Związku Sowieckiego, umie on wydobyć z omawianych tekstów treści uchodzące uwagi pospolitej sowieto-

logii i oświetlać je w sposób odkrywczy, przy czym jego pisarstwo gra na wszystkich rejestrach stylistycznych. Ośmiesza demaskuje, nigdy nie udaje obojętności. Jest z założenia i jawnie stronnicze. Jak każda prawdziwa publicystyka.

Michał Heller to również historyk, wieloletni profesor Uniwersytetu Paris-Sorbonne, wedle powszechnej opinii jeden z najwybitniejszych we Francji autorytetów w kwestiach dotyczących Związku Sowieckiego. To wreszcie autor znakomitych książek tłumaczonych na wiele języków, m.in. pionierskiej pracy *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka* (1974) oraz napisanej wraz z Aleksandrem Niekriczem historii Związku Sowieckiego *Utopia u władzy* (1982), która stała się międzynarodowym sukcesem, a w Polsce — jednym z best-sellerów drugiego obiegu. Dziś, kiedy bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest inteligencji polskiej w Kraju i na emigracji wiedza o tym, co się dzieje w Związku Sowieckim, podbudowana znajomością historycznych korzeni wydarzeń bieżących, twórczość Michała Hellera — Adama Kruczka — powołana jest do odegrania w naszej kulturze szczególnie doniosłej roli.

Krzysztof POMIAN

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: WOJCIECH KARPIŃSKI ZA CAŁOKSZTAŁT TWÓRCZOŚCI

Urodzony w 1943 roku Wojciech Karpiński od kilku dziesiątków lat doskonali sztukę eseju. Esej, słowo wprowadzone do literatury przez Montaigne'a w tytule jego „Essays" (przypomnieć wypada, że Boy-Żeleński przełożył je na „Próby") był dla jego współczesnego, Bacona, nowym terminem dla gatunku tak dawnego, jak i sama literatura. Tenże Bacon trafnie porównał esej do kilku ziarenek soli, których celem nie jest zaspokojenie głodu, lecz zaostrzenie apetytu. Obaj XVI-wieczni pisarze stworzyli też dwie zasadnicze szkoły eseju — analityczną, suchą i mózgową w wypadku Bacona, oraz bardziej dyskursywną i osobistą w tonie w wypadku Montaigne'a. Jeśli we wcześniejszej swej eseistyce Wojciech Karpiński — mówiąc najogólniej — reprezentował ów pierwszy model, teraz bardziej ewoluuje ku

drugiemu. Stopniowo zmienia też zasadniczy obszar zainteresowań: z historyka kultury, w szerokim rozumieniu tego pojęcia, przemienił się w pisarza zajmującego się wybranymi zjawiskami z dziedziny literatury i sztuki. Jego portrety pisarzy, artystów i myślicieli są funkcją podziwu lub olśnienia dla ich głębi umysłu i geniuszu twórczego. Jednakże autor — rzecznik indywidualizmu — ma też silną potrzebę dzielenia się z innymi swoimi lekturami oraz wędrówkami po galeriach i muzeach. Kieruje się często mądrze pojętą pedagogią. Elitaryzm łączy z klarownością wykładu, zamysł obiektywizujący z prywatnym często tonem, precyzję opisu z umiejętnością syntezy. Ma silne poczucie następstwa pokoleń, dziedziczenia po mistrzach. Należą do nich i Jerzy Stempowski, klasyk nowoczesnego polskiego eseju, i Józef Czapski, i Gustaw Herling-Grudziński, i Aleksander Wat, i Czesław Miłosz, i Witold Gombrowicz, i Konstanty Jeleński. Do tej listy należałoby jeszcze dodać Zbigniewa Herberta. Wymienionych twórców sportretował w swej ostatnio wydanej książce „Książki zbójeckie". Z ich twórczością poznał się bardzo wcześnie; ona ukształtowała silnie jego osobowość pisarską. Właśnie pisarską — bo Wojciech Karpiński jest nie tyle krytykiem literackim, co pisarzem, dla którego najbardziej fascynującą sferą rzeczywistości jest rzeczywistość przetworzona w książce lub dziele sztuki. Autor służy także swoim czytelnikom jako doświadczony przewodnik, nie tylko po lekturach (polskich i obcych), ale i miastach oraz krajach. W kilku książkach, jak „W Central Parku", „Amerykańskie cienie" czy „Pamięć Włoch", czytelnik towarzyszy autorowi w podróżach intelektualnych.

W najgłębszej warstwie, mimo wszystko, optymistyczny stosunek do świata, ton nadziei: bierze się on u autora właśnie z podziwu dla najwyższej manifestacji ludzkich talentów. Czy to estetyzm — jak niektórzy zarzucają Wojciechowi Karpińskiemu? Niezupełnie. Raczej — cytując jego ulubionego poetę — „Bo w nieszczęściu potrzebny jest jakiś ład i piękno". Bogactwo i różnorodność przeciwstawione są uniformizmowi totalitaryzmu.

Renata GORCZYŃSKA

Nagroda przyjaźni w tym roku nie została przyznana.

NAGRODA DLA TŁUMACZY IM. KONSTANTEGO ALEKSANDRA JELEŃSKIEGO

The Beinecke Rare Book and Manuscript Library, będąca częścią Yale University Library, zbiera archiwa wybitnych polskich pisarzy, m.in. zakupiła już archiwum Czesława Miłosza i archiwa pozostałe po zmarłych: Witoldzie Gombrowiczu i Aleksandrze Wacie. Obecnie biblioteka ta zakupiła u nas archiwum pozostałe po Konstantym Aleksandrze Jeleńskim, które przekazała nam Leonor Fini. Otrzymaną sumę F. 75.000,00 postanowiliśmy przeznaczyć — zgodnie z zainteresowaniami K.A. Jeleńskiego — na nagrody dla tłumaczy literatury polskiej na języki obce.

Skład jury i pierwsze nagrody zostaną ogłoszone w *Kulturze* w marcu 1990 r.

REDAKCJA

P.S.: W ostatniej chwili przed oddaniem numeru do druku Jan Lebensztejn nadesłał nam czek na F. 4.500,00 na powiększenie funduszu nagrody im. K.A. Jeleńskiego.

Książki

Polska społeczność w Wielkiej Brytanii, 1939-1950

Literatura o Polakach w Anglii, największym skupisku emigracji wojennej, jest zdumiewająco skąpa w stosunku do rozmiaru tego zagadnienia. Pomijając wycinkowe opracowania na poszczególne tematy, pionierską pracą starającą się ująć całość zagadnienia jest *Polish immigrants in Britain* Jerzego Zubrzyckiego (Haga, 1956). Jest to praca socjologiczna, której głównym zainteresowaniem jest proces dostosowywania się przybyszów do kraju zamieszkania. Książka sięga też wstecz, do czasów wojen napoleońskich. Oparta jest w całości na materiale drukowanym i znaczną część bibliografii stanowią wydawnictwa sprzed 1939 r.

Pięć lat później *Polish immigrants* uzupełnili *Polacy w Wielkiej Brytanii* Bohdana Czaykowskiego i Bolesława Sulika (Paryż, Instytut Literacki, 1961). Jest to książka typu reportażowego, utrwalająca stan polskiej społeczności w latach 1958-60, a więc w czasach gdy emigracja zaczęła stabilizować się i, pożegnawszy się na dobre z myślą o rychłym wybuchu trzeciej wojny światowej, która dla wielu (wtedy już chyba mniejszości) miała otworzyć powrót do domu, uznała swój pobyt na Wyspie za trwały i zaczęła urządzać się na stałe.

Zorganizowanie kompleksowych badań nad emigracją w Anglii jest dziełem londyńskiej Fundacji M.B. Grabowskiego, która w r. 1982 podjęła się sfinansowania tych badań (*Polish Migration Project*) w Szkole Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich Uniwersytetu Londyńskiego. Pierwszym rezultatem współpracy Funduszu ze Szkołą jest wydana przez nią w r. 1989 *The Formation of the Polish Community in Great Britain 1939-1950*, dzieło dr Keitha Sworda we współpracy z prof. Normanem Daviesem i dr Janem Ciechanowskim. Przystępując do pracy nad książką, dr Sword miał już za sobą studia z zakresu antropologii społecznej oraz badania

nad Polakami w Brytanii w ramach swej pracy doktorskiej. Warto dodać, że doskonale zna język polski. Prof. Davies i dr Ciechanowski są znani polskiemu czytelnikowi od dawna.

The Formation jest pracą naukową opartą na imponującej podstawie źródłowej, której *forte* stanowią po raz pierwszy w tym celu wykorzystane brytyjskie archiwa rządowe, od niedawna udostępnione badaczom. Jest to lektura fascynująca, która zawiera masę przeróżnych informacji i spraw. Ich istnienia chyba nie podejrzewali nawet ogólnie rozgarnięci wśród nas, którzy ich skutków doświadczyli *illo tempore* na własnej skórze. Dane archiwalne, czerpane również z instytucji nieurzędowych angielskich i polskich, zostały wszechstronnie uzupełnione materiałem drukowanym w obu językach oraz wywiadami na żywo z Polakami pamiętającymi tamte czasy. Rezultatem tej ogromnej bazy źródłowej jest prawie kompletny obraz początków emigracji w zderzeniu z egzotycznym i nie zawsze przyjaznym środowiskiem tubylczym. „Prawie", bo rozdział o życiu kulturalnym warto by uzupełnić bliższymi danymi o Instytucie i Muzeum im. gen. Sikorskiego (powstał w 1945 r.) i Bibliotece Polskiej (1942) oraz poświęcić nieco uwagi początkowi działalności naukowej Studium Polski Podziemnej (założone w r. 1947), Polskiego Towarzystwa Historycznego w W.B. (1946), Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (1950) i Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (1950). Innym tematem, który chciałoby się widzieć omówionym szerzej, jest wchodzenie Polaków w brytyjski system oświatowy włącznie ze studiami wyższymi finansowanymi przez angielską instytucję, Komitet Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, któremu wielu z nas zawdzięcza dobry start w życie dorosłe. A że wolelibyśmy go byli zdobyć na uczelniach w Polsce, to inna sprawa.

Żeby już skończyć z wyszukiwaniem plam na słońcu, można dodać, że jak każde dzieło ludzkie, książka nie jest wolna od drobnych usterek, np. nazwisko „Nila" brzmi Fieldorf, a nie Fildor (str. 204 i indeks: błąd korekty?), *Wiadomości* przestały wychodzić nie w r. 1967, tylko w r. 1981 (str. 412), a Marta Rudzka jest pseudonimem Beaty Obertyńskiej, nie zaś na odwrót (str. 416). To wszystko nie zmienia jednak faktu, że wreszcie mamy książkę, na którą czekaliśmy od dawna.

Książka składa się z trzech części. W pierwszej, „Rozwój polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii 1939-1950", prof. Davies ukazuje jej wojenne pochodzenie. Jest to zwięzły przegląd dziejów polskich na Zachodzie, który obejmuje Rząd Polski w Londynie do cofnięcia uznania, siły zbrojne w Anglii i poza nią pod dowództwem brytyjskim oraz różne drogi powstania uchodźstwa cywilnego. Część druga, autorstwa dr Ciechanowskiego, omawia politykę Rządu Polskiego w latach 1939-50 w jej przeróżnych aspektach. Taki przegląd, zwłaszcza po angielsku, jest rzeczą cenną, ale w książce, której tematem jest powstanie polskiej mniejszości na Wyspie,

miejscami budzi wątpliwości. Nie jest np. jasne, jaki związek mają przedwojenne programy polskich partii politycznych, problem mniejszości narodowych Drugiej Rzeczypospolitej czy struktura wewnętrzna Polski Podziemnej z powstaniem polskiej emigracji w Anglii.

Wreszcie część trzecia pióra dr Sworda, stanowiąca trzon książki: przeobrażenie się PSZ na Zachodzie i uchodźstwa dążącego „do Polski przez cały świat" w zatrzymaną w pół drogi emigrację, dla gospodarzy egzotyczną i niechcianą ludzką masę upadłościową po wojnie, o rozmiarach jakich Albion, tradycyjnie niechętny cudzoziemcom, nie oglądał od czasu Wilhelma Zdobywcy. Tu wreszcie dochodzą do pełnego głosu archiwa, dające od podszewki wszechstronny przegląd zmagań gospodarzy, próbujących oswoić ten żywioł. A trzeba podkreślić, że działo to się w ciężkich powojennych latach, gdy gospodarka brytyjska przeżywała bardzo trudny okres, który na szarym obywatelu odbijał się w postaci ostrego kryzysu mieszkaniowego, lodowatych domów z kominkami wygasłymi z braku węgla oraz racjonowaniu odzieży i bardzo skąpej żywności (racjonowanie chleba wprowadzono dopiero w 1946 r.!) i to przetrwało do wczesnych lat 50-tych.

Miesiąc po Jałcie w Foreign Office określono z rozbrajającą prostotą dalsze plany co do PSZ: „Naszym celem powinno być utrzymanie polskich sił zbrojnych jako lojalnej i zjednoczonej formacji tak długo, jak długo będą potrzebne w wojnie przeciw Niemcom oraz zapewnienie powrotu do Polski tak licznych Polaków jak się tylko da, gdy skończy się wojna z Niemcami"[1].

Z chwilą cofnięcia uznania rządowi polskiemu Anglia przejęła jego całą masę upadłościową, która obok mienia rządowego obejmowała setki tysięcy obywateli polskich, cywilów i wojskowych. W ciągu r. 1945 stan PSZ wzrósł do ok. 330 tys. osób i w 1946 Anglicy łożyli na ich utrzymanie ogromną sumę 2½ miliona funtów miesięcznie, choć samo ich istnienie stanowiło dla nich „poważny kłopot polityczny", który należało jak najszybciej demobilizować. Ciągle jeszcze spodziewali się masowego powrotu do Polski („należy wszystko zrobić, żeby jak najmniej Polaków pozostało w tym kraju") oraz „nasze zobowiązanie, że nie będziemy repatriować siłą ma dotyczyć tych, którzy po powrocie byliby narażeni na represje, a nie tych, którzy mogą represjonować nas żyjąc tu na koszt podatnika"[2], wkrótce jednak musieli pozbyć się złudzeń. Na dodatek Warszawa, wbrew oficjalnym wezwaniom do powrotu, obawiała się większego napływu żołnierzy z Zachodu i celowo im to utrudniała, szczególnie przed „wyborami" w 1947 r. Wtedy wreszcie zaświtało Anglikom, że „w rzeczywistości warunki w Polsce są zupełnie niezadowalające... i nie możemy przyjąć odpowiedzialności za doradzanie powrotu"[3].

W tych warunkach w 1946 powstał *Polish Resettlement Corps*

1. Str. 229.
2. Str. 305, 299: z dokumentów Foreign Office.
3. Str. 307.: z dokumentów FO.

(PRC — Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia) dla członków PSZ odmawiających powrotu, w którym „służba" miała być przygotowaniem do życia w cywilu. Utworzenie go wzmogło antybrytyjską propagandę Warszawy, którą tamtejsza ambasada starała się przykrócić: „Oświadczyłem pełniącemu obowiązki ministra spraw zagranicznych Olszewskiemu, że w jego własnym interesie nie wolno mu kopać nas w brzuch, gdy jesteśmy zajęci trawieniem jego bardzo niestrawnych rodaków — czym bardziej będzie nam przeszkadzał, tym wolniejszy będzie nasz proces gastryczny"[4].

Demobilizacja PSZ w Anglii pociągnęła za sobą sprowadzenie na Wyspę rodzin wojskowych rozproszonych po świecie, co miało miejsce w latach 1946-49, i zakwaterowanie ich w opustoszałych obozach wojskowych. Dla samych tylko rodzin 2 Korpusu przeznaczono 160 obozów. Planowano trzymać w nich Polaków jak najdłużej nie tylko ze względu na kryzys mieszkaniowy, ale żeby te spartańskie warunki zachęciły ich do opuszczenia Anglii. Pod koniec r. 1948 okazało się jednak, że polski ciężar nie jest aż tak straszny, jak się zdawało, bo ze 140.200 Polaków na Wyspie tylko 19,8% pozostawało na rządowym utrzymaniu, a reszta przeszła na własny garnuszek. Sprawozdanie PRC podkreślało korzyści z zatrudnienia Polaków w przemyśle brytyjskim, m.in. i to, że choć należeli do najniżej płatnych robotników niewykwalifikowanych, to jednak (ze względu na bardzo wysoką wśród nich proporcję samotnych mężczyzn) liczba Polaków płacących podatki była ponad przeciętną całej pracującej ludności. „Ten fakt stanowi korzyść, która na dłuższy dystans wyrówna początkowy koszt osiedlenia ich oraz utrzymania z kasy państwowej niepracującej części polskiej społeczności"[5]. Zwłaszcza — należy dodać — wskutek braku rąk do pracy, który już w 1947 roku kazał Anglii poszukiwać robotników wśród dipisów w Niemczech. Przejście Polaków do cywila unaocznia dokumentarna fotografia oficerów polskich, wśród nich majora i pułkownika, uczących się filetować ryby.

Jak widać, Polacy łatwiej się dali strawić, niż trawiący się obawiali, a obawiali się różnych rzeczy. Na przykład jesienią 1946 Home Office upewniło się, czy War Office ma plan postępowania, jeśli PSZ będą stawiać masowy opór i odmawiać wstępowania do PRC „lub z jakiego innego powodu zbuntują się, wywołają poważne zamieszki lub zechcą prowadzić wojnę (*?waging war*) w naszym kraju"[6]. W 1947 rozważano, czy masowe nadanie Polakom brytyjskiego obywatelstwa osiągnie pożądany cel, to znaczy pozbawi rząd londyński wpływu na nich[7]. Przed sprowadzeniem do Anglii 2 Korpusu obawiano się szczególnie jego prasy, która miała wielu wybitnych publicystów i mogła się okazać trudna do osiodłania, zwłaszcza że nie chciano okazać, że prasa jest cenzurowana, choć z drugiej strony „jeśli my nie weźmiemy jej pod kontrolę, to zrobią to Raczkiewicz i Anders"[8].

4. Str. 253: z dokumentów FO.
5. Str. 324.
6. Str. 297.
7. Str. 316: z dokumentów FO.

Opinia publiczna i część związków zawodowych była bardzo niechętna przybyszom, co rozdmuchiwała duża część prasy o sympatiach prosowieckich. We wczesnych latach powojennych angielscy korespondenci w Warszawie byli przeważnie komunistami lub *fellow travellers* i odpowiednio informowali swych czytelników, nic więc dziwnego, że ci nie mogli pojąć czemu Polacy nie wracają do kraju, tylko tkwią w Anglii i „zabierają" im pracę oraz skąpe dobra racjonowane. Jedyną dużą grupą tubylców przychylną Polakom i chętną do nawiązania z nimi kontaktu byli katolicy, ale ci się zawiedli, bo Polacy woleli trzymać się między sobą i skupiać wokół swych księży. Oczywiście jednym z głównych powodów był język, ale były i inne, w które książka się nie wgłębia, a które są jasne dla pamiętających tamte czasy. Dla przeciętnego Polonusa było oczywiste, że to oni „sprzedali nas Stalinowi", że kochają Wujka Joe i że przez nich musimy się tu obijać. A gdy już zaczęliśmy próbować używać języka, okazało się, że psychicznie zamieszkujemy dwa światy, które nigdzie bodaj się nie zazębiają i że dzieli nas otchłań niezrozumienia. Często odbieraliśmy je jak obrazę, nawet jeśli okazywali je skądinąd przyjaźni ludzie. Od pytań w rodzaju „czemu zgodziliście się jechać do Rosji, jeśli tam tak było źle? Trzeba było zamknąć drzwi i dzwonić na policję" opadały ręce. Nie są one bynajmniej wymysłem humorystów i odbieraliśmy je jak krwawe szyderstwo, wspomnienia sowieckie były ciągle jeszcze bolesne. Nie mieliśmy pojęcia, że o wielu dziełach Wujka Joe nasi rozmówcy mogli po prostu nie wiedzieć z powodu prosowieckiej cenzury prasy i stąd ustaliło się dość powszechne przekonanie o głupocie Anglików, dorosłych dzieci bez pojęcia o świecie i rzeczach oczywistych. Nasze psychiczne reakcje w zetknięciu z egzotycznym wyspiarskim światem są zrozumiałe chyba tylko dla Polaków — jak twierdzili oblatani po Europie, nigdzie Polak nie czuł się tak obco jak w Anglii. To oczywiście bardzo się zmieniło i dzisiejsza Anglia, o wiele bardziej kosmopolityczna i „europejska", jest całkiem inna niż powojenna.

Książka powiedziała nam o nas wiele rzeczy nowych i powinna być masowo czytana przez angielskich Polaków (znając rodaków stwierdzam z żalem, że nie będzie). Pozostaje jeszcze wyrazić wdzięczność Autorom, Fundacji M.B. Grabowskiego i Szkole Studiów Słowiańskich. Czekamy na dalszy ciąg.

Hanna ŚWIDERSKA

8. Str. 409: z dokumentów FO.

Berberova: późne kwitnienie

„To nie jest księga wspomnień. Jest to historia mojego życia, tymczasowa próba jego odtworzenia w porządku chronologicznym, czyniona w celu rozszyfrowania jego sensu" — tymi słowami rozpoczyna swoją autobiografię, którą zatytułowała *Podkreślenia są moje*. Autorka należy do drugiej fali emigracji rosyjskiej po rewolucji. Z jej generacji nieliczni tylko pozostali przy życiu. Drobna, siwowłosa kobieta o ironicznym spojrzeniu i wyraźnych śladach urody pochodzi z mieszanej rosyjsko-ormiańskiej rodziny, z dodatkiem krwi tatarskiej. Wyjeżdżając w 1922 roku z Rosji wcale nie udawała się na emigrację. Otrzymała bez większych przeszkód paszport na studia w Europie zachodniej. Z czasem jej rodzice dali do zrozumienia, że zamiast listów wolą otrzymywać od niej kartki. Jej matka zginęła z głodu w czasie blokady Leningradu. Ojciec — niegdyś wysoki urzędnik w carskim ministerstwie finansów — umarł podobno z żalu po śmierci żony. Trasa wygnania wiodła Berberovą przez Niemcy, Czechy, Włochy, Francję, wreszcie Stany Zjednoczone. Po 67-miu latach nieobecności odwiedziła w zeszłym roku swoje miasto rodzinne, które trzykrotnie w tym stuleciu zmieniało nazwę. Z jej dawnego grona przyjaciół pozostała już tylko jedna sparaliżowana staruszka, która straciła dwu kolejnych mężów w gułagach.

Swoją autobiografię (tytuł ang. *The Italics Are Mine*; tytuł franc.: *C'est moi qui souligne*) jak i wszystkie pozostałe książki napisała po rosyjsku. Chyba nieznana polskiemu czytelnikowi autorka wkroczyła w 89-ty rok życia. Zaledwie pięć lat temu jej znaczny dorobek twórczy odkryło dla odbiorcy francuskojęzycznego wydawnictwo francuskie Actes Sud, zasłużone w popularyzowaniu autorów obcych. Berberova długo czekała na odkrycie w kraju, w którym spędziła ponad ćwierć wieku i przeżyła II wojnę. Począwszy od 1984 roku Actes Sud ogłosiło sześć jej krótkich powieści oraz — prócz autobiografii — dwie obszerne monografie (pisarka nazywa je powieściami biograficznymi): *Czajkowski* i *Historia baronowej Budberg*. W tym roku wydawnictwo zapowiada dalszych pięć książek, w tym studium *Aleksander Błok i jego czasy* oraz biografię Borodina. Niektóre z tych książek Berberova napisała we Francji w latach trzydziestych i czterdziestych, utrzymując się z pisania recenzji i szkiców do pism emigracyjnych. Wyemigrowała ponownie, do Ameryki, ostatecznie zniechęcona do paryskiego środowiska literackiego, na początku lat pięćdziesiątych, czyli w okresie najżywszych prokomunistycznych i stalinowskich sympatii. A przecież nie należała wcale do skrajnej konserwy w grupie Białych Rosjan. Wierzyła, że wraz ze śmiercią Stalina nastąpi ewolucja myśli komunistycznej, liczyła na skutki odwilży w historii intelektualnej. Optymizm ów okazał się nieco przedwczesny, a paryscy *literati* długo jeszcze nie mogli ochłonąć z kultu dla nowego światła ze Wschodu. W Stanach Zjednoczonych Berberova zamieszkała na stałe w Princeton, miasteczku uniwersyteckim w stanie New Jersey. Na tamtejszym uniwersytecie, znanym z wysokiego poziomu nauczania i ze świetnego wydziału rusycystyki, przez długie lata wykładała literaturę rosyjską. Ale nawet w kraju drugiej emigracji, gdzie doceniono jej wiedzę, popartą na dodatek osobistą znajomością wybitnych twórców i myślicieli rosyjskich XX wieku, powieść biograficzna o Czajkowskim, napisana w 1936 roku, dopiero kilka lat temu ukazała się w przekładzie angielskim.

Późna sława Berberovej na Zachodzie, a należy ona dziś do ulubienic czytelników francuskich, potwierdzałaby opinię o wygnaniu jako żywiole zasadniczo nieprzychylnym, jeśli wręcz nie wrogim pisarzowi. Ale można by przypadek Berberovej osądzić także odwrotnie: w końcu sława jej nie ominęła. Wystarczy zatem żyć długo i pracowicie, by w końcu postawić na swoim, to znaczy stać się pisarzem nie tylko dla zamkniętej, wyalienowanej grupy emigrantów. Berberova doczekała takiej chwili w 88-mym roku życia. Jedna z jej mikropowieści, *Le mal noir* (Skaza) znalazła się w zeszłym roku na liście pięciu najczęściej kupowanych książek w sieci kiosków dworcowych „Relais H" we Francji. Co jest zupełną zagadką, bo książka nie posiada żadnych cech bestselleru literatury wagonowej — nie jest ani o seksie, ani o przemocy, ani o buduarowym romansie. Jest to natomiast poetycka opowieść emigranta rosyjskiego, który dziesięć lat po śmierci żony postanawia pojechać bez wyraźnie sprecyzowanego celu do Ameryki. Ten kameralny utwór rozpisany na kilka głosów mówi o pamięci i zapominaniu, o wewnętrznej żałobie i o nowych związkach z ludźmi, o sile wyobraźni w porównaniu z trywialnością życia, ale może przede wszystkim o poczuciu nieprzynależności i korzyściach płynących z takiego stanu. Przypuszczalnie bohater *Skazy* ma sporo cech wspólnych z autorką. Doświadczenie emigranckie nie było dla Berberovej trucizną. Nawet o latach biedowania w międzywojennym Paryżu i o coraz gwałtowniejszym starciu ideologicznym wygnańców rosyjskich z ówczesną awangardą artystyczną Berberova pisze bez nienawiści. Podkreśla, że pociągała ją intensywność życia w Paryżu. Pisarka ma dar ambiwalentnego spojrzenia na świat, innych i siebie:

> Paryż nie jest miastem, lecz obrazem, symbolem Francji, jej teraźniejszości i przeszłości, odbiciem historii, geografii, duszy. To miasto obrosło w więcej znaczeń niż Londyn, Madryt, Sztokholm czy Moskwa. Pod względem bogactwa tych znaczeń można je tylko porównać z Petersburgiem, Nowym Jorkiem, Rzymem. Niemożliwe jest żyć w nim pomijając ów wymiar, odgradzać się odeń, odciąć i zamknąć w sobie. Bo ten wymiar wkracza z nami do domu, do pokoju, do nas samych, przemienia nas i zmusza do wydoroślenia, do osiągnięcia dojrzałości, albo nas okalecza;

może nawet zabić. A miasto po prostu jest, otacza nas, wieczne; nie ma większego znaczenia, czy je lubimy czy też nienawidzimy — nie możemy się od niego uwolnić. Chwyta nas w swoją pajęczą sieć i pochłania.

(*Podkreślenia są moje*)

Cytowany fragment ujawnia w Berberovej poetkę. Pisarka wspomina, że postanowiła nią zostać we wczesnym dzieciństwie. I postawiła na swoim. Od poezji zaczynała swoją twórczość literacką. W autobiografii przytacza niektóre swoje utwory. Później jednocześnie zajmowała się dziennikarstwem. W latach trzydziestych odkryła formę najbardziej odpowiadającą swemu wewnętrznemu rytmowi i długości oddechu: rodzaj dłuższego opowiadania lub mikro-powieści. Natomiast powieści biograficzne jej pióra są dużo obszerniejsze i, choć nadzwyczaj starannie udokumentowane, nie czuje się w nich ciężaru tak zwanego aparatu naukowego. Są to książki przystępne w lekturze i zarazem przenikliwe. W początkowym rozdziale biografii własnej pisarka podkreśliła z emfazą: „Wiedza o sobie samej jest jedną ze stałych danych mojego życia". Ale nie jest to w jej ujęciu placet na psychologizowanie, odsłanianie duszy, egocentryzm. Stałą cechą pisarstwa Berberovej jest finezja, dyskrecja i dystans, w każdym razie kontrolowanie emocji. Pomagają jej w tym cugle chłodnej, eleganckiej formy. Berberova, jak wynika z jej biografii, ma wyraźnie sprecyzowane sądy o swoich współczesnych. A znała, bez przesady, niemal całe środowisko literacko-artystyczne Piotrogradu, a następnie emigracji rosyjskiej na różnych kontynentach. Ceniła Oleszę, Biełego, Bunina, podzielała upodobania estetyczne swego towarzysza życia przez dziesięć lat, krytyka i literaturoznawcy Władysława Chodasiewicza, ale jeśli chodzi o styl wypowiedzi artystycznej, o najwyższy wzorzec, to Berberova najsilniej identyfikuje się z Achmatową i z Nabokovem. Opisuje w swojej książce scenę ponownego spotkania Achmatowej, po kilkudziesięciu latach niewidzenia. Wita ją na dworcu w Szwecji i, nie będąc pewna, czy autorka *Requiem* ją pozna, nieśmiało się przedstawia. Poznana, całuje ręce Achmatowej, i ten gest jest hołdem dyktowanym potrzebą serca i umysłu. Gdy w autobiografii Berberova pisze, że urodziła się przy ulicy Bolszaja Morskaja w Sankt-Petersburgu, dodaje w przypisie, że przy tej samej ulicy, dziś zwanej Herzena, przyszedł na świat dwa lata i cztery miesiące przed nią Władimir Nabokov. To podkreślenie wspólnoty pochodzenia, w sensie dosłownym, jest wyznaniem znaczącym. Nabokov, jakiego nam przedstawia Berberova, jest twórcą bodaj najbliższym jej ideałowi pisarza. Za jego portretem naszkicowanym szybką kreską kryje się coś więcej niż podziw — to zachwyt i wdzięczność za to, że ktoś taki istnieje:

...Nie o nim chcę mówić, lecz o jego dziele. „Stojąc na ludnym skrzyżowaniu, patrzę, jak przejeżdża twój królewski pojazd", wiedząc, że moje pokolenie i ja nie zniknęliśmy, nie rozproszyliśmy się po cmentarzach Billancourt, Szanghaju, Nowego Jorku i Pragi, lecz że przetrwamy w nim. Wszyscy: i ci, którym los sprzyjał, i ci, którym niczego nie oszczędził, a jest ich legion, wisimy na nim z całych sił. Jeśli Nabokov jest, ja nim jestem, ja także... Nabokov stanowi odpowiedź na wątpliwości tych, których uważa się za „niespełnionych" lub tych, na których położono krzyżyk. Jest jedynym pisarzem rosyjskim, czy to na emigracji, czy poza nią, który w swoim dziele jest zarazem i rosyjski, i zachodni.

(*Podkreślenia są moje*)

To ostatnie zdanie jest także kluczem i do twórczości Berberovej. Ów punkt widzenia — przeciwieństwo wąsko pojmowanego „nacjonalizmu" w literaturze — pozwala, jej zdaniem, na przełamanie nawyku pisania powieści „narodowych". Pisarka pragnie dowieść, że największe powieści ostatnich kilkudziesięciu lat mają charakter międzynarodowy i nieważne jest, w jakim języku powstały. Są natychmiast tłumaczone, stają się własnością ogółu. Z kolei owa zmiana punktu widzenia u twórcy — ciągnie Berberova — stwarza też odmienny typ odbiorcy, który uwalnia się od pokus nacjonalistycznych. Przeświadczenie Berberovej o uniwersalizmie najważniejszych zjawisk literackich XX wieku jest, jak można sądzić, funkcją życia na emigracji, przenoszenia się do kolejnych krajów. Taki byłby niewątpliwy zysk z kondycji wygnania. Co więcej — wygnaniec w ciągu takiej wędrówki przeistacza się w obywatela świata, uczy się przemawiać do wielu, nie naruszając zarazem swojej wewnętrznej tożsamości. Zatem wysiłek twórczy Berberovej zmierza do harmonijnego stopu rosyjskości z zachodniością. Należy ona do pisarzy znajdujących się na przeciwległym biegunie do prozy Dostojewskiego. Postacie stworzone przez autora *Biesów* znajdują się ciągle na granicy szaleństwa, miotane skrajnymi emocjami i poddane ciśnieniu idej. Berberovej taki wyraz artystyczny duszy rosyjskiej jest chyba nieznośny. Nawet historie wręcz sensacyjne opowiada tonem zrównoważonym i z umiarkowaniem. Taki jest ton powieści biograficznej o baronowej Budberg, a dokładniej — o Marii z domu Zakrewskiej, primo voto Iwanowej Beckendorff, która następnie zawarła białe małżeństwo ze zubożałym estońskim baronem Budbergiem, by uzyskać paszport republiki estońskiej. Przedtem jednak młoda wdowa, straciwszy męża w rewolucji, przeżywa wielką historię miłosną z dyplomatą brytyjskim Lockhardem, w 1918 roku wysłannikiem dworu Św. Jakuba z misją specjalną do Rosji sowieckiej. Tajny agent Lockhard po aresztowaniu w Moskwie i osadzeniu na Kremlu zostaje następnie wymieniony na Litwinowa. Peters, jeden z zastępców Dzierżyńskiego w CzeKa, był przypuszczalnie tym, który z wdowy Beckendorff uczynił podwójną agentkę, a też i swoją kochankę. Po odjeździe Lockharda Maria zwana Murą wprowadza się do domu Maksyma Gorkiego. Po aż nazbyt cudownych wybawieniach z licznych opresji już jako baronowa Budberg przez Estonię wyjeżdża na zachód Europy i mieszka z Gorkim przez większość jego pobytu we Włoszech. Ona też skła-

nia go ostatecznie do powrotu, a nawet potajemnie w Moskwie odwiedza, rzekomo zaopatrzona w glejt samego Stalina... Następnie wiąże się z H.G. Wellsem, ojcem powieści *science-fiction* i jako jego nieślubna żona przenosi się do Londynu. Wells — wielka figura jako pisarz światowej sławy i prezes Międzynarodowego PEN-Clubu — jeździ za namową baronowej Budberg kilkakrotnie do Moskwy w latach trzydziestych, publicznie wychwalając Stalina. Ona sama również pojawia się tam w pełnym incognito. Tuż przed wojną otrzymuje obywatelstwo brytyjskie, w czasie okupacji niemieckiej w Europie pracuje dla sekcji francuskiej Radia BBC. Niepełna prawda o historii jej związku z Lockhardem jest tematem głośnego filmu Alexandra Kordy. Prowadząc podwójne życie, Mura Budberg nie podzieliła bynajmniej losu Maty Hari. Była inteligentniejsza i miała potężniejszych mocodawców. Umarła w latach sześćdziesiątych, w pełni zaszczytów. Żegnano w niej wybitną intelektualistkę, orędowniczkę sztuki. Arystokracja angielska przybyła na jej pogrzeb w doborowym garniturze.

Berberova mieszkała z Murą Budberg pod jednym dachem przez trzy lata, tj. w latach 1922-1925, w domu wynajmowanym przez Gorkiego na południu Włoch, ponieważ Chodasiewicz nawiązał z nim współpracę w redagowaniu pisma literackiego wkrótce po wyjeździe z Rosji. Oboje nie byli jeszcze wtedy *de facto* uchodźcami. Przypomnę w tym miejscu, że pobyt Gorkiego w Sorrento, a następnie wymuszony na nim powrót do Moskwy i — dosłownie — zabójcze konsekwencje tej decyzji są tematem jednej z opowieści Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, zatytułowanej „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego". W dwóch książkach Berberovej — jej autobiografii oraz w *Historii baronowej Budberg* — czytelnik może znaleźć wiele dodatkowych szczegółów na ten temat, i to z pierwszej ręki. Berberova zrazu niewiele wiedziała o przeszłości kochanki Gorkiego, oficjalnie jego tłumaczki na angielski i sekretarki. Jednakże Mura tak ją zaintrygowała, że młoda pisarka zapisywała w notatniku niektóre jej wypowiedzi i strzępy rozmów. Świadomie zbierała od samego początku tej znajomości materiał do książki o kobiecie, którą Gorki z podziwem nazywał *żelieznaja żeńszczina* (tak też brzmi tytuł powieści Berberovej w oryginale). Książka powstała kilkadziesiąt lat później, po zebraniu przez autorkę solidnej dokumentacji. Berberova wstrzymuje się od pochopnych sądów i twierdzi, że nie było jej zamiarem stawiać baronowej Budberg pod pręgierzem. Bardziej ją interesuje to, jak jednostka może przetrwać w najbardziej niesprzyjających okolicznościach historycznych — i za jaką cenę. A także — do czego zmierzają protektorzy takich jednostek odznaczających się żywotnością, inteligencją i zupełnym brakiem skrupułów moralnych.

Z tego wszystkiego wynika, że Berberova jest przenikliwą obserwatorką i ludzi, i wielkich lub mniejszych gier politycznych. Zapewne śledząc związek Mury Budberg z Gorkim w Sorrento nie mogła się powstrzymać od pewnych paraleli psychologicznych ze

swoim związkiem z Chodasiewiczem. W swej autobiografii nazywa go pisarka „biednym Łazarzem". Zdumiewa ją, że człowiek, mający w sobie wyłącznie polską krew, jest do tego stopnia przesiąknięty rosyjskością (a to niekoniecznie jest zaletą w oczach pisarki). Chodasiewicz i Gorki byli słabego zdrowia, schorowani, wystawieni na gwałtowne wahania emocji. Obie kobiety były sporo młodsze od swych partnerów, energiczne, mózgowe. Chodasiewicz — umysł wybitny — miewał okresy czarnej depresji, nie umiał żyć sam, miał skłonności samobójcze i prowadził neurotyczny tryb życia. Gorki, z atakami krwotoków płucnych, naiwny utopista polityczny, obarczony był zgubną próżnością. Wierzył, że jest największym pisarzem rosyjskim, wzruszał się do łez podczas głośnego czytania swoich utworów. Berberova żywiła doń pewną sympatię. Istotę sporu i zerwania Gorkiego z Chodasiewiczem pomija niemal całkowitym milczeniem w swojej książce. Po wyjeździe z Włoch oboje przenieśli się do Paryża. Z nich dwojga to ona zarabiała na życie, matkowała Chodasiewiczowi i podnosiła go na duchu. Wreszcie go rzuciła, chyba z dużym poczuciem winy, ale nawet po wyjściu za mąż za innego emigranta rosyjskiego (w autobiografii wymienia tylko jego inicjały — NVM) stale pozostawała z nim w kontakcie. O ich skomplikowanym związku świadczą listy Chodasiewicza, przytoczone przez pisarkę w jej biografii. Czuwała nad nim do końca w czasie śmiertelnej jego choroby wiosną 1939 roku. W czasie wojny oboje z mężem opiekowali się wdową po Chodasiewiczu, Olgą Margoliną — Rosjanką żydowskiego pochodzenia. Jednym z największych wstrząsów dla Berberovej było jej aresztowanie i wywiezienie do obozu zagłady, z którego już nie wróciła. Świadectwo o życiu we Francji pod okupacją niemiecką pisarka przedstawia cytując swój dziennik z tamtych lat, nazwany „czarnym zeszytem".

Lektura jej autobiografii kusi też do porównań „szalonych lat dwudziestych" w Paryżu widzianych przez ekspatriantów amerykańskich i emigrantów rosyjskich. Te dwa Paryże zupełnie do siebie nie przystają, choć przecie dochodziło do wzajemnych kontaktów między nimi. Amerykanie upodobali sobie Dzielnicę Łacińską, okolice Odeonu oraz Neuilly. Rosjanie znajdowali mieszkania w dużo skromniejszych dzielnicach: w dwunastce o okolicach Placu Daumesnil (tam właśnie wynajęli mikroskopijne studio Berberova z Chodasiewiczem), a z przedmieść — w Boulogne i Billancourt. Niemniej topografia Paryża amerykańskiego i rosyjskiego ma punkty wspólne. Nieopodal Odeonu, na rue l'Eperon, znajdowała się księgarnia rosyjska, a niedaleko na rue l'Odeon księgarnia amerykańska „Shakespeare and Company" Sylvii Beach, wydawczyni *Ulissesa* Joyce'a. Artyści z obu środowisk upodobali sobie bary i kawiarnie na Bulwarze Montparnasse. Jednakże Paryż Hemingwaya, Scotta Fitzgeralda, Gertrudy Stein czy Ezry Pounda jest Paryżem ekscesów: artystycznych, obyczajowych, finansowych. Dolar stał wtedy bardzo wysoko, frank nisko, aż do lat wielkiego kryzysu. Burdy i pojedynki pijackie były na porządku dziennym. Natalie

Barnes, milionerka amerykańska i królowa lesbijek, zapraszała wyróżnionych na wieczorki do swego salonu, który przez sześćdziesiąt lat był swego rodzaju instytucją europejską. W ogrodach jej domu przy rue Jacob odbywały się bachanalia z udziałem samych kobiet, w tym Colette i Isadory Duncan. Nieco później amerykańska kapłanka wyzwolonego tańca przywiozła sobie z Moskwy Jesienina, który w ataku szału pijackiego wyrzucał meble przez okno ekskluzywnego hotelu Crillon i został przez policję odstawiony do granicy niemieckiej. Nastrój w środowisku intelektualnym emigrantów rosyjskich panował odmienny, co nie znaczy, że w tym gronie brakowało oryginałów. Ale czy można sobie wyobrazić białobrodego Szestowa pijącego na umór z Mereżkowskim, albo zalanego w sztok Kiereńskiego? Ich rozmowy, ich spory miały inny ciężar gatunkowy. Berberova jest zresztą przewodnikiem bezstronnym i wcale nie idealizuje emigrantów rosyjskich *en bloc*. Pisząc jednak o Boulogne Szestowa i Remizowa, o Clamart Bierdiajewa i Meudon — licznej kolonii rosyjskiej na czele z Cwietajewą — wspomina też o skromnych warunkach w mieszkaniach, gdzie wanna znajdowała się na ogół w kuchni, a okna wychodziły na ślepą ścianę czy okna sąsiadów. Jedna z ulic Billancourt miała niemal wyłącznie rosyjskich lokatorów: znaki pisano tam cyrylicą. W lokalu na rogu występowali nocą Rosjanie, ale była to licha imitacja rosyjskich kabaretów Montmartre'u i Montparnassu, gdzie śpiewały chóry cygańskie i tańczyli Czerkiesi. Ta grupa monolitem nie była. Na przykład część malarzy rosyjskich w Paryżu wcale nie chciała się pozbyć paszportów sowieckich, licząc na przeczekanie we Francji. Dopiero procesy moskiewskie w drugiej połowie lat trzydziestych postawiły ich przed koniecznością ostatecznego wyboru. Niektórzy wrócili.

Najsurowiej jednak Berberova ocenia nie rodaków, lecz intelektualistów Zachodu uwiedzionych Nowym. Przypomina:

> W owej epoce w całym świecie zachodnim nie znalazł się ani jeden znany pisarz, który by interweniował w naszej sprawie, podniósł głos przeciw prześladowaniom, które dotknęły pisarzy w ZSSR, przeciwko represjom, cenzurze, aresztowaniom, procesom, likwidowaniu pism. Stara generacja — Wells, Shaw, Rolland, Mann — została całkowicie pozyskana dla „nowej Rosji" i „interesującego eksperymentu", który zlikwidował „horrory caryzmu". Wspomagała ona Stalina przeciw Trockiemu, jak uprzednio popierała Lenina przeciw innym szefom politycznym. Dreiser, Sinclair Lewis, Upton Sinclair, André Gide (aż do 1936 roku) i Stefan Zweig stawali w obronie, w czasie wszelkich dyskusji, partii komunistycznej przeciwko opozycji. Potem przyszła generacja pośrednia, z grupą Bloomsbury i Virginią Woolf, Valérym i Hemingwayem, którzy wprawdzie nie wykazywali entuzjazmu do komunizmu, ale pozostali obojętni wobec wydarzeń w Rosji lat trzydziestych.
>
> (*Podkreślenia moje*)

Dramatyczny apel do pisarzy świata, który ukazał się latem 1927 roku w paryskim dzienniku emigracji rosyjskiej *Ostatnie Wiadomości* przeszedł bez echa. Żaden „pisarz świata" nie zareagował na treść tego apelu, który moskiewska *Prawda* nazwała fabrykacją sporządzoną przez „wrogów narodu sowieckiego". Następnie Balmont i Bunin wystosowali listy do niektórych pisarzy francuskich, apelując do ich sumień. Gdy po wielu miesiącach milczenia próbowali tekst owego listu ogłosić w którymś z wielkonakładowych pism, spotkali się z odmową. Opublikowali go w końcu w niskonakładowym *L'Avenir*. Nikt na ich apel nie zwrócił uwagi prócz Romain Rollanda (laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1916 roku), który odpowiedział na łamach miesięcznika *L'Europe*:

> „Balmont, Bunin, rozumiem was. Wasz świat został zniszczony, a wy sami znaleźliście się na smutnym wygnaniu... O, ludzie nieszczęśni, dlaczego szukacie sojuszników pośród tych okropnych reakcjonistów Zachodu, pośród burżujów i imperialistów?... Wielkie umysły jadą teraz do Rosji i widzą, co tam osiągnięto. W waszej ojczyźnie uczeni pracują w gorączce... Każda władza wydaje się zła... dlatego ludzkość prze do przodu... Dziś też posuwa się naprzód, maszerując po was i po mnie..."

Interesujący przypis do wypowiedzi publicznych Rollanda umieszcza Nina Berberova w *Historii baronowej Budberg*. Przypomina mianowicie, że w latach trzydziestych sporo kobiet pochodzenia rosyjskiego poślubiło osobistości francuskie ze świata literatury, muzyki i sztuki. Wymienia w tym miejscu nie tylko żonę Rollanda, z domu Kudaczewą, dawną sekretarkę Kogana, ale i żony Aragona, Eluarda, Légera. Istniało przeświadczenie — ciągnie Berberova — że zostały one przypuszczalnie umieszczone w orbicie tych osobistości przez Moskwę, a ich zasadniczym celem miało być zjednywanie owych geniuszy do Stalina. Jak Mura Budberg w związku z Wellsem czy Elsa Triolet w związku z Aragonem, kobiety te były energiczne, inteligentne i eleganckie, i wybierając tę niebezpieczną profesję były świadome wyznaczonych sobie zadań. Miały też swoich geniuszy domowych pod ścisłym nadzorem. Berberova dodaje, że jest to temat wart osobnej książki. Można życzyć autorce chęci do jej napisania.

Bez litości dla czytelnika francuskiego, oddającego cześć swoim idolom intelektu, Berberova przypomina, że w latach 1925-35, mimo samobójstw Majakowskiego i Jesienina, zniknięcia Pilniaka, trudności sygnalizowanych przez Ehrenburga i pogłosek krążących wokół śmierci Gorkiego, intelektualiści zachodni jakby ślepi na oczywiste fakty głosili wyższość ustroju sowieckiego. Szczególnie — podkreśla pisarka — celowali w tym awangardyści francuscy, i to nawet jeszcze w latach sześćdziesiątych, po oficjalnym potępieniu „kultu jednostki". Przypomina, że Aragon ośmielił się ogłosić swoją monumentalną (pod względem objętości) *Historię ZSSR*, opierając się zasadniczo na archiwach epoki stalinowskiej, a Jean-Paul Sartre w książce o Jean Genecie zaklasyfikował Bucharina jako zdrajcę i wroga ludu, raz jeszcze solidaryzując się ze Stalinem. Minęło ćwierć wieku, zanim wielkie umysły zaczęły się stopniowo wycofywać ze

swojej dogmatycznej wiary w wyższość komunizmu. Ale po 1945 roku długo jeszcze trzymali się mocno i trzęśli paryskim światkiem. Środowisko intelektualistów francuskich zdominowane przez Sartre'a, Aragona i Eluarda — pisze Berberova — zmusiło wielu pisarzy i myślicieli rosyjskich do powtórnej emigracji — do Stanów Zjednoczonych. W tym także ją samą. Ceną była nie tylko ciężka próba adaptacji w nowym społeczeństwie i w nieznanym — jak w przypadku Niny Berberovej — języku. Może najtrudniej było przyzwyczaić się do nijakości środowiska emigrantów rosyjskich w Nowym Jorku i ich prowincjonalizmu. W Paryżu spotykały się indywidualności, w Nowym Jorku — głównie dorobkiewicze, przez długie lata znajdujący się całkowicie poza sferą zainteresowań elity amerykańskiej. To ciągłe stawanie twarzą w twarz z nieznanym, obcym, innym — zdaniem samej pisarki — pomogło jej w uświadomieniu sobie „ciągle nowych aspektów rzeczywistości". Ale dla ilu słabszych od niej okazało się przeszkodą nie do pokonania?

Renata GORCZYŃSKA

„Lodołamacz" a historia

Francuski tygodnik *Paris Match* opublikował niedawno fragmenty nowej książki, której autora przedstawił tak: „Wiktor Suworow, jeden z szefów sowieckiego wywiadu wojskowego GRU, wybrał wolność w 1978 r., wywożąc ze sobą super-tajne materiały. Najbardziej rewelacyjne z nich ujawnia w książce 'Lodołamacz'".

Mówi się, że na wojnie i w miłości wszystkie chwyty są dozwolone. Do tych dwóch dziedzin ludzkiej działalności, w których wszystko wolno, dodałbym trzecią: reklamę. Zwróciłem uwagę na krótką notkę biograficzną Suworowa w *Paris-Match*, bo dziwnym trafem przypomina treść książki: jest w niej ziarno prawdy, okraszone bogatym haftem fantazji.

Wiktor Suworow (pseudonim), oficer GRU pracujący we Wiedniu, wybrał wolność pod koniec lat 70-tych. Nie wiem, jakie tajemnice zabrał ze sobą, mogę się tylko domyślać, że nie były to wielkie sekrety, bo oficer w stopniu kapitana nie ma do takich dostępu. Coś jednak na pewno przywiózł. Wiktor Suworow osiedlił się w Anglii i zaczął pisać książki. Najpierw wspomnienia z inwazji Czechosłowacji w 1968 r., w której brał udział jako czołgista, potem „Akwarium" o służbie w GRU. Wydał też książkę o *specnazie* (wojskach specjalnych), o strukturze GRU itd. W „Lodołamaczu" popróbował sił w nowym dla siebie gatunku literackim. Jest to mianowicie historyczne opracowanie na temat początku wojny niemiecko-sowieckiej.

Wiktor Suworow ukończył w swoim czasie szkołę oficerską, a potem akademię wojskowo-dyplomatyczną. Nie jest zawodowym historykiem, ale jak wiadomo leczyć i pisać o historii potrafią wszyscy. Nie piszę tego po to, aby z góry przekreślić wszelką wartość książki Suworowa, tylko żeby ją usytuować na właściwym poziomie.

Tytuł przyszedł badaczowi do głowy pod wpływem lektury Stalina. W 1918 roku Stalin zakończył artykuł „Światło od Wschodu" słowami: „Zachód ze swymi imperialistycznymi ludożercami przekształcił się w lodowe okowy ciemnoty i niewolnictwa. Zadanie polega na tym, aby je rozbić, ku radości i uldze proletariuszy wszystkich krajów". Suworow cytuje te słowa jako motto książki.

Tezę Suworowa można zwięźle streścić następująco: wiosną 1941 r. Stalin wyczerpał korzyści z paktu z Hitlerem. Przekonany, że po zwycięskiej wojnie przeciw Europie Zachodniej i po desancie w Anglii Hitler obróci się przeciw ZSSR, Stalin postanowił go uprzedzić. Późną wiosną 1941 zakończono intensywne przygotowania do napaści na Niemcy. Zdaniem Suworowa, atak na Niemcy poprzez Polskę i Rumunię wyznaczony był na 6-go lipca. Hitler wyprzedził Stalina o dwa tygodnie. Zamiast Armii Czerwonej idącej latem 1941 r. na Zachód „ku radości i uldze proletariuszy", czarne oddziały Hitlera wtargnęły do ZSSR.

Jest to zaskakująca koncepcja, budząca natychmiast odruch sprzeciwu. Przede wszystkim jednak chciałbym wyjaśnić, że Wiktor Suworow nie próbuje wybielać Hitlera. Niektórzy niemieccy publicyści usiłują tak interpretować „Lodołamacza", nie mają jednak po temu żadnych podstaw poza tym, że sami pragną wybielić Hitlera. Jedną z zasług pracy Suworowa jest fakt, że uwolnił się od tradycyjnej dychotomii między dobrym Stalinem i złym Hitlerem. Dla autora „Lodołamacza" jest jasne, że obaj — i Hitler, i Stalin — byli tyranami, agresorami, syjamskimi braćmi. Obaj byli straszni. Obaj łaknęli władzy nad światem. Obaj starali się nawzajem przechytrzyć i wywieść w pole.

Nie zajmując się więc sprawami oczywistymi, Suworow analizuje zebrany materiał po to, aby wyjaśnić, co się wydarzyło w maju i czerwcu 1941 roku i jakie były prawdziwe przyczyny strasznych porażek Armii Czerwonej w pierwszym okresie wojny. Nie są to nowe pytania. Po śmierci Stalina zadawali je już we wspomnieniach uczestnicy wojny. Generał Petro Grigorienko zebrał wiele takich pytań i w wydanej w samizdacie pracy przedstawił prawdziwy akt oskarżenia, żądając sądu nad Stalinem za zdradę. W epoce *głasnosti*, kiedy wolno poruszać wiele zakazanych dotychczas tematów, zrodziły się dodatkowe pytania, na które autorzy nie udzielają odpowiedzi. Nie udzielają jej przede wszystkim dlatego, że archiwa są nadal zamknięte na cztery spusty, ale też dlatego, że sowieccy

historycy wciąż jeszcze boją się poruszania drażliwych problemów.

Wiktor Suworow zebrał wszystkie pytania, wątpliwości oraz koncepcje i postawił własną, zaskakującą hipotezę. Korzystając z faktu, że Hitler był zajęty wojną na Zachodzie, Stalin postanowił — zdaniem Suworowa — uderzyć Niemcy w plecy i zdobyć Europę Zachodnią. Wystarczy przytoczyć choć kilka z „przeklętych" pytań, aby zrozumieć, że dzieje początku wojny sowiecko-niemieckiej są pełne zagadek. Suworow pyta np., po co stworzono milionową armię wojsk spadochronowo-desantowych? Są to, jak łatwo zrozumieć, wojska mało przydatne do obrony, potrzebne natomiast do ataków przez zaskoczenie. To jednak nie dowodzi jeszcze, że Stalin chciał napaść na Niemcy latem 1941 roku. Trudniej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego z rozkazu Stalina zniszczono wiosną 1941 r. linie fortyfikacyjne na byłej granicy polsko-sowieckiej, tzw. „linię Stalina". Były to potężne fortyfikacje ze zbrojnego betonu, stali i ukraińskiego granitu. Linia, składająca się z „długotrwałych punktów ogniowych" (*dotów*), połączonych tunelami i galeriami, wspaniale uzbrojona, biegła od Morza Białego do Czarnego i nie można jej było obejść z flanki, jak linię Maginota. Miała bronić granicy zarówno od czołgów jak od piechoty. Wiosną 1941 r. Stalin rozkazał linię rozbić. Uzasadniał to przeniesieniem granicy na zachód po rozbiorze Polski i koniecznością zbudowania nowej linii obrony. Nazwano ją „linią Mołotowa", ale nigdy nie zaczęto jej porządnie zbroić. Dlaczego zniszczono „linię Stalina"? Na to pytanie nie odpowiedział ani jeden z sowieckich historyków wojny. Suworow uważa, że zrobiono to po to, aby oczyścić drogi, niezbędne wojsku przy ofensywie. 1-go stycznia 1941 mianowano Żukowa naczelnikiem sztabu generalnego. Natychmiast przystąpił do gorączkowej budowy linii kolejowych: Proskurow-Tarnopol-Lwów, Lwów-Jaworów-granica itd. Równocześnie budowano szosy: Orsza-Lepiel, Lwów-Przemyśl, Biała Cerkiew-Kazatyń, Mińsk-Brześć. Suworow zauważa, że przy przygotowaniach do wojny obronnej buduje się na tyłach drogi obwodowe, równoległe do ewentualnej linii frontu, aby móc przerzucać rezerwy. Armia Czerwona budowała drogi kolejowe i szosy tylko ze wschodu na zachód, co jego zdaniem mogło być podyktowane wyłącznie myślą o ofensywie. Najważniejszej przegrody wodnej, Dniepru, broniła m.in. naddnieprzańska flotylla rzeczna. Po zagarnięciu polskich terytoriów Stalin kazał rozwiązać flotyllę naddnieprzańską, a z jej okrętów stworzył flotyllę dunajską i pińską. Zadań obronnych spełniać one nie mogły, przeznaczone były tylko do ataku. W 1943 r. udało się to, co zdaniem Suworowa Stalin zamierzał zrobić w roku 1941 — okręty rzeczne popłynęły Prypecią na Bug, Narew, Wisłę — i do „jaskini bestii".

Jednym z koronnych dowodów ofensywnych planów Stalina ma być zdaniem Suworowa utworzenie w pierwszym eszelonie strategicznym, na samej granicy, potężnej zbrojnej grupy pięciu armii. Takie skupienie praktycznie uniemożliwiało obronę, co też zostało dowiedzione w pierwszych dniach wojny: skoncentrowane na granicy wojska rozgromił atak niemiecki. Sowieccy historycy tłumaczą, że wojska przysunięto do granicy, bo Stalin spodziewał się napaści Hitlera. Z drugiej strony zgadzają się jednak, że Wódz i Nauczyciel nie chciał dać wiary ostrzeżeniom o możliwej napaści na ZSSR. Zdaniem Wiktora Suworowa jedynym logicznym wytłumaczeniem postępowania Stalina jest fakt, że wysunięte do przodu wojska czekały na sygnał do ataku. Stalin zaryzykował i poniósł druzgocącą porażkę w pierwszych dniach wojny. Armia Czerwona zapłaciła za nią niezliczoną ilością ofiar. Jak wiadomo, ofiary nie były Stalinowi straszne. Przytaczając wiele innych faktów, Suworow podsumowuje: „Armia Czerwona zareagowała na napaść niemiecką nie jak jeż, wysuwając kolce, tylko jak znienacka zaatakowany krokodyl".

Twierdzenia autora „Lodołamacza" nie są bynajmniej bezsporne. Nie ma żadnych dokumentów. Jego dowody zawsze są nie wprost, wynikają z analizy tekstów i logicznych domysłów. Można by np. odeprzeć, że Stalin nie lubił ryzyka i właściwie nigdy nie ryzykował, wolał mieć pewność. Można by też spytać, dlaczego Stalin czekał z atakiem na Hitlera na koniec działań wojennych w Europie Zachodniej, kiedy mądrzej byłoby zrobić to wtedy, kiedy trwały walki we Francji? Nie słyszano o żadnych dyplomatycznych krokach, zmierzających do wysondowania zamiarów przeciwników Hitlera. „Lodołamacz" jest jednak ciekawy z uwagi na odwagę, z jaką autor postawił nową tezę, opierając się na logice ideologii komunistycznej, oraz ze względu na przekonywującą demonstrację słabości tradycyjnych koncepcji. Książka Wiktora Suworowa pobudza do dyskusji. Tylko w ten sposób można naprawdę zlikwidować „białe plamy" w sowieckiej historii. A jest ona, tak jak była, „ślepa".

Michał HELLER

Nadesłane nowości wydawnicze

SOCHOŃ (Jan) *Paryż i inne wiersze.* Str. 56 (Wyd. Miniatury, b.m.w.).

POLANOWSKI (Tadeusz). *Z deszczu pod rynnę.* Wiersze i fraszki. Str. 112 i 2 nbl. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

KOWALIK (Jan). *Zapis w kalendarzu.* Str. 48. (Wyd. Sigma Press, b.m.w., 1989).

III rocznik Instytutu Polsko-Skandynawskiego, rok 1987/1988. Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Polsko-Skandynawski, Kopenhaga 1989).

MALEWSKI (Jerzy). *Widziałem wolność w Warszawie. Szkice 1982-1987.* Str. 216 i 8 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).

DREWNOWSKI (Jan, red.). *Samorzutne podstawy nowego ustroju*

społeczeństwa i państwa. Str. 150 i 6 nbl. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg RFA, 1989, przedruk wydania z 1933 r.).

SIKORA (Adam). *Zielona teczka.* Str. 90 i 6 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £3, $US 7,50).

SADECKI (Jerzy). *Ziarna gniewu.* Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1989).

WIŚNIEWSKI (Wojciech). *Ostatni z rodu. Rozmowy z Tomaszem Zanem.* Str. 258 i 8 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1989).

JOHNSON (Paul). *Historia świata (od roku 1917).* Tłum. zespołowe. Str. 807 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1989).

SŁONIMSKI (Antoni). *Moja podróż do Rosji.* Str. 195 i 5 nlb. (Wyd. Polonica, Sztokholm 1989).

MICHALAK (Krzysztof). *Z bumerangiem dookoła świata..* Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. nie podane, Chicago 1988).

BEDNARCZYK (Czesław). *W podmostowej arkadzie. Wspomnienia drukarza i wydawcy.* Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

MERTON (Thomas). *Posiew kontemplacji. Nikt nie jest samotną wyspą.* Przeł. Maria Morstin-Górska. Str. 359 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989).

ŁOJEK (Jerzy, Leopold Jerzewski). *Dzieje sprawy Katynia.* Str. 74 i 14 nlb. (Wyd. Zakłady Wydawnicze „Versus", Białystok 1989, cena zł 1200).

JAN PAWEŁ II. Nauczanie Papieskie IV, t. I-II, rok 1981. Tom I str. 610 i 4 nlb., tom II str. 572 i 4 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań 1989).

MEISSNER (Roman K.), HASIK (Jan M.). *Polski wkład w medycynę światową.* Wyd. dwujęzyczne polsko-angielskie. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. KAW, Poznań 1989, cena zł 2.200).

Nowiny lekarskie. W stulecie wydania pierwszego numeru pisma. Str. 87 i 9 nlb. (Wyd. Akademia Medyczna w Poznaniu, 1989).

Biuletyn Informacyjny nr 2/41 na 70 lat istnienia akademickiej szkoły nauk medycznych w Poznaniu. Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Akademia Medyczna w Poznaniu, 1989).

Dzieje naukowych towarzystw medycznych w Poznaniu w latach 1832-1983. Studia i materiały. Str. 346 i 2 nlb. (Wyd. Akademia Medyczna w Poznaniu, Poznań 1985, cena zł 1000).

LURKER (Manfred). *Słownik obrazów i symboli biblijnych.* Tłum. bp. Kazimierz Romaniuk. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań 1989).

Dzieje wydziału lekarskiego i farmaceutycznego Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego, 1919-1989. Str. 262 i fotografie. (Wyd. nie podane, Poznań 1989).

ŁOBODOWSKI (Józef). *List do kraju.* Wiersze. Str. 193 i 3 nbl. (Wyd. KUL, Lublin 1989, cena zł 750).

Literatura polska po 1939 roku. Przewodnik encyklopedyczny. Tom I pod red. Marka Witkowicza. Str. 378 i 2 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1989, dzięki dotacjom Społecznego Komitetu Nauki, Komitetu Kultury Niezależnej i Zespołu Oświaty Niezależnej).

KŁOSSOWSKI (Andrzej). *Anatol Girs — artysta książki. Warszawa-Monachium-Detroit-West Chesterfield.* Wyd. II poszerzone. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1989, cena zł 350).

ZIELIŃSKI (Adam). *Henrique de Campos Ferreira Lima, historyk i bibliograf powiązań polsko-portugalskich (1882-1949).* Nadbitka z rocznika Biblioteki Narodowej t. XX, Warszawa 1988, str. 341347).

BUKOWSKI (Waldemar), GŁUSZEK (Stanisław), SOLAK (Zbigniew), opr. *Bibliografia historii polskiej za rok 1986.* Str. 397 i 3 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź, 1989, cena zł 2.200).

MAZOWIECKI (Tadeusz). *Un autre visage de l'Europe.* Z polskiego przeł. Eric Morin-Aguilar. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Szwajcaria 1989).

Un autre Gorbatchev. Praca zbiorowa. Str. 45 i 1 nlb. (Wyd. ASFD, Paryż 1989).

Cahier de doléances sur les violations des droits de l'homme et du citoyen en Pologne pour la période allant de l'instauration de l'état de guerre le 13 décembre 1981 jusqu'au 30 novembre 1988. Str. 90. (Opr. Ligue polonaise des droits de l'homme, wyd. Les Amis de Diagonale Est/Ouest, Paryż 1989, cena F. 50).

GRYZIK (Antoni). *La découverte des Alpes dans la poésie polonaise.* Nadbitka z *Le Monde alpin et rhodanien. La haute montagne — vision et représentation*, str. 237-243, 1-2 trimestre 1988).

WYRWA (Tadeusz). *La notion de la liberté en Pologne au XVI siècle.* Nadbitka z *Coutumes et libertés, actes des journées internationales de Toulouse*, 4-7 juin 1987, Montpellier 1988).

RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *La dernière gare — Umschlagplatz.* Przeł. z polskiego Veronique Patte, przedmowa Henri Raczymow. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1989, cena F. 95).

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Wolna trybuna

A po roku zabłyśnie słońce

Przedstawiony przez wicepremiera Balcerowicza program zmiany polskiej gospodarki imponuje swoim rozmachem i celami. Obiecuje on, że po roku wyrzeczeń ludzie przeniosą się z realsocjalizmu do kapitalizmu — i to jeszcze w jego socjaldemokratycznej, opiekuńczej postaci. Niestety, program ten ma kilka braków. Po pierwsze, nie wiadomo na pewno dokąd zaprowadzi jego realizacja. Po drugie, nie precyzuje on jak wielkie mają być wyrzeczenia społeczeństwa i właściwie, kto ma się czego wyrzec — a zatem, nie wiemy czy można liczyć na cierpliwość ludzi. Po trzecie wreszcie, nie zawiera ten program propozycji równoległych, wariantowych, sugerując, że jesteśmy w sytuacji, kiedy możemy albo wszystko uzyskać, albo wszystko stracić.

Ten program to tylko jeden z ważnych elementów polskiej sytuacji politycznej, skomplikowanej, z tak wieloma niewiadomymi, że trudno nawet zaryzykować wróżenie (choćby z fusów). Ograniczę się zatem do zarysowania dylematów polskich z końca października 1989 roku.

Rozpad opozycji?

Jeszcze przed obradami „okrągłego stołu", a już bardzo intensywnie podczas ich trwania, dochodziły sygnały, że część doradców „S" zawarła kontrakt polityczny z ludźmi władzy. „Zmowa lewicy" — bo tak to nazywano na mieście — miałaby polegać na tym, że „S" pozwoli nomenklaturze zachować uprzywilejowany status w nowym układzie politycznym i gospodarczym, w zamian za co nomenklatura pozwoli na reformy

polityczne i dopuści „S" do władzy. Główną przyczyną zgody obu stron na taki kontrakt była obawa przed rychłym wybuchem pracowniczego buntu.

W miarę upływu czasu po „okrągłym stole" wspomniany kontrakt stawał się coraz wyrazistszy publicznie. Świadczą o nim zachowania doradców „S" po wynikach wyborów 4 czerwca, zachowanie przy wyborze prezydenta i premiera Kiszczaka jak również publikacja Adama Michnika w *Gazecie Wyborczej*.

Adam Michnik nie skrywa, że chodzi mu o sojusz sił reformatorskich z PZPR-u i „S". Obecnie istniejąca koalicja „S" ze ZSL i SD nie jest tym, co by go satysfakcjonowało. Znana koncepcja Michnika „Wasz prezydent — nasz premier" miała mieć inne zakończenie. Jakie? Czy premierem miał być Geremek lub Kuroń, jednym słowem ktoś z grupy „lewicowej" w „S"?

Jeżeli publicystyka w *Gazecie Wyborczej* jest odzwierciedleniem działań politycznych Michnika, to niewątpliwie prowadzi on — i jego grupa — grę przeciwko rządowi Mazowieckiego. Nowa koalicja — „S" z PZPR — może powstać tylko na gruzach tego rządu.

Jaką grę prowadzi Mazowiecki? Wydaje się, że przede wszystkim stara się opanować kryzys państwa i gospodarki. Sądzę, że ciężar jest tak wielki, że nie starcza już sił na nic innego. Charakterystyczne jednak, że grupa Mazowieckiego, zwana „świtą", nie szuka nowych sojuszników w opozycji, stara się raczej zjednać sobie część nomenklatury i administracji państwowej, podkreślając starannie, że nie ma mowy o żadnych „czystkach". Nie wróży to, moim zdaniem, powodzenia tej ekipie. Mazowiecki ma chyba tego świadomość lub po prostu wynika to z jego mentalności, w każdym razie od początku swojego premierowania podkreśla tymczasowość swojej funkcji — jakby nastawił się jedynie na pierwszy krok w kierunku wolności tego kraju, a inni niech później dokończą dzieła. Krok kamikaze w przepaść.

O ile jednak dla Michnika i jego grupy zwanej „familią" głównym oparciem wydaje się Rakowski i częściowo Jaruzelski plus OKP, to dla Mazowieckiego — także tenże Jaruzelski i Kiszczak, jeśli chodzi o władzę, ale głównie Kościół i częściowo „Solidarność".

Wałęsa i jego „dwór" są poza tą sceną. Przewodniczący „S" stara się zachować rolę arbitra, być ponad bieżącymi podziałami i polityką. Sama „S" zaś musi lawirować między zmęczeniem społeczeństwa i twardą polityką gospodarczą rządu.

O ile wydaje się teraz oczywiste, że wezwanie Wałęsy, żeby „S" wzięła urząd premiera w koalicji z ZSL i SD było zablokowaniem pomysłu Michnika „Wasz prezydent — nasz premier", to wcale nie wiadomo, jak Związek będzie się zachowywał

dalej. Grupa Mazowieckiego bowiem — wykorzystywana do zablokowania dążeń OKP do przejęcia władzy bezpośredniej — prowadzi teraz grę samodzielną, o niezbyt przejrzystym celu. Wałęsa został postawiony w sytuacji, kiedy na scenie politycznej znajdują się po stronie opozycyjnej trzy potężne siły: OKP z Michnikiem i Geremkiem, rząd z Mazowieckim, no i „S" z Wałęsą. Jaki wariant wybierze przewodniczący z „S"? Czy podtrzymywanie rządu Mazowieckiego, wbrew narastającym sprzeciwom społecznym? Czy zmianę rządu na inny, ale też solidarnościowy — byłby to więc rząd Geremka? Albo rząd fachowców, pod patronatem „S"?

Są to wszystko pytania otwarte, ale nie one wydają mi się ważne. Interesuje mnie raczej, jakie względy zadecydują o opcji Wałęsy. Mam nadzieję, że będzie to wzgląd na przyspieszenie marszu ku wolnej, niepodległej, demokratycznej Polsce. Dotychczasowe doświadczenie poucza, że Wałęsa ma niezły instynkt polityczny w tej kwestii.

U nas

Zagrożeń dla tego marszu ku niepodległości jest wiele. Zacznę od czynników wewnętrznych, od wspomnianego już krachu gospodarczego. Otóż, wcale nie jest pewne czy społeczeństwo przyzwoli rządowi na radykalny program ekonomiczny. Na razie, premier Mazowiecki jest pod ciśnieniem wrzasków populistycznych, ale ma za sobą większość pracujących. Co będzie jednak gdy ludzie zniechęcą się do rządu lub zobojętnieją, zajęci bezpardonową walką o codzienny byt? Czy wówczas populizm nie stanie się realnym zagrożeniem? Wpływ na to może mieć także przedłużające się wychodzenie z krachu. Rząd, z jednej strony, nie może iść za wolno, itd. itd. itd. Ani za wolno, ani za szybko, tylko w sam raz! Ba, kto kiedy widział tak „aptekarski" gabinet?!

Kolejne wewnętrzne zagrożenie, to niestabilny układ polityczny. Wspomniałem już o nim pisząc o podziałach w opozycji. Warto do tego dodać jeszcze i to, że powstające partie polityczne dodatkowo destabilizują układ, choć przecież jednocześnie wpływają na jego normalnienie. Nie jest wykluczone, że część opozycji sprzymierzy się z częścią dotychczasowego układu władzy, aby sięgnąć po rząd. Oznaczałoby to ostateczne rozbicie opozycji i należy sądzić, że wówczas nomenklatura po pewnym okresie dzielenia się władzą, przywróciłaby swój dotychczasowy stan posiadania. Totalizm u progu? Chyba tak, choć raczej w wersji autorytarnej prezydentury, niż monopolu partii komunistycznej. To znaczy totalizm ufryzowany. Elementy dekoracyjne

to rząd „S" lub jakiejś tam koalicji, w miarę wolna prasa, poluźniona gospodarka — a za tym wszystkim cień potężnego aparatu prezydenckiego, właściwego władcy Polski. Może to jednak nie będzie już totalizm, co najwyżej absolutyzm oświecony? Tak, raczej to.

Upadek Gorbaczowa

Na zewnątrz zaś najważniejsze, i w ogóle decydujące dla przyszłości Polski w najbliższych kilku latach, to kwestia dalszych losów *pieriestrojki*. Rozsadzanie od środka imperium, a także jego jądra czyli Sowietów, moim zdaniem, spowoduje niebawem kontrreakcję nomenklatury. Efektem będzie *pieriestrojka* bez *głasnosti*, z Gorbaczowem lub bez, to już nie jest ważne. Oznakami takiej możliwości są interwencje wojska w Gruzji, Armenii i Azerbejdżanie, a także list KC KPZS w sprawie Litwy, czy w ogóle republik nadbałtyckich.

Wydaje się, że w obozie demoludów najwięcej szans mają Czesi, którzy idą w stronę reform gospodarczych przy zaciskaniu pętli politycznej. NRD rozsypuje się na wzór Polski, co oczywiście oznacza jedynie reformizm wewnątrzpartyjny. Węgry szybują prosto ku oderwaniu się od Układu Warszawskiego, co może oznaczać tylko jedno (fatalne) zakończenie, też znane z 1956 roku. Polska wiadomo. Podobnie Sowiety. Rumunia i Bułgaria już za chwilę pogrążą się w niebycie cywilizacyjnym. Tylko Czesi mają szansę na poprawę gospodarki bez wstrząsów politycznych i innych z tego wynikających komplikacji. Wydaje się, że oni są już najbliżej modelu, który stanie się obowiązujący w imperium, czyli wspomnianego już absolutyzmu (mniej, lub bardziej oświeconego, to drugorzędne).

Co dla nas, dla Polski, wynika z upadku Gorbaczowa? Co się stanie, jeżeli sprawdzi się moja wizja (nota bene wcale nie najczarniejsza)?

Dużo tutaj zależy od stanu faktycznego, w jakim będziemy się znajdować. Gdyby ten dzień nadszedł dzisiaj, przy tak wyraźnym rozbiciu opozycji, słabym Związku, zagnanym w kozi róg rządzie i z ofertą grupy Michnika i Geremka pod adresem Jaruzelskiego i Rakowskiego, to wariant absolutyzmu oświeconego, z faktyczną władzą prezydenta i jego urzędu przy zachowaniu ornamentyki demokratycznej, jest nieuchronny.

Jest też możliwe zderzenie polskich ruchów politycznych z nowym kursem sowieckim. To byłby wariant krwawy, najgorszy. Niemniej chyba realny? A jaki jest jeszcze realny? Stawiałbym tu na mocny ruch komitetów obywatelskich, które łącznie ze wzmocnionym Związkiem, stanowiłyby na tyle silne oparcie dla

Wałęsy, że — przy upadku Gorbaczowa — musiałoby dojść do faktycznego podziału władzy między prezydenta a przewodniczącego „S". Można sobie wówczas wyobrazić, że nomenklatura wolałaby wymienić swój uprzywilejowany status polityczny na kapitał, pieniądze, zamiast ryzykować utratę wszystkiego. Jest bowiem więcej niż pewne, że system prezydencki ograniczony przez „S" oznaczałby likwidację niskich i średnich szczebli nomenklatury. Musiałaby ona zniknąć z fabryk i gmin. W województwach zaś nie miałaby wówczas najmniejszego zastosowania.

W tym też wariancie, preferowane obecnie uwłaszczenie nomenklatury miałoby — moim zdaniem — pozytywny sens społeczny. Jak na razie bowiem, służy ono jedynie dodaniu nomenklaturze do jej władztwa politycznego pieniędzy, aktów własności gospodarki narodowej. Wzmacnia to ich panowanie w Polsce.

No, ale to znowu czyste wróżby z fusów. Zamiast je rozwijać, poczekajmy czy sprawdzą się wcześniej wyrażone prognozy. Zdecydują miesiące, a może nawet tygodnie.

Krzysztof CZABAŃSKI

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne
prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1.11.89
W porozumieniu z Federacją Rodzin Katyńskich w Polsce ukonstytuował się Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej. W skład Komitetu weszli: Andrzej Chmielarz, Jerzy Jackl, Stanisław M. Jankowski, Andrzej K. Kunert, Bożena Łojek, Adam Macedoński, Marek Tarczyński, Jacek Trznadel, Jędrzej Tucholski i Wojciech Ziembiński. ■ Ostatnie wydarzenia w NRD spowodowały narastającą liczbę Polaków ubiegających się o prawo przesiedlenia do Niemiec Wschodnich. W związku z masową emigracją obywateli NRD do RFN zarysowuje się dla Polaków szansa uzyskania pracy i mieszkania. Konsulaty generalne NRD we Wrocławiu i Szczecinie są oblężone przez petentów. Władze NRD jeszcze nie zajęły stanowiska w związku z tym exodusem.

2.11.89
W prasie krajowej toczy się ożywiona dyskusja na temat stacjonujących w Polsce oddziałów armii sowieckiej. Mieszkańcy Świdnicy i innych miejscowości, gdzie stacjonują oddziały sowieckie, skarżą się na niszczenie miast przez garnizony i koszty ich utrzymania. Wszelkie protesty pozostają bez odpowiedzi ze strony rządu i władz wojskowych. Sprawa utrzymywania garnizonów sowieckich w Polsce nie została, niestety, załatwiona w czasie pobytu premiera Mazowieckiego w Moskwie, jak zresztą wiele innych spraw drobnych, a dokuczliwych. ■ W *Gazecie Wyborczej* toczy się dyskusja i wyjaśnienia przedstawicieli władz wojskowych na temat polskiego handlu sprzętem wojennym. Wypowiedzi pułkowników były więcej niż bagatelizujące. Natomiast Piotr Niemczyk w liście do redakcji zamieszczonym w *Gazecie Wyborczej* z 24 listopada 1989 podaje szereg faktów tajnego eksportu do Egiptu, Jemenu, Syrii, Iraku, Libii, Angoli, Etiopii, Kuby, Libanu i Nikaragui. Dostarcza się również broń do Ameryki Południowej i Środkowej. W Polsce istniały i zapewne istnieją obozy szkoleniowe dla terrorystów ze Środkowego Wschodu. W swoim czasie pisaliśmy o takim obozie koło Dęblina. List P. Niemczyka *Gazeta Wyborcza* zamieściła bez komentarzy i nic nie zrobiono w sprawie wyjaśnienia i zlikwidowania tych praktyk.

6.11.89.
Na konferencji rzecznika prasowego Rządu zostało ujawnione, że oficjalne partie polityczne PRL korzystały z subwencji z budżetu państwa. A więc PZPR — 13 mld dotacji, 52 mld z wpływów ulgowo traktowanej RSW Prasa, 18 mld niskooprocentowanych kredytów; ZSL — 600 mln dotacji, 5,4 mld z Cepelii, 6,5 mld kredytów; SD — 455 mln dotacji oraz wpływy z korzystnie opodatkowanej „Epoki", 2,5 mld kredytów.

16.11.89.
W Warszawie reaktywowano Polską Akademię Umiejętności z siedzibą w Krakowie. Wybrany zarząd został przedstawiony do zatwierdzenia gen. Jaruzelskiemu, jako prezydentowi.

19.11.89.
Zaczął wychodzić *Przegląd Uniwersytecki KUL*-u, który będzie ukazywać się sześć razy do roku. Redaktorem naczelnym jest Krzysztof Kuty.

22.11.89.
Na skutek zarządzeń Bogdana Lisa, odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne w KKW, zostało zamknięte Biuro „Solidarności" w Sztokholmie. Biuro było utrzymywane przez szwedzkie związki zawodowe i kierowane przez Marka Michalskiego. Jest to jeszcze jedno z posunięć ośrodka „Solidarności" w Gdańsku, który likwiduje wszystkie placówki mające charakter niezależny i które nie są ślepo podporządkowane Wałęsie. Do tej sprawy jeszcze wrócimy.

26.11.89.
Zdumiewająca uroczystość. W Libidzy koło Kłobudzka został otwarty wodociąg, założony przy udziale kościelnej fundacji zaopatrzenia wsi w wodę. Mszę dziękczynną celebrował biskup częstochowski, Stanisław Nowak. W akcie poświęcenia uczestniczyli przedstawiciele fundacji, zaproszeni goście, wiceminister rolnictwa RFN, przedstawiciele ambasady RFN, ambasador Australii oraz wojewoda częstochowski. To wszystko z powodu jednego wodociągu! Byłoby interesujące, gdyby fundacja zdecydowała się na ogłoszenie sprawozdania z dotychczasowej działalności. Tak samo przydałoby się sprawozdanie z fundacji prof. Kuratowskiej.

29.11.89.
Jerzy Urban został szefem Krajowej Agencji Robotniczej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

6.11.89
Podajemy poniżej skład rządu RP na Uchodźstwie, zaprzysiężonego przez Prezydenta RP: *premier* — Prof. Edward Szczepanik (BP), *ministrowie*: p. Walery Choroszewski (NGS) — *Informacja*, mgr Tadeusz Drzewicki (SP) — *Sprawy Zlecone*, dr Leonidas Kliszewicz (NGS) — *Oświata i Kultura*, ppłk dypl. inż. Jerzy Morawicz (BP) — *Sprawy Wojskowe*, p. Jerzy Ostoja-Koźniewski (LN) — *Skarb*, inż. Ferdynand Pasiecznik (LN) — *Sekretariat Rady Min.*,, mgr Zbigniew Scholtz (PPS) — *Sprawy emigracji*, prof. dr inż. Zygmunt Szkopiak (ChD) — *Sprawy Zagraniczne*, mgr Stanisław Wiszniewski (PSL) — *Sprawiedliwość*, mgr Ryszard Zakrzewski (PPS) — *Sprawy Krajowe*, p. Jerzy Zaleski (LN) — *Sprawy Zlecone*. Znaczenie skrótów: BP — Bezpartyjny, ChD — Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, LN — Liga Niepodległości Polski, NGS — Niezależna Grupa Społeczna, PPS — Polska Partia Socjalistyczna, PSL — Polskie Stronnictwo Ludowe, SP — Stronnictwo Pracy.

10.11.89.
Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 82 lat Mykoła Liwickij, prezydent Ukraińskiej Republiki Ludowej. Był trzecim prezydentem URL, po atamanie Petlurze i swoim ojcu Andrzeju Liwickim. Jego następcą jest Mykoła Pławiuk, dotychczasowy wiceprezydent. ■ Francja przestała udzielać azylu politycznego obywatelom węgierskim z chwilą, gdy Węgry stały się krajem demokratycznym. Zostało to ostatnio zastosowane także wobec Polaków i Niemców z NRD. Również Szwecja zaprzestała udzielania azylu Polakom i Węgrom.

11.11.89
Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce przyznawać będzie każdego roku w dniu 11 listopada nagrody za najlepsze prace dotyczące prześladowania Polaków przez terror komunistyczny i sowiecki. Nagrodę ufundowali Alojzy i Elizabeth Kondraccy z Florydy. Tegoroczne nagrody zostały przyznane: I nagroda — Dol. 500,00 — zespołowi, który opracował wystawę „Zmarli zobowiązują żywych" w Galerii na Ostrowie, kierowanej przez Jerzego Rybę. Wystawa ta, poświęcona ofiarom mordów dokonanych przez władze komunistyczne w latach 1947-1953 na Dolnym Śląsku, była eksponowana we Wrocławiu oraz wiosną 1989 r. w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku; II nagrodę — Dol. 300,00 — otrzymał Obywatelski Komitet Poszukiwania Mieszkańców Suwalszczyzny, zaginionych w lipcu 1945 r.; III nagrodę — Dol. 200,00 — przyznano Krzysztofowi Łączyńskiemu z Warszawy za odkrycie materiałów wskazujących, że bezpieka grzebała pomordowanych Polaków na cmentarzu na Służewie.

16.11.89
Zmarł w Londynie w wieku 75 lat Wojciech Dłużewski, wybitny działacz katolicki, kierownik wydawnictwa „Veritas" w Londynie.

17.11.89
Czesław Miłosz został odznaczony *The National Medal of Arts*, nagrodą przyznawaną przez National Endowment for Arts za wybitne osiągnięcia artystyczne. W bieżącym roku odznaczenie to przyznano 11-tu osobom (w tym Johnowi Abdike i pośmiertnie Władimirowi Horowitzowi) i jednej fundacji. Ceremonia wręczenia odznaczeń przez prezydenta Busha i jego małżonkę miała miejsce w Białym Domu.

20.11.89.
W niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Bonn dyskutowana jest sprawa otwarcia konsulatu PRL w Hamburgu oraz konsulatu RFN w Krakowie. Otwarcie tych konsulatów nastąpi prawdopodobnie wiosną 1990 r.

30.11.89.
W *Galerie Jacques Bourbier et Caroline Beltz* w Paryżu została otwarta wystawa rzeźb Ludwiki Ogorzelec.

1.12.89
Le Monde, jedno z czołowych pism francuskich, oddało *Gazecie Wyborczej* w bezpłatne dziesięcioletnie użytkowanie maszynę, na której dotąd pismo było drukowane. Maszyna jest ogromna, składa się z sześciu jednostek, z których każda może w ciągu godziny wydrukować czterdzieści tysięcy 16-stronicowej gazety. *Le Monde* przeszedł na nowocześniejszą technikę druku i ta maszyna przestała mu być potrzebna. Koszt rozmontowania i przewiezienia maszyny do Polski wyniesie około 300 tys. dolarów. Pieniądze na pokrycie tych kosztów zbiera we Francji Stowarzyszenie *Solidarité France-Pologne*. ■ W Monachium zaczęło ukazywać się nowe czasopismo — *Exodus — Pismo Polskich Parafii*. Wydawcą jest parafia polska w Monachium. ■ Nowym dyrektorem Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa został mianowany p. Piotr Mroczyk, od kwietnia 1989 r. zastępca dyrektora p. Marka Łatyńskiego. Sam fakt nie byłby specjalnie interesujący, gdyby nie forma, w jakiej odbyło się przejęcie władzy. Mianowicie p. Marek Łatyński został telefonicznie wezwany do p. Ross Johnsona, amerykańskiego dyrek-

tora Radia Wolna Europa, który zawiadomił go, że został zdymisjonowany dodając, że komunikat w tej sprawie został rozesłany do wszystkich pracowników Polskiej Sekcji. Na konferencji redaktorów p. Ross Johnson tłumaczył dymisję p. Łatyńskiego zmianą sytuacji w Polsce, która wymaga nowej polityki Radia. Zwróciło powszechną uwagę, że p. Ross Johnson z naciskiem podkreślił, że cała sprawa była uzgodniona i aprobowana przez p. Jana Nowaka, który w listach skierowanych do p. Ross Johnsona i p. Marka Łatyńskiego kategorycznie zaprzeczył tej informacji, dodając, że wysoko cenił działalność p. Łatyńskiego.

P. Piotr Mroczyk w swoim przemówieniu inauguracyjnym powiedział, że położy nacisk na dyscyplinę zespołu i powoła komisję, która zbada zarówno dotychczasowy program jak i kompetencje pracowników Wolnej Europy, informując jednocześnie, że polski *desk* otrzymał specjalny budżet w wysokości 1 miliona dolarów, który jest w dyspozycji dyrektora Polskiej Sekcji i z którego — jak wiadomo — nie musi się on rozliczać. *No comment*, jak mówią Amerykanie.

3.12.89
Peter Brook, Jerzy Grotowski i Jan Kott otrzymali francuskie odznaczenie *Mérite des Arts et Lettres.*

8.12.89
W *Atelier Michel Barbé* w Paryżu została otwarta wystawa malarska Zdzisława Sosnowskiego.

15.12.89.
Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała doroczny świąteczny kiermasz książki. Będą na nim podpisywali swoje książki: Stefan Kisielewski — „Bez cenzury" oraz „Lata pozłacane, lata szare"; Janina Kościałkowska — „Łódź bukowa"; Adam Zagajewski — „Solidarność i samotność", „Solidarité, Solitude" (Fayard, 1986), „Coup de crayon" (Fayard, 1987) i „Palissade, marroniers, liserons et Dieu" (Fayard, 1989).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W styczniu 1989 roku Muzeum Polskie w Ameryce (Chicago) otrzymało od znanego mecenasa sztuk pięknych dr S. Głowackiego z Detroit 44 obrazy R. Orłowa, malarza i kompozytora. Jednocześnie dr Głowacki ufundował jedno 6-miesięczne stypendium dla malarza polskiego, który nie przekroczył trzydziestego roku życia; będzie ono corocznie przyznawane przez kustosza Muzeum, a zakończone ma być wystawą prac stypendysty w jednej ze znaczących galerii miasta lub salach Muzeum. S. Głowacki został przyjęty do Rady Nadzorczej Muzeum Polskiego w dowód uznania za sponsorowanie wielu inicjatyw artystycznych. ■ W lutym planowano urządzenie wiecu przed konsulatem PRL w Chicago w związku z

tajemniczymi śmierciami dwóch księży w Polsce. Była to inicjatywa m. in. Wydziału Stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej w Illinois, ale radio należące do Związku Narodowego Polskiego odmówiło nadania komunikatu o proteście, co jest o tyle dziwne, że prezes ZNP z zasady jest prezesem KPA. Jedna z popularniejszych spikierek polonijnych, U. Michałowska, która komunikat nadała oraz skrytykowała publicznie decyzję cenzurowania audycji, została usunięta z pracy przez podwójnego prezesa — Edwarda Moskala. Swoją decyzję uzasadnił on nie tylko dobrem Polski (*sic!*), ale i prawem pracodawcy do dobierania sobie pracowników. W efekcie manifestacja przed konsulatem nie odbyła się. ■ Towarzystwo Sztuki Polskiej w Detroit (niegdyś wielkim „polskim" mieście) znane z finansowej pomocy wielu ważnym dla polonijnego życia wystawom, spotkaniom i wykładom, wybrało nowe władze z prezeską dr Z. Drozdowską-Kafarską. ■ Dla polskiej grupy etnicznej w Detroit decyzja o zamknięciu lub częściowej likwidacji 43 parafii, w tym wielu z XIX wieku i przeważnie polskich, okazała się bolesna i zaskakująca. Powody tej decyzji kardynała polskiego pochodzenia E. Szoki nie są zupełnie jasne, gdyż nie wszystkie parafie przynosiły straty finansowe (było to jedno z kryteriów przy analizie dokonanej przez władze archidiecezji detroickiej), a dla wielu mieszkańców życie parafialne odgrywa olbrzymią rolę. Przy parafiach bowiem najczęściej działają kluby, chóry, polskie szkoły oraz harcerstwo. Protestowały rozmaite organizacje, ale kardynał pozostał nieugięty. W całych Stanach jest 560 polskich parafii, w których pracuje ok. 200 księży z kraju lub z Polski. Najwięcej parafii mają stany północne: Wisconsin, Illinois, Michigan i Pensylwania, a spośród wielkich miast Chicago, Nowy Jork i Detroit. ■ W czerwcu parafianie z Detroit dowiedzieli się, że sąd powiatu Wayne odmówił wydania zakazu zamknięcia 14 kościołów katolickich, które miały być zlikwidowane w pierwszej kolejności na mocy decyzji kard. E. Szoki. ■ Dan Rostenkowski z Illinois wystąpił wobec Komisji Prawnej Izby Reprezentantów z wnioskiem o podniesienie kwoty dla uchodźców z Europy wschodniej (przyjęto) i o ponowne jej rozdzielenie między Sowiety i pozostałe kraje. Trzeba przypomnieć, że kwoty te połączono przed laty, kiedy notorycznie nie wykorzystywano — w związku z ograniczoną ilością Żydów wypuszczanych z Sowietów — puli sowieckiej, aby w ten sposób mogli wyjechać do USA przedstawiciele innych narodów zniewolonych. Po ostatnich ułatwieniach sowieckich sytuacja się odwróciła i właściwie poza Żydami z tego kraju nie starczało już miejsc dla innych. D. Rostenkowski interesuje się też losem uchodźców polskich, którzy utknęli w obozach i jest chyba jedynym, który próbuje uczulić na te sprawy posłów amerykańskich. ■ Przed wakacjami zorganizowano w Wayne State University (Detroit) slawistykę w taki sposób, że połączono ją z germanistyką i literaturą ormiańską. Jest to tylko fragment szerszego zjawiska, bowiem sytuacja slawistyk, szczególnie polonistyki, jest po prostu fatalna. ■ W czerwcu ukazał się w detroickim

Dzienniku Polskim wywiad z K. Łukomskim, wiceprezesem KPA, który poza zarzutami pod adresem Polonii, że nie włącza się do amerykańskiego życia politycznego i nie wywiera presji na administrację przyznał, że KPA zbyt mało uwagi poświęca sprawom polskiej grupy, bowiem dominują sprawy Polski. ■ W Los Angeles odbyło się posiedzenie KPA, pierwszy raz z Moskalem jako prezesem; odrzucono zalecenia z 1968 roku o unikaniu uczestnictwa w spotkaniach organizowanych przez reżim, natomiast takie zalecenie utrzymano wobec towarzystwa „Polonia". ■ Aurelia Puciński jest pierwszą w kraju kobietą-prawnikiem, zarządzającą najważniejszą organizacją sądowniczą; oprócz tego jest odpowiedzialna za przestrzeganie prawa w Chicago oraz opiekuje się młodzieżą polską. ■ 13 lipca Senat przegłosował (81 głosów za, 17 przeciw) nową ustawę imigracyjną. Dzięki niej zwiększy się napływ imigrantów wykwalifikowanych i wykształconych. Roczny pułap dla imigrantów podniesiono do 630.000 wiz (nie licząc uchodźców politycznych); jest to więc wzrost o 150.000 wobec roku 1988. W tej liczbie 480.000 zarezerwowano dla rodzin obywateli lub rezydentów, a 150.000 przyznano „niezależnym", czyli posiadającym poszukiwane w Stanach kwalifikacje lub wykształcenie. ■ W New Jersey trwają prace przy Pomniku Katyńskim, który ma być zakończony w 1990 r. i stanąć na Exchange Place, nad rzeką Hudson. Oprócz normalnych w takich sytuacjach problemów finansowych dochodzą jeszcze problemy z mnogością komitetów zbierających pieniądze; grupa zbierająca w Chicago ogłosiła swoisty konkurs, oferując swe fundusze temu, kto pierwszy zbuduje pomnik w Nowym Jorku lub w New Jersey. ■ Katastrofalna sytuacja medyczna w Polsce rodzi najprzeróżniejsze inicjatywy. Jedną z nich jest powstanie przy nowojorskim KPA Komitetu Pomocy Polskim Dzieciom. Inną — kursy dla pielęgniarek z Polski w szpitalu Sióstr Nazaretanek w Chicago z bezpłatnym kursem angielskiego. W tym mieście działa też fundacja „Dar serca" przy Shriners Hospital for Crippled Children. Podaję adres: „Dar serca", P.O. Box 41216, Chicago, Illinois 60641 (można pisać po polsku). W Los Angeles pod kierunkiem sławnego japońskiego lekarza Taro Yokoyama polski specjalista dr Z. Dworak wykonuje operacje serca dzieciom z Polski; St. Vincent Medical Center, L.A. Heart Institute, 6702 Hillpark Dr. Apt. 406, Los Angeles, California. Stale działa też Fundacja Charytatywna KPA, która wysłała 30 kontenerów sprzętu medycznego do ośrodka kardiochirurgicznego w Katowicach. ■ Rozpoczął się nowy rok w sobotnich polskich szkołach, których ilość wzrosła z 72 do 87. Obok starych ośrodków w stanach Nowy Jork, New Jersey, Illinois, Michigan, Pensylwanii i Connecticut, powstały w ostatnich latach nowe w Kalifornii i Massachusetts. Szkoły te istnieją przy polskich parafiach, a po lekcjach dzieci mogą uczestniczyć w zbiórkach polskiego harcerstwa, próbach chórów lub teatrów. Oprócz dwóch organizacji, harcerstwa i związków „Sokoła", wielką rolę odgrywa sport polonijny. W polskich szkołach dzieci poznają również historię

i geografię Polski. W niektórych też geografię tych części Ukrainy i Litwy, które dawniej były polskimi kresami. Niestety większość programów powiela programy szkół z Polski i przewiduje np. uczenie dzieci, dla których polski jest już językiem obcym, Bogurodzicy czy innych niezrozumiałych dla przeciętnego Polaka utworów. ■ 50-lecie istnienia obchodził Legion Młodych Polek, zorganizowany po upadku Polski w 1939 w celu wspomagania żołnierzy i ofiar wojny, a po 1945 przekształcony w organizację charytatywno-kulturalną. ■ „Polowanie na karaluchy" J. Głowackiego zostało uznane przez *Time Magazine* za jedną z 10 najlepszych sztuk w 1987 r. w USA. ■ Najstarszy polonijny tygodnik w Stanach, wydawana w Wisconsin *Gwiazda Polarna*, znajduje się obecnie w fazie dużych zmian po objęciu funkcji redaktora przez wieloletniego współpracownika Głosu Ameryki i Wolnej Europy — P. Mroczyka. ■ 29.09 odbył się w Chicago wieczór poezji A. Czerniawskiego, emigracyjnego poety, tłumacza i eseisty, profesora filozofii na uczelniach brytyjskich. ■ Po raz pierwszy słowniki amerykańskiej angielszczyzny (popularny „Webster") zamieściły hasło „Polonia", wyjaśniając je jako „grupę polskiego pochodzenia zamieszkującą poza Polską określone terytorium lub całe Stany Zjednoczone". Podobno pierwszy raz użyto tego słowa w j. angielskim w 1944 roku, jednak autorzy słowników nie chcieli słowa umieszczać, motywując to jego niewystępowaniem w amerykańskich publikacjach.

Mariusz SZEJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

14 października 1989 odbyło się w Toronto posiedzenie nowowybranego zespołu kanadyjskiego oddziału Rady Narodowej liczącego 45 członków. Na zebranie przybyli z Londynu pp. Zygmunt Szadkowski, przewodniczący R.N. i Zbigniew Scholtz, członek rządu RP na uchodźstwie. Przewodniczącym został dr Marek Celiński, członek Zarządu Gł. Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Omawiano sprawy związane z Funduszem Skarbu Narodowego i sytuacją w kraju. Zabierając głos w toku dyskusji min. Scholtz wskazał, że sytuacja jest skomplikowana. Popieramy — mówił — Mazowieckiego, ale nie rząd na czele którego stoi. Pragniemy likwidacji systemu narzuconego Polsce. ■ Na zaproszenie *Polish Jewish Heritage Foundation* przybył do Toronto dr Marek Edelman (ostatni żyjący dowódca powstania w getcie warszawskim), gdzie 26.XI.89 przemawiał na zebraniu w Holy Blossom Temple. W pierwszej części spotkania

mówił na temat: „Druga wojna światowa — Polska 50 lat później" — przedstawiając poszczególne fazy, koncentrując się na przełomowych wydarzeniach. Uwypuklał tragiczny los Polski — ofiary dwóch totalitaryzmów: faszystowskiego i bolszewickiego. Po okupacji niemieckiej nastąpiła okupacja bolszewicka. W drugiej części prelegent odpowiadał na pytania, w tym osobiste. I tak np.: „Dlaczego pozostał w Polsce, skoro notuje się incydenty antysemickie?". Oświadczył, iż z tej decyzji nie musi się tłumaczyć, podobnie jak nikt nie musi uzasadniać, dlaczego zdecydował się mieszkać w Kanadzie czy gdzie indziej. Mówił, że „Solidarność" jest życzliwie nastrojona do wszystkich mniejszości narodowych a Żydzi stanowią najmniejszą. Zdaniem jego mniejszość żydowska liczy około 4-6 tysięcy osób i to starszych wiekiem. Mówił, iż Polsce potrzebna jest szybka i znaczna pomoc Zachodu, bez której nie sposób opanować kryzysu. Rząd Mazowieckiego cieszy się zaufaniem społeczeństwa. ■ 10 listopada przybył na zaproszenie Centrali Związków Zawodowych (Canadian Labor Congress) Lech Wałęsa z gronem swoich doradców z prof. Geremkiem na czele. Formalnie — gdy chodzi o Centralę Związków Zawodowych — była to wizyta spóźniona o 8 lat, lecz miała ona obecnie innych charakter i przebieg. Środki masowego przekazu: prasa, radio i TV poświęciły wizycie tej wiele miejsca i czasu a prasa polonijna prześcigała je. Trzydniowy program pobytu obejmował dwa wystąpienia publiczne: w Hamiltonie pod auspicjami związków zawodowych a wieczorem tegoż dnia w Toronto, zorganizowane przez Okręg Kongresu Polonii Kanadyjskiej. W Hamiltonie witali Wałęsę przybyli na to spotkanie przedstawiciele władz państwowych: gubernator prowincji, minister pracy, prezydent miasta oraz przewodniczący Centrali Związków Zawodowych i prezes Związków Zawodowych Metalurgistów. Katedra psychologii Uniwersytetu Simon Fraser (Vancouver) przyznała Wałęsie dyplom w uznaniu osiągnięć na polu psychologii człowieka. Prof. Stevens wręczył Wałęsie dyplom, po czym prof. Bulmer w imieniu senatu uniwersytetu MacMaster (Hamilton) wręczył dyplom doktora *honoris causa* wydziału prawa. Wałęsa w zwięzłym przemówieniu wzywał do inwestowania w Polsce. Mówił, że nie żebrze, ale proponuje interesy. Polska jest znakomitym terenem dla wszelkiego rodzaju imprez gospodarczych. Pani Carr zaznaczyła, że Centrala Związków Zawodowych wspierała finansowo „Solidarność" w najcięższym okresie a obecnie prowadzi akcję zbiórkową na rzecz „Solidarności" i ma nadzieję, że osiągnie ona $ 1.000.000. ■ Zebranie w Toronto — akademia 11 listopada — zamieniło się w manifestację dla Wałęsy i „Solidarności". Witano go owacyjnie na trybunie, przy wejściu i wyjściu. Pierwszym jego oficjalnym wystąpieniem w Kanadzie było złożenie 11 listopada przed południem wieńca pod pomnikiem przed ratuszem w obecności przedstawicieli władz federalnych, prowincjonalnych i samorządowych. Tegoż dnia złożył wizyty przywódcom stronnictw opozycyjnych: Partii Liberalnej i Nowej Partii Demokratycznej. Później delegacja spotkała się z

przedstawicielami sfer gospodarczych, a wieczorem konsulat w Toronto zorganizował przyjęcie, na które przybył z Ottawy ambasador PRL ze świtą. Późnym wieczorem odbyło się spotkanie delegacji z przedstawicielami Kongresu i organizacji prosolidarnościowych. W ostatnim dniu, tj. 13 listopada, odbyły się w Ottawie spotkania i rozmowy z premierem Malroney i członkami rządu oraz przedstawicielami sfer gospodarczych. ■ Stowarzyszenie „Ukraiński Dom Narodowy" w Toronto, w ramach swojej programowej działalności publicznej, zorganizowało międzynarodowe spotkanie na temat zagadnień stosunków polsko-ukraińskich. Organizatorem imprezy był prof. Peter Poticznyj z wydziału nauk politycznych McMaster Univ. w Hamiltonie. Prof. Poticznyj, zajmujący się problematyką polsko-ukraińską, zorganizował m.in. wielką konferencję akademicką z udziałem polskich i ukraińskich prelegentów z uniwersytetów zagranicznych; był prelegentem na spotkaniu polsko-ukraińskim zorganizowanym przez Ukraińców; jest żywo zaangażowany w różnych akcjach zbliżenia i współpracy polsko-ukraińskiej. On też przedstawił obu prelegentów tj. Adama Michnika i Romana Sołczanyka z wydziału badań rozgłośni radiowej „Swoboda" w Monachium. Konferencja odbyła się w jednym z najwytworniejszych hoteli. Prelekcję i wymianę zdań poprzedziło nieformalne spotkanie w barze, podczas którego większość uczestników rozmawiała z prelegentami. Obecnych było ponad 100 osób — Ukraińców kanadyjskich ze świata gospodarczego i wolnych zawodów: lekarzy, adwokatów itp. sfery zamożne. Prof. Poticznyj prowadził zebranie w języku angielskim, Michnik mówił po polsku a tłumaczem jego był Jerzy Jastrzębowski, Sołczanyk mówił po angielsku. Zabrał głos po Michniku i wygłosił dobrze opracowany referat. Mówił o historycznych powiązaniach, wspólnych dziejach, roli i znaczeniu Polski dla Ukrainy. Zdaniem jego Polska odgrywa obecnie wielką rolę w rozsadzaniu ZSSR, szczególnie w odniesieniu do narodów bałtyckich, ale również do Białorusi, Ukrainy i Litwy. Omówił platformę *Gazety Wyborczej* a w szczególności stosunek Michnika do problemu ukraińskiego. Podniósł ważność jego pozytywnego nastawienia. Ważne są nawiązane kontakty między Michnikiem — tj. polskimi elementami demokratycznymi — i odpowiednikami na Ukrainie. Łączność i kontakty są niezbędne. Prelegent poruszył istotne zagadnienia a mianowicie stosunek do mniejszości narodowych — konkretnie polskiej — na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce. W obu państwach jest on zły, z tym że mniejszości polskiej na Ukrainie po prostu grozi zagłada. Na całym obszarze istnieją tylko dwie szkoły polskie. Przeszłość ciąży na teraźniejszości obu narodów. I tak wśród Polaków panoszy się jeszcze pogląd, że Niemcy wymyślili problem ukraiński a Rosjanie utrzymują, iż to dzieło Polaków. Mity i legendy przeszłości i związane z tym nastawienia nie mogą kształtować przyszłości, którą budować można na realnych podstawach. W pierwszej części swego wystąpienia — która poprzedziła referat Sołczanyka — Michnik mówił o swoim udziale w wielkiej manife-

stacji ukraińskiej w Kijowie, o ideowych powiązaniach i łączności z ukraińskim narodowym ruchem demokratycznym. Mówił o zmaganiach Ukraińców, o ofiarach na rzecz wolności narodowej, posiadania pełnych swobód językowych, religijnych i politycznych. Dopiero jednak w drugim wystąpieniu odpowiedział na pytania i poruszył najważniejsze zagadnienia. I tak stwierdził, iż nie tylko komuniści w Polsce odpowiedzialni są za wszystkie krzywdy i zło, które spadło na ludność ukraińską, za stosunek do problemu ukraińskiego. Zdaniem jego dawne tendencje endeckie wraz z dewizą „Polska dla Polaków" są żywe w pewnych kołach. Ubolewa nad faktem, iż Ukraińcy w Polsce byli obywatelami drugiej kategorii. Nie ma dotychczas określonego programu polityki wobec mniejszości ukraińskiej, jej liczebność nie jest ściśle ujęta. Wypowiada się za pełną równością, posiadaniem wszelkich demokratycznych praw, warunków działalności na polu kulturalnym, szkolnictwa i pełnych swobód wyznaniowych. Chodzi oczywiście przede wszystkim o kościół grekokatolicki. Uważa iż obecne stanowisko Episkopatu Polski wobec Kościoła grekokatolickiego jest zdecydowanie pozytywne. Wskazał m.in. na spotkanie prymasa Glempa z kardynałem Lubacziwskim, głową Kościoła grekokatolickiego. Zdaniem Michnika wzajemne westchnienia, tęsknoty i życzenia na temat rewizji obecnej granicy polsko-ukraińskiej są nie tylko nierealne, ale wręcz szkodliwe i niebezpieczne. Nie można wymagać od nas wymazania z pamięci wielkiej roli kulturalnej Lwowa czy, gdy chodzi o Litwinów, Wilna — ale z utratą terytorialną tych miast pogodziliśmy się. Współpraca, współżycie, współistnienie wymaga i nakazuje nam jak najbardziej szeroką tolerancję. Nie możemy budować przyszłości na nienawiści. Ona bowiem jest bazą wszelkich dyktatur. Wspólnie zmierzamy do demokracji. W demokracji będzie miejsce dla demokratycznej Rosji. Bez urazów i bez nienawiści. Nagrodzony hucznymi oklaskami wniósł toast: Niech żyje wolna i niezależna Ukraina. ■ 24 listopada Michnik spotkał się z szerszą publicznością, głównie młodzieżą akademicką na terenie uniwersytetu Simcoe Hall i ponownie w sobotę 25 bm. w auli katolickiej szkoły średniej w dzielnicy polsko-ukraińskiej. Spotkanie z przedstawicielami polonijnych środków masowego przekazu zorganizował *Związkowiec*. Michnik mówił o aktualnej sytuacji i problemach politycznych w Polsce, odpowiadając na liczne pytania. Uchylił się jednak od wszelkich odpowiedzi na drastyczne pytania uczestników spotkania w *Związkowcu* odnośnie wewnętrznego układu w „Solidarności", różnych formacji partyjnych, politycznych, najbliższej i dalszej przyszłości itp. Mówił, że Polska znajduje się w pierwszej fazie demokratyzacji, że musi się wielu rzeczy uczyć, poznawać, i że wobec tego droga jest uciążliwa i mnóstwo na niej przeszkód. Pewny jest jednego — iż nie ma powrotu do poprzedniego stanu. Komunizm został w Polsce zlikwidowany.

Toronto 28 listopada 1989 r. *B.H.*

Listy do Redakcji

Formentera, 16 listopada 1989.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Sprawa jest tak błaha, że nie warta druku. Chciałbym jednak za Pana pośrednictwem pogodzić PP. Czesława Miłosza, Stanisława Gawła i innych zainteresowanych marginesowymi drobiazgami wielkich wspomnień.

W latach 30-tych były co najmniej *dwie* dość znane piosenki o tytule „Ameryka" lub mające „Amerykę" jako kluczowe słowo refrenu, czyli tzw. „szlagwort". Cytat użyty przez p. Gawła (*Kultura* Nr 9/504) wskazuje, że chodzi o „Rumbę-Ameryka". Cytat jest n.b. niedokładny (tak źle, to nie było) i to nie jest refren, a tylko jeden, niepowtarzający się, fragment tekstu; refren zaczynał się właśnie słowami „To jest Ameryka..."

Nie znam filmu, o którym wspomina p. Gaweł, mogę jednak z całą stanowczością stwierdzić, że rumba „Ameryka" należała do żelaznego repertuaru Chóru Dana od czasu pierwszej podróży tego zespołu do Stanów Zjednoczonych. Jest to piosenka-skecz, jedna z pierwszych. Jest też niemal pewne, że autorem słów był Julian Tuwim, który specjalizował się w pisaniu tego typu piosenek. Nawet jeśli na naklejce płyty figurował jako autor niejaki „Oldlen", to też był Tuwim, tylko taki trochę gorszy (bardziej udaną piosenkę-skecz, „Czerwony Kapturek", podpisał nazwiskiem). „Rumba Ameryka" ma tekst rzeczywiście nie najprzedniejszy, trochę szmoncesowy, ale też to „Aj, aj, Ameryka — prawdziwy raj" nie było pomyślane poważnie, a przeciwnie, satyrycznie i aluzyjnie, gdzie dostało się i Białym i Czarnym, i Żydom i gojom, a nawet niektórym osobistościom, jak np. Boy-Żeleński.

W każdym razie ta piosenka była chronologicznie wcześniejsza od filmu wspomnianego przez p. Gawła i nie jestem pewien, czy nie zachodzi tu nieporozumienie odnośnie dwóch różnych piosenek.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia. Z muzycznym ukłonem

Jacek K. MACHNIEWICZ

PS. „Chór Dana", to był najlepszy, o międzynarodowej sławie, polski męski kwartet wokalny, kierowany przez Władysława Daniłowskiego.

Warszawa, 25 XI 1989 r.

Szanowny Panie Redaktorze

Z dużym opóźnieniem mogłem zapoznać się z listem do Redakcji *Kultury* (nr 6/1989) p. Antoniego Pospieszalskiego, dotyczącym moich artykułów publikowanych w *Kulturze* i *Zeszytach Historycznych*, poruszających sprawę języka w kościołach na Białorusi i Ukrainie. Autor listu wyraża sprzeciw wobec polityki, jak to określa, utrzymywania języka polskiego, jako „języka liturgicznego białoruskich i ukraińskich katolików" i nazywa to polityką „niesłychanie krótkowzroczną i niesprawiedliwą".

Rozumiem go i podzielam jego opinię, jeśli chodzi o obronę prawa ludności żyjącej na Białorusi czy Ukrainie do języka białoruskiego czy ukraińskiego w kościele, ale tylko pod jednym warunkiem: że sama tego pragnie i żąda. Wprowadzanie go tam, gdzie ludność wcale tego nie pragnie, a nawet prosi księdza, by tego nie czynił lub w różny sposób sprzeciwia się temu — wywołuje mój jeszcze bardziej stanowczy sprzeciw. Czy należy w tej dziedzinie stosować metody totalitarne? Użyte przez p. Pospieszalskiego określenie, że język polski jest „uparcie forsowany na całym obszarze etnicznie białoruskim" przez katolickie władze kościelne, świadczy o całkowitej nieznajomości rzeczy i jest krzywdzącym oskarżeniem.

Duchowieństwo katolickie na Białorusi i Ukrainie używa w duszpasterstwie takiego języka, jakim mówią do niego wierni — „prostego", polskiego, białoruskiego, ukraińskiego i rosyjskiego. Jeśli natomiast w liturgii panuje język polski, to tylko dlatego, że takie jest oczekiwanie i żądanie samych wiernych. Wydaje mi się, że o „forsowaniu" można mówić tam, gdzie język polski z liturgii usuwany jest wbrew wiernym, co rodzi konflikty i zatargi. Nic innego, tylko rozgoryczenie i skargi ludzi z tego powodu skłaniały mnie do pisania na ten temat.

„Cóż bardziej naturalnego niż chcieć modlić się we własnym języku, tym, którym się mówi w domu" — pisze bardzo słusznie mój Oponent. Ale cóż zrobić, jeśli właściwie 100% ludności katolickiej na Białorusi od bardzo dawna modli się w kościele i w domu po polsku, choć językiem tym na co dzień, i w domu nawet, nie mówi? Nikt im tego nie nakazuje, lecz taki właśnie język modlitwy najbardziej ludzie sobie cenią. Na Białorusi ponadto żyje największe w ZSSR skupisko Polaków, którzy nie z własnej winy już dawno niekiedy utracili swój rodzimy język i trzymają się go tylko w kościele. Czy można go im nawet tutaj odbierać i to wbrew ich woli? Rzeczywistość wychodzi poza słuszny schemat wyrażony w cytowanym zdaniu.

Myślę, że powoli powstanie kiedyś Kościół katolicki obrządku łac. modlący się po białorusku. Tylko nie można go tworzyć administracyjnie i „od góry", bez liczenia się z wolą zainteresowanych. Białorutenizacja liturgii to zmiana niesłychanie głęboka i doniosła psychologicznie, kulturowo i religijnie, sięgająca do najgłębszych odczuć ponad dwóch milionów ludzi. Nie sposób jest zrozumieć skomplikowanej rzeczywistości religijnej na Białorusi na odległość, bez rzetelnego poznania jej z autopsji. Inaczej wypowiedzi na ten temat będą źródłem bardzo przykrych i niebezpiecznych nieporozumień.

Z poważaniem

J. MIRSKI

P.S. Może warto dodać, że Białoruski Front Narodowy wielką pomoc w odrodzeniu Białorusi upatruje nie w Kościele rzymskokatolickim lecz w katolickim Kościele obrządku wschodniego, który pragnie tworzyć.

J.M.

Bazylea, 22.11.1989

Szanowny Panie Redaktorze,

Ktoś, kto tak jak Czesław Miłosz w ostatnim numerze *Kultury* musi się uciekać do dedukowania własnych poglądów na politykę i moralność lat 1945 — i później — przy pomocy „odkryć" różnic tożsamości aktów moralnego i politycznego, zdradza w tej materii tak cieniutką wiedzę, albo operuje tak jednostronnie, że byłoby lepiej, gdyby ograniczył się do odnotowania tego, co sam zauważył, unikając sądów i zbyt „uczonych" konkluzji. Te ostatnie wypadają zbyt fatalnie, zapraszając wręcz do zaprotestowania przeciwko takiemu pojmowaniu historii tamtego okresu.

Śmiem twierdzić, że nie tylko w roku 1989 nie wypada wypisywać tak niestworzonych rzeczy na temat tamtych lat, ale że już w roku 1945 każdy trzeźwo myślący człowiek — a takich miał na myśli Miłosz — obojętnie gdzie mieszkał i czego sam osobiście doświadczył, jeśli chciał pozostać w zgodzie z prawdą, musiał stwierdzić, że możliwość *politycznego* działania w PRL-u tamtych lat ograniczała się, jeśli nie jedynie, to na pewno głównie, do roli albo kata albo ofiary! Czesław Miłosz nie dowiódł, że *tertium* było *datur*!

Owszem, były funkcje „pośrednie". Jeden z braci Borejszów był siepaczem, albo katem peerelowskiej mordowni, drugi zajmował się „organizowaniem życia kulturalnego". Jerzy Andrzejewski pisał „Popiół i diament", Andrzej Mandalian poemat „Towarzyszom z Bezpieczeństwa", ale wszyscy działali jak najbardziej *politycznie*! Zwalczanie „zaplutych karłów reakcji" byłoby niepomiernie trudniejsze bez tego „kulturalnego" wsparcia krystalicznie czystego i dość ostrego miecza rewolucji oraz jego uczniów i literacko wyrażonej pogardy wobec zacofanych, zadufanych głąbów mordujących porządnego, myślącego komunistę. Były i inne możliwości przetrwania w PRL-u tamtych lat, ale pod warunkiem unikania działalności o charakterze politycznym.

Stwierdzenie Czesława Miłosza, że Ksawery Pruszyński na „trzeźwo" wracał do kraju po to, by tam działać politycznie, a działać politycznie oznacza realizować to, co było możliwe do zrealizowania przez osobę czynną i zaangażowaną w życiu publicznym, jest zwykłym historyczno-logicznym niechlujstwem. Tego faktu nie zmienią żadne zapewnienia Miłosza, że Pruszyński nie mógł przecie współpracować z emigracją, gdyż ci głupcy marzyli tylko o trzeciej wojnie światowej, a ta, jak wiadomo, nie wybuchła. Czesław Miłosz sugeruje, że zarówno on jak i Pruszyński wiedzieli o tym już w roku 1945, tylko cała emigracja tego nie zauważyła. Szkoda, ale jak ktoś głupi, to aż miło, powiadają w poznańskim. Miłosz zdaje się sugerować tę właśnie „radość" z pomyłki emigrantów. On też nie miał z nimi nic wspólnego, i ...miał rację, wszak trzeciej wojny nie było!

Gdyby Czesław Miłosz nie podkreślał tej trzeźwości i „ogromnych" politycznych ambicji Pruszyńskiego, można by sądzić, że po prostu w tej argumentacji słowa wyprzedziły myśli. Sążnista uwaga „akt moralny nie jest tożsamy z aktem politycznym" — konia z rzędem temu, kto wątpi w słuszność tego oklepanego komunału — sugeruje jednak wyraźnie próbę „naukowego" udowodnienia tezy o politycznym powodzie powrotu Pruszyńskiego do kraju.

Krzywdzi to Pruszyńskiego i wydaje paskudne świadectwo byłemu dyplomacie PRL-u, który w ten sposób stara się i własną przeszłość jakoś przezwyciężyć. Pan Venulet pisze, że potraktował wypowiedź Miłosza jako

żart. Ładny żart, chciałoby się powiedzieć, i dodać, oryginalna i głęboka wiedza na temat tożsamości aktu moralnego i politycznego. A stronami mówią o nas, że podobno grzeszymy poczuciem humoru. Pewno i ci myślą równie trzeźwo, jak ci, którym wydaje się, że można na trzeźwo maszerować, albo pchać się pod szubienicę albo do rzeźni, mniemając, że i z tego wymagłują kiedyś jakąś wielką i wcale nie zawstydzającą tragedię.

Z poważaniem

A. ŁUCZAK

●

Brisbane, 23 lipca 1989 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Australii, po apelu Lecha Wałęsy i Komitetu Obywatelskiego, Biuro Informacyjne Solidarności rozpoczęło kampanię wyborczą na rzecz Komitetu Obywatelskiego. Niestety reakcja prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii była negatywna.

Zwracam uwagę Pana Redaktora na dwa akapity tego oświadczenia, mówiące o ścisłej współpracy Biura z konsulatem PRL. Oto treść jednego z nich: „Przeraża naiwność osób, które zaangażowały czas, energię i prestiż w stworzenie w ścisłej współpracy z konsulatem PRL Komitetu, na którym spocznie odpowiedzialność za wciąganie społeczności polonijnej w tak grubymi nićmi szytą farsę".

Sam współpracuję z Biurem Informacyjnym już od kilku lat. Poznałem Henryka Sikorę, kierownika Biura, dosyć dobrze. Uważam, że prezes Krzysztof Łańcucki wyrządził mu tym oświadczeniem dużą krzywdę.

Jako „publiczny służący" (proszę mi wybaczyć takie tłumaczenie zwrotu *public servant*) zdecydowałem się nie brać udziału w wyborach, mimo że w owym czasie szanse na wybór Urbana wydawały się bardzo poważne. W związku z tym wydaje mi się, że moje spojrzenie na całą tę sprawę jest w miarę obiektywne. Myślę, że każdy ma prawo do własnej opinii. Niemniej pan prezes musiał wiedzieć, że Biuro brało udział w kampanii nie we współpracy z konsulatem, ale po to, aby uniemożliwić machinacje konsulatowi. Dlatego, moim zdaniem, rzucanie oskarżeń o współpracę było bardzo poważnym błędem. Oświadczenie to, jak i podobne opublikowane przez Biuro Informacyjne Polonii Australijskiej (łagodniejsze w tonie) zamiast łączyć, znowu podzieliło grupę polonijną zamieszkałą w Australii na „nowych" i „starych". Myślę, że zgodzi się Pan ze mną, że lepiej jest, jeżeli przywódcy polonijni starają się łagodzić wszelkiego rodzaju spory, zamiast je zaogniać.

Moja opinia nie jest odosobniona. Dr Janusz Rygielski w swoim bardzo pojednawczym komentarzu na antenie radia 4EB w Brisbane uznał decyzję podjętą przez Radę za odmowę pomocy Krajowi. Tak to odczuło wiele osób, czego dowodem było zorganizowanie wyjazdu samochodami do Sydney przez grupę młodych ludzi w celu wzięcia udziału w wyborach. Odległość z Brisbane do Sydney wynosi ok. 1000 km. Osobiście uważam, że działalność Rady Naczelnej jest prowadzona nienajlepiej. Pamiętam, jak rok temu dr Jerzy Klim — członek Rady — przekonywał mnie, że nie należy przeciwdziałać zamierzeniom rządu federalnego przyznania licencji połowowych kutrom sowieckim w australijskiej strefie przybrzeżnej. Motywował to tym, że decyzja już zapadła, a my jako grupa etniczna zostaniemy uznani za antysowieckich paranoików. Nie posłuchałem rady. Koło Nr 8 SPK udzieliło mi daleko idącej pomocy i opracowaliśmy petycję, którą podpisało ponad 200 osób w samym Brisbane (Stowarzyszenie Polaków w Queensland, „Polonia", zachowało przychylną neutralność). Petycję tę podpisało kilku profesorów Uniwersytetu w Queensland oraz kilku poważanych biznesmenów. Na naszą prośbę grupa wietnamska podjęła podobną akcję. Nieco później dostałem list od ministra, że decyzja nie została jeszcze podjęta. Rada wybrała drogę dyplomatyczną, tzn. audiencję u premiera Hawke'a. Nie dociekając, czyje działanie było najskuteczniejsze (prawdopodobnie ambasady St. Zjednoczonych), nie mogę zrozumieć dlaczego przedstawiciel Rady, człowiek, którego osobiście bardzo lubię i szanuję, uznał za właściwe wprowadzić mnie w błąd. W końcu jeśli ktoś mieszka w demokratycznym kraju wiele lat, powinien wiedzieć, że tzw. *lobbying* (m.in. poprzez petycje) jest bardzo skutecznym narzędziem, bo każdy polityk boi się przede wszystkim utraty głosów.

Odkąd mieszkam w Australii (prawie 10 lat) nie pamiętam poważniejszej akcji Rady w celu dopomożenia opozycji w Kraju. Natomiast Rada poświęciła wiele trudu i czasu na wybudowanie pomnika Kościuszki. Zebrano kwotę 30.000 dol., a rząd federalny dołożył dalsze 20.000. Osobiście wolałbym, żeby zamiast budowania pomnika spożytkowano te pieniądze np. na wzmocnienie katedry polonistyki Uniwersytetu McQuarrie. Sądzę, że Australia i Polonia miałyby więcej pożytku z takiego obrotu sprawy.

Dlaczego jest tak jak jest? Przypuszczam, że powodów jest kilka, ale kto wie, czy najważniejszym nie jest ogólna apatia. Odnoszę wrażenie, że wielu ludziom wystarcza zorganizowanie akademii 3 Maja oraz 11 Listopada za całą działalność „niepodległościową". Sam akademii nie lubię (ponad 30 lat życia w PRL robi swoje) i mogę sobie wyobrazić, że nikt z imigrantów przybyłych niedawno też ich nie lubi. Poza tym ordynacje wyborcze w organizacjach są mało demokratyczne. W Stowarzyszeniu Polaków w Queensland „Polonia" nie akceptuje się kandydatur z sali. Podobno dlatego, żeby przeciwdziałać infiltracji komunistycznej. Jak można sprawdzić, czy ktoś jest, czy też nie jest agentem, pozostaje dla mnie tajemnicą, ponieważ ani policja ani kontrwywiad nie udzielają tego typu informacji (i słusznie). Skutek jest taki, że bardzo trudno jest skompletować zarząd, a członkowie jeśli chcą, mogą działać do śmierci. W praktyce nie są oni odpowiedzialni przed nikim.

Pozwalam sobie zająć Pana cenny czas, ponieważ uważam, że problemy te nie są ograniczone wyłącznie do obszaru naszej parafii australijskiej. Intuicyjnie wyczuwam, że w innych skupiskach wcale nie musi być lepiej. Proszę Pana o opublikowanie tego listu również dlatego, że nie zauważyłem, żeby te problemy były poruszane w Kronice Australijskiej. Nie zaszkodzi jeżeli ktoś przedstawi swoje zdanie, nawet gdyby miało się okazać, że nie mam racji i tylko się czepiam.

Pozostaję z należnym szacunkiem

Wojciech POPŁAWSKI

Getynga, 13.XI.1989

Szanowny Panie Redaktorze,

Będąc ostatnio w Polsce dowiedziałem się, że zamknięcie zagraża jedynej ukraińskiej szkole średniej w Polsce, liceum w Legnicy. Liceum to utworzone zostało po październiku 1956, gdy w okresie krótkotrwałej wolności mogli się ujawnić ukrywający się dotychczas w obawie przed wysiedleniem do Związku Sowieckiego Ukraińcy (w tym też greckokatoliccy księża). W internacie liceum znajduje się stu dwudziestu uczniów, których rodzice nie są już w stanie pokryć kosztów utrzymania, wynoszących około 50.000 złotych miesięcznie, co odpowiada po obecnym kursie sumie sześciu dolarów.

Społeczność ukraińska w Polsce, liczebnie dość niewielka, znajduje się w sytuacji materialnej równie ciężkiej jak większość Polaków. Pismo Pańskie i jego czytelnicy odznaczali się zawsze życzliwym stosunkiem do Ukraińców i sprawy ukraińskiej. Utrzymanie liceum jest — jak sądzę — bardzo ważne dla całości stosunków polsko-ukraińskich, a uratowanie go przez Polaków zza granicy byłoby pięknym i ważnym gestem na drodze pojednania obu narodów. Chciałbym się więc zwrócić tą drogą do czytelników *Kultury* o pomoc w tym dziele. Łatwo obliczyć, że suma około 40 dolarów zapewni utrzymanie jednego dziecka w internacie przez pół roku, a około 60 dolarów przez rok (odliczając wakacje).

Dziękuję, Panu, Panie Redaktorze, za łaskawe umieszczenie tego apelu i przekazuję jednocześnie sumę 130 dolarów na internat ukraińskiego liceum w Legnicy.

Z prawdziwym poważaniem

Andrzej VINCENZ

●

Warszawa, 5 grudnia 1989 r.

Szanowny Panie,

Wiele złego zrobiłem w życiu i oglądając się wstecz, nie potrafiłbym powiedzieć sobie, jak p. Kazimierz Braun („Poza marginesem. Wspomnienie z lat 1948-58" — *Kultura* nr 11/1989), że mam czyste sumienie, niczego się nie wstydzę i nie żałuję.

Nie starczy mi jednak pokory, by żałować również za grzechy niepopełnione.

Pan Braun, którego dramatyczne dzieje rodzinne w czasach stalinizmu nie mogą nie budzić we mnie współczucia, twierdzi, że m.in. do mnie — jako redaktora *Nowej Kultury* — zwracał się był w roku akademickim 1955/56 („nie pamiętam daty") o pomoc w wydobyciu stryja, Jerzego

Brauna, z więzienia, a ja odmówiłem i wyrzuciłem go za drzwi. Otóż w roku akademickim 1955/56 nie było mnie w kraju — po prawie czteroletniej nieobecności wróciłem do Warszawy w lipcu 1956, do pracy w *Nowej Kulturze* przyjęto mnie od września, redaktorem zostałem w listopadzie. W tym czasie Jerzy Braun od pół roku przebywał na wolności. Jak wiem od bliskich poecie osób, do których zwróciłem się obecnie z prośbą o uściślenie daty, Jerzego Brauna wypuszczono w maju 1956 roku na „urlop zdrowotny", z którego nigdy nie wrócił już do więzienia.

Nie mam pojęcia, czy p. Kazimierz Braun rzeczywiście rozmawiał ze mną kiedykolwiek w redakcji *Nowej Kultury*, a jeżeli tak — to na jaki temat. W każdym razie anegdota o tym, jak „próbował mnie prosić", a ja potraktowałem go brutalnie, w świetle przytoczonych dat jest oczywistym płodem konfabulacji.

Tyle we własnej sprawie. We wspomnieniach p. Brauna w rolach analogicznych do mojej występują również nie mogący się już bronić umarli pisarze — Leon Kruczkowski i Adam Ważyk. Do Kruczkowskiego zabrał autora ojciec. „Nie pamiętam rozmowy — czytamy teraz. — Pamiętam to jego rozkładanie rąk. Chyba się bardzo wstydził. Nic nie zrobił". Skąd właściwie ta pewność, że nic nie zrobił? A może właśnie starania prezesa ZLP wpłynęły na wcześniejsze zwolnienie skazanego kolegi? Jeżeli tak było, czy młodociany bratanek Jerzego Brauna musiałby być o tym informowany?

Do Ważyka wybrał się Kazimierz Braun już „jako student polonistyki i początkujący poeta" — pod pretekstem pisania referatu o „Poemacie dla dorosłych" — „...zacząłem mówić o stryju. Wzdrygnął się. 'Okropne. Okropne', powiedział. Wyszedłem z niczym". A z czymże spodziewał się wyjść od poety w niełasce, potępianego z wysokich trybun za „antypartyjny" poemat, „winowajcy" zdymisjonowania redaktora, który utwór ten wydrukował, człowieka chorego i udręczonego przez to wszystko, co działo się wokół niego? Czyżby sądził, że Ważyk — ten Ważyk, w tym momencie swojego życia — może sięgnąć po telefon i rozkazać ministrowi Sprawiedliwości czy komuś innemu wypuścić natychmiast skazanego?

W konkluzji swojej opowieści Kazimierz Braun oświadcza: „To był dla mnie jeden świat, ich, nie mój: ten ubek rewidujący nasze mieszkanie", następnie strażnicy więzienni, a wreszcie — „Kruczkowski, Sokorski, Ważyk, Woroszylski". No cóż, wypada to skojarzenie przyjąć do wiadomości. Tylko czy autorowi, z jego wyobraźnią i wrażliwym sumieniem, nie przychodzi do głowy, że role się niekiedy zmieniają? Czy zapomniał, że nastąpiły czasy, kiedy komu innemu rewidowano mieszkania, odmawiano prawa do pracy i druku, wzywano na przesłuchania, zatrzymywano w drodze, więziono, internowano? Prawda, nie był to już okres stalinowskich okrucieństw, a ci, z którymi podobnie postępowano, musieli sobie na to zasłużyć. Jednocześnie zaś — znowu inni ludzie unikali narażania się władzy, za to bez większych przeszkód publikowali, wystawiali sztuki, bywali dyrektorami teatrów, dostawali stypendia zagraniczne i służbowe paszporty. Normalna rzecz, tylko — co wtedy było „ich światem", a co „drugą stroną"?

Wierzę, że zechce Pan opublikować w *Kulturze* powyższe uwagi.

Łączę wyrazy szacunku

Wiktor WOROSZYLSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

L.L., Kraków; W.M. Zamość; Z.O., Chicago; J.B. Paryż; P.Ch., Lozanna: **— *Z wierszy nie skorzystamy.***

T.P., Londyn: **— Pana listu nie zamieścimy, nie tylko że tematycznie jest spóźniony, ale ponadto każdy ma prawo do subiektywnej oceny.**

K.M.Z., RFN: **— Opowiadania „Wypędzeni" nie zamieścimy. Jest niedobre i zanadto pod wpływem opowiadań Janusza Rudnickiego czy Dariusza Macy, niestety bez ich talentu.**

M.P., Włochy; obecnie prawdopodobnie Kanada: **— Pana dziennika „Capua — wstęp do Ziemi Obiecanej" nie zamieszczę. Jest mało interesujący, a zresztą Pan już ten tekst przesłał do *Tygodnika Powszechnego*.**

B.S., Wrocław; A.M., Norwegia; Ks. P.F.W. RFN; K.S. Ottawa, Kanada: **— Nie zamieścimy. Polemiki w sprawie karmelitanek, homilii kardynała Glempa i reportażu Tomasza Jerza nie zamierzamy kontynuować.**

H.K., Australia: **— Pana polemiki z listem do Redakcji A. Pospieszalskiego w sprawie języka polskiego jako języka liturgicznego na Białorusi i Ukrainie nie zamieścimy. Jakkolwiek ma Pan dużo racji, ten problem jest stale dyskutowany na łamach *Kultury*.**

OŚWIADCZENIE

Funkcjonujące w „drugim obiegu" szczecińskie Wydawnictwo „Errata" przeprasza Studium Polski Podziemnej w Londynie za naruszenie — bez złej woli — jego praw wydawniczych w związku z rozpoczętą edycją krajową publikacji „Armia Krajowa w dokumentach" — tomy I, II, III, IV, V — będącą przedrukiem wydania londyńskiego.

Po nawiązaniu kontaktu z przedstawicielem Studium Polski Podziemnej w Londynie podjęliśmy następujące kroki zmierzające do rozwiązania powstałej sytuacji: po pierwsze — wstrzymujemy druk i oprawę tomu I; po drugie — zaprzestajemy dalszego kolportowania przez wydawnictwo tomów II, III, IV, V (część nakładu tomów II, III, IV, V jest już w kolportażu poza wydawnictwem); po trzecie — występujemy do Studium Polski Podziemnej z prośbą o zgodę na zakończenie edycji i rozprowadzenie „Armii Krajowej w dokumentach" tomy I-V.

Czujemy się winni naruszenia obowiązujących zasad wydawniczych, ale wierzymy, że uda się nam osiągnąć porozumienie oparte na poszanowaniu praw autorów pierwodruku z korzyścią dla krajowego czytelnika.

Wydawnictwo „ERRATA", Szczecin

SERIA „KONFRONTACJE"

wydawana przez nowojorski
Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE)
(ceny podano w szylingach austriackich)

W serii **„KONFRONTACJE"** ukazują się przekłady artykułów wybitnych specjalistów zachodnich na tematy polityki międzynarodowej. Redaktorem serii jest Irena Lasota.

1. **Między sierpem a młotem — ZSSR i świat,** 310 str., 132 S.
2. **Pod czerwoną gwiazdą — Komunizm w różnych krajach,** 197 str., 125 S.
3. **Mieszanka polityczna — Dyskusja na Zachodzie,** 212 str., 125 S.
4. **Oto Ameryka — Polityka i społeczeństwo,** 200 str., 110 S.
5. **Zagrożenia współczesne,** 256 str., 125 S.
6. **Polityka i świat,** 196 str., 125 S.
7. **Sowietskij Sojuz,** 125 str., 125 S.
8. **Z lewa i z prawa,** 199 str., 125 S.
9. **Pokrętne ścieżki,** 200 str., 125 S.
10. **Czerwone życiorysy,** 240 str., 148 S.

Książki z serii **„Konfrontacje"** można zamawiać w:

Polnische Buchhandlung
A 1070 Wien
Burggasse 22
Austria
Telefon i fax: 43-222-96 31 14

Do cen książek wysyłanych do krajów zachodnich księgarnia dolicza 8% na pokrycie kosztów wysyłki, jednak przy zamówieniach o wartości powyżej 1000 szylingów austriackich koszty wysyłki ponosi księgarnia.

Książki z serii **„Konfrontacje"** można zamawiać dla odbiorców w Polsce, wtedy uzyskuje się 20% rabatu i koszty wysyłki ponosi księgarnia.

Klientom spoza Austrii księgarnia odlicza 10% od cen katalogowych. Przy czekach spoza systemu „Eurochèque" księgarnia dolicza do rachunku 60 S.

Należności prosimy przekazywać dopiero po otrzymaniu rachunku z księgarni.

KSIĄŻKI

Hanna Świderska: *Polska społeczność w Wielkiej Brytanii, 1939-1950* 181
Renata Gorczyńska: *Berberova: późne kwitnienie* 186
Michał Heller: *„Lodołamacz" a historia* 194
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 197

WOLNA TRYBUNA

Krzysztof Czabański: *A po roku zabłyśnie słońce* 200

•

— *Wydarzenia miesiąca oraz kroniki amerykańska i kanadyjska* 205

•

J.K. Machniewicz, J. Mirski, A. Łuczak, W. Popławski, A. Vincenz, W. Woroszylski: *Listy do Redakcji* 215

•

— *Odpowiedzi Redakcji* 222

•

— *Oświadczenie wydawnictwa „Errata"* 222

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1er trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2293-1989

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1990		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 10,00	$A. 60,00	$A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Łopuszański,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **«Police Voice Publishing» Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	$can. 10,00	$can. 50,00	$can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 7,50	$US 40,00	$US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 451 — KAZIMIERZ BRAUN

POMNIK

Powieść

Str. 112. Cena F. 65,00.

●

TOM 453 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ 1984-1988

Str. 394. Cena F. 170,00.

●

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136. Cena F. 75,00.

●

TOM 455 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

zawiera opracowania: P. Eberhardt: *Jak kształtowała się wschodnia granica PRL;* A. Suworow: *Obrona twierdzy brzeskiej we wrześniu 1939:* K. Leski: *„Muszkieterowie";* T. Wyrwa: *Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan;* J. Urbszys: *Litwa i Związek Sowiecki w latach 1939-1940;* St. Duzik: *Droga do Workuty;* J. Łukaszów: *Walki polsko-ukraińskie 1943-1947;* J. Darski: *Wspomnienia J.K. Valiunasa; Nieścisłości p. Sosnkowskiej (korespondencja gen. K. Sosnkowskiego z Jerzym Giedroyciem);* J. Nowak: *Józef Mackiewicz (odpowiedź na List Otwarty); A. Skarbek: „Szaniec" i Dowództwo Wojskowe NSZ;* G. Grzeloński (opr.): *Europa Wschodnia w koncepcjach Departamentu Stanu w 1941 r.;* L. Schiller: *List do Min. Sztuki i Kultury;* J. Pławski: *Do syta;* L. Zajączkowska-Mitznerowa: *Pertraktacje z Żuławskim;* T. Mianowicz: *Kilka uwag w związku z Katyniem;* W. Bartoszewski: *W obronie Jana Nowaka* oraz BOGATE DZIAŁY POLEMIK I LISTÓW.

Str. 240. Cena F. 80,00.

I.N. 93400 St-Ouen - 2293-1989

Cena 72 F